

K.A.Tucker

Zostaw Zemle



Czasami nie możesz czegoś
zmienić, a czasem nie chcesz.

FILIA

K.A.Tucker

Zostań
ze
mną

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

Dla Lii i Sadie,

Najlepsze rzeczy w życiu nigdy nie przychodzą łatwo.

Zawsze będą warte swojej ceny.

*Ale idealnie (dla mojego dobra) byłoby, gdyby nie miały nic
wspólnego z awionetkami.*

PROLOG

15.11.1993

Anchorage, Alaska



Wren stawia dwie granatowe walizki obok wózka, po czym chwyta papierosa niepewnie trzymanego w ustach i zaciąga się nim głęboko i powoli. Wypuszcza dym na mroźną aurę.

– Tylko te?

– I torba na pieluchy. – Wdycham piżmową woń. Od zawsze nienawidziłam dymu. Wciąż tak jest, ale Wren stanowi wyjątek.

– No tak. Pójdę po nią – mówi, rzucając niedopałek na śnieg i przygniatając go butem. Zacierając zgrubiałe dłonie i chucha w nie, gdy przygarbiony zmierza z powrotem na płytę lotniska. Tam na godzinny powrót do domu czeka cessa, którą tu przylecieliśmy.

Obserwuję go w milczeniu, skulona w pluszowej, puchowej kurtce chroniącej przed lodowatym wiatrem, mocno trzęsąc się ze złości, którą noszę w sobie już od miesiący. Jeśli przestanę, szybko przytłoczy mnie zarówno ból rozczarowania, jak i nadchodzącej straty, a ja jego nie zdołam przetrwać.

Wraca Wren, kładzie ciężką czerwoną torbę na asfalcie, kiedy przychodzi pracownik naziemny, by zabrać moje rzeczy. Mężczyźni wymieniają uprzejmości, jakby chodziło o transport każdego innego pasażera. Pracownik zabiera mój bagaż i zostawia nas w pełnej napięcia ciszy.

– O której będziesz na miejscu? – pyta w końcu Wren, drapiąc się po brązowym zaroście na podbródku.

– Jutro w południe, czasu Toronto. – Modlę się, żeby Calla zdołała przetrwać dziesięć godzin podróży bez wrzasku. Choć może odwróci tym moją uwagę od własnych emocji. Przynajmniej kolejny samolot jest większy, w przeciwieństwie do awionetki, na wykorzystanie której nalegał Wren. Boże, dlaczego, u licha, wydawało mi się, że wyjście za mąż za urodzonego i wychowanego na pustkowiach pilota będzie dobrym pomysłem?

Wren kiwa głową, wyjmując naszą śpiącą córkę z wózka i tuli ją w ramionach.

– A ty? Gotowa na swój pierwszy długi lot? – Jego promienny uśmiech skierowany do dziecka sprawia, że ściska mi się serce.

Po raz setny zastanawiam się, czy jestem egoistką. Czy może powinnam zagryźć zęby, znieść niedolę i alaskańską izolację. Mimo wszystko sama nawarzyłam piwa, którego nie chcę teraz pić. Ojciec szybko mi to wypomniał, gdy przyznałam rodzicom, że życie z Wrenem nie jest tak romantyczne, jak przekonywałam samą siebie. Kiedy oзнакомиłam, że przez ostatni rok nie było dnia, żebym nie płakała – zwłaszcza podczas boleśnie długiej, chłodnej, ciemnej zimy, gdy tak rzadko widać było słońce. Że nie znoszę mieszkania na granicy Ameryki, że pragnę być blisko rodziny i przyjaciół, a także miejskiego gwaru z dzieciństwa. W moim własnym kraju.

Na czole Wrena pojawia się głęboka bruzda, gdy całuje naszą szczęśliwą, niczego nieświadomą siedemnastomiesięczną córkę w nos i stawia nosidełko na ziemi. Mała próbuje się poruszać, ale jej ciało jest szczelnie owinięte w gruby podgumowany różowy kombinezon, który nie przepuszcza lodowatego wiatru.

– Wiesz, że nie musisz wyjeżdżać, Susan.

Tak szybko, jak dopadły mnie wątpliwości, odsuwam je od siebie.

– I co dalej? Miałabym tu zostać i cierpieć? Siedzieć w domu z Callą, podczas gdy ty byłbyś w pracy, ryzykując życie dla garstki nieznanym? Dłużej nie dam tak rady, Wren. Każdy kolejny dzień jest trudniejszy niż poprzedni. – Początkowo sądziłam, że była to depresja poporodowa, ale po kilku miesiącach latania do Anchorage, aby porozmawiać z terapeutą i wziąć od niego receptę na antydepresanty, które jedynie mnie spowalniały, zaakceptowałam fakt, że mój nastrój nie miał nic wspólnego z hormonami. Dorastając w Toronto, sądziłam, że poradzę sobie z alaskańską zimą. Myślałam, że wyjście za mąż za ukochanego przewycięży trudy życia i egzystencji z człowiekiem, który ma niepokojąco wysokie szanse na śmierć w pracy. Że moje uwielbienie do niego i wzajemne przyciąganie wystarczą, by pokonać wszystko, co zgotuje mi Alaska.

Wren wkłada ręce do kieszeni granatowej kamizelki w kratkę, skupiając uwagę na zielonym pomponie na czubku dzianinowej czapki Calli.

– Sprawdzales może loty w święta? – śmiem zapytać, próbując po raz ostatni.

– Nie mogę wziąć aż tyle wolnego, wiesz o tym.

– Wren, jesteś właścicielem tej firmy! – Wskazuję na logo ALASKA WILD na kadłubie awionetki, którą przylecieliśmy do Anchorage. Ma więcej takich maszyn, które składają się na rodzinny biznes Fletchera, firmę czarterową, odziedziczoną pięć lat temu po zmarłym ojcu. – Możesz zrobić cokolwiek zechcesz!

– Ludzie liczą, że zostaną.

– Jestem twoją żoną! Ja również na ciebie liczę! My na ciebie liczymy! – Głos mi się łamie.

Wzdycha ciężko i pociera zmarszczone czoło.

– Nie możemy tak ciągle krążyć wokół tego tematu. Wychodząc za mnie, wiedziałaś, że Alaska jest moim domem. Nie możesz zmienić zdania i oczekiwać, że porzucę całe moje dotychczasowe życie.

Po moich policzkach płyną łzy. Ocieram je gwałtownie.

– A co z moim życiem? Tylko ja w tym związku zamierzałam się poświęcić? – Nie planowałam zakochać się w pilocie, kiedy byłam w Vancouver na wieczorze panieńskim, ale tak się właśnie stało i od tamtej pory tylko ja starałam się, żeby ten związek przetrwał. Robiłam to z lekkomyślną gorliwością szaleńczo zadurzonej kobiety. Wyprowadziłam się na drugi koniec kraju do Kolumbii Brytyjskiej i zapisałam na kurs ogrodnicy, by być bliżej Alaski. A potem, gdy dowiedziałam się o ciąży, rzuciłam szkołę i przeniosłam się do rodzinnego miasta Wrena, abyśmy mogli się pobrać i wspólnie wychowywać dziecko. Okazało się jednak, że czułam się jak samotna matka, ponieważ Wren ciągle przebywał na przeklętym lotnisku, w powietrzu albo planował, dokąd polec.

I z czym zostałam? Ze stygnącymi obiadami, maluchem, który nieustannie pytał o „tatię”, i niegościnną subarktyczną glebą, na której, jeśli miałam szczęście, rosły chwasty. Oddawałam temu mężczyźnie całą siebie i nie byłam świadoma tego, że w efekcie traciłam to, kim byłam.

Wren patrzy ponad mną na samolot komercyjnych linii lotniczych, który cofa z pobliskiego międzynarodowego terminalu. Mężczyzna wygląda na zdesperowanego, pragnącego znów się znaleźć w powietrzu, z dala od tej nigdy niekończącej się kłótni.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa. Jeśli powrót do Toronto jest tym, czego potrzebujesz, nie będę cię zatrzymywał.

Ma rację, nie możemy tego ciągnąć, zwłaszcza jeśli nie jest gotowy na poświęcenie, by mnie zatrzymać. Ale jak może pozwolić nam tak odejść? Kiedy obwieściłam, że kupiłam bilet tylko w jedną stronę, jedynie mruknął coś pod nosem. Chociaż nie powinno mnie to dziwić.

Wren nigdy nie potrafił wyrażać uczuć. Ale żeby tak po prostu nas tu podrzucił, ustawił nasze bagaże na twardej, zimnej ziemi...

Może nie kocha nas wystarczająco mocno?

Mam nadzieję, że matka będzie mieć rację i kilka miesięcy bez żony, która przyrządzała mu posiłki i ogrzewała łóżko, zmieni jego spojrzenie na całą sprawę. Może Wren uświadomi sobie, że jest w stanie polecieć dosłownie wszędzie, wliczając w to Toronto.

I zrozumie, że nie chce bez nas żyć.

Nabieram głęboko powietrza.

– Powinam już iść.

Patrzy na mnie ostrym wzrokiem, oczami, które niegdyś mnie usidliły. Gdybym tylko wiedziała, ile bólu przysporzy mi ten krzepki przystojny mężczyzna, kiedy usiadł obok mnie w barze i zamówił butelkę budweisera...

– To zobaczymy się chyba wtedy, gdy będziesz gotowa wrócić do domu – mówi z rzadką chrypą niemal kruszącą moją determinację.

Ale chwytam się jedyne słowa, które dodaje mi siły: „domu”.

Chodzi o to, że Alaska nigdy nie będzie moim domem. Albo Wren naprawdę tego nie dostrzega, albo po prostu nie chce zauważyć.

Z trudem przełykam ślinę.

– Calla, pożegnaj się z tatą.

– Papa, tiatia. – Macha rączką w rękawiczce i uśmiecha się szeroko.

Mała jest niezwykle zadowolona, chociaż jej matce pęka serce.

ROZDZIAŁ 1

26.07.2018



Kalkulator nie jest mój.

Uśmiecham się gorzko, przeglądając zawartość kartonu – szczoteczka do zębów, pasta, ubrania na siłownię, paczka chusteczek, wielka butelka advilu, kosmetyczka plus cztery szminki luzem, szczotka do włosów, sześć par butów trzymany pod biurkiem oraz kosztowny kalkulator biurowy. W zeszłym miesiącu przekonałam managera, że go potrzebuję. Ochroniarz, który miał za zadanie posprzątać moje rzeczy z boks, gdy wyrzucano mnie z pracy, najwyraźniej stwierdził, że należy on do mnie. Prawdopodobnie dlatego, że napisałam na nim czarnym mazakiem „Calla Fletcher”, by żaden chytry współpracownik mi go nie podwędził.

Zapłacił za niego bank, ale nie oddam go, pieprzyć to.

Trzymam się niewielkiej satysfakcji, jaką daje mi ta decyzja. Siedzę w metrze jadącym w tunelu Yonge i wpatruję się w swoje odbicie w szybie i mrok, desperacko próbując ignorować ucisk w gardle.

O tej porze dnia w środkach komunikacji miejskiej jest cicho i pusto, więc mogłam wybrać sobie miejsce siedzące. Nie pamiętam, kiedy ostatnio mi się to przydarzyło. Przez niemal cztery lata wciskałam się do zatłoczonego wagoniku i wstrzymywałam oddech, żeby nie wdychać przeróżnych woni, nieustannie popychana, gdy jechałam w komunikacyjnym szczycie do pracy, a później do domu.

Ale dzisiejsza podróż jest inna.

Dziś właśnie zaczynałam się rozkręcać, dopijając ostatnie krople średniej wielkości latte ze Starbucks, klikając „zapisz” w porannym pliku excela, kiedy to na skrzynkę przysłała wiadomość, że mam się spotkać z szefem w sali Algonquin. Nie zastanowiłam się nad tym zbytnio, wzięłam banana, notatnik i poszłam do niewielkiej salki konferencyjnej na piętrze.

Znalazłam w niej nie tylko szefa, lecz także jego przełożonego oraz Sonję Fuentes z działu kadr, która pomiędzy grubymi palcami trzymała szarą kopertę z wypisanym na wierzchu moim nazwiskiem.

Usiadłam przed nimi, w otępieniu słuchając przygotowanej wcześniej przemowy na temat tego, że niedawno bank wprowadził nowy system. Zautomatyzował on wiele zadań na moim stanowisku analityka ryzyka, więc zostało ono zlikwidowane. Jestem wzorowym pracownikiem i nie ma to żadnego związku z wykonaniem powierzonych mi zadań, a firma zapewni mi szerokie wsparcie podczas „okresu przejściowego”.

Możliwe, że jestem jedynym pracownikiem na świecie, który podczas wyrzucania z pracy cały czas jadł banana.

„Okres przejściowy” miał rozpocząć się natychmiast. Nie pozwolono mi nawet wrócić do boks, by pozbierać swoje rzeczy, ani pożegnać się ze współpracownikami. Miałam zgłosić się do stanowiska ochrony jak jakiś przestępca, gdzie czekał na mnie karton z moimi rzeczami, i wyjść z budynku. Najwyraźniej to standardowy protokół przy zwalnianiu pracowników tego banku.

Cztery lata użerania się z arkuszami kalkulacyjnymi, aż bolały mnie oczy, i całowania po tyłkach egoistycznych spekulantów giełdowych z nadzieją, że szepną słówko przy moim

awansie, zostawania do późna, aby nadrobić rzeczy innych analityków, planowania strategii w zakresie budowania zespołu, co wymagało od nas butów do kręgli i lokali ze szwedzkimi stołami. Wszystko to zupełnie na nic. Po zaimprovizowanym piętnastominutowym spotkaniu jestem bezrobotna.

Wiedziałam o nadchodzącej automatyzacji. Wiedziałam o redukcji analityków ryzyka i redystrybucji pracy, ale naiwnie wmawiałam sobie, że byłam zbyt cennym pracownikiem, by mnie wyrzucano.

Ile właściwie poleciało dziś głów?

Tylko moja?

Boże, co jeśli tylko ja straciłam pracę?

Mrugam gwałtownie, by rozgonić napływające mi do oczu łzy, ale i tak kilku udaje się spłynąć. Ocieram je pospiesznie, wydjmuję chusteczkę i małe lusteczko z pudła, po czym delikatnie oczyszczam twarz – tak, żeby nie popsuć makijażu.

Metro zatrzymuje się, wsiada kilku pasażerów, którzy rozbiegają się po wagonie, by znaleźć miejsce jak najdalej od kogokolwiek. Wszyscy poza dobrze zbudowanym mężczyzną w szafirowym uniformie. Ten wybiera wiśniowe siedzenie w kącie obok mojego.

Odsuwam nogi, aby nie ocierać się o jego udo.

Bierze magazyn „Now”, który ktoś porzucił na siedzeniu obok, i zaczyna się nim wachlować, ciężko wzdychając.

– Może powinienem zostać tam, gdzie chłodniej. Przy tej wilgotności zaczną śmierdzieć – mamrocze pod nosem, ocierając krople potu spływające mu po czole, najwyraźniej nieświadomy bijącej ode mnie irytacji.

Udaję, że go nie słyszałam, ponieważ żadna osoba o zdrowych zmysłach nie rozpoczyna bezsensownej rozmowy w metrze, i wyciągam telefon, by ponownie przeczytać wcześniejszą wymianę wiadomości z Coreym. Kiedy wcześniej do niego pisałam, stałam oszołomiona na Front Street, próbując zrozumieć, co się właśnie wydarzyło.

ZOSTAŁAM ZWOLNIONA.

CHOLERA. PRZYKRO MI.

SPOTKAMY SIĘ NA KAWĘ?

NIE MOGĘ. UTKNAŁEM. KLIENCI PRZEZ CAŁY DZIEŃ.

WIECZOREM?

ZOBACZYMY. ZADZWONIĘ PÓŹNIEJ?

Znak zapytania na końcu sprawia, że brzmi to tak, jakby nawet szybki telefon w celu pocieszenia swojej dziewczyny nie był w tym momencie możliwy. Wiem przecież, że ostatnio mocno na niego naciskano. Agencja reklamowa, w której jest zatrudniony, kazała mu pracować na okrągło, aby zaspokoić oczekiwania największego i najbardziej wybrednego klienta korporacyjnego, więc jeśli naprawdę stara się o wyczekiwany od dwóch lat awans, musi stworzyć miażdżącą kampanię promocyjną. W ciągu ostatnich trzech tygodni widziałam go tylko dwukrotnie. Nie powinno mnie dziwić, że nie jest w stanie rzucić wszystkiego, by się ze mną spotkać.

Mimo to jestem rozczarowana.

– Wie pani, w taki dzień jak dziś żałuję, że nie jestem kobietą. Damy mogą nosić o wiele mniej ubrań.

Tym razem spocony facet mówi bezpośrednio do mnie. I patrzy na mnie, na moje nagie nogi, które okrywa jedynie czarna ołówkowa spódnica.

Posyłam mu puste spojrzenie, zanim ściskam uda i odsuwam się jeszcze dalej, pozwalając długim cynamonowobrazowym włosom zasłonić mi twarz.

W końcu gość chyba zauważa mój nastrój.

– O, ma pani kiepski dzień. – Wskazuje na pudełko, które trzymam na kolanach. – Proszę się nie martwić, nie jest pani jedyna. Przez lata widywałem niejednego tak wychodzącego z biurowców.

Dałabym mu pięćdziesiątkę. Jest szpakowaty, na czubku głowy ma łysy placek. Szybki rzut oka na jego marynarkę mówi, że pracuje w firmie sprzątającej Williamsona. Musi to być jedna z tych, z którymi miał kontrakt i mój bank. Kiedy siedziałam do późna, widywałam, jak jej pracownicy przepychali swoje wózki pomiędzy boksami, próbując nie przeszkadzać, gdy opróżniali kosze na śmieci.

– Zwolniłam się – kłamię, zakrywając karton, ukrywając jego zawartość przed wścibskim spojrzeniem. Rana na moim ego wciąż jest zbyt świeża, bym rozmawiała o niej z nieznanym.

Uśmiecha się w sposób, który mówi, że mi nie wierzy.

– A tak właściwie, co pani robiła?

– Analizowałam ryzyko w banku. – Dlaczego nadal zachęcam tego człowieka do rozmowy?

Kiwa głową, jakby dokładnie wiedział, co to oznacza. Gdyby ktoś zapytał mnie o to cztery lata temu, gdy odbierałam dyplom na uniwersytecie w Toronto, wciąż nie potrafiłabym udzielić odpowiedzi, chociaż byłam bardzo podekscytowana, kiedy dostałam ofertę pracy. Był to mój pierwszy krok na drodze kariery młodej profesjonalistki, dolny szczebel w korporacyjnej drabinie w centrum miasta. Przyzwoite wynagrodzenie z przywilejami i planem emerytalnym w dużym banku. Wiele do odhaczenia w polu „dobra posada”, zwłaszcza dla dwudziestodwuletniej kobiety z niedawno ukończoną szkołą i głową do matematyki.

Nie trwało długo, zanim uświadomiłam sobie, że praca analityka polegała na wrzucaniu liczb do komórek arkusza kalkulacyjnego i upewnianiu się, że odpowiedzi wyrzucane przez formularze były tymi, których oczekiwano. To trochę ponad robotę dla małpy. Szczerze mówiąc, przez większość czasu potwornie się nudziłam.

– Dlaczego się pani zwolniła?

– Nie zwolniłam się – przyznaję w końcu, wzdychając. – Wie pan, restrukturyzacja.

– Ach, tak. Znam to – urywa, wpatrując się we mnie uważnie. – Lubiła pani tę pracę?

– A czy ktokolwiek tak naprawdę lubi swoją?

– Jest pani zbyt młoda na taki cynizm. – Śmieje się. – Czy lubiła pani przynajmniej swoich współpracowników?

Myślę o mojej grupie. O Marku, bezpośrednim zwierzchniku z oddechem o zapachu kawy, który wzywał na spotkanie tylko po to, żeby potwierdzić swoje stanowisko, i notował co do minuty moje wyjście na lunch i powrót za biurko. O Tarze, obsesyjnie poświęcającej się pracy, niemającej życia poza nią i spędzającej weekendy na wysyłaniu długich e-maili w sprawie ulepszeń oznaczonych w temacie jako: „Pilne! Wymagana odpowiedź!”, by każdy zobaczył je w skrzynce w poniedziałkowy poranek. O Raju i Adnane, którzy byli mili, ale nigdy nie wychodzili na drinka po pracy i nie potrafili się ze mną przywitać bez szkarłatnych rumieńców oblewających ich twarze. I o May z sąsiedniego boksu, nigdy niewyrabiającej się na czas i jedzącej przy biurku kiszoną kapustę, nawet jeśli polityka firmy zabraniała przynoszenia do budynku żywności o silnym zapachu. Musiałam wtedy wychodzić, inaczej przez dziesięć minut miałam odruch wymiotny. Każdego cholernego dnia.

– Nie za bardzo – przyznaję. – Szczerze mówiąc, nie pamiętam ostatniego razu, gdy nie musiałam zmuszać się do wstania z łóżka lub nie wyczekiwałam, aż miną godziny pracy. Uwielbiałam za to uczucie, kiedy każdego wieczoru wyłączałam komputer i zakładałam kurtkę.

– Może w takim razie wyrzucenie z pracy to dobra rzecz? – Uśmiecha się do mnie.

– Tak. Może. – Zbliża się stacja Davisville. Wstaję z westchnieniem ulgi, że mogę zakończyć tę rozmowę, nie będąc niegrzeczną. Balansując pudłem na jednej ręce, drugą trzymam się mocno rurki i czekam, aż metro się zatrzyma.

– Nie martwiłbym się za bardzo na pani miejscu. Jest pani młoda. – Mężczyzna dźwiga się z siedzenia, gdy wagon hamuje gwałtownie. – Takich prac jest wiele. Za kilka tygodni może pani przeciągać kartę dostępu przez drzwi innego banku.

Próbuje poprawić mi humor. Posyłam mu sztywny, choć uprzejmy uśmiech.

Drzwi otwierają się, więc wysiadam.

Mężczyzna trzyma się zaraz za mną.

– Wie pani, piętnaście lat temu tak samo niosłem karton z rzeczami, gdy wyrzucili mnie z biura w Toronto. Jasne, stanowiło to duży cios dla mojego ego, ale było również kopniakiem w tyłek. Postanowiłem otrzymaną odprawę wykorzystać na założenie z braćmi firmy sprzątajacej. Nie sądziłem, aby było to moim powołaniem, ale okazało się najlepszym, co mnie kiedykolwiek spotkało. I teraz nie chciałbym robić niczego innego, nawet w najgorsze dni. – Puszczą do mnie oko i macha zrolowaną gazetą. – To przeznaczenie. Czekają panią w życiu znacznie lepsze rzeczy. Czuję to.

Stoję na peronie. Obejmuję pudełko i przyglądam się entuzjastycznemu mężczyźnie, który kieruje się do wyjścia. Gwiżdże, wyrzucając gazetę do kosza, jakby naprawdę był zadowolony z życia, mimo że musi szorować toalety i podłogi.

Chociaż może ma rację. Może dzisiejsza utrata pracy okaże się najlepszym, co mogło mnie spotkać.

Kręcę głową i idę do wyjścia. Udaje mi się przejść trzy kroki, zanim dno kartonu się poddaje, a wszystkie rzeczy rozsypują się na brudnym betonie.

* * *

Moją skórę pokrywa cienka warstwa potu, gdy przemierzam kamienną ścieżkę przy naszym domu dziesięć minut drogi od stacji metra. Od piętnastu lat mieszkam tu z mamą i ojczymem Simonem, który kilka lat wcześniej kupił dom od swoich starzejących się rodziców. Mądrze zainwestował, ponieważ wartość posiadłości w mieście wciąż rośnie. Co jakiś czas dzwonią do nas agenci nieruchomości, próbując nakłonić do sprzedaży trzykondygnacyjnego wiktoriańskiego budynku z brązowej cegły ze sporą narożną działką. Przez lata dom został w pełni odrestaurowany. Ostatnia wycena opiewała na blisko dwa miliony.

Jest prawie południe. Mam ochotę na długi, gorący prysznic, w trakcie którego będę mogła się wypłakać. Chcę też położyć się do łóżka, aby aż do jutra unikać ludzi – tych dających dobre rady i wszystkich innych.

Jestem już prawie na schodach, kiedy boczne drzwi prowadzące do gabinetu psychiatrycznego Simona otwierają się i wychodzi z nich zapłakana kobieta w średnim wieku, ubrana w kiepsko dopasowane czarne spodnie. Nasze spojrzenia na chwilę się krzyżują, zanim kobieta zwiesza głowę i mija mnie w drodze do zielonego chryslera neona.

Musi być pacjentką Simona. Chyba wizyta nie poszła zbyt dobrze. A może się jednak udała. On zawsze mówi, że prawdziwy przełom nie przychodzi zbyt łatwo. Tak czy inaczej, pociesza mnie myśl, że nie ja jedna miałam paskudny dzień.

Po wejściu do domu zrzucam szpilki i upuszczam rozklejone pudełko zadowolona, że w końcu mam je z głowy. Dwie z moich wartych czterdzieści dolarów szminek rozbiły się na peronie, a lewy sportowy but – z nowej, kosztownej pary – nadal leży obok torów. Przez chwilę zastanawiam się, czy po niego się nie przejść, ale wyobrażam sobie jutrzejsze nagłówki: „Wyrzucona z pracy z banku skoczyła pod pociąg”. Stwierdzam, że niekoniecznie w taki sposób

chciałabym trafić do gazet.

– Halo? – woła mama z kuchni.

Tłumię jęk, odchylając głowę. Kurde. No tak, jest czwartek. W czwartki chodzi do kwiaciarni dopiero o drugiej.

– To tylko ja.

Drewniana podłoga zgrzyta, gdy mama podchodzi, a przy każdym kroku różowa spódnica powiewa przy jej kostkach.

Simon idzie tuż za nią, ubrany w zwyczajową jednobarwną kamizelkę, koszulę i beżowe spodnie. Nieważne, jak gorąco jest na zewnątrz, tutaj działa klimatyzacja.

Tłumię kolejny jęk. Spodziewałam się, że będzie w domu, bo prawie zawsze w nim przebywa, ale miałam nadzieję, że zajmie się następnym pacjentem i nie usłyszy, że weszłam.

– Co tu robisz? – Mama marszczy brwi, gdy przeskakuje wzrokiem od mojej twarzy do leżącego na podłodze kartonu. – Co to?

Stojący za nią Simon wydaje się równie zatroskany.

Zostaję zmuszona do streszczenia im mojego straszego poranka, kiedy to dostałam wypowiedzenie oraz przekazano mi koperty z dokumentami. Gdy mówię, gardło mi się ściska. Do tej pory dobrze sobie radziłam, ale teraz walczę, żeby się nie rozplakać.

– O, skarbie! Tak mi przykro! – Mama krzywo patrzy na Simona, chociaż dokładnie wiem dlaczego. Jego przyjaciel, Mike, jest wiceprezesem banku. To dzięki niemu dostałam tę posadę. Zastanawiam się, czy Mike wiedział, że znalazłam się na wylocie. Czy ostrzegł Simona? Czy ojczym wiedział, co się stanie, gdy wkładałam rano talerze do zmywarki i machałam mu na do widzenia?

Simon wkłada okulary do czytania, aby przejrzeć moje wypowiedzenie. Tymczasem mama obejmuje mnie i głaszcze po włosach, jak robiła to, kiedy byłam mała i potrzebowałam pociechy. To niemal komiczne, biorąc pod uwagę, że jestem od niej wyższa o osiem centymetrów.

– Nie martw się. Wszystkich nas to spotyka.

– Nie, wcale nie! Żadnego z was to nie spotkało! – Simon ciągle narzeka, że ma więcej pacjentów niż czasu, a mama od jedenastu lat prowadzi przynoszącą zyski kwiaciarnię na Yonge Street.

– No tak naprawdę to nie, ale... spotkało to twojego dziadka i brata Simona, Normana. I sąsiadów po każdej stronie, nie zapominaj o nich! – Próbuje znaleźć przykłady.

– Tak, ale oni wszyscy byli po czterdziestce! A ja mam dwadzieścia sześć lat!

Mama patrzy na mnie z rozdrażnieniem, ale bruzdy na jej czole zaraz się powiększają.

– Kto jeszcze stracił pracę?

– Nie wiem. Nie było innych osób przy stanowisku ochrony. – Czy moi współpracownicy siedzą teraz przy biurkach, szepcząc na mój temat? Czy się tego spodziewali?

Głaszcze mnie czule smukłymi dłońmi.

– Ten bank najwyraźniej prowadzi banda idiotów, którzy pozwalają sobie na utratę najlepszych, najbystrzejszych pracowników. – Po raz kolejny posyła Simonowi srogie spojrzenie, tak naprawdę przeznaczone dla Mike'a.

Oczywiście mu to wygarnie. To właśnie moja matka. Mimo to... nieznacznie poprawia mi tym humor.

Opieram głowę o jej ramię, odnajdując pociechę w jej kwiatowych perfumach i miękkości złotych złotych, obciętych na boba włosów. W milczeniu wpatrujemy się w Simona czytającego dokumenty i oczekujemy na werdykt.

– Cztery miesiące pensji z zachowaniem wszystkich przywilejów... ponowne

przeszkolenie w agencji pośrednictwa pracy... Wszystko wygląda standardowo – mówi Simon z uroczym brytyjskim akcentem Hugh Granta, mimo że od trzydziestu lat mieszka w Kanadzie. – Jesteś w dobrej sytuacji, nie płacisz czynszu ani nie spłacasz kredytu. Masz minimalne rachunki. – Unosi okulary na szpakowate, przerzedzone włosy i wpatruje się we mnie niebieskimi oczami. – Ale jak się z tym czujesz?

Simon uwielbia o to pytać, zwłaszcza gdy wie, że nie chcę o czymś rozmawiać. Jest psychiatrą, więc mimowolnie zawsze wszystkich analizuje. Mama twierdzi, że uczy mnie w ten sposób wyrażania emocji. Zachowuje się tak od dnia, w którym go poznałam. Miałam wtedy osiem lat, a on zapytał mnie, jak się czuję ze świadomością, że mama ma partnera.

– Czuję się, jakbym musiała zostać sama.

Kiwa głową ze zrozumieniem.

– Całkiem prawidłowo.

Biorę od niego kopertę z wypowiedzeniem i idę na górę.

– Susan? Czy może istnieje coś jeszcze, o czym zapomniałaś wspomnieć? – szepcze.

– Nie teraz! – syczy w odpowiedzi matka.

Kiedy na nich patrzę, porozumiewają się właśnie spojrzeniami, ruchami brwi i zmianami w wyrazach twarzy. Notorycznie tak robią. To zabawne... kiedy nie ma ze mną nic wspólnego.

– Co się dzieje?

Mama uśmiecha się sztywno i mówi cicho:

– To nic takiego. Możemy porozmawiać o tym później, jak już się uspokoisz.

Wzdycham.

– Powiedz.

W końcu mama się poddaje.

– Dostałam dziś telefon. – Waha się. – Połączenie było z Alaski.

Rodzi się we mnie niepewność. Znam stamtąd tylko jedną osobę i nie rozmawiałam z nią od dwunastu lat.

– Czego chciał?

– Nie wiem. Nie odebrałam, a nie zostawił wiadomości.

– To pewnie nic takiego.

Zmarszczone brwi podpowiadają mi, że tak nie uważa. Nawet kiedy jeszcze rozmawiałam z tatą, to nie on wysiłał się, by zadzwonić i się przywitać pomimo różnicy czasu.

– Może powinnaś do niego zadzwonić?

– Jutro. – Wchodzę po schodach. – Mam dosyć rozczarowań jak na ten dzień.

Poza tym ojciec dołożył mi ich wystarczająco na całe życie.

ROZDZIAŁ 2



– Wychodzisz? – Simon patrzy na zegarek. Nie potrafi pojąć pomysłu wyjścia o dwudziestej trzeciej, żeby spotkać się z przyjaciółmi. Ma pięćdziesiąt sześć lat i rzadko opuszcza dom, no chyba że mama go do tego zmusi. Dla niego rozrywka to lampka sherry i najnowszy program dokumentalny na BBC.

– A czemu nie?

Simon zerka na mnie przez okulary, dokonując szybkiej, ojcowskiej inspekcji mojego stroju, nim wraca uwagą do książki. Postawiłam na najkrótszą, najbardziej obcisłą czarną sukienkę i najwyższe szpilki. W innych okolicznościach podobny ubiór uważany byłby za wart ladacznicy, ale w parną, czwartkową, lipcową noc na Richmond Street jest raczej czymś normalnym.

Simon rzadko komentuje mój gust modowy, za co jestem wdzięczna. Bóg jeden wie, jakie znaczenie mógł przypisać dzisiejszemu strojowi. Wzmocnienie ego po tym, jak moja duma dostała kopniaka? Poszukiwanie miłości i uwagi? Głęboko zakorzenione problemy z ojcem?

– Ze zwyczajowymi podejrzanymi?

– Nie. Wszyscy wyjechali. Tylko z Dianą. – I jestem pewna, że z Aaronem. Jedno nie może być w klubie zbyt długo bez drugiego. Moja przyjaciółka zaproponowała babski wieczór, ale wiem, że będzie zachowywała się, jakby pojawienie się tam jej chłopaka było czystym zrzędzeniem losu, nawet jeśli na moich oczach pół godziny wcześniej poda mu adres SMS-em.

– Bez Corey’ego?

– Pracuje do późna – mamroczę, nie potrafiąc wyzbyć się irytacji. Chociaż chłopak chce się ze mną spotkać w sobotę, żebyśmy mogli się „odstresować”, jak głosiła jego ostatnia wiadomość. To kod oznaczający pójście do łóżka. Normalnie taka wiadomość by mi nie przeszkadzała, ale dziś jest inaczej. Dziś mnie wkurzyła. Fakt, że nie mógł poświęcić chociaż dziesięciu minut, aby do mnie zadzwonić i zapytać, jak się czuję, stał się rosnącym cierniem w moich myślach. Od kiedy zaczął tak mocno koncentrować się na swojej karierze, na dążeniu do awansu, i zepchnął mnie na drugie miejsce?

Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć?

Simon się krzywi.

– Widziałem zdjęcie w śmieciach. Wasze wspólne z zeszłych wakacji.

– Zniszczyło się, gdy pękło dno mojego kartonu.

– To ładna fotografia.

– Tak. – Została zrobiona w czerwcu tamtego roku w domku Talii nad jeziorem Joe, tym samym, w którym poznaliśmy się z Coreym miesiąc wcześniej, gdy przyjechał na długi weekend majowy do kumpla mieszkającego trzy budynki dalej. Spotkaliśmy się wczesnym sobotnim rankiem na kajakach w spokojnej części tętniącego zazwyczaj życiem jeziora, płynąc obok siebie i wymieniając kurtuazyjne: „Zapowiada się świetny dzień!”. Moją uwagę zwróciły jego jedwabiste blond loki, a także hipnotyzujący uśmiech i dźwięczny śmiech.

Byłam jeszcze bardziej nakręcona, dowiadując się, że mieszka w High Parku i pracuje zaledwie osiem minut drogi od mojego banku.

Do czasu, gdy płynąc obok siebie, zjawiliśmy się na naszym brzegu, mieliśmy już plany na spotkanie w porze lunchu. A kiedy wieczorem rozpaliliśmy u Talii ognisko, wesoło rozmazywaliśmy sobie nawzajem na ustach pianki upieczone na kijach.

Na zdjęciu siedzimy na kupie szarych kamieni, które wystawały z jeziora na tle stuletnich sosen. Corey obejmuje mnie chudymi rękami, oboje uśmiechamy się szeroko, całkowicie w sobie

zakochani. Fotografia została zrobiona, kiedy widywaliśmy się cztery razy w tygodniu, kiedy tworzyliśmy plany, wykorzystując swoje grafiki, kiedy odpowiadał na wiadomości, wysyłając kiepskie żarty już trzydzieści sekund po dostarczeniu mojego SMS-a, i w każdy weekend zamawiał w kwaciarni mojej mamy bukiet, prosząc ją, by postawiła go na mojej szafce nocnej – czym niemal natychmiast zyskał jej uwielbienie. Przepychałam się wtedy z nim – chichocząc, oczywiście – ale zdołał skraść mi buziaka, nie przejmując się tym, kto na nas patrzył.

Gdzieś po drodze wszystko się jednak zmieniło. Kwiaty przestały pojawiać się w każdy weekend, odpowiadanie na wiadomości zaczęło zajmować godziny. A pocałunki stały się jedynie preludeum do czegoś więcej.

Może po prostu poczuliśmy się w tym związku wygodnie.

A może za wygodnie.

Może musimy przeprowadzić poważną rozmowę.

Póki co odsuwam od siebie tę myśl.

– Zawsze mogę wydrukować kolejne.

Simon ponownie patrzy na mnie z grymasem, który wskazuje na lekkie zaniepokojenie. Również uwielbia Corey'ego, chyba jeszcze bardziej niż mama. Chociaż rodzice zawsze ciepło witali moich chłopaków, a przez ostatnich kilka lat zjawiało się ich na naszym progu już kilku, Corey był jednak najłatwiejszy do polubienia. Inteligentny, wygadany, nieskomplikowany. Kąciki jego piwnych oczu marszczą się, gdy się śmieje. Jest mistrzem w okazywaniu niepodzielnej uwagi. Przejmuje się zdaniem innych na swój temat, ale w dobry sposób. Kiedy ktoś go wkurzy, potrafi trzymać język za zębami, żeby uniknąć wypowiedziania rzeczy, których mógłby później żałować. Zawsze dobrze mnie traktował, nie narzekał, kiedy podawałam mu torebkę, by ją poniósł, czy czekałam, aż otworzy przede mną drzwi, albo prosiłam, żeby postać w kolejce w zatłoczonym barze i przyniósł napoje. Prawdziwy dżentelmen, i w dodatku przystojny.

Czyi rodzice nie chcieliby, by ich córka była z kimś takim jak Corey?

I dlaczego stoję, przeprowadzając mentalną inwentaryzację zalet chłopaka, jakbym musiała przekonać o ich istnieniu samą siebie?

– Cóż... pilnuj drinków i trzymaj się – mruczy Simon.

– Dobrze. Pocałuj ode mnie mamę na dobranoc. – Ponieważ to sezon ślubów, pewnie już śpi, potrzebując odpoczynku przed wczesną pobudką, aby przygotować bukiety dla panien młodych.

Idę do drzwi, ale Simon woła za mną:

– Nie zapomnij wynieść śmieci.

Odchylam głowę z jękiem.

– Zrobię to po powrocie.

– O trzeciej nad ranem? – pyta żartobliwie, wiedząc, że o trzeciej w nocy na pewno nie będę, zataczając się, wyciągać śmietnika na ulicę i sortować w nim odpadków.

Otwieram usta, chcąc poprosić go, aby to za mnie zrobił tylko ten jeden raz...

– Przygotowywanie śmieci do odbioru raz w tygodniu jest twoim jedynym obowiązkiem w tym domu i wydaje się dobrym substytutem opłacania rachunków za czynsz i media, czyż nie?

– Tak – mamrocze, ponieważ to prawda. Dwa razy w tygodniu przychodzi pomoc, żeby posprzątać i zrobić pranie. Mama zamawia zakupy z dostawą do domu raz w tygodniu, a nasze organiczne, wolne od glutenu, laktozy i hormonów obiady przygotowuje i dostarcza restauracja, więc rzadko muszę iść do sklepu czy coś ugotować. I zawsze dokładam bluzki i sukienki, gdy Simon wiezie swoje swetry i kamizelki do pralni chemicznej.

Jestem dwudziestosześcioletką bez kredytów mieszkającą z rodzicami pomimo tego, że

przez ostatnie cztery lata przyzwoicie zarabiała. Jednak oni na to nie narzekają – uwielbiają mieć mnie przy sobie, a ja kocham swój styl życia, na który mogę sobie pozwolić, pozostając w domu. Zatem tak, mogę przynajmniej raz w tygodniu przygotować śmieci do odbioru.

Co nie powstrzymuje mnie jednak przed dodaniem:

– Zmuszasz mnie do tego, bo sam nie znosisz tego robić.

– A dlaczego według ciebie trzymamy cię tu tak długo? – woła za mną, gdy zamykam drzwi.

* * *

– Spotkam się z tobą na miejscu. – Kółka śmietnika z odpadkami organicznymi grzechoczą na chodniku, gdy ciągnę go jedną ręką w kierunku ulicy, mijając audi mamy i mercedesa Simona, a drugą trzymam przy uchu telefon. Nasz dom jako jeden z niewielu ma podjazd na tyle duży, by pomieścić trzy samochody. Większość sąsiadów walczy o miejsca parkingowe na ulicy, co jest szczególnie uciążliwe w zimie, kiedy przy chodnikach znajdują się również wysokie nawet na metr dwadzieścia zaspasy.

– Nigdzie nie wejdziemy, jeśli się nie pospieszysz! – krzyczy spanikowana Diana ponad tłumem rozgadanych ludzi.

– Spokojnie. Wejdziemy jak za każdym razem. – Gdzieś, gdzie będziemy mogły poflirtować z ochroniarzem lub wcisnąć mu kilka drobnych do kieszeni, by ominąć kolejkę, którą tworzą sztucznie, aby pokazać, jak bardzo wypełniony jest ich klub. Tymczasem w środku jest pusty.

Bycie dwiema atrakcyjnymi młodymi kobietami ma też swoje korzyści i dziś planuję je w pełni wykorzystać. Choć w środku nie czuję się za dobrze, przyłożyłam się, żeby na zewnątrz prezentować się wręcz znakomicie.

– Taksówka już jedzie. Wybierz pub i napisz mi który. Spotkamy się za kwadrans. – Bardziej za dwadzieścia pięć minut, ale Diana porzuciłaby mnie, gdybym jej o tym powiedziała. Kładę komórkę obok torebki leżącej na masce auta Simona i ciągnę kosz do krawężnika, uważając, by nie odprysnął mi lakier z paznokci. Wracam po drugi szary kubeł.

Moją uwagę przykuwa ruch na sekundę przed tym, jak coś miękkiego ociera się o moją nogę. Zaskoczona odsuwam się z krzykiem, tracę równowagę, potykam się o krawężnik i ląduję na tyłku obok krzaka wyjątkowo ciernistej róży. Obok mnie przemyka ogromny szop. Chwilę później pojawia się i drugi, warcząc na mnie agresywnie.

– Cholera! – Upadek był mocny, zapewne powstaną sińce, ale w tej chwili najbardziej boli mnie widok leżącego obok mojej stopy złamanego u podstawy dziesięciocentymetrowego obcasa. Zdejmuję z nogi zniszczonego louboutina i celuję nim w szopy, po czym rzucam z całej siły, ale usadowiły się już bezpiecznie pod samochodem, więc przyglądają mi się w świetle padającym z ganku tymi swoimi paciorkowatymi oczami.

Drzwi się otwierają, wychodzi Simon.

– Calla, wciąż tu jesteś? – Zauważa mnie rozciągniętą na rabatce i marszczy brwi.

– Tim i Sid wrócili – mamrocze. Parka przestała nas odwiedzać w zeszłym miesiącu, po przeczesywaniu naszych śmietników w każdy czwartkowy wieczór przez dobry rok. Myślałam, że albo znalazły sobie inną rodzinę do terroryzowania, albo potrafił je samochód.

– Miałem przecucie, że wrócą. – Podaje mi słuchawkę. – Z Alaski.

Kręcę głową, mówiąc bezgłośnie:

– Nie ma mnie. – Chociaż i tak jest za późno.

Simon unosi krzaczaste brwi i czeka z wyciągniętą ręką. I tak nigdy mnie nie kryje. Jako psychiatra wierzy, że należy stawiać czoła swoim problemom, a nie ich unikać.

A według ojczyma moim największym problemem jest relacja z Wrenem Fletcherem. A właściwie jej brak, ponieważ ledwie znam tego człowieka. Wydawało mi się, że go znałam, gdy wybierałam jego numer i słuchałam sygnału, wyobrażając sobie pokój, dom i mężczyznę po drugiej stronie linii. Oczywiście wiedziałam, jak wyglądał mój prawdziwy ojciec. Mama pokazywała mi jego zdjęcia, więc miałam świadomość, jak prezentował się z potarganymi orzechowobrazowymi włosami i łagodnymi, szarymi oczami, w swojej granatowo-czarnej kurtce i jeansach, stojąc dumnie w połowie sierpnia przed rzędem swoich samolotów. Mówiła, że jego uroda była surowa, a pomimo młodego wieku dokładnie wiedziałam, o co mogło jej chodzić.

Czasami nie odbierał, przez co smuciłam się cały dzień. Innym razem miałam szczęście i złapałam go, gdy akurat się gdzieś wybierał. Rozmawialiśmy przez jakiś kwadrans o szkole, moich przyjaciółach lub hobby i o tym, co robię w wolnym czasie. To głównie ja mówiłam, ale zupełnie nie zwracałam na to uwagi. Byłam szczęśliwa, że odebrał. Mama i tak twierdziła, że tata nigdy nie był gadułą.

Mówiła również, że nigdy nie będziemy mogli żyć jak rodzina. Że codzienność taty wiązała się z Alaską, a nasza z Toronto, i nie było mowy, by to zmienić. Wcześniej to zaakceptowałam. Nie znałam innego życia. Mimo to zawsze prosiłam, żeby przyleciał do mnie z wizytą. No przecież miał te wszystkie samoloty, więc dlaczego nie mógł wybrać sobie jednego i mnie odwiedzić?

Zawsze miał wymówkę, a mama nigdy nie próbowała go namawiać. Wiedziała.

Ale ja? Postrzegałam go jedynie zachwyconymi oczami małej dziewczynki, która desperacko pragnęła spotkać się z tym cichym człowiekiem znajdującym się po drugiej stronie linii telefonicznej.

Wstaję i otrzepuję pośladki. Kuśtykam w stronę schodów w jednym bucie, wpatrując się w mojego zawsze wyrozumiałego i cierpliwego ojczyma.

W końcu biorę od niego telefon.

– Słucham.

– Dzień dobry, Calla? – pyta kobieta.

Marszczę brwi, patrząc na Simona.

– Tak. Z kim mam przyjemność?

– Z Agnes. Jestem przyjaciółką taty. Znalazłam twój numer w jego rzeczach.

– Okej... – Rozpala się we mnie niespodziewana iskra strachu. Dlaczego grzebała w jego rzeczach? – Coś mu się stało?

– Chyba można tak powiedzieć. – Milknie, a ja wstrzymuję oddech, bojąc się odpowiedzi.

– Twój tata ma raka płuc.

– O. – Siadam na szczycie schodów, bo nagle miękną mi kolana. Simon zajmuje miejsce tuż obok.

– Wiem, że od jakiegoś czasu wam się nie układało, ale pomyślałam, że chciałabyś wiedzieć.

Nie układało? Bardziej nie miało się co układać.

Następuje dłuższa chwila ciszy.

– Wiem tylko dlatego, że znalazłam wyniki badań w jego kieszeni, gdy brałam jego ubranie do prania. Nie ma pojęcia, że do ciebie dzwonię.

Słyszę, czego nie mówi: nie zamierzał informować mnie o chorobie.

– Jak... jest źle?

– Nie jestem pewna, ale lekarze ustalili plan leczenia. – Ma piskliwy głos i lekki akcent, który przypomina mi ten taty, gdy jeszcze z nim rozmawiałam.

Nie wiem, co jej odpowiedzieć poza:

– Okej. Cóż... jestem pewna, że lekarze wiedzą, co robią. Dziękuję za telefon z informacją...

– Może przylecisz tu z wizytą?

Opada mi szczęka.

– Tu? To znaczy... na Alaskę?

– Tak. Niedługo. Zanim rozpocznie leczenie. Zapłacę za twój bilet, jeśli trzeba. W tej chwili jest sezon, ale znalazłam wolne miejsce do Anchorage na tę niedzielę.

– Tę niedzielę? – Tę za trzy dni?

– Resztę drogi przebędziesz z Jonahem.

– Przepraszam, a kim jest Jonah? – W głowie mi się kręci.

– Oj. – Śmieje mi się melodyjnie do ucha. – Przepraszam. To nasz najlepszy pilot. Dopilnuje, abyś bezpiecznie do nas dotarła. – Zapamiętuję tę informację, jak również tę o zapłacie za bilet. Powiedziała, że jest jego przyjaciółką, ale mam wrażenie, że łączy ich coś więcej. – I Wren ucieszyłby się na twój widok.

Waham się.

– Powiedział ci o tym?

– Nie musiał. – Wzdycha. – Twój tata... jest skomplikowanym mężczyzną, ale cię kocha. I bardzo żałuje wielu rzeczy.

Być może tej całej Agnes nie przeszkadza to, czego Wren Fletcher nie powiedział i nie zrobił, ale mnie tak.

– Przykro mi. Nie mogę tak po prostu wsiąść do samolotu i przylecieć na Alaskę... – urywam. Właściwie w tej chwili nie mam żadnej pracy i zobowiązań. A jeśli chodzi o Corey'ego, zapewne mogłabym lecieć i wrócić, a on nawet by się nie zorientował, że mnie nie było.

Mogłabym wyruszyć w podróż, ale nie o to chodzi.

– Wiem, że to sporo, ale proszę, przemyśl to. Będziesz miała szansę poznać Wrena. Wydaje mi się, że byś go polubiła. – Jej głos staje się ochrypły. Odchrząkuje. – Masz coś do pisania?

– Eee... tak. – Wyjmuję długopis z kieszonki na piersi Simona, zawsze mogę liczyć, że będzie miał przy sobie jakiś. Notuję jej numer na grzbiecie dłoni ojczyma, choć zapewne pojawił się na wyświetlaczu telefonu. Podaje mi również swój adres e-mail.

Rozłączam się oszołomiona.

– Ma raka.

– Tak też zrozumiałem z twojej rozmowy. – Simon obejmuje mnie i przyciąga do siebie. – I że kobieta, która dzwoniła, chce, żebyś go odwiedziła.

– Agnes. Tak. Chce, bym się z nim zobaczyła. Ale on mnie tam nie chce. Nie zamierzał mi powiedzieć o chorobie. Zamierzał umrzeć bez żadnego ostrzeżenia. – Głos mi się łamie. Człowiek, którego niemal nie znam, wciąż głęboko mnie rani.

– I jak się z tym czujesz?

– A jak myślisz?! – warczę, usiłując powstrzymać łzy.

Simon pozostaje spokojny i opanowany. Jest przyzwyczajony do krzyku w odpowiedzi na swoje dociekliwe pytania – zarówno przez mamę i mnie, jak też swoich pacjentów. – Chcesz lecieć na Alaskę i spotkać się z ojcem?

– Nie.

Unosi brwi.

Wzdycham z irytacji.

– Nie wiem!

Co niby mam zrobić z tą informacją? Jak mam się czuć w związku z możliwą utratą

osoby, która mnie krzywdziła?

Siedzimy w milczeniu. Tim i Sid wychodzą spod samochodu, a ich grzbiety podskakują, gdy zwierzaki zmiernają w kierunku śmietnika na końcu naszego podjazdu i stają na dwóch łapach, próbując przewrócić niebieski kosz. Popiskują do siebie, sporadycznie zwracając uwagę na swoją widownię.

Wzdycham.

– Nigdy nie próbował mnie poznać. Dlaczego ja miałabym się teraz wysilać?

– Będzie ku temu lepszy czas?

To właśnie Simon. Zawsze odpowiada pytaniem.

– Pozwól, że to przeformułuję. Czy uważasz, że możesz coś zyskać, lecąc na Alaskę?

– Poza zdjęciem z dawcą spermy?

Simon krzywi się z dezaprobatą na moje kiepskie poczucie humoru.

– Przepraszam – mamrocę. – Chyba nie mam zbyt wysokich oczekiwań w stosunku do człowieka, który nie chciał spotkać się z córką przez całe dwadzieścia cztery lata. – Miał przylecieć do Toronto. Dzwonił na cztery miesiące przed ukończeniem przeze mnie ósmej klasy i powiedział, że przyleci. Rozplakałam się, gdy się rozłączył. Natychmiast rozwiały się gromadzone przez lata gniew i uraza z powodu wszystkich tych urodzin i wakacji, kiedy go nie było. Naprawdę wierzyłam, że się zjawi, że zasiądzie na rozdaniu świadectw z dumnym uśmiechem na twarzy. Wierzyłam, aż zadzwonił dwa dni przed końcem roku, aby powiedzieć, że „coś” mu wypadło. Pilna sprawa w pracy. Nie rozwinął tematu.

Mama do niego oddzwoniła. Słyszałam jej wściekły głos przez ścianę. Słyszałam ultimatum postawione przez łzy – że albo przewartościuje priorytety i w końcu pojawi się u córki, albo zniknie z naszego życia na dobre, razem ze swoimi comiesięcznymi alimentami i w ogóle.

Nigdy do mnie nie przyleciał.

A kiedy stałam na podeście i odbierałam świadectwo, mając podpuchnięte oczy i sztucznie się uśmiechając, obiecałam sobie, że już nigdy mu nie zaufam.

Simon się waha, taksując mnie w ciemności bystrym spojrzeniem.

– Wiedziałaś, że twoja mama wciąż była zakochana we Wrenie, gdy się pobraliśmy?

– Co? Nie, nie kochała go.

– Kochała. Bardzo.

Marszczę brwi.

– Ale wyszła za ciebie.

– Co nie oznaczało, że wciąż go nie kochała. – Na jego twarzy pojawia się zaduma. – Pamiętasz, kiedy matka przechodziła fazę nadmiernych ćwiczeń i zmiany fryzury? Była wtedy bardzo rozdrażniona.

– Niewyraźnie, ale tak. – Przefarbowwała włosy na platynowy blond i zaczęła obsesyjnie chodzić na jogę, żeby odwrócić skutki starzenia, ponownie ujędrniając ciało. Dogryzała Simonowi pomiędzy łykami porannej kawy, wytykając mu błędy podczas lunchu, rozpętuując kolosalne kłótnie o wszystko przy kolacji.

Pamiętam, że wydawało mi się to dziwne – to, że tak często się spierali.

– Zaczęło się, gdy Wren zadzwonił i stwierdził, że przyleci.

– Nie... – pragnę się spierać, ale urywam. Simon przecież lepiej pamięta tamte czasy.

– Kiedy twoja matka odeszła od Wrena, zrobiła to w nadziei, że zmieni zdanie w kwestii swojego pobytu na Alasce. Tak się jednak nie stało, ale ona nie przestała go kochać. W końcu zdała sobie sprawę, że powinna ułożyć sobie życie. Poznała mnie, zgodziła się za mnie wyjść. Ale nagle miał wrócić, znowu pojawić się w jej życiu. Nie wiedziała, jak sobie poradzić z tym

spotkaniem po latach. Była zdezorientowana własnymi uczuciami do nas obu. – Jeśli Simon jest zgorzkniały z powodu całej tej sprawy, nie okazuje tego.

– Musiało to być dla ciebie trudne. – Kłuje mnie w sercu żal nad mężczyzną, którego poznałam i pokochałam bardziej niż biologicznego ojca.

Simon uśmiecha się ze smutkiem.

– Było, ale po odebraniu świadectw zauważyłem w niej zmianę. Przestała być niespokojna. I już nie płakała.

– Płakała wcześniej?

– Nocami, kiedy myślała, że wszyscy już spaliśmy. Nie za często, ale się zdarzało. Miała chyba wyrzuty sumienia, że wciąż coś do niego czuła. I obawiała się, co mogło się wydarzyć, gdyby ponownie go zobaczyła, zwłaszcza tak niedługo po naszym ślubie.

Co dokładnie sugeruje?

Zaciska cienie usta, wycierając mankietem okulary do czytania.

– Chyba w końcu zaakceptowała to, że żadna z was nie będzie miała z nim relacji, jakiej pragnęła. Że czekanie, aż ktoś zmieni się niezgodnie ze swoją naturą, było bezsensowne. – Waha się. – Egoistycznie przyznam, że nie byłem zmartwiony tym, że się nie pojawił. Było dla mnie jasne, że gdyby Wren zdecydował się porzucić swój dom, moje małżeństwo by się rozpadło. – Bawi się złotą obrączką, którą ma na serdecznym palcu prawej ręki. – Zawsze będę grać drugie skrzypce. Wiedziałem to już w chwili, gdy prosiłem ją o rękę.

– Dlaczego w takim razie się z nią ożeniłeś? – Cieszę się, że to zrobił, zarówno dla jej dobra, jak i mojego, ale jego wyznanie wydaje mi się dziwne.

– Bo mimo że Susan mogła być szaleńczo zakochana we Wrenie, ja byłem szaleńczo zakochany w niej. Wciąż jestem.

Tak, wiem. Widzę to w każdym powłóczęstym spojrzeniu, w każdym pocałunku. Simon bardzo kocha mamę. Na ich ślubie dziadek wygłosił niezbyt poprawną mowę, komentując, że nie dobrali się z oczywistych względów, że mama jest energiczną, impulsywną kobietą, a Simon jest spokojny i praktyczny. „Niezbyt oczywista para, ale chłopak z pewnością uczyni ją bardziej szczęśliwą niż ten poprzedni”, powiedział do mikrofonu w sali pełnej gości.

Staruszek zapewne miał rację, bo Simon uzupełnia mamę, spełniając każdy jej kaprys i życzenie. Zabiera ją na wakacje do drogich tropikalnych kurortów, chociaż sam wolałby zwiedzać zakurzone kościoły i biblioteki. Wyglądał jak juczny muł, gdy ulicami Yorkville niósł za nią wszystkie siatki z ubraniami po tym, jak stwierdziła, że czas na wymianę garderoby. Okazuje jej miłość, jeżdżąc z nią co niedziela po przeróżnych placach targowych, po czym wraca, kichając od niezliczonych alergenów. Przestał jeść gluten i czerwone mięso, ponieważ mama stwierdziła, że wyklucza je ze swojej diety. Kiedy remontowali dom, mama wybrała szarości i jasne fioleto, choć Simon przyznał kiedyś, że nie ma wielu rzeczy, których by nie lubił, ale jeśli już miałby wybierać, to jest to fiolet.

Wcześniej nabijałam się w duchu z tego wysokiego i szczupłego Anglika, niepotrafiącego się postawić mojej matce. Teraz, gdy patrzę na jego przyjazną twarz i na cienkie włosy, które odsunęły się znacznie z jego czoła, mogę jedynie podziwiać go za te wszystkie poświęcenia dokonane w imię miłości do niej i do mnie.

– Przyznała ci się kiedykolwiek do tych uczuć? – ośmielam się zapytać.

– Nie. – Simon się krzywi, mocno marszcząc czoło. – Nigdy mi tego nie powie, ty również możesz nie trudzić się pytaniem jej o to. Rozbudziłoby to tylko poczucie winy i nikomu z nas nie przyniosłoby pożytku.

– No tak – wzdygam. – Powinnam więc lecieć na tę Alaskę?

– Nie wiem. Powinnaś?

Przewracam oczami.

– Dlaczego nie możesz być normalnym rodzicem, który choć raz powie mi, co robić?

Simon szczyrzy zęby w uśmiechu, co podpowiada mi, że w głębi ducha cieszy się, że myślę o nim jak o ojcu. Nawet jeśli zawsze twierdził, że byłam dla niego córką, uważam, że byłby szczęśliwy, mając własne dzieci, gdyby mama była chętna mu je dać.

– Pozwól, że zapytam: jaka była twoja pierwsza myśl, gdy Agnes powiedziała ci o chorobie twojego ojca?

– Że umrze.

– I jak się poczułaś z tą myślą?

– Przestraszyłam się. – Widzę, do czego zmierza. – Przestraszyłam się, że nie dostanę szansy, by go poznać. – Ponieważ bez względu na to, ile razy leżałam w łóżku, zastanawiając się, dlaczego ojciec nie kocha mnie wystarczająco mocno, mała dziewczynka w moim wnętrzu wciąż pragnęła z nim kontaktu.

– W takim razie uważam, że powinnaś jechać na Alaskę. Zadać potrzebne pytania i poznać Wrena. Nie dla niego, ale dla siebie. Abyś w przyszłości nie pograżyła się w żalu. Poza tym... – Szturcha mnie ramieniem. – Nie widzę, byś była w tej chwili mocno zajęta.

– Zabawne, co? – mamroczę, przypominając sobie rozmowę z mężczyzną w metrze. – To chyba przeznaczenie.

Simon patrzy na mnie krzywo i się śmieje. Nie wierzy w zrządzenia losu. Nie wierzy nawet w astrologię. Uważa, że osoby podążające za horoskopami, mają głęboko tłumione problemy.

Wzdycham.

– Ale on nie mieszka w fajnej części Alaski. – Nie żebym cokolwiek pamiętała z krótkiego pobytu tam, ale mama używała słów „jałowe nieużytki” wystarczająco dużo razy, by mnie zniechęcić. Mimo że często przesadzała. W dodatku zakochana jest w mieście. Nie potrafi spędzić więcej niż jednej nocy w Muskokas, co kwadrans nie rozpylając płynu na komary, przypominając nam wszystkim o ryzyku zarażenia się wirusem zachodniego Nilu.

– Pomyślę o tym. – Zaczynam organizować sobie w głowie grafik. Jęczę. Jeżeli wyjadę w niedzielę, przegapię umówioną wizytę u fryzjera. Może ubłagam Fausto, żeby wcisnął mnie rano, co jest jednak wysoce nieprawdopodobne. Normalnie ma wszystkie terminy zajęte na miesiąc do przodu. Na szczęście manicure umówiłam na sobotnie popołudnie, a rzęsy zrobiłam w zeszłym tygodniu. – Zapłaciłam za karnet dziesięciu wejść na jogę. I co ze squashem? Mama będzie musiała znaleźć sobie kogoś za mnie.

– Kiedy w zeszłym roku leciałaś do Cancún, wszystkie te sprawy udało ci się uporządkować.

– No tak – przyznaję niechętnie. – Ale Alaska jest oddalona o milion godzin drogi.

– Tylko pół miliona – żartuje Simon.

– Daj mi przynajmniej receptę na ambi...

– Nie.

Wzdycham przesadnie.

– Jaki więc mam mieć pożytek z wypisującego recepty ojczyrna? – Odzywa się mój telefon, który wciąż leży na masce samochodu Simona. – Cholera, to Diana. Stoi gdzieś w kolejce, sztyletując mnie w myślach. – Jak na zawołanie podjeżdża czarny nissan maxima. – A to moja taksówka. – Patrzę na złamany obcas i brudną sukienkę. – No i muszę się przebrać.

Simon wstaje ze schodów i idzie do czekającego śmietnika.

– Chyba uda mi się zrobić to za ciebie ten ostatni raz. Ale tylko dziś. Mimo wszystko miałaś trudny dzień.

Podbiega, tupiąc, przez co Tim i Sid wskakują w żywopłot, po czym wraca, ciągnąc za sobą śmietnik. Choć Simon jest bardzo sympatyczny, nie jest silny i nie ma kondycji. Mama próbowała zaciągnąć go na siłownię, by wyrobił sobie jakieś mięśnie na tych kurzych ramionach, ale poległa.

Przychodzi mi coś do głowy.

– Co zrobisz w dzień odbioru śmieci, gdy już polecę na Alaskę?

– Cóż... oczywiście twoja mama się nimi zajmie. – Czeka chwilę, odwraca się i patrzy na mój pełen zwątpienia uśmiech, a następnie mruczy z tym swoim brytyjskim akcentem: – Cóż to byłby za chłodny dzień w piekle, co?

ROZDZIAŁ 3



– Musisz jechać! – krzyczy Diana ponad huczącym basem, urywając na wystarczająco długo, by posłać perłowobiały uśmiech barmanowi stawiającemu nasze drinki na kontuarze. – Tam jest pięknie.

– Nigdy nie byłeś na Alasce!

– No tak, ale widziałam *Wszystko za życie*. Cała ta dzikość przyrody i góry... Tylko nie jedz jagód. – Przesadnie teatralnym gestem kładzie banknot dziesięciodolarowy na blacie, żeby barman go zauważył. Sztuczka, by obsłużono ją priorytetowo przy następnej kolejce.

Tymczasem oczy mężczyzny zajęte są spoglądaniem w dekolt mojej kobaltowej sukienki – pierwszej, którą złapałam, aby się przebrać i natychmiast wybiec z domu. Facet jest fajny, choć niski, krępy i łysy, z wytatuowanym rękawem – a nie wysoki, szczupły, ostrzyżony i bez wzorów na skórze. Poza tym nie jestem w nastroju na flirt w zamian za darmowe drinki.

Posyłam mu sztywny uśmiech i spojrzeniem wracam do Diany.

– Ale po zachodniej stronie Alaski jest inaczej.

– Zdrówko. – Pijemy alkohol. – A jak jest?

Cholernie słodka ciecz sprawia, że lekko się krzywię.

– Płasko.

– To znaczy? Płasko – jak na preriach?

– Nie. A właściwie tak, pewnie podobnie płasko, ale jest naprawdę zimno. Arktycznie. – Podczas gdy środkowo-zachodnie prowincje naszego kraju są przeważnie przeznaczone na uprawę, tam, gdzie mieszka tata, nie rośnie nic, a okres wegetacji jest bardzo krótki. Przynajmniej według mamy, która ma tytuł licencjata z ogrodnictwa na uniwersytecie w Guelph. Jeśli ktoś ma wiedzę na ten temat, to z pewnością ona.

– Arktycznie? – Podekscytowana Diana szeroko otwiera swoje chabrowe oczy. – Poważnie, pomyśl, jak wiele korzyści mogłoby to przynieść Calli & Dee. Sama mówiłaś, że potrzeba nam oryginalnej perspektywy. Mówiłaś, że musimy uciec z miasta.

– Chodziło mi raczej o wycieczkę do Sandbanks lub nad jezioro Bays. – Nowe, malownicze miejsca, do których mogłybyśmy dojechać samochodem.

– Co jest bardziej oryginalne i poza miastem niż blogerka lifestyle’owa na Arktyce? – Diana uśmiecha się fioletowymi ustami z nadzieją, więc nie mam wątpliwości, że w jej głowie już wiruje pełno pomysłów.

W zeszłym roku stworzyłyśmy stronę pod nazwą Calla & Dee, żeby dla zabawy dzielić się naszą pasją do najnowszych odcieni szminek. Powinnam się domyślić, gdy przyjaciółka poprosiła, byśmy podzieliły się kosztami zaprojektowania strony internetowej, że Diana miała już określone wzniosłe cele. Tak hobby zaczęło żyć własnym życiem.

W tej chwili przez cały dzień wymieniałyśmy wiadomości na temat naszej strony – dzieliłyśmy się pomysłami na przyszłe posty i kto zrobi coś, co zadziała. Zamiast prostego bloga stworzyłyśmy wiele sekcji: moda, jedzenie, uroda, rozrywka, no i miałyśmy ścisły tygodniowy harmonogram, którego musiałyśmy się trzymać. Podczas podróży do pracy, powrotów do domu, przerw na lunch przeglądałam biuletyny i najnowsze wpisy na innych blogach, żeby się czegoś nauczyć. Czytałam detalistów promujących artykuły, liderów w branży modowej zapowiadających najnowsze trendy czy innych blogerów, z którymi zaprzyjaźniłyśmy się w imię współpracy w sieci. Wieczory poświęcałam na aktualizację linków, wrzucanie treści i dopieszczanie estetyki – zadania, których Diana nie znosiła, a które w ogóle mi nie przeszkadzały i w których byłam dobra.

Spotykamy się w każdy czwartek w nowej restauracji, by powymieniać się pomysłami i spróbować przekąsek z menu do naszej sekcji „Wyżerka na mieście”. Co miesiąc w sobotę przeszukujemy promocje, żeby ubrać się w coś modnego, a w każde niedzielne popołudnie szukamy idealnych miejsc w centrum Toronto – uliczek z kolorowym graffiti, kwitnących wiosną wiśni w High Parku, malowniczego jarmarku świątecznego w dzielnicy Distillery District. Zabieramy ze sobą drogiego canona należącego do Simona, przebieramy się na zmianę na tylnym siedzeniu chevroleta tahoe Diany i udajemy, że nie pozujemy do zdjęć. Nauczyłam się sporo o kadrze, czasie otwarcia migawki i regule trójpodziału, a wszystko w imię idealnego ujęcia, na przykład ładnego stroju na tle ławki w parku, ulic miasta, z rozmytym drugim planem. A na końcu opatrujemy zdjęcia ciepłym podpisem o miłości, szczęściu czy duchowości.

Przez cały czas gdybamy, że fajnie byłoby, gdybyśmy miały sto tysięcy fanów, a firmy zaczęły nam wysyłać ubrania i kosmetyki do ich promowania, żebyśmy nie musiały dłużej wydawać na to połowy wypłaty? Gdybyśmy stały się sławne na Instagramie?

To moje marzenie.

I cel Diany.

Jednak przed nami jeszcze długa droga, zanim trafimy na listy najlepszych; co ważniejsze – obawiam się, że nasze wysiłki pójdą na marne. Po roku ciężkiej pracy mamy frustrująco skromną liczbę prawie czterystu powracających na naszą stronę gości. Nasze oddzielne profile na Instagramie – dwie połówki Calli & Dee – mają trochę więcej. Diana potroiła mój wynik, co nie jest dziwne, biorąc pod uwagę jej obsesję na punkcie uczenia się najnowszych porad i trików na temat odpowiedniego doboru zdjęć, oznaczania oraz powiększania grupy odbiorców. Tego, jak coś podpisać, by było to optymistyczne i inspirujące. Odpowiada na każdy komentarz pod postami, a przerwy na lunch poświęca na nawiązywanie kontaktu z nieznanymi z nadzieją, że pozyska ich uwagę i zacznie obserwować jej konto.

Mimo to przy całej jej determinacji i ogromnym poświęceniu nie możemy nabrać rozpędu. W tym momencie to jedynie hobby, pożerające czterdzieści godzin w tygodniu, gdy zmagamy się ze znalezieniem innowacyjnych pomysłów na życie, o których ktoś może zechcieć przeczytać.

Mam przeczucie, że brak nam czegoś kluczowego, a mianowicie oryginalności. W tej chwili jesteśmy jedynie atrakcyjnymi dziewczynami z miasta, które uwielbiają pozować, mówić o kosmetykach do makijażu i ciuchach. A takich jest multum.

– To nie Arktyka. Przynajmniej nie ten region, w którym mieszka Wren. To gdzieś pomiędzy Arktyką a cywilizacją. Jakby... ostatnia granica bytności. – Powtarzam coś, co przeczytałam kiedyś o Alasce, napominając się w duchu, że tak naprawdę niewiele wiem o miejscu, w którym się urodziłam.

– Jeszcze lepiej! I będziesz miała do dyspozycji sporo samolotów!

– Wątpię, by były do mojej dyspozycji. Będę sama. Jak niby zrobię dobre zdjęcia? – Jednocześnie wzdrygamy się na myśl o kijku do selfie.

Diana nie traci rezonu.

– Z pewnością znajdzie się tam ktoś, kto pstryknie fotkę pięknej Kanadyjce. Może przystojny amerykański pilot?

Wzdycham.

– Zapomniałaś, po co tam lecę?

– Nie, tylko... – Poważnieje, marszcząc idealnie wydepilowane jasne brwi. – ...staram się, żeby nie było to takie przygnębiające.

Zabieramy martini i odchodzimy od baru. Nasze miejsca natychmiast zostają zajęte przez innych. Diana nie przesadzała. Klub musi sprawdzać, jak daleko może się posunąć z łamaniem

przepisów przeciwpożarowych, bo nie ma ani kawałka przestrzeni, na którym nie dostałoby się z łokcia, i to z obu stron jednocześnie.

Popijam drinka, gdy przeciskamy się przez tłum, zrzucając z siebie męskie dłonie dotykające mojego ramienia czy boków, aby beczelnie zwrócić uwagę. Jednocześnie próbuję nie rozlać alkoholu, kiedy jestem popychana.

W końcu znajdujemy w miarę spokojne miejsce przy filarze.

– Gdzie dziś jest Corey? – pyta Diana.

– W pracy.

– Hmm... – Marszczy subtelnie nos, jakby wyczuwała lekki, choć nieprzyjemny zapach, ale nie chciała się do tego przyznać.

Przyjaciółka jest chyba jedyną osobą na świecie, która nie lubi mojego chłopaka. Potrzeba było pięciu miesięcy i sześciu kieliszków margarity na tyłach meksykańskiej restauracji, by w końcu mi się do tego przyznała. Stwierdziła, że Corey zbyt mocno się stara, żeby go lubiano. I że ma rozbiegane ręce. Sposób, w jaki na nią patrzył, wydawał jej się flirciarski, przez co czuła się niezręcznie. Po prostu nie ufa mu i wydaje jej się, że złamie mi serce.

Powiedzieć, że nie spodobały mi się jej słowa, to niedomówienie. Rzuciłam, że była zazdrosna, bo miałam chłopaka, a ona nie. Rozstałyśmy się wtedy pokłócone, a następnego ranka obudziłam się z pulsującą od kaca głową oraz sercem bolącym ze strachu, że nasza przyjaźń została nieodwracalnie uszkodzona.

Simon szybko jednak przemówił mi do rozumu, tak jak tylko on potrafi, przypominając, że Diana przyjaźniła się ze mną od wielu lat, nawet gdy ja miałam chłopaków, a ona nie, a jeśli była zazdrosna, chodziło raczej o to, że poczuła się zagrożona, co było normalne w przyjaźni osób w tym wieku.

Pogodziłam się z nią następnego dnia. Przepraszaliśmy się, płacząc, a ona obiecała, że da Corey'emu jeszcze jedną szansę. Na szczęście kilka miesięcy później w jej życiu pojawił się Aaron i wesoło zeszałam na drugi plan. Nie narzekam na to, bo nigdy nie widziałam, by była tak szczęśliwa czy tak poważnie traktowała chłopaka. Zaledwie dwa tygodnie temu wspomniała o przyszłorocznym zakupie mieszkania z Aaronem, co oznacza, że w końcu przestanie nalegać, abyśmy razem zamieszkały. Kocham ją, ale bierze zbyt długie prysznic, czyści wszystko wybielaczem i lubi obcinać paznokcie, oglądając przy tym telewizję. A jeśli nie może spać? Nikt nie zaśnie.

Baw się z nią dobrze pod jednym dachem, Aaron.

– Kiedy się wybierasz? – pyta Diana, rozglądając się po klientach lokalu, gdy do mnie mówi.

Im szybciej, tym lepiej, jeżeli tata zacznie chemię, radioterapię czy cokolwiek zalecą mu lekarze. Znałam tylko jedną osobę z rakiem płuc, panią Hagler, staruszkę, która mieszkała w budynku znajdującym się za naszym domem. Przyjaźniła się z rodzicami Simona, a ponieważ nie miała rodziny, to mój ojczym woził ją czasem na chemię do szpitala. Chorowała wiele lat. Pod koniec życia siadywała w ogrodzie w czapce zakrywającej jej przerzedzone włosy i paliła papierosy, a maseczka tlenowa spoczywała zaledwie pół metra od niej. W którejś chwili pogodziła się z tym, co nieuniknione.

– Przyjaciółka ojca powiedziała, że mogę lecieć w niedzielę, więc... Chyba wtedy? Jeśli miejsce nie zostanie zajęte. Stwierdziła, że kupi mi bilet, ale nie chce lecieć tam na jej koszt. To znaczy, co jeśli cała ta sprawa nie wypali i zapragnę wrócić szybciej, niż się tam zjawię?

– Wydawałoby ci się, że byłabyś jej winna dłuższy pobyt – rozumie Diana. Upija łyk drinka i się krzywi. Barman drugą kolejkę zrobił wybitnie mocną. – Niech bogaty ojczym kupi ci bilet. Wszyscy wiemy, że psychiatrzy dobrze zarabiają. – Diana jest przekonana, że Simon ma

gdzieś pod naszym stuletnim domem skarbiec, a w nim pieniądze zainwestowane w góry złotych monet.

Mimo że całkiem sporo zarabia na kruchych psychikach swoich pacjentów, wątpię, żeby kiedykolwiek zgromadził fortunę, biorąc pod uwagę umiłowanie mamy do wyrafinowanych rzeczy. W tej kwestii jest jeszcze gorsza ode mnie.

– Ale poważnie, Calla, Simon ma rację. Jeśli nie polecisz, a twojemu ojcu się nie uda, będziesz tego żałowała. Znam cię.

Tak, lepiej niż ktokolwiek. Przyjaźnię się z Dianą, odkąd zaczęłam uczęszczać do prywatnej szkoły kilka przecznic od naszego domu. Miałam jedenaście lat i nie znałam tam nikogo. Dziewczyna podczas przerwy pomalowała mi paznokcie na jasnoniebiesko. To wciąż mój ulubiony kolor. Wie wszystko o moim ojcu i sprawianym przez niego na przestrzeni lat bólu. Zna również niezadane pytania, na które wciąż nie dostałam odpowiedzi.

Głównie dlatego, że Alaska Wild jest dla Wrena Fletchera ważniejsza niż jego własne dziecko?

Mimo to podróż wydaje mi się ryzykowna. Nie jestem pewna, czy mam odwagę się w nią wybrać.

– Co, jeśli okaże się jedynie leniwym ojcem?

– Wtedy raz na zawsze się o tym przekonasz – milknie na chwilę. – Może jest naprawdę przyzwoitym facetem, a ty poznasz i pokochasz jego drugą stronę.

– Może – mówię z powątpiewaniem. Martwi mnie kolejna myśl. – A co, jeśli mu się nie polepszy? – Byłoby to tak, jakbym go ponownie straciła, choć tym razem nie miałabym jedynie wyobrażenia o nim.

– Pozostanie ci coś prawdziwego. Słuchaj, możemy tak gdybać całe lato albo możesz polecieć po odpowiedzi. O, cześć! – Diana macha komuś za mną. Chwilę później, niespodzianka, pojawia się Aaron.

Odwracam wzrok, gdy przyjaciółka całuje go namiętnie jak w filmach, a we mnie wzmagą się irytacja. Normalnie by mnie to nie obeszło, ale dziś, po całym tym trudnym dniu, potrzebuję jej niepodzielnej uwagi.

– Słyszałem o twojej pracy, Callie. Do bani.

Mam na nogach szpilki, mimo to mierzący metr dziewięćdziesiąt trzy Aaron góruje nade mną. Muszę odchylić głowę, by popatrzeć w jego niebieskie oczy.

– Tak, ale to tylko praca, prawda? – Zabawne, że łatwiej mi się o tym mówi, gdy moją uwagę rozprasza problem z ojcem.

– Też chciałabym dostać czteromiesięczną odprawę – marudzi Diana. Pracuje jako asystentka w kancelarii prawnej i nie znosi swojego zajęcia, dlatego, jak zakładam, tak mocno poświęca się naszemu blogowi.

– Mam kumpla, który rekrutuje pracowników dla banków. Zaraz ci coś znajdzie – proponuje Aaron.

– Dzięki. – Wzdycham, odsuwając od siebie ponury nastrój. – A w ogóle, fajna broda.

Gładzi palcami przycięty czarny zarost na policzkach.

– Dobrze się trzyma, nie?

– Tak – zgadzam się, podziwiając ostre linie. – Gdzie, u licha, znalazłeś tak utalentowanego golibrodę?

– To właściwie golibródka. – Uśmiecha się. – Atrakcyjna...

– Przestań flirtować z moją przyjaciółką. I nie wymyślaj nowych słów. – Diana posyła mu surowe spojrzenie, ale zaraz puszcza do niego oko.

Dwa miesiące temu Diana postanowiła, że musimy opublikować post zatytułowany: „Jak

zmienić chłopaka z lasu w miejskiego dżentelmena”. Nalegała, że to dla dobra kobiet. A przynajmniej dziewczyny atrakcyjnego, acz zbyt zarosniętego kelnera, który polewał nam spore ilości wina i podawał różki ze szpinakiem w greckiej restauracji w Danforth.

Przekonała więc Aarona, by był naszym królikiem doświadczalnym. Chcąc nas wesprzeć, chłopak o gładkiej twarzy przestał się golić, narzekając na to jedynie ze sto razy, ale zaskoczył nas i siebie, gdy wyhodował na policzkach dość gęsty zarost.

Ani ja, ani Diana nie goliłyśmy wcześniej mężczyzny, ale ja miałam jednak większą praktykę w posługiwaniu się maszynką, ponieważ w szkole średniej strzygłam psy w schronisku, aby były ładniejsze i miały większe szanse na adopcję. Stwierdziłyśmy więc, że dam radę, obejrawszy kilkanaście poradników na YouTube. W zeszły weekend pod bacznym okiem obiektywu z iPhone’a Diany, przekształciłam krzacasty zarost Aarona w coś, czego nie powstydzilby się model z magazynu dla mężczyzn.

Aaron w końcu wygląda jak dwudziestoosmiolatek, a nie osiemnastoletni chłopiec.

Diana gładzi go po zuchwie.

– To nasz najpopularniejszy post do tej pory. A te wszystkie spragnione laski...

Wszystkie te spragnione laski i odzew od firmy, której narzędzi użyłyśmy do filmiku, gdy ich oznaczyłyśmy. W uszach dzwoniło mi przez dobre pół godziny po tym, jak Diana zadzwoniła do mnie z histerycznym piskiem.

Aaron uśmiecha się, na co jego dziewczyna znów przewraca oczami. Przeczytał wszystkie komentarze pod postem, a jego ego pławi się teraz w chwale.

– Miałem nadzieję, że Calla odświeży to...

– Nie. – Diana rzuca mu ostre spojrzenie.

– Ale już raz to zrobiła...

– Dla Calli & Dee, ale to koniec. To zbyt intymne. Prawda, Calla?

– No, chyba. – Wymieniamy z Aaronem skonsternowane spojrzenia. – To znaczy, ja tego tak nie odebrałam, ale...

– Poza tym w niedzielę leci na Alaskę.

– Jeszcze nie postanowiłam – zaczynam, ale Diana zdążyła się przysunąć, żeby streścić chłopakowi moją rozmowę z Agnes.

Obserwuję, jak jego twarz traci wesołość.

– Przykro mi, Calla. Rety, miałaś okropny dzień.

– Wypijmy za to! – Unoszę kieliszek z martini.

– Kilka lat temu znajomy poleciał na Alaskę i wciąż o tym gada. Jestem pewien, że to wielka przygoda, nawet jeżeli powód nie jest wesoły.

– Wiedziałaś, że Calla się tam urodziła? A jej tata jest właścicielem pieprzonych linii lotniczych!

– To raczej firma czarterująca samoloty. – Chyba.

– Ma ich ze sto!

– Kilkanaście awionetek. – Tak naprawdę to nie mam pojęcia, ponieważ kiedy ostatnio szukałam taty w internecie, znalazłam niewiele odnośników do przewoźów Alaska Wild i stronę, która wkrótce miała zostać ponownie uruchomiona.

– Zmusi któregoś z pilotów ojca, by obleciał z nią całą okolicę, aby porobiła fajne fotki na naszą stronę.

– Super. – Aaron wskazuje na moje wypite do połowy martini. – Przyniosę wam po kolejnym drinku. – Pomimo że nigdy tego nie powiedział, pewnie będzie się cieszył, nie słuchając przez kolejne wieczory o stronie Calli & Dee.

Skradłszy jej buziaka – ponieważ ilekroć się od niej oddała, całuje ją, jak niegdyś Corey

mnie – Aaron przeciska się przez tłum w stronę baru.

– Cholernie uwielbiam ten klub! – woła Diana, poruszając ramionami w rytm muzyki. Liczba jej przekleństw jest wprost proporcjonalna do wypitych kieliszków. Musiało zasumieć jej w głowie. Ja również czuję się podchmielona.

– Serio? Myślałam właśnie, że już się robi trochę nudno. – Popijam drinka, ponownie się rozglądając i zastanawiając, ilu ludzi tu dziś przyszło. Pięćset? Tysiąc? Trudno stwierdzić. Kiedyś czułam ekscytację, przechodząc przez te drzwi. Byłam rozentuzjasmowana, gdy muzyka przenikała moje kończyny, otaczała mnie ze wszystkich stron – tak samo jak morze tańczących, pijących, roześmianych, całujących się osób.

Nie czuję już tego. Dzieje się tak zapewne przez ten okropny dzień, ale i DJ jest nijaki. Jego kawałki podobne są do zeszłotygodniowych. Właściwie mogę się założyć, że składanka jest dokładnie ta sama. I była też dwa tygodnie temu. Wątpię, czy zdołam wykrzesać z siebie chęci do tańca.

– Hej. – Diana szturcha mnie łokciem, sugestywnie poruszając brwiami. – Na trzeciej wielbiciel o arabskiej urodzie.

Obracam się w prawo i widzę wysokiego czarnowłosego faceta, który stoi jakieś trzy metry od nas z grupką przyjaciół, wpatrując się we mnie z flirciarskim uśmiechem.

Wyrwa mi się „wow”, gdy w brzuchu odczuwam trzepotanie. Gość jest atrakcyjny, dobrze zbudowany. Niekoniecznie w moim typie, ale na tyle przystojny, że mógłby spodobać się każdej kobiecie. Bóg jeden wie, odkąd mierzy mnie wzrokiem, czekając, bym na niego zerknęła, mając nadzieję, że odpowiem uśmiechem, zatrzepoczę rzęsami, puszczę oko... Cokolwiek, co da mu zielone światło. Założę się, że ma głęboki głos. I że jego skóra pachnie cytrusami i pikantną wodą kolońską, a żeby mieć gładkie policzki, musi golić się przynajmniej dwa razy dziennie. Przypuszczam, że lubi naruszać przestrzeń osobistą kobiety, kiedy z nią rozmawia – nie stawiać na tyle blisko, żeby ją przytłaczać, ale aby poczuła iskrę intymności i zapragnęła jego dotyku. Mogę się również założyć, że nigdy nie wychodzi z klubu samotnie, ale zawsze z radością budzi się sam.

I że jeśli powiem, że mam chłopaka, wcale go to nie zniechęci.

Ale naprawdę mam chłopaka, napominam samą siebie. *Jezu, Calla*. To kolejny raz, gdy w ciągu ostatnich dwóch tygodni ślinię się na widok atrakcyjnego faceta – dwa razy w klubie i raz, kiedy siedziałam na ławce w parku, jedząc lunch, a obok mnie przeszedł blondyn w prążkowanym garniturze. Opadła mi wtedy szczęka.

Staram się przybrać surową minę i odwrócić do niego plecami z nadzieją, że nie pomyli tego z zawstydzeniem i nie podejrze do mnie. Podrywanie dziewczyn w klubach jest dla takich facetów jak gra w baseball, tylko mają więcej szans na nietrafienie, zanim w końcu im się uda.

– Hej! – Diana marszczy brwi, mrużąc oczy, kiedy patrzy w kierunku baru. – Czy to nie Corey?

Dostrzegam znajomą burzę jasnych loków.

– Może? – Wysoki, szczupły facet od tyłu naprawdę wygląda jak mój chłopak. Garbi się nawet nieznacznie jak Corey. I jego strój też przypomina to, co on by wybrał – modną dopasowaną czarną koszulkę i opięte spodnie.

Mężczyzna odwraca ku nam młodzieńczy, ogolony na gładko profil, potwierdzając nasze przypuszczenia.

Próbuję ignorować kiepskie przecucie, wyjmując smartfona z torebki i myśląc, że może do mnie dzwonił, żeby jednak ze mną porozmawiać.

Ale nie. Pusto, żadnego SMS-a.

Diana się krzywi.

– Z kim jest?

Przyglądałam się osobom w jego towarzystwie. Poznałam wcześniej troje z nich.

– Współpracownicy. To chyba miał na myśli, mówiąc o pracy do późna – mamroczę.

– Chyba powinniśmy do niego iść i... – urywa, gdy tłum przed nami się przeredza i widzimy, jak przy Coreym pojawia się kobieta, a on kładzie rękę na jej plecach – dość nisko, w czuły sposób, który może nie mówi, że są razem, ale że chcieliby być.

Przyglądamy się, jak mój chłopak pochyla się, szepcze coś tamtej do ucha i się odsuwa. Bez wątpienia jakiś żarcik. Zawsze podobało mi się jego poczucie humoru.

Długie kasztanowe włosy dziewczyny kołyszają się, gdy ta odchyła głowę ze śmiechem, na co i jemu jest wesoło. Niemal widzę błysk w jego oczach, ten sam, który oczarował mnie kilka miesięcy temu. Chodziliśmy wtedy po klubach z przyjaciółmi, staliśmy przy barze, a on trzymał rękę na moich plecach.

Robi mi się niedobrze, kiedy kawałki układanki wskakują na swoje miejsca. Stephanie Dupont zaczęła pracować w agencji reklamowej jakieś trzy miesiące temu. Poznałam ją na jednej z imprez. Miała wtedy chłopaka. Ale czy nadal go ma? Corey wygląda, jakby się do niej zalecał.

– Pójdiesz tam i oblejesz go drinkiem, prawda? – Syczy Diana przez zaciśnięte zęby. – Nie, chwila, nie marnuj alkoholu. Użyj tego. – Z półki bierze szklanekę, którą ktoś tam zostawił. Pływa w niej do połowy roztopiony lód i plasterki limonki.

Zastanawiam się nad tym.

– Po co zawracać sobie głowę?

Diana unosi brwi chyba do połowy czoła.

– Ponieważ cię okłamał i powiedział, że pracuje? Ponieważ stoi tam z drinkiem w ręce, krok od zdrady? A przy okazji, ona jest brzydsza od ciebie. To znaczy, no tylko spójrz na nią.

Nie widzę jej twarzy, ale pamiętam, że była urocza, a gdy uśmiechała się promiennie, miała dołeczki w policzkach.

Nie odpowiadam, a Diana podnosi głos.

– Dlaczego w ogóle się nie denerwujesz?!

– Nie wiem. – Jasne, że to boli, ale jeśli miałabym być szczerą, ukłucie ma więcej związku z urażonym ego niż z czymkolwiek innym.

Moje serce powinno krwawić na ten widok.

Żołądek powinien ścisnąć mi się z poczucia zdrady.

Oczy powinny wylewać emocje.

Ale jeśli już to, co w tej chwili odczuwam, można określić jako mieszaninę rozczarowania i... ulgi?

Diana prychnęła.

– To co zamierzasz zrobić?

Kręcę głową, próbując wszystko zrozumieć. Roczny związek z – jak się wydawało – idealnym facetem rozpada się na moich oczach, a ja nie czuję potrzeby, żeby tam pobiec i walczyć?

– Czekaj, wiem! – Diana się odwraca. – Gdzie on jest?

– Kto?

– Ten facet. Ten ładny taki, który się do ciebie ślinił...

– Nie! – Chwytam ją wolną ręką, by tego nie robiła, bo kiedy Diane przyjdzie coś do głowy... – Nie zamierzam rzucać się na jakiegoś nieznajomego, aby zemścić się na Coreym.

– Ale... – jąka się. – Musisz coś zrobić!

– Masz rację, muszę. – Stukam się z nią kieliszkiem, wychylam alkohol do dna, a nogi aż mnie świerzbią, by się stąd ulotnić, zanim on mnie zauważy. – Idę do domu.

A potem polecę na Alaskę.

ROZDZIAŁ 4



– Te są fajne. – Mama unosi nową parę kaloszy, które mają wojskowy wzór, ale są czerwone.

– Prawda? Tyle że zajmą zbyt wiele miejsca. Chyba ich nie wezmę.

– Zaufaj mi. Weź. – Wkłada je do już pełnej walizki na obuwie i kosmetyki, po czym siada na moim łóżku, bawiąc się metkami, które zostawiłam na poduszce. Są one dowodem wczorajszych zakupów pod hasłem „wyjazd na Alaskę”. – Jesteś pewna, że wybierasz się tylko na tydzień?

– To ty nauczyłaś mnie, że lepiej brać więcej niż mniej.

– Tak, oczywiście masz rację. Zwłaszcza biorąc pod uwagę cel twojej podróży. Nie będziesz mogła pójść tam do sklepu i dokupić czegoś, czego zapomniałaś. Nie mają nawet centrum handlowego. – Krzywi się na samą myśl. – Tam naprawdę niczego nie ma. To...

– Jałowe pustkowie. Tak, pamiętam. – Wsuwam parę wełnianych skarpet w róg drugiej walizki. – Chociaż nie było cię tam od dwudziestu czterech lat. Może coś się zmieniło. Mają tam teraz kino. – Wiem, bo sprawdzałam w wyszukiwarce internetowej hasło: „co można robić w Bangor na Alasce”. Pojawiły się tylko rzeczy, którymi można zająć się w domu, a także cotygodniowe zajęcia z dziergania i spotkania lokalnego klubu książki, jednak tym raczej nie byłam zainteresowana. – Miasto mogło podwoić swoją ludność, a nawet potroić.

Mama uśmiecha się, ale raczej protekcyjnie.

– Takie miejsca nie rozrastają się w szybkim tempie, a przeważnie wcale. – Sięga po mój ulubiony sweter, miękki, kaszmirowy i za dwie stowy, który podarowali mi z Simonem na święta, a następnie składa go równo. – Jak znam twojego tatę, to dom jest dokładnie taki sam, jakim go zostawiłam.

– Może kiedy go zobaczę, wrócą wspomnienia z wczesnego dzieciństwa.

– Albo nabawisz się koszmarów. – Śmieje się, kręcąc głową. – Ta wstrętna tapeta, którą położyła Roseanne, była najgorsza.

Roseanne, czyli mama taty. Babcia, której nie pamiętam, bo byłam za mała. Rozmawiałam z nią parokrotnie przez telefon, wysyłała mi również kartki na święta, ale umarła, gdy miałam osiem lat.

– Agnes pewnie ją zmieniła.

– Może. – Mama pociąga nosem, odwracając wzrok.

Wciąż kochasz tatę, nawet po tylu latach? Gryzę się w język, by nie zapytać o to, o czym rozmawiałam z Simonem. Ojczym ma rację, mama nigdy się do tego nie przyzna, a ja nie chcę, żeby czuła się podle przez cały czas, kiedy mnie nie będzie. Atmosfera w domu i tak stała się napięta. W czwartek mama poszła spać, myśląc o dekoracji z róż na stół i bukietie ślubnym ze storczyków, a obudziła się i dowiedziała o kobiecie imieniem Agnes, stwierdzonym raku u mojego ojca i mojej zbliżającej się wyprawie na Alaskę.

Nie umiem powiedzieć, co ją najbardziej wzburzyło – wieść o tym, że Wren jest z inną kobietą, czy informacja o jego ciężkiej chorobie. A może stała się niespokojna przez wszystko naraz. Przynajmniej kilkakrotnie znalazłam ją stojącą przy oknie w kuchni, ściskającą w palcach kubek i patrzącą w dal. Jeżeli chodzi o tak energiczną kobietę, to wstrząsający widok.

Mimo to nie potrafię odpowiedzieć na jej pytanie.

– Nie zostawiłabyś Simona dla taty, prawda, mamó?

– Co? Nie. – Marszczy jasne brwi, zastanawiając się nad tym, choć udzieliła już odpowiedzi. – Dlaczego w ogóle pytasz?

– Bez powodu. – Waham się. – Rozmawiałś z nim w ogóle?
– Nie. – Kręci głową i zamiera. – Kilka lat temu wysłałam mu wiadomość z twoimi zdjęciami z rozdania dyplomów, żeby przynajmniej wiedział, jak wygląda jego córka. – Milknie, wpatrzona w odchodzący z paznokcia koralowy lakier.
– I? Odpowiedział? – Przejął się?
– Tak. Trudno mu było uwierzyć w to, że tak wyrosłaś. I że jesteś do mnie tak bardzo podobna. – Uśmiecha się ze smutkiem. – Nie ciągnęłam tej rozmowy. Stwierdziłam, że tak będzie lepiej. To ci się nie przyda – mówi, patrząc na pasiastą koszulkę na ramiączkach, którą położyłam na stosie ubrań. Szybka zmiana tematu.
– Nie radziłaś, żebym spakowała się na każdą sytuację?
– Zapowiadali tam jedynie czternaście stopni, a nocą cztery.
– Założę więc na wierzch sweter.
Gładzi dłonią moją pościel.
– Wren odbierze cię z Anchorage?
Kręcę głową, przelitykając wodę. Intensywna fala upałów przechodząca przez południowe Ontario nie chce odpuścić, przez co pomimo włączonej klimatyzacji na drugim piętrze naszego domu jest strasznie duszno.
– Odbierze mnie jakiś facet o imieniu Jonah.
– Dlaczego nie tata?
– Nie wiem. Może nie czuje się na tyle dobrze, by latać. – W jakim będzie stanie, gdy tam dotrę? Wymiana wiadomości z Agnes zawierała tylko informacje związane z podróżą, nie było w nich nic o stanie jego zdrowia.
– Ale wie, że przylecisz, tak?
– Oczywiście, że wie. – Agnes mówiła, że przygotowują dla mnie pokój i że cieszą się z moich odwiedzin.
Krzywi się ze zmartwienia.
– Jakim samolotem?
– Mam nadzieję, że takim, który nie spadnie.
Posyła mi karcące spojrzenie.
– To nie jest zabawne, Calla. Niektóre z maszyn twojego ojca są maleńkie. Będziecie lecieć przez góry i...
– Będzie dobrze. Tylko ty boisz się latać, pamiętasz?
– Powinnaś poczekać na komercyjny lot. W tej chwili do Bangor codziennie lata linia Dash 8s – mamrocze.
– Do wtorku nie było wolnych miejsc. – Lecę na Alaskę, a mama nagle zamienia się w eksperta od lotnictwa. – Spokojnie, przesadzasz.
– Zobaczysz... – Patrzy zadowolona z siebie, ale wyraz ten zaraz znika. – Kiedy zaczyna leczenie?
– Nie wiem. Dowiem się na miejscu.
Mama prycha.
– Gdzie będziesz się przesiadać?
– W Minnesocie, Seattle, Anchorage. – Cały dzień spędzę w podróży, a moim celem nie są nawet Hawaje czy Fidżi, do których z ochotą leciałabym tyle czasu. Za jakąś dobę jednak stanę oko w oko z Wrenem Fletcherem po dwudziestu czterech latach rozłąki.
Ścisła mi się żołądek.
Mama bębni palcami o udo.
– Na pewno nie chcesz, żebym odwiozła cię na lotnisko? Mogę poprosić, by mnie

zastąpiono w kwaciarni.

Walczę, aby zachować cierpliwość.

– Muszę być tam o czwartej rano. Pojadę taksówką. Nic mi się nie stanie. Przestań się martwić, mam.

– Tak, tylko... – Zakłada włosy za ucho. Kiedyś miałyśmy taki sam kolor, ale ostatnio mama swoje farbuje, by zakryć siwiznę, więc wybiera ciemniejszy odcień brązu z nutą miedzi.

Wiem, o co jej chodzi. Nie ma to żadnego związku ze sporą odległością ani z małym samolotem czy też moją tygodniową nieobecnością.

– Nie skrzywdzi mnie bardziej, niż zrobił to do tej pory – mówię łagodnie.

Cisza jest ogłuszająca.

– Nie jest złym człowiekiem, Calla.

– Może nie, ale jest beznadziejnym ojcem. – Walczę z walizką, żeby ją zapiąć.

– Tak, może. Mimo wszystko cieszę się, że lecis. Ważne, byś przynajmniej raz się z nim spotkała. – Wpatruje się w niewielką rankę na kciuku, zapewne ukłuła się różą. – Te wszystkie lata palenia papierosów. Błagałam go, żeby rzucił. Można by pomyśleć, że powinien to zrobić po tym, jak oglądał powolną śmierć dziadka z powodu tego cholernego nałogu. – Mama kręci głową, marszcząc gładkie jak na jej wiek – dzięki zabiegom laserowym i dbałości o skórę – czoło.

– Może rzucił, ale było za późno. A jeśli nie, jestem pewna, że teraz lekarz go do tego zmusi. – Stawiam walizkę na kółkach i otrzepuję ręce. – Jedna z głowy.

Mama przewraca piwnymi oczami.

– Masz ładne pasemka.

– Dzięki. Musiałam ubłagać Fausto, aby wcisnął mnie wczoraj wieczorem. – Spoglądam w najbliższe lustro i przeczesuję palcami włosy, by odgarnąć je z twarzy. – Zrobił je jaśniejsze, niż chciałam, ale przed odlotem nie mam czasu, aby to naprawić. – Pod oczami zauważam cienie, których nawet gęsty korektor nie był w stanie ukryć. Ostatnie dwa dni były chaotyczne przez zakupy, fryzjera, pakowanie i planowanie.

Oraz zerwanie z chłopakiem.

– Nie jesteś już z Coreym? – pyta mama, jakby czytała mi w myślach.

– Zerwałam czerwoną kokardę i wszystko inne.

– Dobrze się czujesz?

Wzdycham.

– Nie wiem. Wydaje się, jakby moje życie zostało wywrócone do góry nogami. Wciąż czekam, żeby się uspokoiło. – Po tym, jak wyszłam z klubu w czwartek, Diana „przypadkowo” wpadła na Corey’ego – bo inaczej eksplodowałaby z oburzenia – aby dać mu znać, że właśnie minął się ze swoją dziewczyną. Mogę się założyć, że odchodząc, uśmiechała się jadownicie, usatysfakcjonowana tym, że Corey wpadł w panikę.

Obudziłam się nazajutrz i na poczcie głosowej zastałam wiadomość od niego. Mówił wesoło, podając jakąś kiepską wymówkę, dlaczego znalazł się wczoraj w klubie. Ani słówkiem nie napomknął o Stephanie Dupont ani o tym, dlaczego obściskał ją przy barze.

Nie oddzwoniłam od razu, pastwiąc się nad nim nieco.

Dziecinie?

Może, ale potrzebowałam czasu, by poukładać myśli i uczucia, bo nie doszłam z nimi do ładu po nocy spędzonej na wpatrywaniu się w sufit, gdy zbliżał się świt.

Potrzebowałam więcej czasu, żeby stawić czoła prawdzie.

Corey niegdyś mnie kochał, a przynajmniej tak mu się zdawało. I ja również byłam pewna, że go kochałam, kiedy ustąpiło pierwsze zauroczenie, a nie wkradła się jeszcze

monotonia. Było nam razem dobrze. Nigdy się nie kłóciliśmy, nie byliśmy dla siebie niemili czy o siebie zazdrośni. Gdybym miała określić nasz związek jednym słowem, powiedziałabym „spokojny”. Nie mieliśmy ze sobą żadnych problemów.

Nie było powodu, aby nam się nie udało.

Byliśmy podręcznikowym przykładem idealnych partnerów.

I się znudziliśmy.

Jakakolwiek magia istniała między nami na początku, teraz zniknęła, jak uchodzące powoli powietrze z przebitej gwoździem opony. Można żyć w nieświadomości przez wiele miesięcy, a pewnego dnia stanąć na poboczu na kaptiu.

Przynajmniej tak słyszałam o dziurawych kołach. Nigdy nie złapałam gumy. Nie zrobiłam nawet prawa jazdy, ale musiałam stawić czoła faktom: zakochana para, która pozowała w zeszłym roku na kupie kamieni do zdjęcia, zahaczyła gdzieś po drodze o ostry gwóźdź, jeszcze zanim na scenie pojawiła się Stephanie Dupont.

Tylko to przychodzi mi do głowy, by usprawiedliwić fakt, że widok Corey’ego flirtującego z inną mnie nie zabolął i byłam tylko umiarkowanie rozdrażniona tym, że nie znalazł dla mnie czasu po tak okropnym dniu, jaki miałam. I dlaczego nie kłopotalam się dzwonieniem do niego, gdy dowiedziałam się o chorobie ojca, nie mając za wielkiej nadziei, że odbierze i zapewni mi pociechę.

Chyba w głębi duszy wiedziałam, że ten związek się wypalił, tylko jeszcze nie przyznałam tego sama przed sobą. Może po prostu liczyłam, że okaże się to nieprawdą. A może, co bardziej prawdopodobne, gdybym zaakceptowała rzeczywistość, czułabym, że muszę coś z tym zrobić. A gdyby Corey nie czuł tego samego? Co, gdyby nadal uważał, że wszystko między nami było idealnie, i błagał mnie, żebym nie kończyła tego związku?

Co, gdybym go zraniła?

Wszystkie zmartwienia wychodzą w tej chwili na powierzchnię. Wszystkie powody, by unikać konfrontacji. A przynajmniej tak czuje się dziewczyna uczulona na takie sytuacje. Mama twierdzi, że mam to po ojcu, który z wprawą ninja potrafi unikać konfliktów i... cóż, najwyraźniej niedaleko pada jabłko od jabłoni, nawet jeśli oba dzieli pięć i pół tysiąca kilometrów.

Jasne, potrafię się odgryźć, gdy ktoś mnie do tego zmusi, ale jeśli chodzi o stanięcie z kimś oko w oko lub wyjaśnienie czegoś, co mnie boli, wolę uciec i skryć się przed prawdą, która jest dość oczywista. Nie mogę przecież lecieć na Alaskę, aby spotkać się z ojcem, nie kończąc tej sprawy. W piątek wieczorem wysłałam więc Corey’emu wiadomość o moim wylocie. Napisałam również, że byłoby lepiej, gdybyśmy zrobili sobie przerwę w tym, co dzieje się z naszym życiem zawodowym i „innymi” sprawami.

Jego odpowiedź? TAK, MYŚLAŁEM O TYM SAMYM. TRZYMAJ SIĘ, BEZPIECZNEJ PODRÓŻY. Jakby czekał na dogodną okazję. Nie powinno mnie to dziwić. Tańczył wokół drażliwego tematu z prawdziwą mistrzynią w tej dziedzinie. Ze mną. W ten oto sposób zakończył się mój czternastomiesięczny związek.

Za pomocą SMS-a i minimalnej konfrontacji.

Mama wstaje z łóżka.

– Już późno, Calla. Musisz kłaść się spać.

– Wiem. Pójdę tylko pod prysznic.

Ściska mnie odrobinę za długo.

– O Boże, wróć w niedzielę! – Śmieję się, ściskając ją tak mocno, jak tylko umiem. – Co zrobisz, gdy się wyprowadzę?

Odgarnia mi długie włosy z twarzy, mrugając szklącymi się oczami.

– Rozmawiałam o tym z Simonem i nigdy się nie wyprowadzisz. Zaczęliśmy budować dla ciebie loch.

– Mam nadzieję, że zaraz obok jego sekretnego skarbcza.

– Naprzeciwko. Zdejmę ci obrożę, gdy przyjdzie czas na występy.

– Albo mogłabyś wstawić mi tam telewizor.

Udaje, że sapie.

– Dlaczego o tym nie pomyślałam? Mogłybyśmy słuchać skomlenia Simona w tle. – Ojczym nie znosi naszej wspólnej pasji oglądania kiepskich reality show i pełnych przemocy seriali z wikingami. Kiedy przechodzi przez salon, nie potrafi powstrzymać się od dowcipnych, ale głównie irytujących komentarzy.

Mama w końcu mnie puszcza i idzie powoli do drzwi. Staje w nich i przygląda mi się, gdy klęczę na drugiej walizce, ciągnąc za zamek.

– Powinnaś wziąć też ze dwie książki.

– Miałaś na myśli komputer, prawda? – Nie jestem w stanie przebrnąć przez pojedynczy rozdział i nie zasnąć.

– To właśnie miałam na myśli. – Milknie na chwilę. – Mam nadzieję, że mają tam internet.

– Boże, żartujesz, prawda? – Panikuję, gdy dociera do mnie, że mogą nie mieć tam połączenia z siecią. Cały długi weekend spędziłam kiedyś w chacie w pobliżu parku Algonquin i musiałam przejechać piętnaście minut, by moja komórka złapała jakiś zasięg i zarejestrowała przychodzące wiadomości. Byłam wtedy w piekle, ale przecież... – Agnes od razu odpowiada na e-maile. Z pewnością mają internet – mówię z przekonaniem.

Mama wzrusza ramionami.

– Po prostu się przygotuj. Życie tam jest zupełnie inne. Trudniejsze. I jednocześnie prostsze, jeśli ma to w ogóle jakiś sens. – Uśmiecha się z nostalgią. – Wiesz, twój tata próbował nauczyć mnie grać w warcaby. Każdego wieczoru pytał, czy z nim zagram, chociaż wiedział, że nie lubię takiej rozrywki. Niemiłosiernie mnie tym wkurzał. – Marszczy brwi. – Zastanawiałam się, czy nadal to jego hobby.

– Raczej mam nadzieję, że mu się znudziło.

– Już dzień później będziesz się nudzić jak mops i szukać sobie zajęcia – ostrzega.

– Jestem pewna, że spędzę nieco czasu na lotnisku. – Stawiam drugą walizkę na kółkach.

– No wiesz... będę oglądać wypadki lotnicze.

– Calla!

– Żartuję.

Wzdycha ciężko.

– Tylko nie popełnij tego samego błędu i nie zakochaj się w jakimś pilocie.

Śmieje się.

– Postaram się.

– Mówię poważnie.

– Przecież nie chodzi o strażaków, mamo.

Unosi ręce w geście poddania.

– Dobra. Wiem. W tych chłopakach jest jednak coś takiego... Nie potrafię tego wyjaśnić. No przecież to szaleństwo lądować na lodowcach, przelatywać ponad górskimi szczytami, szybować w chmurach. Są jak... – Patrzy na ścianę, szukając słów. – Podniebni kowboje.

– O Boże! – Parskam gromkim śmiechem. – Czy ja ci wyglądam na dziewczynę, która poleci na alaskańskiego podniebnego kowboja? – Ledwie potrafię wydusić te słowa.

Posyła mi puste spojrzenie.

– A ja?

Tak, słuszna uwaga. Mama zawsze była elegancka. Nigdy nie zdejmowała brylantowych kolczyków i potrafiła sprawić, żeby zwykłe legginsy i znoszony podkoszulek były wyrafinowanym strojem. Długo protestowała, zanim w końcu włożyła „mamuśkowate” jeansy.

Ostrożnie manewruję pomiędzy meblami, wyprowadzając dwie walizki na korytarz.

– Wyglądają na wyjątkowo ciężkie – mamrocze.

– Są takie.

Spoglądamy na dębowe schody prowadzące na parter ze stopnicami pomalowanymi ostatnio na ciemny orzech, a podstopnicami na białą.

Krzyczymy jednocześnie:

– Simon!

ROZDZIAŁ 5



– Tak... jest tu tylko kilku przyzwoitych dostawców. – Kierowca taksówki rzuca mi przez ramię uśmiech ukazujący krzywe zęby, gdy narzekam na brak zasięgu na ekranie komórki.

– Najwyraźniej mój do nich nie należy – mamrocze, odkładając telefon. To tyle, jeśli chodzi o międzynarodowy plan lotu, który rano ustaliłam, czekając na wejście do pierwszego samolotu. Modlę się, by tata miał w domu Wi-Fi, inaczej ten tydzień nadwyręży moją psychikę jak nic innego.

Kierowca w średnim wieku z wprawą prowadzi auto, zmierzając do małego regionalnego lotniska, gdzie ma na mnie czekać mój czwarty i ostatni samolot. Zastałam tego człowieka przy taśmie bagażowej, kiedy trzymał tabliczkę z wypisanym moim imieniem i nazwiskiem. Po piętnastu godzinach podróży – dzięki opóźnieniu w Seattle – jestem wdzięczna za tę podwózkę.

Spoglądam na mały samolot z płozami, który wzbija się niedaleko ku niebu, czerwona farba jest dobrze widoczna na tle jasnoniebieskiego kadłuba. Czy maszyna jest podobna do tej, którą mam lecieć?

– Pierwszy raz w Anchorage?

– Tak.

– Co panią tu sprowadza?

– Odwiedzam kogoś. – Mężczyzna zagaduje dla zasady, ale mnie jest niedobrze. Próbuję się uspokoić, biorąc głębokie oddechy i wpatrując się w krajobraz: w kobaltową wodę przed nami i bujną leśną zieleń rozciągającą się w każdą stronę, a także w pokryte śniegiem górskie szczyty w oddali. Chyba o tym właśnie mówiła Diana, gdy wspomniałam jej o Alasce. Podczas ostatniego lotu miałam miejsce przy oknie, więc większość czasu siedziałam przyklejona do szyby, wpatrując się w mozaikę jezior i wierzchołków drzew.

Jak bardzo będzie się różnił cel mojej podróży?

– Daleko stąd do Bangor samolotem? – Jest wczesny wieczór, słońce wciąż widać wysoko na niebie i nie zapowiada się, by zamierzało wkrótce zachodzić. Czy dotrę na miejsce przed zmrokiem?

– To jakieś sześćset pięćdziesiąt kilometrów. Godzinka lotu. A przynajmniej tak mi się zdaje.

Wzdycham z dziwną mieszaniną ekscytacji, strachu i obawy. Tylko trochę ponad godzina i spotkam się z tatą.

– Właśnie tam się pani udaje? Do Bangor?

– Tak. Był pan tam?

– Już dawno nie, ale lata tam Dash 8s. Z kim pani podróżuje?

– Z Alaska Wild.

Kiwa głową.

– Samoloty Fletchera. Są dobrzy. Latają od dawna.

Jest coś znajomego w sposobie, w jaki wypowiada moje nazwisko, coś co nie daje mi spokoju.

– Zna go pan? Fletchera?

– Tak, proszę pani. – Kiwa wyraźnie głową. – Jeżdżę już od dwudziestu lat. Po jakimś czasie człowiek zaczyna rozpoznawać twarze, a Wren przylatywał do Anchorage wystarczająco często, żebym go poznał. Właściwie nie tak dawno temu wiozłem go do szpitala. Mocno kaszłał i musiał pokazać się lekarzowi. Jakiś wirus.

Żołądek mi się ściska. Tak, wirus. Powoli zabijający go wirus.

– Hej, chwila. – Marszczy brwi, bierze tabliczkę, którą trzymał na lotnisku. – Jest pani jego krewną?

Waham się.

– To mój tata. – Dlaczego to brzmi zwodniczo? Jakbym go znała, jakbym widywała go przez ostatnie dwadzieścia cztery lata. Prawda jest jednak taka, że ten kierowca zna go lepiej niż ja.

– Jest pani córką Wrena Fletchera? – Zielone oczy patrzą na mnie z niedowierzaniem w lusterku wstecznym, nim ponownie skupiają spojrzenie na drodze. – Nie wiedziałem, że ma dziecko – mamrocze pod nosem, ale i tak to słyszę.

Tłumię westchnienie. Nie jestem pewna, czy sam o tym pamięta.

* * *

– Będziemy startować z wody? – Zatrzymuję się, aby potrząsnąć stopą. Wypada kamyk, który utknął pomiędzy moimi palcami.

– Nie. Mamy zwirowy pas. – Niski, dwudziestoparoletni pracownik naziemny Billy, z którym spotkałam się w drzwiach terminala Lake Hood Seaplane, idzie w swoich roboczych butach, ciągnąc za sobą nieudolnie moje walizki. – Jonah przyleciał cubem.

– Czy to najmniejszy z samolotów? – pytam ostrożnie. Czy normalnie wszyscy rzucają tutaj nazwami modeli?

Spogląda na mnie przez ramię, mierząc mnie szybko wzrokiem, i uśmiecha się.

– Dlaczego pani pyta? Przestraszona?

– Nie, tylko ciekawa. – Rozglądam się po rzędach samolotów po lewej i poruszających się przy nich ludziach.

– Proszę się nie martwić, będzie dobrze. Jonah to najlepszy pilot w okolicy. Powinien już skończyć tankowanie. Zapewne niedługo z panią poleci.

– Super. – Oddycham głęboko, ciesząc się chłodnym, świeżym powietrzem po wielu godzinach oddychania cholera wie iloma bakteriami krążącymi po kabinach. To jeszcze fajniejsza zmiana po smogu, który panuje w moim mieście.

Znów pod stopą utyka mi ostry kamień, choć ten nie chce się dać łatwo wyrzucić. Muszę się schylić i wyjąć go ręką, drugą trzymając kapelusz. Założenie takiego z szerokim rondem zapewne nie było najmądrzejszym pomysłem do lotu tak małą maszyną, ale nie zdołałam spakować go do walizek. Może powinnam zmienić trampki na inne buty, ale gruba podeszwa jest zaskakująco wygodna, a co ważniejsze, buty wyglądają cudownie w zestawieniu z dziurawymi jeansami.

– Tędy! – woła Billy.

Unoszę głowę i zauważam maszynę z granatowym dziobem i kilkoma małymi okienkami. Liczę w myślach rzędy. Musi zabierać przynajmniej sześć osób. Mama nie ma się więc o co martwić. Przystaję, żeby zrobić zdjęcie telefonem zarówno samolotu, jak i lotniska za mną, zawierając na nim również szkliste jezioro i góry w tle.

Aż skręcamy i uświadamiam sobie, że Billy wcale nie zatrzymał się przy maszynie z granatowym dziobem. Minął ją, zmierzając do samolotu zaparkowanego na końcu.

– O Boże. Poważnie? – rzucam, wpatrując się w żółto-pomarańczowe maleństwo. Zabawkę, która ma dłuższe skrzydła niż kadłub.

Billy spogląda na mnie z uśmiechem.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie ma w nim nawet fotela dla pasażera!

– Ależ, jest. Za pilotem. Cześć, Jonah! – woła ze śmiechem do mężczyzny, który stoi

odwrócony do nas szerokimi plecami, robiąc coś przy śmigle. – Chyba masz zdenerwowaną pasażerkę!

– Fantastycznie – mamrocze mężczyzna głębokim barytonem. Wrzuca narzędzie do leżącej u jego stóp torby, zanim obraca ku mnie swoją pełną niechęci twarz.

Zauważam, że Diana padłaby ze szczęścia, wpatrując się w gęstą, niewystylizowaną jasną brodę pokrywającą jego twarz, której włosy sterczą dosłownie pod każdym kątem. Ma również lustrzane awiatory i czarną czapkę z daszkiem z napisem USAF, nasuniętą tak nisko na czoło, że w ogóle nie widzę, jak wygląda. Mogę jedynie zgadywać, w jakim jest wieku.

I jest wysoki. Nawet jeśli sama mam buty na koturnie, gość mocno mnie przewyższa. Przez zielono-czarną kurtkę w kratkę trudno powiedzieć, czy jest umięśniony, ale szerokie ramiona sprawiają, że jego sylwetka zdaje się olbrzymia.

– Jonah... to Calla Fletcher. – Z tej strony nie widzę twarzy Billy'ego, ale słyszę ukryty przekaz w sposobie, w jaki mnie przedstawia. Jako odpowiedź do poprzedniego pytania z ich poprzedniej rozmowy. Tej, po której wysłuchaniu zapewne bym się zarumieniła.

Jestem jednak zbyt rozproszona, żeby skupiać się na żartach jakiegoś dowcipnisia. Wpatruję się w samolot mający przetransportować mnie przez góry, w których żyje yeti.

Jak, u licha, ten gość w ogóle się tam mieści?

Nabieram głęboko powietrza, bo próbuję się uspokoić. Podchodząc, przypominam sobie, że to nie ma znaczenia, ponieważ ten olbrzym przyleciał tym tutaj i zamierza lecieć ze mną z powrotem.

– Cześć. Dzięki, że po mnie przyleciałeś.

– Aggie nie dała mi za dużego wyboru.

– Ja... Eee... – jąkam się, próbując prawidłowo na to zareagować. Aggie?

Jonah przygląda mi się zza lustrzanych szkielek przez dłuższą chwilę, przy czym mam wrażenie, że taksuje mnie wzrokiem od czubka głowy po koniuszki palców.

– Ile? Czterdzieści siedem? Pięćdziesiąt?

Unoszę brwi.

– Słucham?

– Ile ważysz? – powtarza powoli, wymawiając każde słowo z irytacją.

– Kto pyta o coś takiego chwilę po poznaniu drugiej osoby?

– Ktoś, kto chce, aby ten samolot oderwał się od ziemi. Nie mogę wzlecieć, jeśli będzie za dużo ważył, więc muszę zrobić obliczenia.

– Oj. – Czerwienię się z zażenowania, nagle czując się głupio. Oczywiście, że dlatego zapytał.

– No więc?

– Sześćdziesiąt jeden – mamroczę. Może jestem szczupła, ale mam mięśnie.

Jonah sięga do wnętrza samolotu i wyciąga cienką nylonową torbę. Rzucił mi ją, więc instynktownie łapię, upuszczając przy tym torebkę.

– Możesz tam wrzucić swoje rzeczy.

– To znaczy? – Marszczę brwi, patrząc na niego. – Moje rzeczy są w walizkach.

– One się tam nie zmieszczą. Billy ci tego nie powiedział?

W odpowiedzi chłopak ledwie wzrusza ramionami, przez co zirytowany Jonah kiwa głową.

– Ale... nie mogę zostawić tu swoich rzeczy! One są warte kilka tysięcy! Ubrania, buty... zapłaciłam ponad dwie stówki za nadbagaż, by je tu przywieźć!

– Jeśli chcesz ze mną lecieć, musisz się przepakować – oznajmia Jonah, krzyżując ręce na szerokiej piersi, jakby przygotowywał się na kłótnię.

Wpatruję się w bagaż z coraz większą paniką.

– Jestem pewien, że jutro leci do Bangor samolot transportowy. Zapakuję te walizki do pierwszego, który zdoła przyjąć dodatkowy ciężar – proponuje uspokajająco Billy.

Przeskakuję zszokowanym wzrokiem pomiędzy mężczyznami. Mam inne wyjście? Jeśli nie polecę teraz z Jonahem, będę musiała znaleźć sobie hotel w Anchorage, aż zdołam polecieć komercyjnymi liniami. Agnes mówiła, że jest sezon, więc kto wie, ile potrwa, zanim znajdę dla siebie miejsce.

– Dlaczego Agnes nie wysłała cię tutaj większym samolotem? – marudzę, nie oczekując nawet odpowiedzi.

– Ponieważ większe samoloty służą do zarabiania pieniędzy. W dodatku nikt się nie spodziewał, że planujesz się tu przeprowadzić – odpowiada z sarkazmem.

Odnoszę wrażenie, że gość nie bardzo chce gdziekolwiek ze mną lecieć.

I że jest wielkim dupkiem.

Celowo odwracam się do niego plecami i patrzę na Billy'ego.

– Moje rzeczy będą tu bezpieczne?

– Będę strzegł ich osobiście – obiecuje, dla lepszego efektu robiąc krzyżyk na piersi.

– Dobra – mamroczę, rzucając nylonową torbę na żwir, żałując, że to nie Billy jest moim pilotem. W tej chwili niezbyt interesuje mnie nawet, czy potrafi pilotować samolot.

– I pospiesz się – dodaje Jonah. – Dziś ma być potężna mgła, a nie uśmiecha mi się przymusowy postój – mówi i odchodzi w kierunku ogona.

– Jak chcesz, możesz lecieć beze mnie – narzekam pod nosem, bo znalezienie na własną rękę transportu do Bangor wydaje się w tej chwili lepszym rozwiązaniem.

Billy drapie się po ogolonej potylicy, spoglądając na gburowatego pilota.

– Zazwyczaj nie jest tak zrzędlivy – wyjaśnia.

– W takim razie chyba mam szczęście. – A może to z mojego powodu Jonah jest w tak podłym nastroju. No, ale co mu zrobiłam, żeby zasłużyć na taką postawę? Poza spakowaniem zbyt wielu rzeczy. Klękam i otwieram walizki świadoma stojącego nade mną Billy'ego przyglądającego się, gdy rozważam, które z rzeczy są najpotrzebniejsze. Nylonowa torba jest czymś, w co można się spakować, jadąc na weekend, na tyle duża, że można zabrać jedynie dwie czy trzy zmiany ubrań. Jeszcze mniej, biorąc pod uwagę kosmetyki i biżuterię. Nie ma mowy, bym to wszystko zostawiła.

Unoszę głowę i widzę, że pracownik lotniska wpatruje się w moją kolekcję koronkowej bielizny.

Natychmiast odwraca wzrok.

– Nie przejmuj się Jonahem. Coś musiało ugryźć go w tyłek – urywa na chwilę i dodaje: – Coś dużego.

– Mam nadzieję, że uwzględnił to przy wadze startowej – zrzędzę, wyjmując sportowe obuwie.

Billy parska śmiechem, który niesie się na chłodnym wietrze.

ROZDZIAŁ 6



– Będzie rzucało po drodze – oznajmia siedzący przede mną Jonah głębokim głosem przez zestaw komunikacyjny, który pomaga porozumieć się pomimo ryku silnika samolotu.

– Jeszcze gorzej niż do tej pory? – Przez turbulencje mój mózg trzęsie się w czasie już od pół godziny.

– Wydaje ci się, że to było mocne? – Śmieje się ponuro, gdy przebijamy się przez nisko zawieszoną chmurę. Być może wystartowaliśmy, kierując się na czyste niebo, ale po tej stronie stanu horyzont zasnuwa gęsta szara mgła.

Mocniej zakrywam się dzianinowym swetrem, aby osłonić się przed chłodem i zapewnić sobie nieco komfortu. Każdy ruch maszyny zdaje się chwiejny i niebezpieczny, jakby płyty blachy w każdej chwili mogły oderwać się od kadłuba.

Jonah zapewne nie byłby zadowolony, wiedząc, że trzymam przed sobą otwarty woreczek wyjęty kwadrans temu z torebki. Fakt, że udało mi się utrzymać w żołądku taco z kurczakiem, które zjadłam w Seattle, jest niemałym cudem, ale czuję, że posiłek usilnie chce się wydostać.

Dziób samolotu nagle opada. Chwytam się i naciągam pas, żeby upewnić się, że wytrzyma. Koncentruję się na głębokich oddechach z nadzieją, że nieco ukoji to moje nerwy oraz niespokojny żołądek. Co, u diabła, myślała sobie Agnes, wysyłając Jonaha, by złapał mnie w tę śmiertelną pułapkę? Nie mogę się doczekać, aż zadzwonię do mamy i powiem jej, że miała rację i że nie jest fajnie lecieć nad górami, będąc zapakowaną jak jakaś sardynka w puszcze. Nie uwierzę, żeby jakkolwiek osoba o zdrowych zmysłach uznała, że to w porządku.

Alaskańscy piloci są szaleni.

– Ile jeszcze? – pytam, próbując zapanować nad głosem, gdy samolot kołysze się na boki.

– Dziesięć minut mniej niż wtedy, gdy pytałaś ostatnim razem – odpowiada Jonah. Łączy się za pomocą radia z wieżą, rzuca jakimiś kodami i opowiada o widoczności i węzłach.

Wbijam morderczy wzrok w tył jego wciśniętej za stery mocnej sylwetki. Jeśli czuje się niekomfortowo w tym maleńkim kadłubie, nie napomina o tym ani słówkiem. Właściwie przez całą drogę praktycznie się do mnie nie odzywał. Jeśli już, były to monosylabiczne odpowiedzi, gaszące próby nawiązania z nim jakiegokolwiek kontaktu. W końcu się poddałam i skupiłam na postrzępionych jasnych kosmykach włosów, wystających mu spod czapki i zbierających się przy kołnierzu kurtki, zamiast na tym, że za cienką blachą i szkłem znajdują się tysiące metrów, które możemy przemierzyć, pędząc ku swojej śmierci.

Przy każdym szarpnięciu ta rzeczywistość wydaje się pewniejsza.

Samolot przechyla się w prawo, przez co sapię spanikowana. Zaciskam mocno powieki, biorę spokojne, głębokie oddechy i liczę, że zdołam powstrzymać mdłości. *Dam radę... Dam radę... ten lot jest jak każdy inny. Nie umrzemy. Jonah wie, co robi.*

– Przed nami Bangor.

Ośmielam się wyjrzeć przez okienko i popatrzeć w dół, mając nadzieję, że moje nerwy ukoji perspektywa rychłego stanięcia na ziemi. Płaski zielony teren rozciąga się aż po horyzont, stykając się z pochmurnym niebem. Jest to opustoszała kraina, w większości zupełnie nietknięta ludzką ręką, usiana strumieniami i jeziorami w każdym możliwym kształcie i rozmiarze, a przez jej środek przepływa dość spora rzeka.

– To Bangor? – Nie potrafię ukryć zaskoczenia, gdy przyglądam się grupce niskich, prostokątnych budynków przycupniętych na jednym brzegu rzeki.

– Tak. – Chwila milczenia. – A czego się spodziewałaś?

– Niczego. Tylko... zdawało mi się, że będzie większe.

– To największe miasto w zachodniej Alasce.

– Tak, wiem, dlatego sądziłam, że budynki będą jakby... większe. Wyższe. – Przez wydarzenia ostatnich dwóch dni naprawdę miałam mało czasu, by dowiedzieć się, dokąd zmierzam. Wszystko, co wiem, przeczytałam rankiem, czekając na samolot. Dowiedziałam się, że tę część Alaski nazywa się tundrą, ponieważ tereny są płaskie, że słońce prawie wcale nie zachodzi w lecie i prawie nie wschodzi podczas długich arktycznych zim, i że większość miast oraz wiosek nosi miejscowe nazwy, których nie potrafię nawet wymówić.

Jonah prychnął i natychmiast żałuję, że powiedziałam to na głos.

– Nie wydaje się, żebyś cokolwiek wiedziała. Nie urodziłaś się tutaj?

– Tak, ale nie żebym cokolwiek pamiętała. Nie miałam nawet dwóch lat, gdy stąd wyjechałyśmy.

– Cóż, może gdybyś potrudziła się o częstsze odwiedziny, cokolwiek byś wiedziała – rzuca oskarżająco.

O co mu, u licha, chodzi?

Znowu trafiamy na turbulencje, samolotem mocno rzuca. Kładę dłoń na lodowatej szybie, kiedy znowu dopadają mnie mdłości i żółć zaczyna podchodzić do gardła. Żołądek przygotowuje się na opróżnienie z zawartości.

– Boże... jest kiepsko – jęczę.

– Spokojnie, to nic takiego.

– Nie, to znaczy... – Oblewam się potem. – Chyba będę wymiotować.

Do moich uszu dochodzi ciche przekleństwo.

– Zapanuj nad tym. Za pięć minut będziemy na ziemi.

– Próbuję, ale...

– Nie możesz tu rzygać.

– Myślisz, że tego chcę? – warczę, rozkładając woreczek. Ze wszystkich rzeczy, których się obawiam, wymiotowanie tutaj jest chyba najgorsze.

A teraz muszę robić to, siedząc obok tego dupka.

– Cholera, było sześciu innych pilotów, ale to ja musiałem po ciebie lecieć – mamrocze Jonah.

Zamykam oczy i opieram twarz o szybę. Zimne szkło nieco pomaga, mimo że samolotem nadal trzęsie.

– Nie martw się, Calla. To nic takiego, Calla. Tak powiedziałby przyzwoity człowiek – mamrocze słabo.

– Jestem tu po to, by dostarczyć twój zacny tyłek do Bangor, a nie żeby dopieszczać twoje ego.

Zacny? Moje ego? Unoszę jedną powiekę i piorunuję wzrokiem tył jego głowy. Nikną wszelkie pozory grzeczności.

– Tata wie, jak wielkim jesteś fiutem?

Jonah nie odpowiada, z czego się cieszę, ponieważ mówienie pogarsza moje mdłości. Zsuwam z głowy słuchawki i skupiam się na nabieraniu powietrza przez nos i wydychaniu go ustami, walcząc z własnym ciałem, gdy maszyną, która zmierza na pas, cały czas trzęsie.

Małeńki dwumiejscowy samolot kołysze się na boki, dopóki koła nie dotykają ziemi. Odbijają się kilkakrotnie, aż w końcu ostatecznie stykają się z asfaltem.

Jakimś cudem tacy pozostaje w żołądku.

Wzdycham z ulgą, gdy jedziemy po pasie. Po prawej stronie widzę kilka większych prostokątnych budynków w różnych kolorach – zielony, czerwony, granatowy – a także dwa komercyjne samoloty jak te, którymi leciałam wcześniej. Kierujemy się w lewo, w stronę

mniejszych szarych budynków. Na największym z nich znajduje się biało-niebieski znak z napisem ALASKA WILD.

Serce znacznie przyspiesza swój bieg.

Dwadzieścia cztery lata. Zbyt młoda, żeby pamiętać, jedynie czułam, że kiedyś tu byłam. Poza tym niezliczoną ilość razy wyobrażałam sobie tę chwilę.

Niski, krępy facet w kamizelce odblaskowej macha od niechcenia pomarańczową pałką, prowadząc Jonaha na koniec rzędu złożonego z sześciu samolotów. Przed nami spostrzegam kolejny rząd z czterech, a za nim stoją jeszcze dwie maszyny.

Zauważam, że wszystkie są większe niż ta, w której leciałam.

Mam ochotę zapytać, czy one wszystkie należą do taty, na której części lotniska się znajdujemy i ile osób tu pracuje, ale wiem, że Jonah nie zamierza ze mną rozmawiać, więc gryzę się w język. Zapytam Agnes. Zakładam, że kobieta będzie bardziej skora do wyjaśnień.

Mogę też zapytać ojca, którego przyleciałam poznać.

Odczuwam nagłą potrzebę skorzystania z toalety.

Pilot ledwie wyłącza silnik, a już zsuwa słuchawki, otwiera drzwi i z zaskakującą gracją wyskakuje na zewnątrz.

Pozostaję przez chwilę na miejscu, ciesząc się rześkim, chłodnym wiatrem owiewającym mi twarz i kojącym rozszalały żołądek.

– Chodź, idziemy – warczy Jonah.

Wysiadając, przypominam sobie, że już niemal z nim skończyłam.

Zatrzymuję się w drzwiach, aby ocenić wysokość do ziemi, i kombinuję, jak mam zeskoczyć na koturnach, trzymając torebkę na ramieniu i kapelusz na głowie, nie upadając przy tym na twarz, ani nie skręcając kostki. Powinnam zmienić buty, gdy przeszukiwałam walizki za najpotrzebniejszymi rzeczami.

Piszczę zaskoczona, bo Jonah nagle chwyta mnie wielkimi łapskami w tali i podnosi do góry, jakbym zupełnie nic nie ważyła, po czym stawia na ziemi. Odwraca się tyłem i sięga do środka samolotu po nylonową torbę, którą wepchnęłam za siedzenie. Bezceremonialnie rzuca mi ją do stóp, jakby miał do czynienia z workiem śmieci. Oczywiście moje rzeczy lądują w kałuży.

– Masz. Teraz możesz rzygać do woli. – Wpycha mi w rękę woreczek.

Spoglądam mu w twarz – wciąż zamaskowaną krzaczastym zarostem, okularami przeciwsłonecznymi i czapką z daszkiem, nasuniętą nisko na czoło, mimo że nie ma tu ostrego słońca. A w ogóle to ile czasu hodował tę brodę? Lata? Na jego podbródku naprawdę znajdują się długie, kręjące się włosy, sterczące teraz we wszystkich kierunkach. Mogę się założyć, że nigdy nie widziały nożyczek ani grzebienia. Przenigdy.

Mój zdegustowany wyraz twarzy odbija się w jego lustrzanych soczewkach i nagle wracają do mnie słowa mamy o zakochaniu się w jakimś pilocie.

Parskam śmiechem. Czy Jonah jest tym, kogo określiłaby mianem podniebnego kowboja?

Jakbym kiedykolwiek miała zadurzyć się w kimś takim.

Kawałek skóry pomiędzy dolną krawędzią okularów a górną niewystylizowanej brody się rumieni.

– Co cię tak bawi? – pyta ostrożnie mężczyzna.

– Nic. – Chłodny wiatr unosi kosmyki moich włosów i grozi zerwaniem kapelusza z głowy. Odsuwam włosy z twarzy i odchrząkuję.

– Dzięki za lot – mówię kurtuazyjnie, pilnując mimiki.

Jonah się waha. Mam wrażenie, że intensywnie się we mnie wpatruje, przez co czuję się niezręcznie.

– Nie dziękuj mi. To nie był mój pomysł – odpowiada, a następnie posyła mi sztywny,

nieszczery uśmiech, ukazując piękne, proste, białe zęby.

Zakładam, że wszystkie nawyki pielęgnacyjne skupił tylko na nich.

– Witaj! – rozlega się kobiecy głos, wyrывая mnie z zamyślenia, gdy rozważam, czy przywalić Jonahowi w ten jego perfekcyjny zgrzyz.

Z radością odwracam się od niego i widzę maszerującą w naszą stronę drobną kobietę.

To musi być Agnes.

Przez ostatnie trzy dni wyobrażałam sobie, jak ta kobieta o spokojnym, miękkim głosie musi wyglądać. Przyjaciółka, która zapewne jest kimś więcej. Chyba głupio założyłam, że będzie podobna do mojej mamy.

Agnes to jej całkowite przeciwieństwo.

Po pierwsze, jest niska i wygląda niemal jak dziecko, zwłaszcza że ma na sobie pomarańczową, trzy rozmiary za dużą kamizelkę, workowate męskie jeansy i niezgrabne buty robocze. Takiego stroju mama nie założyłaby nawet w swój najgorszy dzień. I w przeciwieństwie do gładkiego, idealnie pofarbowanego boba mamy, kruczoczarne włosy Agnes – oprószone lekką siwizną – zostały obcięte dość krótko i nierówno, niemal jakby kobieta wkurzyła się pewnego dnia, złapała za nożyczki i skróciła ich długość bez używania lusterka.

Po drugie, Agnes jest rdzenną mieszkanką Alaski.

– Dotarłaś – mówi, zatrzymując się przede mną i dając mi możliwość przyjrzenia się jej. Ma ładną, okrągłą twarz, z niewielkimi zmarszczkami na czole i z kurzymi łapkami w kącikach głęboko osadzonych, przymrużonych oczu. Powiedziałabym, że jest po czterdziestce.

– Tak.

Uśmiecha się szeroko, dzięki czemu uwydatniają się jej policzki i odsłaniają lekko krzywe zęby koloru kości słoniowej.

W końcu ktoś, kto zdaje się cieszyć na mój widok.

– A tata... – urywam, wiodąc wzrokiem od drzwi, z których chwilę temu wyszła kobieta, po inne szare budynki. Przy nich z kolei kręci się kilku pracowników w kamizelkach ładujących samoloty. Wstrzymując oddech, przyglądam się ich twarzom z dziwną mieszaniną zdenerwowania i ekscytacji.

– Wren musiał lecieć z zaopatrzeniem w poblizę rosyjskiej bazy – wyjaśnia, jakbym wiedziała, gdzie to jest. – Niedługo wróci.

– Aha – wyduszam. Nie został, żeby mnie przywitać? – Ale wiedział, że się zjawię, tak?

– Tak, oczywiście. Cieszy się. – Jej uśmiech jest na tyle szeroki, że wzbudza moją podejrzliwość.

Wiedział, że córka, której nie widział od dwudziestu czterech lat i nie słyszał od dwunastu, miała dziś przylecieć. Czy nie mógł posłać kogoś innego z tymi zapasami, żeby się przywitać? Nie mógł wysłać Jonaha? Albo któregoś z sześciu innych wolnych pilotów, zgodnie z tym, co nie tak dawno temu mamrotał ten drań?

A, jeszcze lepiej, skoro nie jest zbyt chory, by latać, dlaczego nie przyleciał po mnie do Anchorage?

Tata celowo mnie unika?

Będę miała więcej do czynienia z Jonahem, który wcale nie jest zachwycony moim pobytem tutaj?

Walczę, aby nie okazać emocji toczących w moim wnętrzu wojnę. Rozczarowanie narasta po odliczaniu godzin i minut dzielących mnie od spotkania z mężczyzną ze zdjęcia, gdy ponownie usłyszę miękką barwę jego głosu. Z rozczarowaniem przychodzi również otepiałe rozgoryczenie, które pochłonęło mnie wiele lat temu, ponieważ tylko w ten sposób byłam w stanie poradzić sobie z bolesną świadomością, że nigdy nie stanę się dla niego priorytetem.

A gdzieś w zakamarkach splątanych emocji znajduje się też ulga, że będę miała nieco więcej czasu, aby stojąc na alaskańskiej ziemi, zebrać siły, zanim będę musiała spotkać się z nim twarzą w twarz.

– Jak lot? – pyta Agnes, jakby wyczuwała nagłą zmianę mojego nastroju i próbowała mnie rozweselić.

– Dobrze. W przeważającej części. – Zerkam przez ramię. Jonah majstruje przy samolocie, wyraźnie nas ignorując.

Agnes spogląda tam, gdzie ja, a kiedy zauważa krzepkiego pilota, marszczy brwi. Szybko jednak wraca uwagą do mojej twarzy. – Wyrosłaś. – Musi widzieć moją konsternację, bo dodaje pospiesznie: – Twoja mama co roku wysyłała Wrenowi twoje zdjęcia ze szkoły. Miał zawsze jedno w ramce na biurku, wymieniał je, gdy przychodziło nowe.

Poza fotografią z rozdania dyplomów na uczelni, ostatnia, którą mogła wysłać mu mama, musiała pochodzić jeszcze z ósmej klasy, co oznacza, że Agnes i tata znają się od bardzo dawna.

Czuję się niezręcznie, aby pytać o to po chwili od poznania tej kobiety, mimo to nie potrafię się powstrzymać:

– Jesteście małżeństwem? – Nie ma obrączki, ale nie wygląda na kobietę, która nosiłaby biżuterię.

– Ja i Wren? Nie. To skomplikowane. – Spogląda w dół na moje trampki na koturnie, potem na nylonową torbę. – Twoja? – pyta powątpiewająco.

Nie wydaje mi się, bym wyciągnęła od niej coś więcej na temat jej związku z tatą.

– Nie. Mój bagaż został w Anchorage. Nie zmieściłby się. Szczerze mówiąc, nie wierzę, że ja się zmieściłam. – Przekazuję to, co powiedział Billy w kwestii jutrzejszego transportu mojego bagażu.

Kręci głową.

– Przykro mi. Mówiłam, żeby wziął cessenę.

Chwileczkę...

– Jonah powiedział, że tylko ta maszyna była wolna.

– Nie wiem, o czym ona mówi – woła mężczyzna, skupiając się na podkładce z dokumentami, w dużej dłoni trzymając długopis i od niechcenia odhaczając jakieś rzeczy.

Opada mi szczęka, gdy wpatruję się w tego kłamliwego drania.

Agnes wzdycha cicho.

– Chodź, Calla. – Schyla się, chwyta pasek torby i zarzuca ją sobie na ramię, jakby w ogóle nic nie ważyła, mimo że jest jak połowa jej. – Pokażę ci wszystko przed powrotem twojego taty. Jestem pewna, że mama chciałaby, byś się zameldowała.

– W domu jest Wi-Fi, prawda? – Macham komórką. – Nie mam zasięgu już od Seattle.

– I już jesteś umierająca – mamrocze Jonah pod nosem, jednak na tyle głośno, żebym go usłyszała.

Przewracam oczami.

– Nie, nie będziesz mieć zasięgu. Działa tylko lokalna sieć, ale tak, zdołasz połączyć się z domem – mówi Agnes. – Jonah, zajmiesz się tu wszystkim za mnie, co?

Odpowiedzią jest warknięcie, co, jak zakładam, oznacza zgodę.

Wydaje się, że Agnes tak je właśnie rozumie. Ruchem głowy zaprasza, abym podążyła za nią w kierunku rzędu pojazdów zaparkowanych przy budynku administracji.

– Czekaj! Mogłabyś zrobić zdjęcie?

– O... jasne – mówi kobieta, wytrzeszczając ze zdziwienia oczy.

Podaję jej telefon i klucz między kałużami, by oprzeć się o samolot, ustawiając ciało w pozie, która jest dla mnie szczególnie korzystna, lewą ręką przyciskając kapelusz.

– Uśmiech! – woła Agnes.
– Nie, jest dobrze! – odpowiadam, widząc w oddali kolejny wyłaniający się zza chmur samolot. Świadoma, że Jonah mi się przygląda, nadstawiam uszu, by wychwycić kolejny jego komentarz.

Na szczęście cokolwiek myśli, zatrzymuje to dla siebie.

– Zrobiłam trzy. Dobrze?

– Idealnie. Dzięki. – Unikam wzroku pilota, gdy zabieram komórkę i idę za Agnes. – Pracujesz tutaj?

Uśmiecha się ciepło.

– Od szesnastu lat.

– Wow. – Znaję się więc z tatą, odkąd miałam dziesięć lat. Rozmawiałam z nim jeszcze przez cztery lata, a nigdy o niej nie wspomniał. Przez cały czas ich relacja była „skomplikowana” czy tylko jej część? – A czym się zajmujesz?

– Raczej czym się nie zajmuję. Nie latam samolotami, ale pilnuję organizacji pracy, wypłat, rezerwacji, umów transportowych, całej tej nudy. I dbam o chłopaków. Mamy w tej chwili zatrudnionych... trzydziestu pięciu pilotów.

Wytrzeszczam oczy.

– Poważnie?

– Oczywiście nie są na pełnych etatach i pozostają rozproszeni po regionie. Jeden jest w Unalakleet, dwóch w Kotzebue... I oczywiście w Barrow w lecie. Kilku w Fairbanks... To tak, jakbym miała kilkunastu synów. Potrafią być pomocni i czasami nie widuję ich przez kilka miesięcy, zwłaszcza tych z północy, ale kocham ich, jakby byli moimi dziećmi.

– No myślę. – Chociaż zupełnie nie rozumiem, jak ktoś niespokrewniony z Jonahem mógłby go kochać.

Jestem tak zamyślona, że nie patrzę, gdzie idę. Wpadam lewą stopą w głęboką kałużę. Krzywię się, bo zimna woda dociera do moich palców. Jednocześnie czuję, że mam zamoczoną całą zamszową wkładkę.

– Chyba niedawno padało.

– Tu zawsze „niedawno padało”. – Agnes wrzuca torbę na tył starego czarnego pick-upa gmc z wgniecionym i porysowanym bokiem oraz z nadkolami zżartymi przez rdzę. – Mam nadzieję, że wzięłaś ze sobą porządne kalosze.

– Tak. Piękne, kosztowne hunterki. – Milknę dla lepszego efektu. – Zostały w Anchorage z resztą moich rzeczy.

– Dopilnuję, abyś je niedługo odzyskała. – Patrzy na rząd samolotów i otwiera usta, jakby chciała coś dodać, ale chyba postanawia zachować to dla siebie. – Jedźmy do domu.

Rzucam okiem na lotnisko. Jonah idzie w kierunku hangaru, jego krok jest swobodny i pewny siebie. Zanim znika w środku, odwraca się, nawet nam nie machając.

Krzyżyk na drogę. Będę szczęśliwa, nie musząc oglądać go przez resztę tygodnia.

* * *

Do domu taty nie jest daleko – nie jedziemy nawet pięć minut. Asfaltowa droga z dziurami zmienia się na żwirową i wyboistą. Kilka mijanych domów to zwykłe, funkcjonalne budynki obite przeważnie kolorowym sidingiem elewacyjnym, a wszystkie stoją na drewnianych słupach nad ziemią. Agnes wyjaśnia, że to ze względu na wieczną zmarzlinę.

Zapamiętuję, by sprawdzić to hasło w słowniku, gdy znów będę miała dostęp do internetu.

Agnes przysunęła fotel najbliżej, jak się dało, siedzi wyprostowana, żeby widzieć coś

ponad deską rozdzielczą, a jej drobna sylwetka nie ułatwia prowadzenia wielkiego pick-upa. Gdybym nie była tak zdenerwowana, prawdopodobnie uznałabym to za zabawne.

Obecność kobiety pomaga. Jest spokojna i ma kojący głos, gdy opowiada o Bangor, które rozciąga się jakieś osiem kilometrów na wschód, a płynie obok niego rzeka Kuskokwim. To chyba ta szeroka, którą widziałam z góry. Agnes mówi, że biegnąc dalej na północ, wpada do Morza Beringa. Umożliwia przemieszczanie się pomiędzy wioskami łodzią w letnich miesiącach, a pojazdami po lodzie w zimie. To jedyna możliwość dostania się w kilka miejsc samochodem, bo najwyraźniej nie ma wielu dróg łączących Bangor z resztą stanu.

W pogodny dzień według kobiety ma być widać w oddali górę Three Step. W tej chwili widzę jednak niekończące się kilometry płaskiego terenu porośnięte niską roślinnością i zasłane chmurami niebo.

Na końcu długiego, wąskiego podjazdu znajduje się zielony dom modułowy z przyległym garażem i dwiema szopami gospodarczymi.

– Jesteśmy na miejscu – mruczy Agnes, wyłączając silnik.

Dom ojca. Miejsce, w którym spędziłam niemal dwa lata swojego życia.

Mimo że w ogóle nie pamiętam tamtego okresu, wszystko teraz wydaje mi się surrealistyczne.

Oddycham głęboko, kiedy wysiadam i idę za Agnes po skrzypiących drewnianych schodach. Przechodzę przez pojedyncze drzwi, zauważając, że kobieta nie otworzyła ich kluczem. Nie były zamknięte.

Zatrzymuję się nagle, wytrzeszczając oczy ze zdziwienia, gdy widzę masę zielonych kaczek. Okropna tapeta pokrywa każdy centymetr ścian w kuchni, która nie jest duża, przez co sprawia wrażenie ciasnej.

I choć ten widok jest przerażający, tłumię chichot. Chyba właśnie o tym mówiła mama. Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć jej, że miała rację, że wciąż zna moją tatę.

Agnes rzuca kluczyki od auta na blat.

– Wren zawsze zapomina rozchylić je rano. – Staje na palcach i ciągnie za sznurek, by podnieść żaluzje nad zlewem, pozwalając nikłym promieniom słońca oświetlić dębowe szafki, kremowe, laminowane blaty i dopasowaną odcieniem winylową podłogę ze wzorkiem w małe, bordowe trójkąty w każdym rogu. Przypomina podłogę, jaką dziadkowie mieli w piwnicy.

Z małym oknem nad zlewem, jedynymi drzwiami i pojedynczą żarówką pod sufitem jest tu dość ciemno. Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak przygnębiająco jest tu w czasie długiej zimy.

– A tak w ogóle, o której robi się ciemno? – pytam, obejmując się rękami bardziej dla pociechy niż ciepła.

– O tej porze roku? Słońce zachodzi przed północą i wschodzi kwadrans po czwartej, ale w nocy nie jest całkiem ciemno. Nie jak w zimie.

Patrzę szeroko otwartymi oczami. Wiedziałam, że długo jest jasno, ale zachód słońca o północy?

– Wymieniłam rolety zaciemniające w twoim pokoju. Stare były zniszczone. Z pewnością zechcesz je spuszczać. No chyba że nie przeszkadza ci spanie przy świetle, jak ojcu. – Podchodzi do lodówki. – Musisz być głodna. Bierz cokolwiek tam znajdziesz... – Marszczy brwi, ukazując półki bez jedzenia, jedynie z kilkoma dodatkami i jakimiś napojami. – Obiecał, że zrobi zakupy – mamrocze kobieta pod nosem, na tyle cicho, że raczej nie do mnie. Bierze karton mleka, otwiera go i wacha zawartość. Krzywi się. – Na twoim miejscu bym tego nie piła.

– W porządku. I tak nie gustuję w mleku. Mam alergię na nabiał. – Zdiagnozowano ją u mnie, gdy miałam pięć lat. Jestem pewna, że ojciec o tym nie wie.

Agnes zamyka lodówkę.

– Pewnie chciał poczekać, aby przekonać się, co lubisz. – Posyła mi sztywny uśmiech. – Sklep Meyera otwierają o wpół do dziewiątej. Zabierze cię tam z samego rana.

W takim razie dobrze, że nie jestem głodna.

Mimo to zastanawiam się, czy tata naprawdę życzy sobie mojej wizyty. Wiedząc, że odwiedzi go córka, z pewnością mógłby zrobić choćby podstawowe zakupy. Gdyby tylko wystarczająco się przejął.

– Kiedy mu powiedziałaś o moim przyjeździe?

Agnes się waha, bierze leżącą na blacie pocztę i powoli przerzuca korespondencję, wpatrując się w dane nadawców.

– Wczoraj wieczorem.

Zastanawiam się nad piątkową wymianą e-maili, kiedy to napisałam, że kupiłam bilety – opłacone dzięki Simonowi. Odpisała wtedy, że tata ucieszył się na mój przyjazd.

Najwyraźniej skłamała.

Dlaczego nie powiedziała mu w piątek, zaraz po tym, jak otrzymała ode mnie wiadomość? Dlaczego czekała kolejny dzień? Spodziewała się, że nie będzie zadowolony? Co odparł, gdy go poinformowała? Jakie słowa padły w tych ścianach na temat mojego przyjazdu i jakim zostały wypowiedziane tonem?

Agnes porzuca nieotwarte listy i zaczyna zbierać zasuszone liście z bazylii, która stoi na górnej półce wysłużonego regału przy drzwiach. Marszczy brwi, jakby głęboko się nad czymś zastanawiała.

– Rozgość się, Calla. Tata powinien niedługo wrócić.

– Dobrze. – Mrugam, bo czuję się w tej chwili niezbyt komfortowo. Kuchnia ma niezbędne wyposażenie: zwykłą białą kuchenkę i lodówkę, okrągły stół z krzesłami, które używane od lat noszą ślady zadrapań i wgnieceń, oraz równie stary zlew ze stali nierdzewnej. Przez znajdujące się nad nim okno widać rozległy, płaski krajobraz. A jednak nic w tej przestrzeni nie jest szczególnie przyjazne. Nie jest podobna do jasnej i przestronnej, którą mamy w Toronto, z wykuszowym oknem i wyściełanym siedziskiem pod nim, co stanowi przytulny kącik do zaszcucia się z książką i gorącą czekoladą w zimowy dzień.

Może mój dyskomfort nie ma nic wspólnego z wystrojem, lecz z tym, że jeśli jakakolwiek ekscytacja z powodu spotkania z ojcem tliła się we mnie, szybko uleciała, zmiażdżona przez rosnące obawy związane z przeczuciem, że nie jestem tu mile widziana.

Wzdycham. W powietrzu unosi się słaba nuta palonego drewna i popiołu, jakby z pieca. Zauważam, że nie śmierdzi papierosami.

– Rzucił palenie, prawda?

– Pracuje nad tym. Chodź, pokażę ci twój pokój. – Agnes prowadzi mnie do długiego, wąskiego salonu. Przynajmniej w tej części domu nie ma kaczek, ale też jest pozbawiona osobistych akcentów. Jest tak samo ciemna, chociaż oświetlona lampą. Ściany są białe, powieszono na nich kilka zaśnieżonych widoków. Wykładzina ma kolor owsianki, wydeptano w niej ścieżkę prowadzącą od progu do pieca, który stoi w odległym kącie na beżowych płytkach.

– To tutaj znajdziesz tatę, gdy nie pracuje. Tu lub tam. – Wskazuje ręką na zabudowaną werandę za oknem, które jest znacznie większe niż to w kuchni, ale i tak wydaje się za małe w stosunku do tego pomieszczenia.

Poza kilkoma zwiniętymi gazetami, które leżą na drewnianej ławie, pomieszczenie nie wygląda, jakby ktoś często z niego korzystał. Najwyraźniej, jak zawsze, Alaska Wild jest jego priorytetem.

Na małym stolyczku stojącym przy końcu złoto-czarno-zielonej, wysłużonej kanapy

znajduje się niesławna szachownica. Zastanawiam się, czy to ta sama, o której mówiła mama.

Czuję, że Agnes mi się przygląda.

– Jest... przytulnie – próbuję.

– Nie umiesz kłamać, zupełnie jak Wren. – Uśmiecha się. – Powtarzam mu, że trzeba zrobić remont. Kilka razy włączyłam mu nawet telewizyjne programy o domowych remontach. – Macha ręką w kierunku małego, płaskiego telewizora w kącie, naprzeciw pieca i obok beżowego, skórzanego fotela. – Ale wciąż powtarza, że nie przebywa tu na tyle długo, by zawracać sobie tym głowę. – Milknie, wpatrując się w fotel, a jej uśmiech powoli niknie.

Dlaczego więc sama tego nie robi? Nie pozwoli jej?

– W nadchodzących tygodniach będzie spędzał w domu więcej czasu, prawda?

– Tak, chyba tak.

Nie ma powodu, aby chodzić na paluszkach wokół raka taty.

– Jak jest źle, Agnes?

Kobieta kręci głową.

– Tamten dokument pełen był medycznego żargonu, którego nie rozumiałam.

– Ale przekazał ci to, co powiedzieli lekarze, prawda?

– Kto, Wren? – Prycha cicho. – Przez wiele tygodni doskwierało mu przeziębienie, zanim przekonałam go, by pojechał do lekarza, który zlecił prześwietlenie płuc. I w ten oto sposób dowiedział się o guzie. Nikomu nie powiedział. Przyjmował antybiotyki, więc założyłam, że wyzdrowieje. Jakiś czas później w tajemnicy poleciał do Anchorage na biopsję i dalsze badania. – Słyszę frustrację w jej głosie. – Jedyne, co udało mi się z niego wyciągnąć, to że ma raka płuc i lekarze zalecili chemioterapię i radioterapię.

– Brzmi, jakby mieli plan. – Gdy czekałam na dzisiejszy lot, spędziłam trochę czasu na stronie Kanadyjskiego Stowarzyszenia Onkologicznego, czytając o typach i stadiach, a także metodach leczenia raka płuc. Trudno było przesiać informacje i zrozumieć to wszystko. Udało mi się dowiedzieć jedynie, że leczenie ma kluczowe znaczenie, a wskaźniki przeżywalności należą do najniższych.

– Gdybym zobaczyła ten dokument, może mogłabym sprawdzić w Google...

– Nie wiem, gdzie go schował. Zabrał wyniki, gdy o nie zapytałam. Kazał mi przyrzec, że nikomu nie powiem.

Obietnicę tę najwyraźniej złamała, dzwoniąc do mnie.

Zaczynam być coraz bardziej sfrustrowana.

– Kiedy lekarze chcą rozpocząć leczenie?

– W przyszłym tygodniu. Będzie musiał udać się do kliniki w Anchorage, ponieważ jest najbliżej. Jonah obiecał, że z nim poleci, więc przez kilka dni powinien też być w domu.

Dobrze wiedzieć, że Jonah jest bardziej skory, żeby lecieć z moim tatą do lekarza.

Rozglądam się po niezbyt zachęcającym salonie.

– Dlaczego nie odświeżysz tego miejsca, gdy go nie będzie? – Można by pomalować, dodać nowe bibeloty, lampy. W tej chwili cokolwiek polepszyłoby stan tego miejsca.

W oczach kobiety błyszczą rozbawienie.

– Miałabym wejść do domu Wrena i zderzyć z kuchni tę okropną tapetę?

Zaskakują mnie jej słowa.

– To znaczy, że tu nie mieszkasz?

– Ja? Nie. Mieszkam w małym domku po drugiej stronie. Mijaliśmy go po drodze.

– Oj... – Kawałki układanki życia mojego ojca nagle przestają do siebie pasować. – Jesteście więc sąsiadami?

– Od trzynastu lat. Wynajmuję tamten dom od twojego taty.

Sąsiedzi, współpracownicy, przyjaciele.

No i „to skomplikowane”.

Idę za Agnes wąskim korytarzem, próbując przetrwać te informacje.

– Myślę, że i tak powinnaś to zrobić. W pewien weekend, kiedy Simon pojechał na jakąś konferencję, mama pomalowała jego regały. – Ojczym przed poznaniem mojej mamy wydał niewielką fortunę na te dębowe meble, ale kolor drewna bardzo się jej nie podobał.

Pamiętam, że widziałam, jak cała krew odpłynęła mu z twarzy po tym, jak przestąpił próg i zobaczył tę biel.

Ale w końcu przywykł.

– Tak, cóż... Nie jestem Susan. – Wzdycha ciężko, co niesie ze sobą podtekst. Prowadzi mnie do małego, narożnego pokoju z kredowanymi ścianami i różowym kryształowym żyrandolem wiszącym na środku sufitu. – Powinnaś zobaczyć wszystkie pudła, które tu zgromadził. Wyniesienie ich zajęło mi cały dzień.

Zapamiętuję, że to ona je wyniosła. Tata nie pomagał.

Pokój jest teraz pusty, w rogu znajduje się jedynie łóżko w metalowej ramie, obok niewielkiego okna drewniane krzesło kuchenne, a naprzeciwko prosta biała komoda z trzema szufladami. Stoję obok wąskiej szafy z drzwiami zbitymi z listewek, które wyglądają jak żaluzje. Przed remontem w Toronto mieliśmy takie same staromodne drzwiczki.

Dopiero po chwili zauważam, że ściany nie są gładkie, lecz zdobią je delikatne różowe kalie w różnych rozmiarach.

W końcu to do mnie dociera.

– To był mój pokój. – Mama opowiedziała mi, jak czekając na moje narodziny podczas długiej ciemnej zimy, ozdobiła tymi kwiatami ściany pokoju dla dziecka. Było to jej nowe hobby wynikające z nudy i faktu, że nie mogła tu hodować prawdziwych roślin. Żadnych, nie tylko tych kwiatów. Zachowała dzięki temu równowagę psychiczną, aż przed porodem poleciała do Anchorage i zamieszkała u znajomych, co było konieczne, jeśli chciała, by poród odebrał lekarz.

Jej talent rozwinął się z upływem czasu. Mama wciąż maluje, zazwyczaj zimą, kiedy nie można uprawiać ogródka. Wtedy szuka ukojenia po codziennej pracy w kwaciarni. Jej „studio” znajduje się naprzeciwko mojej sypialni i zajmuje połowę poddasza. Pomieszczenie jest jasne i przestronne, udekorowane płótnami w czerwone tulipany i jaskrawe piwonie o pełnych płatkach. Wszystko wyszło spod jej ręki. Niektóre jej dzieła są ozdobą lokalnych restauracji i sklepów, o czym świadczy niewielki podpis. Nie przebywa już za często w tym studiu, twierdząc, że nie musi malować kwiatów, skoro przez cały długi dzień ma z nimi do czynienia.

Dwadzieścia sześć lat temu, w krainie bezlitosnej dla tak wielu rzeczy, mama miała swój ogród.

A tata zachował go przez te wszystkie lata.

Agnes patrzy na mnie zamyślona.

– Pomyślałam, że może ci się spodobać.

– Podoba mi się. Jest idealny. Dziękuję. – Kładę torebkę na podłodze.

– Noce są chłodne, więc dałam ci kilka koców, żebyś mogła się rozgrzać. – Agnes wskazuje kolorowy stos złożonych materiałów przy nogach łóżka i rozgląda się, jakby czegoś szukała. – To chyba wszystko. No chyba że chcesz mnie o coś zapytać?

Wyciągam telefon.

– Jest hasło do Wi-Fi?

– Tak, poczekaj, poszukam. Łazienka jest po lewej stronie, gdybyś chciała się odświeżyć. Twój tata ma swoją własną sypialnię z łazienką, więc ta jest cała twoja.

Ze znużonym westchnieniem – gdyby nie adrenalina związana ze spodziewanym

spotkaniem z ojcem, zaryłabym nosem w materac – rozpinam nylonową torbę i opróżniam ją sfrustrowana tym, jak niewiele ubrań zdołałam do niej wcisnąć. I większość jest wilgotna.

– Cholera! – Moje czarne jeansy są zimne i mokre, tak jak i sweter, rzeczy do biegania i dwie koszulki, które udało mi się włożyć po prawej stronie. Tą właśnie stroną Jonah wrzucił torbę do kałuży, która była pełna błotnistej wody. Zaciskając zęby, aby powstrzymać gniew, wyjmuję mały pleciony koszyk z szafy i wszystko do niego wrzucam.

– Znalazłam. – Agnes trzyma pomiędzy pulchnymi palcami kawałek papieru. Nie ma lakieru na obgryzionych w pośpiechu paznokciach.

– Super. Dzięki. Gdzie mogę zrobić pranie? Przez Jonaha moje ubrania są mokre. – Nie staram się ukryć goryczy.

Prycha miękko i wyciąga ręce po kosz.

– Ojciec Jonaha zmarł na raka kilka lat temu, więc chłopakowi trudno pogodzić się z wieściami na temat Wrena. Chyba właśnie byłaś tego świadkiem.

– Więc wie o wszystkim.

Kiwa głową.

– Wren nie chciał mu mówić, ale Jonah jest zbyt świadomy wszystkiego. Wyciągnął to dziś ze mnie. W każdym razie przepraszam, że narobił ci problemów.

Czy to właśnie ugryzło Jonaha w tyłek? Dlatego miał tak kiepski nastrój? Jeśli tak, nadal nie jest to akceptowalne, jednak rozumiem go i mu współczuję.

Ale czy w takim razie nie powinien okazać choć trochę empatii w stosunku do mnie?

– Pralka jest w kuchni. Chodź, pokażę ci. – Mimo to stoi, wpatrując się ze zdziwieniem w moje kosmetyki, szczotki i inne rzeczy, które zajęły połowę torby, a teraz zapełniają komodę. – Codziennie używasz tego wszystkiego?

– Tak jakby... – Drugie tyle zostało w domu, wzięłam tylko to, co jest naprawdę niezbędne.

Kręci głową i mamrocze:

– Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

Na zewnątrz słychać trzask zamykanych w aucie drzwi. Agnes obraca się i nasłuchuje. Chwilę później na zewnątrz rozlegają się ciężkie kroki na drewnianych schodach.

Bierze głęboki, ostry oddech i po raz pierwszy słyszę w jej głosie zdenerwowanie. Mimo to się uśmiecha.

– Tata wrócił.

ROZDZIAŁ 7



Odsuwam się i obserwuję, jak Agnes odchodzi spokojnie i swobodnie korytarzem, niosąc oparty na prawym biodrze kosz z praniem.

W tej sytuacji nic nie jest jednak spokojne czy swobodne.

Czuję trzepotanie w żołądku, co jest wynikiem dziwnej mieszanki zdenerwowania i strachu. Czy Wren Fletcher będzie taki, jakim wyobrażałam go sobie jeszcze jako dziecko, ściskające jego zdjęcie w swoich małych dłoniach? Cichym, ale dobrym człowiekiem, który wzięłby mnie na ręce i podrzucił, wróciwszy do domu po całym dniu latania samolotami?

A może stanę przed osobą, jaką stał się później, kiedy już złamał mi serce? Prawdziwym ojcem, który nigdy nie wysilił się, żeby mnie poznać.

– I jak poszło? – Agnes opiera się o ścianę prowadzącą do kuchni, plecami do mnie, jakby to był kolejny zwykły dzień.

– Dostali swoje zapasy – odpowiada mężczyzna głębokim głosem z niewielką chrypką.

Odczuwam przedziwne *déjà vu*. Już słyszałam te słowa wypowiedziane tym głosem. Wiele lat temu przez słuchawkę, gdy poniósł się wieloma kilometrami drutu, okazjonalnie wzmacniany niewielkim echem. Zapewne powiedział to, kiedy zapytałam, jak minął mu dzień.

– A losie?

Śmieje się cicho, co przeszywa mnie na wskroś, ponieważ ten dźwięk też jest mi znany.

– Przegoniono je w końcu z piachu na wschód, chociaż długo to trwało. Niemal zawróciłem.

Zapada głucha cisza na dwa... trzy uderzenia serca.

Zaraz jednak pada:

– No i?

Tak krótkie, a tak znaczące.

– Jest u siebie, rozpakuje się. Jonah dał jej w kość.

Kolejny śmiech.

– A kiedy tego nie robi?

Jeśli tata jest zły na Agnes, że sprowadziła mnie na Alaskę, dobrze to ukrywa.

– Pozwolę ci do niej pójść i się przywitać. – Kobieta znika w kuchni.

Wstrzymuję oddech, serce wali mi jak oszalałe, gdy nasłuchuję zgrzytu podłogi i zbliżających się kroków.

I nagle staję oko w oko z ojcem.

Jest o wiele starszy niż na zniszczonym zdjęciu, które nadal trzymam w domu pod swetrami, a mimo to wygląda, jakby wyszedł z ramki i zmaterializował się w prawdziwym życiu. Falowane włosy wciąż ma za długie, jak ludzie w latach siedemdziesiątych, ale brąz w przeważającym stopniu zastąpiła siwizna. Jego skóra, niegdyś napięta i gładka, postarzała się oraz wzbogaciła o zmarszczki – płytsze i głębsze. Ma na sobie ten sam strój – jeansy, wysokie buty i flanelową koszulę w kratę.

I wygląda... zdrowo. Dopiero teraz dociera do mnie, że przygotowywałam się na kruchego, zgarbionego staruszka z poszarzałą cerą i skrzeczącym kaszlem. Patrząc na niego, nie można jednak poznać, że ma raka płuc.

Stoimy jakies trzy metry od siebie, żadne nie wydaje się gotowe, by podejść.

– Cześć... – próbuję. Nie zwróciłam się do niego „tato”, odkąd skończyłam czternaście lat. Nagle chwila wydaje się niezręczna. Odsuwam od siebie dyskomfort. – Cześć.

– Witaj, Calla. – Jego pierś unosi się, gdy oddycha głęboko. – Rety, jesteś dorosła, co? *Ponieważ po raz ostatni widziałeś mnie dwadzieścia cztery lata temu? Tak, chyba powinnam dorosnąć.*

Nie czuję się jednak w tej chwili jak dwudziestosześcioletka. Jestem wkurzoną, zranioną, pełną wątpliwości i próbującą poznać tego mężczyznę – który nie rusza się, by zmniejszyć dystans, i który podjął świadomą decyzję, aby wykreślić siebie z mojego życia – czternastolatka.

Nie wiem, co zrobić z rękami, ale niewygodnie mi, gdy zwisają. Wkładam je więc do kieszeni, potem wysuwam i zaciskam w pięści, aż w końcu zaplatam na piersi, wsuwając dłonie pod pachy, tym samym się obejmując.

Tata chrząka.

– Jak podróż?

– W porządku.

– To dobrze.

Huk metalowych drzwi i zgrzyt w tle przypominają mi o obecności Agnes.

– Głodna? Nie miałem kiedy skoczyć do sklepu...

– Nie, nie trzeba. Jadłam w Seattle.

Kiwa powoli głową, wpatrując się w wysłużoną wykładzinę pod naszymi stopami.

– Jak mama?

– Świetnie. – Bez wątpienia wypila trzeci kieliszek wina, po którym doprowadza Simona do szafu, chodząc w kółko przed jego fotelem, nie mogąc się doczekać, aż się do niej odezwę. Waham się. – Zszokowały ją wieści. – Nie sądzę, bym musiała rozwijać tę myśl.

– No tak... Jest jak jest. – Sięga do kieszeni kurtki i wyciąga paczkę papierosów. – Pozwolę ci się rozpakować. Do zobaczenia rano. – Odwraca się tak po prostu i wychodzi, zaraz zgrzytają kuchenne drzwi.

Wpatruję się w pustą przestrzeń, w której jeszcze przed chwilą stał.

Do zobaczenia rano?

Cztery samoloty, pięć i pół tysiąca kilometrów, a wszystko, co dostałam od ojca, to zdawkowa rozmowa i „zobaczmy się rano” na odchodne?

Rozczarowanie grozi przelaniem czary goryczy.

Wyczuwam, że ktoś się we mnie wpatruje. Unoszę głowę i widzę czarne, pełne zmartwienia oczy Agnes.

– Dobrze się czujesz?

Próbuję stłumić emocje.

– Tak – odpowiadam, choć zdradza mnie drżący głos.

– Wren nie potrafi za dobrze wyrażać uczuć. To dla niego spory stres.

Parskam cichym śmiechem, pomimo że tak naprawdę chce mi się płakać.

– Dla niego? – *A co ze mną?*

Przynajmniej posyła mi współczujący uśmiech.

– Włożę twoje ubrania do suszarki. Prześpij się. Jutro będzie lepiej.

Cieszę się z tego pożegnania. Wracam do pokoju i zamykam za sobą drzwi, walcząc z narastającym we mnie kluciem, podpowiadającym, że przyjazd tutaj to ogromny błąd.

Wiem, w której chwili telefon łapie sygnał Wi-Fi, ponieważ rozlega się seria dźwięków, informując o wiadomościach od matki.

DOTARŁAŚ JUŻ DO ANCHORAGE?

DAJ ZNAĆ, GDY DOJEDZIESZ DO TATY.

JESTEŚ JUŻ NA MIEJSCU?

DOBRA, SPRAWDZIŁAM TWOJE LOTY I ZOBACZYŁAM, ŻE BYŁO

OPÓŹNIENIE Z SEATTLE DO ANCHORAGE. ZADZWOŃ, GDY TYLKO ZDOŁASZ.

DZWONIŁAM DO ALASKA WILD I POWIEDZIANO MI, ŻE WYLĄDOWAŁAŚ KWADRANS TEMU. DOTARŁAŚ DO DOMU OJCA?

Trzymam kciuk nad ekranem, nie wiedząc, co napisać. Jeśli postawię na szczerość, będzie należała, żebym zadzwoniła, a nie mam energii na analizowanie z nią i Simonem tego katastrofalnego spotkania po latach.

DOTARŁAM. MIAŁAŚ RACJĘ, JEŻELI CHODZI O MAŁE SAMOLOTY. JESTEM WYCZERPANA. ZADZWONIĘ JUTRO.

Z SAMEGO RANA, DOBRZE? KOCHAMY CIĘ!

I PAMIĘTAJ, RÓB DUŻO ZDJĘĆ!

Pospiesznie przebieram się w piżamę – która jako jedno z nielicznych ubrań nie zmokła – i idę do łazienki, by się umyć. Nigdzie nie ma taty i Agnes, przez co wydaje mi się, że rozmawiają na zewnątrz.

Po powrocie do sypialni zaciągam zasłony i moszczę się pod kocami z telefonem z nadzieją, że rozproszę jakoś mroczne myśli.

Otwieram galerię, aby sprawdzić zrobione wcześniej przez Agnes zdjęcia. Choć lot był przerażający, na fotografii prezentują się dobrze przy samolocie, którego radosne kolory odcinają się na ponurym tle.

Jedyną wadą ujęcia jest dupek na jego skraju.

Jonah stoi plecami do aparatu, ściskając w dłoni podkładkę, ale ma obróconą głowę, więc widać futro na jego twarzy i to, że mi się przygląda. Przy każdym innym facecie zdjęcie to opowiadałoby zupełnie inną historię, romantyczną, w której mężczyzna odczuwa pociąg do kobiety.

Ale tutaj tak nie jest.

Bawię się przeróżnymi narzędziami do edycji, kadruję, dodaję filtry, podsycam barwy, aż mam wspaniałą fotkę na Instagrama, bez zarośniętego pilota w tle.

Moje kciuki zawisają nad klawiaturą, ponieważ nie potrafię wymyślić podpisu. W mojej głowie rozbrzmiewa głos Diany: „Bądź optymistyczna i inspirująca! Dodatkowe punkty za coś zabawnego!”.

Czuję się jednak zupełnie inaczej.

W przeciwieństwie do przyjaciółki zawsze miałam problemy z wymyślaniem podpisów. Tak naprawdę większość tekstów Diany do niej nie pasuje, przynajmniej dla mnie nie brzmią, jakby to ona je napisała – dziewczyna, która wkłada do ust pięć frytek ze słodkich ziemniaków naraz, opowiadając jednocześnie o prawnikach ze swojej firmy.

Jakim cudem mam napisać o dzisiejszym dniu coś, co będzie optymistyczne i inspirujące?

Jak niby powinnam skłamać?

Zachowując pozory. Dając przekaz, który będzie prosty, lekki i wesoły.

Piszę pospiesznie pierwsze, co przychodzi mi na myśl: „Dziewczyna z miasta w alaskańskiej dzicy. Kocham swoje życie!”. Dodaję sporo hashtagów – kolejna złota zasada Diany – i publikuję post.

Cały czas przygryzam wargę ze zmartwienia, ponieważ przytłacza mnie rzeczywistość – wszyscy byliby szczęśliwsi, gdyby Agnes do mnie zadzwoniła.

* * *

Budzą mnie fale oceanu rytmicznie uderzające o brzeg, spokojny dźwięk dochodzący z aplikacji, której używam każdego dnia.

Przez chwilę nie pamiętam, że jestem bezrobotna i samotna.

I że polecałam na Alaskę, aby poznać ojca, który może być ciężko chory, ale i tak mnie tu nie chce.

Przecieram zaspaną twarz, pozwalam przywyknąć oczom i skupiam spojrzenie na słabym blasku dnia, który wdziera się pomiędzy krawędziami zasłon. Po wczorajszej długiej, wyczerpującej podróży bolą mnie mięśnie. A może to przez to łóżko. W domu mam ogromne, na tyle wielkie, że mogę obrócić się w każdą stronę i nigdy nic mi nie zwisa. Stworzone jest również z pianki z pamięcią, która otula i pochłania moje ciało. To łóżko w porównaniu z moim własnym jest jak prycza w Armii Zbawienia.

Poduszka wcale nie jest lepsza – twarda i nierówna pod moją twarzą. W nocy musiałam układać ją niezliczoną ilość razy, próbując sprawić, żeby stała się bardziej miękka, aż w końcu się poddałam.

Macam niewielkie drewniane krzesło obok, dopóki nie odnajduję telefonu.

Jęczę. Nie ma nawet szóstej rano, a ja już nie śpię. Chociaż nie powinnam się dziwić – mój wewnętrzny zegar myśli, że jest dziesiąta.

Nie powinno mnie również dziwić to, że matka wysłała trzy kolejne wiadomości.

ŚPISZ JUŻ?

CO U TATY? WYGLĄDA DOŚĆ ZDROWO?

DAJ ZNAĆ, GDY SIĘ OBUDZISZ!

Próbowała też dzwonić.

Nie jestem jeszcze gotowa, by poradzić sobie z inkwizycją Susan Barlow. No bo co miałabym jej powiedzieć? „Wygląda zdrowo, poznałam go przelotnie i było niezręcznie. Nie wiem nawet, po kiego diabła tu przyjechałam”.

Mam również dwie wiadomości od Simona.

CIERPLIWOŚCI Z MAMĄ.

PAMIĘTAJ, ŻE JESTEŚ DLA WRENA OBCĄ OSOBĄ, TAK JAK I ON JEST DLA CIEBIE.

– Bez jaj, Simon – mamrocę. Jestem pewna, że jest w tym głębsze znaczenie. Zawsze jest. To z ojczymem powinnam teraz porozmawiać. Rozpaczliwie potrzebuję jednej z tych jego psychiatrycznych gadek, ale jestem pewna, że cały ranek będzie rozmawiał z pacjentami, więc moje problemy mogą poczekać.

Jedyną korzyścią z tak wczesnej pobudki jest to, że mam kilka godzin spokoju, nim będę musiała zadzwonić do domu.

Wzdycham z satysfakcją, otwierając Instagrama, gdy widzę więcej lajków przy poście z samolotem niż przy innych, a także kilkanaście nowych fanów. Zawsze mogę liczyć na to, że Diana pozostawi komentarz pełen emotikonów i wykrzykników. Spodziewałam się również wiadomości od znajomych i fanów, którzy piszą: „Fajny strój!”, „Piękne ujęcie!”, „Jesteś ładna!”, „Ja też tak chcę!”. Są też inne. Ludzie piszą, że mam szczęście, mogąc przebywać na Alasce, jaką jestem żądną przygód osobą i że też zawsze chcieli tu przylecieć.

Te osoby – ci nieznajomi – widzą ładną, dobrze ubraną dziewczynę z ciekawym życiem. Żadna z nich nie zna prawdziwej historii – nie wie, dlaczego się tu znalazłam i dlaczego rozważam już powrót do domu. Nie potrafią wyczuć mojej samotności ani nie wiedzą o moim związanym w supeł żołądku. Chyba właśnie na tym polega magia mediów społecznościowych. Dają też poczucie dziwnego ukojenia, gdy człowiek skrywa się za tą iluzją. Może jeśli wystarczająco długo popatrzę na siebie przy maleńkim pomarańczowo-żółtym samolociku i przeczytam wielokrotnie umieszczony pod zdjęciem podpis, ja również zacznę kupować to, co sama sprzedaję.

Przez kilka kolejnych minut odpowiadam na komentarze, aż wygrywają podstawowe

potrzeby ludzkiego ciała.

Odrzucam ciężkie koce, wstaję i szybko przebieram się we wczorajszy strój. Dostaję gęziej skórki, gdy moje ciało owiewa ostry chłód. To orzeźwiający w porównaniu z letnią duchotą i nieruchomym powietrzem w domu poruszonym jedynie przez wiatrak.

Kiedy tylko uchylam drzwi, dolatuje do mnie woń świeżo mielonej kawy. Ku mojej uciechy pod stopami widzę kosz czystych, poskładanych rzeczy. Odsuwam go na bok i przemierzam korytarz z tą samą mieszaniną zdenerwowania i obaw, co wczoraj wieczorem.

Salon jest pusty.

Tak jak i kuchnia.

– Halo? – wołam i czekam.

Nic. Nie zgrzyta deska, nie kapie woda z kranu. Jest niesamowicie cicho, słychać jedynie tykanie kuchennego zegara.

Widzę jednak, że tata gdzieś tu jest. Świadczy o tym opróżniony do połowy dzbanek kawy i używany kubek z łyżeczką w środku. Wystawiam głowę za drzwi, aby sprawdzić, czy nie poszedł zapalić. Na zewnątrz widzę wyłącznie starego forda pick-upa, który jest w niewiele lepszym stanie niż samochód Agnes, ale nigdzie nie ma taty, nie czuć nawet woni dymu.

Dopiero kiedy wracam do środka, zauważam leżącą na blacie obok lodówki kartkę. Schludnym charakterem pisma oznaczono ją moim imieniem. Obok leży kupka amerykańskich dwudziestodolarówek.

Nie wiedziałem, co chciałabyś zjeść. Kluczyki są w aucie. Sklep Meyera jest jakieś osiem kilometrów stąd. Jedź na wschód, do końca drogi, skręć w prawo i drugą w lewo do miasta. Rano nie powinno padać, więc możesz też iść na spacer.

Podpisano „W”, jakby ojciec zaczął pisać swoje imię, ale się rozmyślił. Nie napisał jednak „tata”.

Przypuszczam, że pojechał do pracy. Zawsze wychodzi tak wcześnie?

A może mnie unika?

Pod wpływem impulsu dotykam kubka, z którego pił. Nadal jest ciepły. To dowód, że tata był tutaj nie tak dawno temu. Dociera do mnie, że wyszedł zapewne wtedy, gdy usłyszał ruch na górze.

Nie wiem jednak, jak dotrze do pracy bez samochodu. Może Agnes go podwiezie?

Najwyraźniej nie przyszło mu jednak do głowy, że nie mam prawa jazdy.

– Nie, nie, jedź do pracy, tato. Co? To, że nie widzieliśmy się od dwudziestu czterech lat? Nic takiego. Nie potrzebuję, żebyś wziął wolne ze dwie, trzy godziny. Poważnie, dam sobie radę – mamrocze, próbując złagodzić klucie w piersi.

Spędzam kilka minut, przeglądając pustą lodówkę i zabałaganione szafki, aby dowiedzieć się, że ojciec żyje na kawie, tanim maśle orzechowym i mrożonym makaronie z serem.

Dobrze, że nie jestem głodna. Chce mi się jednak jednej z tych spienionych sojowych latte Simona. Nie mam zbyt wielu przywar, ale dawka kofeiny zaraz rano jest numerem jeden na ich krótkiej liście. Gdy jej nie piję – co można by policzyć na palcach jednej ręki – do południa boli mnie głowa.

Pięć lat temu Simon kupił nam niespodziewanie na święta fantazyjny ekspres, z którego kawa może konkurować z tą ze Starbucksa. Przrzekam, że ojczym siada każdego ranka przy kuchennej wyspie z kubkiem earl greya, magazynem „Globe & Mail”, nasłuchując zgrzytu schodów na drugim piętrze, by w końcu uruchomić urządzenie. Kiedy schodzę na dół zaspana, wręcza mi parujący kubek. Twierdzi, że robi to, aby nie budzić Krakena, ale podejrzewam, że to dzięki skrywanej fascynacji spieniaczem do mleka.

Odczuwam tęsknotę za domem, ale odpycham ją od siebie i skupiam się na bieżących

sprawach. Sklep tego Meyera otwierają dopiero za dwie i pół godziny, a to oznacza, że mam trochę czasu do zabicia, więc mogę wymyślić, jak się tam dostać, by przetrwać jakoś ten dzień.

* * *

Krople potu spływają po mojej twarzy, gdy zatrzymuję się, żeby napić się wody i złapać oddech, patrząc na oddalony zielony dom ojca. Wytrzymałam dwadzieścia minut w tym niesamowicie cichym, niewygodnym budynku, pozostawiona tylko z myślami i laptopem, nim niepokój zmusił mnie do wyjścia. Przebrałam się w ciuchy do biegania i stwierdziłam, że chęć pozawiedzenia okolicy to dobra wymówka.

W oddali widzę również dom Agnes. To jak lustrzane odbicie tego taty – ten sam rozmiar, ta sama odległość od drogi, ten sam drewniany ganek i te same drzwi – ale jest biały, a na podjeździe nie ma samochodu. Nie było go już, gdy wyszłam. Przypuszczam, że też pojechała do pracy.

Licznik kroków na telefonie twierdzi, że przemierzyłam dziesięć kilometrów, a przez cały ten czas nie straciłam z pola widzenia tych domów. Niewiele rzeczy zasłaniało mi widok – łąki pełne niskich krzaków i kilka innych budynków – ale nie napotkałam na drodze ani jednej żywej duszy.

Nikt nie przejeżdżał autem czy traktorem, nie wyprowadzał psa na spacer. W ciszy nie niosło się nawet szczekanie z oddali. Niepokoi mnie to. Przywykłam do nieustającego tłumy, do zgrzytów i klaksonów, do burczenia silników i stukotu na budowach. Dla mnie to właśnie biały szum, stał mi się potrzebny za dnia jak aplikacja z szumem fal, którego słucham nocą. Wystarczy dodać do tego fakt, że nie mam zasięgu i jestem całkowicie odcięta od świata.

Jak ktokolwiek może odnaleźć tu spokój?

– Au! – Klepię się w udo, zostawiając na skórze małe zwłoki w miejscu, gdzie się uderzyłam. Rankiem komary nie dawały mi spokoju, atakowały rojami moje wilgotne, odkryte części ciała.

Drugie i trzecie ugryzienie w rękę i łydkę pobudza mnie do ponownego biegu. To chyba jedyny sposób, by na mnie nie siadały.

Utrzymuję równe, żwawe tempo, rytmiczne uderzanie podeszw o asfalt jest jedynym dźwiękiem, aż do mojego ucha wpada znajome bzyczenie. Nade mną na niebo wspina się znajomy żółty samolocik, pozostawiając pod sobą drugą warstwę chmur o barwie owczej wełny, które grożą opadem deszczu. Nie widzę, jakie logo namalowane jest na kadłubie, ale równie dobrze może to być samolot czarterowy Alaska Wild.

Może to być tata, który próbuje uciec od córki tak daleko, jak to tylko możliwe.

Czy widzi mnie w moim różowym sportowym stroju i dopasowanych butach?

Przynajmniej kiedyś były różowe. Teraz przez żwirową drogę pokryte są błotem. Po tygodniu w tym miejscu będę mogła wyrzucić je na stacji metra w Davisville, aby dołączyły do pozostałych.

Samolot niknie w oddali i znów zostaję całkowicie sama. Tylko ja i miliony krwiożerczych komarów.

Przede mną znajduje się kilka niskich zabudowań podobnych do szop otoczonych niskim, kolczastym żywopłotem. Mają wszystkie możliwe kształty i rozmiary, a także pordzewiałe dachy. Niektóre z nich wyglądają jak domy, a inne jak stodoły. Po co są? Mama upierała się, że nic nie urośnie w tym klimacie. Zbliżając się, widzę za nimi taflę szkła. To z pewnością szklarnie. Są tu też pick-upy i traktory oraz ścieżki stworzone pomiędzy rzędami roślin. Niektóre pokryte białą folią, inne białymi półkolistymi drutami.

A zaraz za nimi rozciągają się rzędy warzyw – sałaty, zielone cebuli, marchewki

i czegoś, czego nie umiem nazwać. Dwie osoby stoją przy cytrynowożółtej beczce z węzami ogrodowymi.

Mimo wszystko jest tu jakieś życie.

I rosną rośliny. Albo przez dwadzieścia cztery lata ziemia zmieniła się diametralnie, albo moja matka myliła się co do tego jałowego pustkowia. A może zaniechała uprawy, nawet nie próbując.

Nagle znów coś mnie kąsa, więc uderzam się w szyję. Krzywię się na widok trzech komarów na dłoni, po czym znów biegnę, desperacko szukając schronienia przed tymi owadami i pragnąc długiego ciepłego prysznica.

Chyba dopiero wtedy będę musiała poczekać i zobaczyć, czy ktoś przejmie się moją obecnością.

* * *

Jakie w ogóle są tu szanse, że złapie mnie policja?

Rozważam tę kwestię, wyglądając przez kuchenne okno na pick-upa taty, kiedy ból z powodu braku kofeiny zaczyna rozsadzać mi czaszkę. Poczułam go już pół godziny temu, więc z desperacji spróbowałam zdusić go zwykłą czarną kawą. Poddałam się po trzech łykach, po czym dziesięć minut zajęło mi zeskrobywanie goryczy z języka za pomocą szczoteczki do zębów.

Na domiar złego żołądek burczy mi z głodu, a serce ściska nieprzyjemna rzeczywistość, że ojciec pozostawił mnie samą z dala od cywilizacji, która znajduje się o jakieś osiem kilometrów stąd, za dwoma zakrętami – w prawo i lewo.

Agnes się myliła. Dziś wcale nie jest lepiej.

Sprawdzam aplikację z taksówkami. W tym rejonie nie ma żadnych.

Zaciskam zęby i wyszukuję w Google numer do Alaska Wild, ponieważ tata oczywiście nie pomyślał, by zostawić mi na nich namiar.

Po trzecim sygnale odbiera Agnes.

– Tu Calla.

– O, dzień dobry. Jak się spało?

– Dobrze. Jest tam tata?

– Ee... nie. Niedawno wyruszył do Barrow, żeby posprawdzać kilka rzeczy. Wróci dopiero po południu. – Urywa na chwilę. – Ale powiedział, że zostawił ci auto, byś mogła pojechać do miasta.

– Nie mam prawa jazdy.

– Oj. – Niemal widzę głębokie zmarszczki na jej czole. – A więc utknęłaś.

– Mniej więcej. I nie mam nic do jedzenia. – Nie ukrywam irytacji.

– Okej. Zobaczmy... – Słyszę, jak szeleszczą dokumenty. – Sharon może mnie zastąpić, więc do ciebie przyjadę.

– Super.

– Będę w południe.

– Południe? – Nie wiem, kim jest Sharon, ale według obliczeń południe oznacza godzinę czwartą w Toronto.

Umrę do tej pory.

– Albo wiesz co? Jonah zaczyna dziś później. Podrzuci cię do miasta.

– Jonah? – Czuję, że krzywię się z niesmakiem. No chyba żarty sobie stroi.

– Czy jego samochód stoi na podjeździe?

Moje obrzydzenie zmienia się w podejrzliwość.

– Co oznacza „na podjeździe”?

– Po sąsiedzku.

Wyglądam przez okno na dom znajdujący się jakieś pięć metrów dalej. To kolejny prosty budynek modułowy z maślanożółtym sidingiem, któremu przydałoby się mycie. Unoszę brwi.

– Jonah mieszka po sąsiedzku?

– Wciąż tam jest?

– Na podjeździe stoi zielony SUV. – Ale nie ma innych oznak życia.

– O, to dobrze. Idź tam i poproś, aby podwiózł cię do Meyera.

Z każdą chwilą jest coraz lepiej.

– Nie będzie chciał mnie nigdzie podwozić – mamroczę. No i oczywiście nie mam ochoty prosić go o cokolwiek.

– Zawiezie cię – odpowiada. Zauważam jednak, że nie kłóci się co do jego chęci.

– I potem co? Porzuci mnie tam? Wiesz, że celowo wziął wczoraj najmniejszy z samolotów?

Zapada cisza.

– Jonah lubi gierki. Czasami się nudzi. – Śmieje się cicho. – Ale to misiaczek. I nie martw się, rozmawiałam już z Billym. Ma dopilnować, żeby twoje walizki przyleciały dziś po południu.

Wzdycham głęboko z ulgą. W końcu dobre wieści.

– Poproś Jonaha o podwózkę do miasta. Dobrze wam ona zrobi. Jest zżyty z twoim tatą. I nie bój się przywołać go do porządku. Może zostać potraktowany w ten sam sposób, w jaki się zachowuje.

Znów spoglądam ostrożnie na trawnik.

– Albo poczekaj, aż do ciebie przyjadę. Decyzja należy do ciebie.

Poprosić wkurzonego yeti o pomoc lub umrzeć z głodu. To drugie może być mniej bolesne.

– I przychodzicie dziś z Wrenem do mnie na kolację. Mam nadzieję, że nie macz nic przeciwko.

– Jasne. – Jeżeli przeżyję do tego czasu.

Zanim zacznę przesadnie analizować całą sprawę, wkładam pozostawione przez ojca pieniądze do torebki, obracam się na koturnach, biorę okulary przeciwsłoneczne i maszeruję do drzwi. Jestem ubrana w jeansy i dopasowany granatowy sweterek, mimo to komary tną tak samo, zmuszając mnie do szaleńczego biegu obok stojącego samochodu i przez mokrą trawę. Z każdym krokiem zapadam się w błotnisty teren. W końcu udaje mi się stanąć na drewnianym ganku. Mam przemoczone buty, nadające się już tylko do wyrzucenia. To kolejne przypomnienie, że nie mam kaloszy, a wszystko to przez tego dupka, którego zamierzam prosić o pomoc.

Walczę, aby pozbyć się kwaśnej miny, i w końcu pukam do drzwi.

Dziesięć sekund później robię to mocniej.

– Chwila! – woła gburowaty głos. Rozlegają się ciężkie kroki i moment później w wejściu staje wkładający właśnie koszulkę Jonah.

Nie ruszam się.

Nie ma na sobie czapki z daszkiem i okularów przeciwsłonecznych, dzięki czemu uświadamiam sobie, że jest niewiele ode mnie starszy. Może lekko po trzydziestce, jego czoło znaczą niewielkie zmarszczki. Ma długie, mokre, postrzępione włosy na brodzie, które wyglądają, jakby od lat nie widziały nożyczek.

Nie jest również tak napakowany, jaki wydawał się wczoraj w kurtce. Właściwie jest duży, ale raczej szczupły, z tego co udało mi się zobaczyć, nim czarna koszulka zakryła przyjemny widok jego torsu.

Jednak najbardziej poruszają mnie jego oczy. Przeszywa mnie spojrzeniem, ale jego tęczówki mają najjaśniejszy, najładniejszy odcień niebieskiego, jaki w życiu widziałam u mężczyzny.

Pod zmierzwionymi włosami Jonah jest nawet atrakcyjny.

– Calla!

Wzdrygam się.

– Potrzeba ci czegoś? – pyta powoli z irytacją. W sposób, dzięki któremu orientuję się, że musiałam przeoczyć pierwsze pytanie, bo byłam zbyt zajęta gapieniem się na niego.

Szkoda tylko, że te ładne oczy idą w parze z niewyparzoną językiem.

Odchrząkuję.

– Chciałabym, żebyś zawiózł mnie do miasta.

Zerka w kierunku domu taty.

– Co stało się z samochodem Wrena?

– Nic, ale nie mam prawa jazdy.

Unosi brwi.

– Żartujesz. W tym wieku nie masz prawa jazdy?

– Nigdy nie było mi potrzebne – bronię się.

Uśmiecha się niespiesznie.

– Przypuszczam, że wszyscy cię wszędzie wozili, co?

– Nie! Mieszkam w mieście, w którym jest transport publiczny. Wiesz w ogóle, co to jest? – warczę, gdy rozpala się mój temperament. Rzadko zdarza mi się to przy nieznanym. Jasne, kiedy opuszczam Toronto, jestem zdana na łaskę innych osób – mamy, Simona, Diany lub kilku innych przyjaciół, którzy mają samochody – ale nie ma w tym niczego złego. Poza tym to i tak nie ma znaczenia.

Wiedziałałam, że przyście do Jonaha będzie błędem.

– Wiesz co? Nieważne. Sama pojedę. Dzięki. – Odwracam się, schodzę ze schodów i przemierzam trawnik, idąc prosto do samochodu taty. Otwieram drzwi i trzaskam nimi za sobą, po czym spędzam kilka chwil, gotując się z wściekłości. Macham dziko rękami i uderzam nimi o szybę, deskę rozdzielczą i siebie, zabijając małą hordę komarów, które tu za mną wleciały.

Kiedy jestem pewna, że wybiłam je co do jednego, z satysfakcją siadam za kierownicą, chwytając ją od spodu.

W kabinie pachnie papierosami. Nie ma dowodów, że było tu palone – nie ma petów, pustych paczek; nie ma nawet folii, które zamykają pudełka – ale potrafię wyczuć dym, który wniknął w materiał siedzeń.

Kluczyki znajdują się w miejscu, o którym pisał tata – są w stacyjce, czekając na mnie lub każdego, kto by tu wsiadł i odjechał. Choć szanse, aby zrobił to ktokolwiek inny, są naprawdę nikłe.

Mogę jechać do miasta. Liścik mówił o dwóch zakrętach. Puste żwirowe drogi, które prowadzą zapewne do tej głównej. Kilka znaków stopu. Jakieś światła. Zielone znaczy jedź, czerwone – stój. Nie jest to fizyka molekularna, siedziałam na miejscu pasażera wystarczająco wiele razy, żeby sobie poradzić.

– Kurde. – Zerkam na wystający pomiędzy siedzeniami lewarek. To manualna skrzynia biegów. Z tym sobie nie poradzę, bez względu na to, ile razy jechałam z przodu.

Odchyłam głowę i wymyka mi się głośny jęk. Przede mną rozciąga się pusta przestrzeń, a ja jestem uwięziona.

Otwierają się drzwi pasażera, Jonah kładzie na nich rękę.

– Dlaczego chcesz, żebym cię zawiózł do miasta? – Jego głos wciąż jest szorstki, ale

mniej zadziorny.

– Ponieważ nie ma u mnie nic do jedzenia.

– Nic a nic. – Uśmiecha się.

– No nic – warczę jeszcze bardziej sfrustrowana. – Jest tylko zsiadłe mleko i ketchup. Tata zostawił mi kasę i list, ale wyszedł, zanim wstałam. A Agnes może przyjechać dopiero w południe. Boli mnie głowa, bo nie piłam kawy, do tego umieram z głodu. – I jestem w coraz bardziej kiepskim nastroju.

– Nie przesadzaj – mamrocze, patrząc na zegarek, po czym na wschód, gdzie ląduje samolot. Wzdycha. – Następnym razem naucz się prosić.

– Poprosiłam.

– Nie, zażądałaś, a ja niezbyt dobrze radzę sobie z poleceniami.

Piorunuję go wzrokiem, odtwarzając w myślach moje słowa. Poprosiłam, prawda? A może nie.

– No i? – Patrzy na mnie szeroko otwartymi, niebieskimi oczami. – Nie mam za wiele czasu. I lepiej, żebyś się pospieszyła, bo jeśli pogoda pozwoli, będę miał cały dzień latania. – Zamyka drzwi i wraca do siebie.

Zarówno z ulgą, jak i niepokojem wysiadam i idę za nim do jego SUV-a – starego, zielonego forda escape'a, któremu brakuje opony na tylnej klapie, ale prócz tego jest w przyzwoitym stanie.

Poruszając się z tak wielką gracją jak wczoraj, z tylnego siedzenia zabiera czarną czapkę z daszkiem z napisem USAF, którą miał na głowie, gdy go poznałam. Wsiada za kierownicę.

Zajmuję miejsce pasażera, gdzie czuję lekki zapach miętowej gumy do żucia, podczas gdy mój kierowca nastawia temperaturę nadmuchu i nawiew na desce rozdzielczej, by wkrótce przestarzałe wnętrze zostało ogrzane niewielkim powiewem ciepłego powietrza. A tak w ogóle, ile lat ma ten samochód? Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni siedziałam w aucie, które miało korbki do opuszczania szyb.

Przed moją twarzą przelatuje komar.

– Zawsze tak gryzą? – Klaszczę, żeby go zabić.

– Nie przeszkadzają mi.

– Rano chciały zjeść mnie żywcem.

– Może następnym razem lepiej się ubierz.

Opada mi szczęka.

– W tamtych ciuchach nie ma niczego złego. – Moje spodenki oczywiście są krótkie, ale wygodne. Tak jak i koszulka na ramiączkach. Co prawda taki strój sprawdza się lepiej na miejskich ulicach, gdzie nie ma robactwa, więc chyba zaczynam rozumieć. Nie żebym kiedykolwiek to przed nim przyznała. Chwileczkę...

– Śledziłeś mnie?

Prycha.

– Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że biegałaś w rzeczach, które pozostawiały naprawdę niewiele wyobraźni, wymachując rękami jak jakaś wariatka. – Uruchamia samochód i jedziemy dziurawym podjazdem w milczeniu, a ja się rumienię.

– Dzięki za podwózkę – mówię w końcu. Być może nie jest zadowolony, ale przynajmniej mi pomaga.

W odpowiedzi słyszę tylko pomruk, po czym pyta:

– Dlaczego jeszcze nie piłaś kawy? Wren zawsze zaparza pełny dzbanek i go zostawia. Nie mogłaś nalać sobie do kubka?

Dlaczego wszystko, co wychodzi z jego ust, brzmi jak atak?

– Potrzebuję mleka sojowego.

– Oczywiście – mamrocze.

Nie mam pojęcia, co to powinno oznaczać, ale przypuszczam, że nic pochlebnego.

Resztę drogi do miasta przemierzamy w ciszy.

* * *

Bangor, miasto liczące sześć i pół tysiąca mieszkańców, to największe skupisko ludzkie w zachodniej Alasce, a jednocześnie dziura zabita deskami.

Przynajmniej takie było moje pierwsze wrażenie.

Gryzę się w język, by nie powiedzieć tego na głos, gdy przemierzamy krętą główną drogę, mijając skrzyżowania ze znakami prowadzącymi na bardziej wiejskie trasy – niektóre zwirowe, inne asfaltowe, ale tak popękane, że lepiej byłoby, gdyby nie zostały utwardzone.

Po obu stronach mijamy budynki jedno- lub dwukondygnacyjne. Przypominają te z lotniska, są prostokątne i obite sidingiem, a na dachach króluje blacha. Niektóre są kremowe albo brązowe, inne wyblakłe niebieskie i szmaragdowe. Okna są nieproporcjonalnie małe, czasem wcale ich nie ma. I wszystkie połączono srebrnymi rurami biegnącymi po trawiastej ziemi z jednej działki do drugiej.

– To dzielnica przemysłowa?

– Nie.

Odsuwam od siebie chęć przewrócenia oczami. To drugie ulubione słowo Jonaha, zaraz po „tak”.

Mijamy działkę, w ogrodzie której znajduje się plac zabaw. Dwoje dzieci bawi się na drążkach i przygląda im się siedzący husky, choć nigdzie nie widać rodziców. Uświadamiam sobie, że wiele mijanych budynków to po prostu domy, bo widzę leżące na trawnikach rowery, kije baseballowe oparte o ścianę, jest też koślawa trampolina. Domy nie są ładne. Nie prowadzą do nich ścieżki, nie mają zadbanych ogrodów czy przytulnych ganków. Zamiast tego na podjazdach stoją brudne, odrapane quady, a z boku znajdują się nieestetyczne cylindryczne zbiorniki.

Przekonuję samą siebie, że to dlatego, iż jesteśmy na przedmieściach. Kiedy Jonah wjeżdża w głąb tego miasta na pustkowiu – bez dróg łączących go z resztą Alaski – trafiamy na okolicę, która jest mi bardziej znajoma. To dzielnica z budynkami z cegły i podjazdami obsadzonymi liliowcami i różami. Główna ulica wygląda bardziej jak miejska, z witrynami, ozdobnymi latarniami ulicznymi i ludźmi ubranymi w coś więcej niż jeansy i zwykłe bawełniane koszule.

Na każdym rogu nie ma śmietników upstrzonych sprayami z tęczą i słońcem oraz napisem: „Bangor jest najlepsze”, jak te, które niedawno mijaliśmy, za to przy krawędziach asfaltu walają się rzeczy wywleczone przez zwierzęta z zachwaszczonych pól.

Im dalej jedziemy, tym jestem mniej pewna siebie.

Dziękuję, mamo, że mnie stąd wywiozłaś.

Wzdłuż drogi nie ma chodnika. Gdziekolwiek nie spojrzę, widzę osoby poruszające się niespiesznie przy rowach. Niektóre niosą szare papierowe torby z zakupami. Większość ma na nogach kalosze lub trapezy, wydaje mi się, że nie zważają na błotniste kałuże czy ziemię oblepiającą im nogawki.

I ci ludzie są w przeróżnym wieku, niektórzy mają z dziesięć, jedenaście lat, a jeden to starszy i już kulejący rdzenny mieszkaniec Alaski, któremu wyraźnie przydałaby się laska.

– Upadnie i zrobi sobie krzywdę – mamrocze pod nosem, nie spodziewając się odpowiedzi od Jonaha, może prócz burknięcia.

– Lud Juków jest twardy. Ten facet zapewne codziennie przechodzi z pięć kilometrów. Marszczę brwi.

– Kto?

– Lud Juków. Niektórzy to Atabaskowie lub Aleuci. – Skręca w lewo. – Wsie, do których najczęściej latamy, to społeczności Juków.

– Agnes jest jedną z nich?

– Tak. Dorastała w wiosce w górze rzeki. Jej matka i bracia tam zostali, żyją jak dawniej.

– Na widok mojego skrzywienia dodaje szybko: – Utrzymują się z uprawy roli.

– O! To jak jedzenie tylko własnych plonów? – W przeciwieństwie do wszystkich poprzednich rozmów mam wrażenie, że dostaję właśnie użyteczne informacje o zachodniej Alasce.

– Tak. Jeśli chcesz porównać całą kulturę z najnowszym kulinarnym trendem... – odpowiada oschle.

Przyglądam się twarzom mijanych osób. Połowa z nich to rdzenni mieszkańcy Alaski, podczas gdy reszta jest rasy kaukaskiej, poza jednym człowiekiem wyglądającego na Indianina ze wschodu. Patrząc na stojących obok zdezelowanej tahomy z podniesioną maską, spod której paruje coś z silnika.

– Co oni robią? – Wskazuję trzech mężczyzn około dwudziestki, którzy idą wzdłuż drogi. Dwóch niesie materac, a trzeci nieporęczne pudło. Jakies trzy metry przed nimi idzie kobieta z lampą w jednej ręce, drugą podtrzymując dziecko.

– Chyba się przeprowadzają.

– Na piechotę?

– Przenoszą się zapewne tylko przecnicę lub dwie. Nie trzeba spalać do tego paliwa, kiedy kosztuje niemal siedem dolarów za galon.

– Rozumiem, że to dużo – zgaduję, po czym pospiesznie dodaję: – Operujemy litrami. – Nie żebym potrafiła odnieść się do ceny w tej jednostce, ale mam dosyć wychodzenia na głupią w oczach Jonaha.

Mój kierowca leniwie unosi rękę, witając się z kimś przejeżdżającym na quadzie.

– To dwa razy tyle, co w Anchorage. Niemal trzy razy tyle, co w Dolnych Czterdziestu Ośmiu[1].

Czym? Śmiem o to zapytać? Pewnie dostanę kolejną lakoniczną odpowiedź z podtekstem, że jestem ignorantką.

Sięgam po komórkę, by sprawdzić to w Google, ale zamieram, bo przypominam sobie, że nie mam zasięgu.

– Tak nazywamy resztę Ameryki – mamrocze Jonah, jakby potrafił czytać mi w myślach.

– Tutaj całe paliwo musi płynąć tankowcem, a następnie w mniejszych łodziach do wiosek. To spory koszt transportu i przechowywania, tylko po to, by uruchomić samochód, którego utrzymanie również niemało kosztuje, nie mówiąc o wygórowanej cenie zakupu. Wielu ludzi po prostu nie ma auta, a ci, którzy je mają, dbają o nie, żeby wytrzymało jak najdłużej.

To chyba wyjaśnia, dlaczego tata jeździ pojazdem mającym co najmniej piętnaście lat, chociaż mógłby sobie pozwolić na coś o wyższym standardzie.

W ciszy przyglądam się mijanym samochodom, które tylko potwierdzają słowa Jonaha. Wszystkie są stare, zużyte, z zadrapaniami i wgnieceniami. GMC, ford, hondy. Wiele pick-upów, żadnego lśniącego bmw.

Zaskakuje mnie widok wysłużonego białego sedana z pomarańczowym napisem TAXI i numerem telefonu na boku.

– To macie tu taksówki?

Jonah prycha.

– Sporo. Więcej na osobę niż w jakimkolwiek innym mieście Stanów. Pięć dolarów i dojedziesz w każde miejsce w centrum, siedem na lotnisko.

Szkoda, że nie wiedziałam. Z chęcią zadzwoniłabym po którąś, zamiast użerać się z Jonahem, który mimo wszystko zachowuje się dość przyzwoicie. Właściwie przyjaźnie. Używa pełnych zdań.

Może właśnie dlatego ośmielałam się zapytać:

– Całe życie mieszkasz na Alasce?

Następuje chwila milczenia, więc zastanawiam się, czy może źle odczytałam jego postawę, czy nie powinnam się zamknąć.

– Urodziłem się w Anchorage. Przenieśliśmy się do Vegas, gdy miałem dwanaście lat. Wróciłem tu jakąś dekadę temu.

– Vegas, serio?

Natychmiast spogląda na mnie niebieskimi oczami.

– Dlaczego tak to powiedziałaś?

– Bez powodu. Nie znam nikogo, kto mieszkałby w Vegas. Spędziłam tam jedynie weekend na picu, więc były to trzy niezbyt jasne dni z Dianą i dwiema innymi przyjaciółkami w nasze dwudzieste pierwsze urodziny. Gdy leciałam do domu, zwinęłam się w kłębek na siedzeniu, mając wielką ochotę stamtąd uciec.

– Cóż, miasto składa się z czegoś więcej niż Strip, na której nie ma wielu mieszkańców.

– Tęsknisz?

– Do diabła, nie. Nie mogłem się doczekać, by się stamtąd wyrwać.

– Dlaczego?

Wzdycha, jakby nie miał siły odpowiadać na tak postawione pytanie.

– Życie tam jest zbyt szybkie, zbyt głośnie, zbyt materialistyczne. Wybierz sobie.

Szybko rozumiem, że to zupełnie przeciwieństwo Bangor.

– Ale dlaczego ta część Alaski? To znaczy, dlaczego nie wróciłeś do Anchorage, skoro tam się wychowywałeś? Wygląda ładniej. Spokojniej. Przynajmniej z tego, co zaobserwowałam.

– I z tego, co czytałam, to prawdziwe miasto.

– Tu mi się bardziej podoba.

Mam wrażenie, że mógłby powiedzieć znacznie więcej, ale nie ma takiego zamiaru. Mimo to jestem zbyt ciekawa, żeby przestać dopytywać.

– A tak w ogóle, jak to się stało, że latasz dla mojego taty?

– Jeden z jego pilotów przyjaźnił się z moim ojcem. Wprowadził mnie.

Wzmianka o jego tacie przywodzi mi na myśl wczorajsze słowa Agnes. Waham się. To drażliwy temat, ale jednocześnie nas łączący.

– Słyszałam, że twój ojciec też miał raka.

Wstrzymuję oddech, czekając na to, co powie – wyzna, kiedy zmarł jego tata, na jakiego raka chorował, jak długo cierpiał, jak mocno walczył. Chciałabym zapytać, czy Jonah był z nim zżyty i czy nadal boli go ta strata. Może po niewielkiej dawce tych informacji wyda mi się bardziej ludzki, może zmięknie, gdy uświadomi sobie, że przynajmniej to nas łączy.

– Tak.

Zaciska rękę na kierownicy i natychmiast żałuję, że poruszyłam ten temat. Jednak chyba dostałam odpowiedź na pytanie, czy nadal go to boli.

Szybko szukam nowego, bezpiecznego tematu.

Znajduję go, gdy dostrzegam złoty znak.

– Hej! Macie Subwaya! – Nie lubię nawet tego jedzenia, a mimo to jestem

podekscytowana, dlatego że jest czymś znajomym.

Jonah rozluźnia palce.

– To jedyna sieciówka, którą tu znajdziesz.

– To... nie macie Starbucksa, co? – kwituję, dodając do tego uśmiech.

Lodowe oczy zerkają na mnie, nim wracają do drogi.

– Nie.

– A jest tu gdzie napić się kawy?

Docieramy do sygnalizatora drogowego ze światłami, pierwszego jak do tej pory. Nadal trzymając rękę na kierownicy, Jonah wskazuje palcem z obgryzionym paznokciem i pozadzieranymi skórkami na zielony budynek.

– Tam.

Nad ciemnym wejściem wisi biała plastikowa tablica.

– Kawiarnia i sklep wędkarski Berty – czytam na głos.

– Tak. No wiesz... ikra, robaki, śledzie, skrzynki, kawałki martwych...

– Rozumiem – przerywam mu z grymasem. – Ale w kawiarni? To chyba naruszenie przepisów departamentu zdrowia...

– Ludzie muszą mieć się różnych branży, by utrzymać interes.

– No chyba. – Znów się wzdygam, zauważając sąsiedni budynek złożony z powypaczanych płyt i blachy, z odchodzącą farbą i znakiem zbitym z desek, na których widnieje wypisana pędzlem nazwa SZECHUAN.

– Boże, czy to... chińska restauracja?

Wygląda jak baza zbudowana ze śmieci przez grupę dziesięciolatków.

– Jest tu od zawsze.

W każdym innym miejscu w Ameryce tę rudere natychmiast zamknąłby nie tylko departament zdrowia, lecz także budowlany.

– Gdzie ja, u licha, jestem? – mamroczę, celując w to cudo telefonem. Niech tylko Diana to zobaczy.

Czuję na sobie srogi wzrok.

– Chcesz, bym się zatrzymał, żebyś mogła pobiec i przekonać się, czy mają świeży dzbanek...

– Nie, dzięki. Poczekam. – Wolę ból głowy od kogoś, kto prawdopodobnie nie umył rąk po włożeniu ich do wiaderka pełnego wijących się dżdżownic.

Wydaje mi się, że pod brodą może czaić się niewielki uśmiech, ale pewności nie mam. Mimo to czuję się dziwnie dobrze na myśl, że ten „misiaczek”, jak mówiła o nim Agnes, może nie gardzi mną aż tak, jak początkowo założyłam.

Znów skręca – albo liścik taty przedstawił złe wskazówki, albo Jonah jakoś inaczej mnie wiezie – i jesteśmy na szerokiej drodze, wzdłuż której ciągną się takie same obite sidingiem budynki, tym razem wszystkie z szyldami. Najwyraźniej Bangor ma wszystkie niezbędne firmy – prawnika, dentystę, izbę handlową, bank, a nawet pośrednika nieruchomości czy budę z kanapkami, pizzerię i rodzinną restaurację, które nie wyglądają, jakby serwowały salmonellę.

Burczy mi w brzuchu, gdy mijamy lokal Gigiego serwujący pizzę i makarony. Mieści się w niewielkim żółtym budynku, który ma więcej okien niż reszta lokali na tej ulicy. Chociaż drzwi nie są podświetlone, tak jak i napis „otwarte”. Gdyby nie było tak ciemno, poprosiłabym Jonaha, aby mnie tam zostawił, a wróciłabym do domu taksówką.

Mój kierowca wjeżdża na parking i staje obok quada. Przed nami znajduje się wielki magazyn wykończony brązowym sidingiem i pokryty cienkim i czarnym blaszanym dachem. Szyld nad drzwiami głosi: „Sklep spożywczy, odzieżowy i gospodarczy Meyera”.

– Słuchaj, jeżeli chcesz poczekać...

Otwiera drzwi, wysiada z gracją i okręża samochód, zanim mam szansę dokończyć zdanie. Stoi, krzyżuje ręce na szerokiej piersi i czeka na mnie.

– Najwyraźniej idę na zakupy z Jonahem – mamroczę pod nosem. Przynajmniej nie będzie mógł mnie tu porzucić.

Mam nadzieję.

Wysiadam, poprawiając sweter w pasie.

Jonah zauważa ten niewielki ruch, po czym się odwraca, jakby zupełnie niezainteresowany. W porządku, ponieważ nie próbuję go poderwać. Zastanawiam się, jakie kobiety mu się podobają. Nie potrafiłabym nawet zgadnąć. Powiedziałabym jedynie, że twarde.

Idzie w kierunku schodów prowadzących do wejścia.

I mimo że jest palantem, nie potrafię nie podziwiać jego ramion i pleców, idąc za nim. Ma imponującą sylwetkę kogoś, kto regularnie podnosi ciężary. Dolnej połowy jego ciała nie potrafię ocenić, ponieważ ma luźne jeansy. W dodatku powinien ciaśniej zapiąć pasek, bo wiszą mu na pośladkach.

Unoszę głowę i patrzę mu w oczy. Zostałam przyłapaną na obcinaniu go wzrokiem.

– Myślałam, że ci się spieszy. – Ruchem głowy wskazuję, aby szedł dalej. Czuję, jak się rumienię.

Pociąga za rączkę wózka i wyjeżdża nim ze sznura innych.

– Dokąd najpierw?

Dobre pytanie. Jednym z domowych luksusów było to, że nie musiałam planować przygotowywania posiłków. Jasne, kiedy wyjeżdżałam z przyjaciółmi na weekend, zatrzymywaliśmy się w sklepie, by kupić burgery i tego typu rzeczy, ale normalnie w tygodniu wszystkim zajmuje się mama. Kiedy ostatni raz sama coś takiego robiłam?

Czy kiedykolwiek mi się to zdarzyło?

W środku sklepu panuje chaos, ponieważ każdy możliwy centymetr powierzchni zajmują produkty. Nie przywykłam do czegoś takiego. W rzadkich przypadkach, gdy muszę uzupełnić coś, co się akurat skończyło, robię to w lokalnym, eleganckim, stylowym sklepie z przestronnymi alejkami i kuszącymi promocjami.

Jeśli chodzi o estetykę, to miejsce wypada dość blado z migającymi jarzeniówkami, szarą podłogą, wąskimi alejkami, półkami przepelnionymi towarami i skrzynkami pod nimi. Na środku na paletach stoją napoje i papier toaletowy, co zmusza do poruszania się z wózkami slalomem. Gdziekolwiek nie spojrzę, widzę napis „promocja”, choć ceny nie mogą być właściwe, bo pudełko płatków śniadaniowych nie kosztuje dziesięć dolarów, zgrzewka dwunastu butelek wody z pewnością nie jest warta trzynaście, a paczka papieru toaletowego nie kosztuje trzydzieści dwa dolary.

Zauważam jednak z radością, że sklep posiada niewielką kawiarnię, a za szklaną witryną po mojej prawej stronie znajdują się kremowe ciasta i lukrowane babeczki. Nad metalowym kontuarem zawieszono na ścianie białą tablicę, na której wypisano menu ciepłych napojów.

Podchodzę do miejsca, w którym za wieżą papierowych kubków chowa się dziewczyna.

– Natychmiast potrzebuję kofeiny. – W mojej czaszce tępy ból podkreśla tę prośbę.

Wpatrują się we mnie niemal czarne oczy.

– Jakiej wielkości?

– Największą, jaką dostanę. Latte z mlekiem sojowym.

– Nie mamy.

Patrzę na tablicę, sprawdzając dwa razy, czy mi się nie przywidziało.

– Tu napisano, że macie.

– Tak, robimy latte, ale normalne.

Mam ochotę wyznać, że sześć dolarów i pięćdziesiąt centów amerykańskich za latte to nie jest normalna cena, ale gryzę się w język.

– To jest to samo, tylko z mlekiem sojowym.

– Nie mamy go – mówi powoli, jakby to miało mi pomóc zrozumieć.

Biorę głęboki, uspokajający oddech.

– Okej, a macie mleko migdałowe lub z nerkowców, albo... – urywam, gdy widzę, jak kręci głową.

– To chyba nie chce pani zwykłej latte – mówi nieco obrażona.

– Nie, chyba nie. – Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni stałam przed baristą – jeżeli to poprawne określenie na tę dziewczynę – który poinformowałby mnie, że nie mogę niczego zmodyfikować. To chyba nigdy się nie zdarzyło.

– Sprawia problemy, Kayley? – pyta Jonah, stając za mną.

– Cześć. – Dziewczyna uśmiecha się do niego, całkowicie mnie lekceważąc.

Przeglądając jej się bliżej, stwierdzam, że to bardziej kobieta. Jest po dwudziestce, ma duże oczy w kształcie migdałów i wysokie kości policzkowe. Jej twarzy nie zdobi róż ani tusz do rzęs. Jest naturalnie ładna, a fakt, że brązowy kucyk zakrywa siateczka, wcale nie umniejsza jej urody.

Założyłam raz taką siatkę, gdy byłam zbuntowaną szesnastolatką i stwierdziłam, że nie dam rady pomagać mamie weekendami w kwiaciarni. Dostałam pracę w lokalnej ciastkarni, która mieściła się trzy domy dalej. Wytrzymałam aż jedną sobotę, zanim wróciłam do mamy, ponieważ choć trudno się z nią pracowało, nie kazała mi nosić czegoś tak obrzydliwego na głowie.

– Dlaczego dziś nie latasz? – pyta Kayley, leniwie przekładając papierowe kubki, jednak jej jastrzębie spojrzenie nie opuszcza twarzy Jonaha.

– Polecę za godzinę, tylko skończę się bawić w niańkę. – Wskazuje na mnie ruchem głowy. – To córka Wrena. Jeszcze nie dotarło do niej, gdzie jest.

– W tej chwili w piekle – warczę niespodziewanie rozdrażniona. Jestem głodna, serce mi kołacze, a on stroi sobie ze mnie żarty.

Patrzy bez wyrazu, nim się przysuwa, by oprzeć przedramiona na ladzie.

– Hej, a może mogłabyś wziąć karton tego, czego chce, z półki i zrobić jej kawę, aby była chociaż trochę przyjemniejsza w obyciu? – Jego głos staje się miękki, lekko ochryply.

Kayley z niechęcią wykrzywia usta.

– Yvette nie lubi, gdy tak robimy. Zawsze reszta się marnuje.

– Nie martw się. Weźmiemy karton i zapłacimy za niego przy kasie. Nic was to nie będzie kosztowało. No dalej, Kayley, wyświadczyłabyś mi ogromną przysługę. – Widzę jedynie jego profil, ale po sposobie, w jaki marszczą się jego oczy, wiem, jak na nią patrzy.

Czy... on z nią flirtuje?

Czy yeti naprawdę wie, jak to się robi?

Kayley przewraca oczami, ale przechyla też głowę na bok i zabawnie wykręca wargi.

– Jasne, Jonah. Daj mi chwilę.

Mimowolnie piorunuję ją wzrokiem, ale zaraz ukrywam to za szerokim, sztucznym uśmiechem.

– Wielkie dzięki, Kayley. Przepraszam za kłopot.

Ignoruje mnie i wychodzi za róg, kołysząc przy tym biodrami. Leci na Jonaha. Ma nadzieję na jakąś romantyczną relację. A może coś już między nimi zaszło.

Oba scenariusze są wyraźnie masochistyczne. A może nawet psychopatyczne.

Czuję, że Jonah się we mnie wpatruje.

– No co?

Kręci głową.

– Nie możesz się doczekać, aż wrócisz do domu, co?

– Wiesz co? Dzięki za podwózkę. Możesz już odejść, żeby polatać sobie swoim samolocikiem. Poradzę sobie.

Spodziewam się, że skorzysta z okazji i mnie porzuci, ale zamiast tego opiera się o wózek, a w jego oczach błyszczy wesołość.

– A niby jak zamierzasz wrócić do oddalonego o osiem kilometrów domu?

– Pożyczę torbę na niezbędne rzeczy, a po resztę przylecę później – drwię, wpatrując się w niego znacząco. Łatwiej byłoby złapać taksówkę.

Wyciąga rękę, pozdrawiając przechodzącego starszego mężczyznę.

– Spokojnie. Twoje ubrania będą tu dziś lub jutro.

– Dzięki Agnes i Billy’emu jeszcze dziś. – A nie tobie.

– Billy’emu? – Jonah unosi brwi, po czym odchyła głowę. Z jego ust wydobywa się niespodziewany głośny śmiech, przez co kilku klientów sklepu odwraca się w naszą stronę. – Billy spędził wczorajszą noc z rękami w twoich rzeczach.

– Wcale nie! – pryham.

– Wziął twoje walizki do domu, wypakował je na swoim łóżku, rozebrał się i tarzał...

– Boże! Przestań! To ohydne! – Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. On żartuje, tak? Musi się nabijać.

Ale wyraz jego twarzy podpowiada mi, że być może to wcale nie są żarty.

– Zapewne powinnaś wyprać majtki, zanim je włożysz.

Krzywię się z obrzydzeniem na te słowa, kiedy starsza kobieta, rdzenna Alaskanka, ubrana w wielką bluzę New York Knicksów i mająca granatowo-pomarańczową chustę na głowie, spod której wystają krótkie siwe włosy, podchodzi z wózkiem do Jonaha. Kładzie rękę na jego przedramieniu.

– Śmiech *Tulukaruqa* usłyszałabym z kilometra.

Jak ona go właśnie nazwała?

Jej twarz przypomina mi Agnes, choć policzki zdradzają wiek, zmarszczki ma o wiele głębsze. Jest również niższa. Ma może z metr pięćdziesiąt pięć, przez co różnica wzrostu pomiędzy nią a Jonahem jest niemal komiczna.

Mężczyzna patrzy w dół i nawet jego gęsta broda nie potrafi skryć uśmiechu.

– Co robisz w dole rzeki, Ethel?

– Zakupy. – Macha pomarszczoną dłonią, wskazując wózek pełen ryżu, mąki i puszek coli.

– Jak Josephine i dziecko?

Na te słowa na twarzy starszej pani pojawia się uśmiech.

– Mały w końcu przybiera na wadze. A Josephine jest silna.

– Jak wszyscy z wioski.

Ethel prycha na wzmiankę, która, jak zakładam, jest komplementem. Patrzy na mnie ciemnymi oczami.

– Kto to?

– Córka Wrena. Odwiedza go.

Kiwa głową, intensywnie mi się przyglądając niemożliwym do odczytania wzrokiem.

Czuję się niezręcznie, więc rzucam zdawkowe:

– Dzień dobry.

– Ładna – stwierdza w końcu Ethel, kiwając głową, jakby chciała, by przekazał mi jej aprobatę, bo nie zarejestrowała mojej obecności w sklepie.

– Albert cię przywiózł? – pyta Jonah, szybko zmieniając temat.

– Tak. Jest w szpitalu, musiał pojechać tam z ręką.

– Co mu się stało?

– W czerwcu skaleczył się na obozie wędkarskim.

Jonah marszczy brwi.

– Musi być kiepsko, skoro pofatygował się do lekarza aż tutaj.

– Rana ropyje – przyznaje kobieta z powagą. – Uzdrowiciel powiedział, że bez lekarstw się nie obejdzie. – Parska śmiechem. – Stwierdziłam, że gdy będzie spał, odetnę mu ją w nadgarstku, aby infekcja się nie rozprzestrzeniła. Chyba mi uwierzył.

– Bo cię zna – mówi Jonah, kręcąc głową. Uśmiecha się, ale mam wrażenie, że wierzy w to, że kobieta mogłaby spełnić swoją groźbę.

– Kiedy ponownie przylecisz do wioski?

– Zobaczymy. – Wzrusza bezradnie ramionami.

– Przyleć niedługo, mamy dla ciebie mięso. – Ponownie na mnie patrzy. – Jonah uratował życie mojej Josephine i jej dziecku. Poród zaczął się zbyt wcześnie, więc przyleciał po nią, gdy sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nikt inny nie dałby rady. Dziecko było sine, a Josephine straciła dużo krwi...

– Wykonałem tylko swoje zadanie – mamrocze Jonah, przerywając jej, jakby było mu głupio. – Pozdrów Alberta i powiedz, żeby nauczył się patroszyć ryby.

Ethel się śmieje, klepiąc go po rękę.

– Do zobaczenia w górze rzeki.

Przyglądam się, jak odchodzi.

– To prawda? Poleciałeś, gdy nikt inny nie mógł?

– Napadało trochę śniegu. Ethel przesadza – mruczy, odwracając się ode mnie, przeszukując alejki, być może wyglądając za Kayley lub zamykając rozmowę, której najwyraźniej nie chce kontynuować.

Czy to skromność? Coś mi mówi, że staruszka nie przesadzała, a „sytuacja, która wymknęła się spod kontroli” może niekiedy oznaczać istną apokalipsę.

Za ladą pojawia się Kayley, wrywając mnie z zamyślenia. Unosi karton sojowego mleka.

– Miała być duża, tak?

– Tak, ale... – Waham się. – Nie macie przypadkiem tego z firmy Silk? – To jedyne, które nie smakuje jak płynna kreda.

Na jej twarzy maluje się irytacja.

– To jedyne, jakie mamy. Robić tę kawę?

Wzdycham.

– Tak. Z dodatkową pianką, proszę.

Kayley marszczy brwi.

– Nasza mała księżniczka będzie musiała wypić taką kawę, jaką zrobisz, i podziękować, że poszłaś dla niej po to mleko – przerywa cierpliwym tonem Jonah. – Prawda, Calla?

– Oczywiście. – Rumienię się. Jakim cudem sprawił, że czuję się absurdalnie, zamawiając tak zwykłą rzecz jak kawa i prosząc, żeby przygotowano mi ją w mój ulubiony sposób?

Ruchem głowy wskazuje alejkę z warzywami, popychając wózek w tamtą stronę.

– Idź na zakupy, a ja przyniosę ci napój, gdy będzie gotowy.

Czy proponuje to dlatego, że chce zostać sam na sam z Kayley? A może chce się na chwilę ode mnie uwolnić? Mieć czas, aby podrwić z „małej księżniczki”? Stwierdzam, że mam

to gdzieś.

– Super! – Odchodzę z szerokim, pełnym zadowolenia uśmiechem, ponieważ Jonah będzie musiał zapłacić sześć pięćdziesiąt za kubek tej gównianej kawy.

* * *

– Już koniec, prawda? – Jonah pcha wózek w kierunku kas, pospiesznie zerkając na zegarek. Gdy tylko podał mi papierowy kubek – bez chroniącego przed oparzeniem papierka – przejął zakupy. Mogłabym pomyśleć, że chciał pomóc, ale biorąc pod uwagę szybkie tempo, w jakim przemierzał alejki, po prostu chciał wydostać się stąd jak najszybciej. Choć mnie przy tym nie porzucił.

– Chyba tak? – Przelykam ostatni łyk czegoś, co może być znane jako najgorsza znana ludzkości kawa, i wrzucam kubek do najbliższego śmietnika. Przynajmniej ustępuje ból głowy, ale nie mam pojęcia, jak wytrzymam cały tydzień na tym cholerstwie. Zastanawiam się, czy docierają tu przesyłki z Amazona...

– Ostatnia szansa – ostrzega.

Wpatruję się w rzeczy w wózku – koktajle owocowe na śniadanie, sałatę oraz pierś kurczaka na lunch i obiad, a także paczkę migdałów, tuzin jaj i składniki na kanapki, banany na przekąskę. Właściwie to, co jadam w domu. Dzięki Jonahowi mam również kosztujący dwie dychy spray na owady, którym się z pewnością zatruję. Mój towarzysz spacerował pomiędzy quadami i silnikami do łodzi – ponieważ najwyraźniej na Alasce takie rzeczy kupuje się również w markecie – i wrzucił go do koszyka bez pytania, informując na tyle głośno, że zapewne został usłyszany przez klientów znajdujących się dwa działy dalej, że jeśli ponownie postanowię biegać nago, to jedyny środek, który zadziała na te owady.

Mimo to mam niejasne przeczucie, że o czymś zapomniałam.

– Chodź, jedziemy. Wren przywiezie cię tu później, jeżeli czegoś zapomnisz.

– Wątpię. – Parskam szyderczo. – Jest zbyt zajęty zarabianiem kasy, by poświęcić córce czas. Nie chce mnie tutaj.

Jonah się krzywi.

– Kto ci o tym powiedział?

– Nikt. To oczywiste. – Gdyby nie Agnes, nie wiedziałabym w ogóle, że jest chory.

Agnes.

Dzisiejszy obiad.

Właśnie o tym zapomniałam.

– Czerwone czy białe?

– Co? – Zdezorientowany marszczy brwi, najwyraźniej zaskoczony moim pytaniem.

– Agnes zaprosiła mnie i tatę na kolację. Muszę coś jej przynieść. – W dodatku chyba woła mnie butelka wódki, żeby pomóc mi jakoś przetrwać ten tydzień. – Czerwone czy białe wino?

Macha ręką.

– Daj sobie spokój. Ona niczego nie oczekuje.

– Nie mam zamiaru iść w gości z pustymi rękami – mamroczę, rozglądając się po oznakowaniu sklepu, szukając alejki z alkoholem, którą najwyraźniej przeoczyłam. – No kto tak postępuje?

– Ja, cały czas – odpowiada tonem, jakby był z tego dumny.

– Tak, cóż... – To było pytanie retoryczne, ale nie powinno mnie dziwić, że yeti nie zna podstawowych zasad etykiety. Tymczasem matka nalegała, abym piekła ciasteczka w podziękowaniu za zorganizowanie zabaw przez znajomych, nawet kiedy miałam osiem lat. –

Przyniesienie podarunku gospodarzowi uważane jest za przejaw dobrego wychowania. Można na przykład przynieść wino – mówię spokojnie, z niewielką przyganą.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę tymi lodowymi oczami.

– Aggie nie pije. Twój tata okazjonalnie wysączy piwo.

– Super. – Może jeśli kupię mu sześciopak, będzie musiał przez chwilę ze mną porozmawiać. – Gdzie mogę...

– Nie możesz. To niepijąca społeczność. W Bangor nie sprzedaje się alkoholu.

– Co takiego? – Czuję, że na mojej twarzy maluje się szok. – Kłamiesz.

Unosi brwi.

– Zamierzasz się ze mną o to kłócić?

– Co to, u licha, jest? Prohibicja z lat dwudziestych?

– Nie. To zachodnia Alaska, gdzie alkoholizm jest poważnym problemem – mówi, a jego głos przybiera protekcyjny ton. – Ludzie wypiją za dużo, zasną w zaspie i zamarną na śmierć.

– Więc nikt nie może tu kupić alkoholu? – To chyba przesada.

– Nie. Nawet ty. – Zbyt mocno się tym cieszy.

– To skąd tata ma piwo? – spieram się. – Mówiłeś, że okazjonalnie je pije.

– Przywozi je do domu, gdy leci do Anchorage lub Seward. I na pewno nie polecę tam, żeby kupić ci cholerny sześciopak. – W szerokim, szyderczym uśmiechu widać jego proste białe zęby. – Raczej będziesz musiała zrezygnować dziś z etykiety.

– Nic nie szkodzi. Kupię kwiaty. – Zerkam na zielone wiaderko umieszczone przy kasie, w którym znajduje się smętny bukiet cytrynowożółtych margerytek, a sztuczny barwnik na płatkach nie jest w stanie zakryć ich brązowych końców. *Moja matka kwiaciarka dostałaby zawału na ten widok*, myślę, po czym biorę bukiet i idę za Jonahem do ostatniej kasy, piorunując wzrokiem jego plecy.

Niepijące społeczeństwo? Co można zamówić tu w barze w piątkowy wieczór? Koktajle śmietankowe czy kakaowe? Jeżeli się jednak zastanowić, nie widziałam żadnego szyldu z napisem „bar”.

Co więc robią tu ludzie, żeby się zabawić?

– Nie powinieneś pracować? – pyta kasjerka – biała kobieta po pięćdziesiątce z blond włosami, niebieskimi oczami i lekkim południowym akcentem, który rozmył się z czasem. Uśmiecha się do Jonaha, jednocześnie zerkając na mnie z zaciekawieniem. Wolę to niż skryte zerkanie, jak czyniła to reszta przebywających tu osób: starsze kobiety, które skryły się za skrzynkami z warzywami, gapiące się zmętniałymi oczami, chłopcy zatrzymujący się z rękami w powietrzu, gdy sięgali do półek, i taksujący wzrokiem moją twarz, biust i buty, kiedy przechodziłam, panie w średnim wieku, w niezbyt dopasowanych jeansach i rozczłapanych butach, z włosami ściągniętymi w niedbałe kucyki, przerywające rozmowy i wpatrujące się we mnie jak w cyrkowe dziwadło. Albo, co bardziej prawdopodobne, jakby wiedziały, że nie jestem stąd, i próbowały wymyślić, co przywiodło mnie do Bangor na Alasce.

Uświadamiam sobie, że wszyscy się tu znają, a jeśli nie bezpośrednio, to dzieli ich od tej osoby zaledwie jeden stopień, więc rozmawiają, aby ustalić dokładnie co ich łączy. Przyjście do sklepu Meyera wydaje się zarówno życiową koniecznością, jak i zachowaniem społecznym. Klienci błakają się między alejkami, blokując przejścia, kiedy komentują niespiesznie wyprzedaż wołowiny i sałaty lub przewidywane przerwy w opadach, a także to, kto przybył z Anchorage. Nikomu się nie spieszy.

Nikomu prócz Jonaha.

– Hej, Bobbie. – Mój towarzysz wyklada towary na taśmę. – Tak. Powinienem. Po drodze

wpadłem w zasadzkę.

Przewracam oczami. Jonah zmienił się z niańki w zakładnika.

– Dzięki. Poradzę sobie. – Wrywam mu z ręki zieloną paprykę, nim rzuci ją na taśmę i uszkodzi. – Mógłbyś spakować to do toreb? Tam? – Z dała ode mnie. Dodaję do słów lekkie pchnięcie w biceps, który pod moimi palcami jest twardy jak skała.

Kasjerka Bobbie skanuje kody, a te na warzywa wbija na klawiaturze z pamięci.

– George mówił, że w tym tygodniu przewidują kilka pogodnych dni. Jestem zmęczona czekaniem. Byłoby miło, gdyby przestało padać.

– Powinnaś już przywyknąć do deszczu – mówi szorstko Jonah, pakując moje zakupy do szarych papierowych toreb.

– Czy ktokolwiek zdołał do niego przywyknąć? – urywa, po czym dodaje: – To twoja siostra? Kuzynka? – pyta Jonaha, ale patrzy na mnie.

– To córka Wrena, Calla.

Kobieta pstryka palcami.

– O... tak! George wspominał, że miałeś lecieć po nią do Anchorage. George to mój mąż – wyjaśnia, zwracając się bezpośrednio do mnie. – W wojsku latał razem z ojcem Jonaha. Teraz pracuje dla Wrena.

Przypuszczam, że ten cały George to ten, o którym wspominał wcześniej mój kierowca i dzięki któremu dostał pracę u mojego taty. A ta Bobbie podsunęła mi kolejną porcję informacji – ojciec Jonaha był pilotem wojskowym, a wygląda na to, że syn poszedł w jego ślady, przynajmniej jeśli chodzi o lotnictwo. Musi nosić czapkę swojego taty.

Bobbie kręci głową.

– Zapomniałam, że Wren ma córkę. Boże, minęły wieki. Twoja mama wyprowadziła się do... – milknie, czekając, aż dokończę.

– Toronto.

Kiwa nieco głową, jakby zadawała niewypowiedziane pytanie.

– I pierwszy raz tu jesteś?

– Od wyjazdu stąd? Tak.

– Dlaczego pomyślałaś, że teraz jest odpowiedni czas na wizytę?

– To dobry czas na wakacje, prawda? – odpowiada za mnie Jonah, przeszywając mnie wzrokiem z wyraźnym ostrzeżeniem.

Z tego, co mówiła Agnes, tata nie chciał, by inni wiedzieli o postawionej diagnozie. Najwyraźniej zaliczył do tego grona również pracowników.

– Tak. Miałam trochę wolnego, a zawsze chciałam odwiedzić Alaskę – dodaję, umacniając kłamstwo.

Bobbie posyła mi uprzejmy uśmiech – mówiący, że liczyła na bardziej smakowitą odpowiedź – i kończy skanować moje zakupy.

Wytrzeszczam oczy na widok końcowej sumy. Jakim cudem dwie szare torby z zakupami mogą być warte aż tyle?

Bobbie się śmieje.

– Szok, co? Miłego wypoczynku na Alasce, Calla. I uważaj – ostrzega, wskazując ruchem głowy Jonaha – bo ten tam oczaruje cię tak mocno, że nie będziesz chciała wyjechać.

– Tak, walczę, aby zachować nad sobą panowanie – odpowiadam głosem pełnym sarkazmu.

Kobieta przechyla głowę, na jej twarzy widnieje zmieszanie.

Opada mi szczęka.

– O Boże, nie żartowałaś.

Śmieje się zażenowana.

– Jonah, dopilnuj mojego męża, by trafił po pracy do domu. Rozgada się, a potem nawet nie zauważy, kiedy zajdzie słońce.

Jonah puszcza do niej oko, bierze torby z zakupami w jedną rękę, przy czym jego biceps napina się w bawelnianym rękawie.

– Oczywiście.

Idę za nim, niosąc bukiet prawie przekwitłych kwiatów i czując na plecach niezliczone spojrzenia.

Nie potrafię się powstrzymać.

– Jeśli ty jesteś czarujący, кого Bobbie uznałaby za dupka?

– Jest tylko jedna taka osoba.

Patrzę tam, gdzie wskazuje ruchem głowy, i widzę swoje lustrzane odbicie.

Muszę przyznać, że jest szybki.

Zerka na niebo, mrużąc oczy. Wiem, że poszukuje zbliżających się deszczowych chmur.

– Ludzie mają tutaj obsesję na punkcie pogody.

– Dlaczego miałyby być inaczej? Silny wiatr, gęsta mgła, zbyt wiele deszczu czy śniegu... Wszystko to jest w stanie uziemić nas na dzień lub dwa dni. – Idzie po nierównej ziemi.

– Ludzie czekają, aż dostarczymy im jedzenie, lekarstwa, pocztę, podrzucimy lekarzy.

Próbuję ignorować wzrok dwóch chłopców w wieku około szesnastu lat, którzy trzymając w dłoniach puszki z colą, otwarcie się na mnie gapią.

– I wpatrują się jeszcze częściej, niż gadają o pogodzie – mamrocze pod nosem.

– Nie przywykli do widoku żywej, gadającej lalki Barbie.

Marszczę brwi. Czy on właśnie nazwał mnie...

– Hej, nie jestem żadną Barbie!

– Nie? – Zerka na mnie z ukosa z rozbawieniem. – Sztuczne włosy, sztuczna twarz, sztuczne paznokcie... – Zerka mi w dekolt, nim odwraca wzrok. – Cokolwiek jest w tobie prawdziwe?

Opada mi szczęka.

– Nie są sztuczne! – I nikt nigdy nie insynuował podobnych rzeczy. Nawet nie są zbyt wielkie.

– Mam to gdzieś, ale zastanawiałaś się, dlaczego ci się przyglądali. Oto dlaczego – mówi znużonym tonem. Otwiera klapę SUV-a, po czym wkłada zakupy.

Wpatruję się w niego zdumiona. W sklepie przywitało się z nim co najmniej dwadzieścia pięć osób. Wszystkie machały i uśmiechały się, jakby naprawdę cieszyły się na jego widok. Bobbie stwierdziła, że jest czarujący. Agnes ma go za misiaczka. Ethel mówiła o nim, jakby chodził po wodzie.

Czy znalazłam się w jakimś alternatywnym świecie, w którym wszyscy wielbią Jonaha, a tylko ja widzę prawdę?

– Zrobiłam ci coś, że mnie nie lubisz? – rzucam w końcu.

Śmieje się oschle.

– Nie. Po prostu znam takie jak ty i nigdy nie miałem do nich cierpliwości.

– Takie jak ja?

– Tak. – Zatrząskuje klapę i obraca się, by spojrzeć tym swoim stalowym wzrokiem, krzyżując muskularne ręce na piersi. – Płytkie, egoistyczne, rozkapryszone paniusie.

Szczęka opada mi na dłuższą chwilę.

– Niczego o mnie nie wiesz!

– Serio... – Przygryza wargę w zamyśleniu. – Zobaczmy... Zjawiłaś się w Anchorage

z całą swoją garderobą na jedynie tydzień wakacji, spodziewając się, że samolot przetransportuje cię przez resztę drogi. No i wyglądałaś, jakbyś pomyliła pas startowy z pieprzonym wybiegiem dla modelek w Mediolanie.

Odsuwam od siebie zdziwienie jego wiedzą o modzie, żeby się bronić.

– Musiałam się spakować na nieprzewidywalną pogodę...

– Rano biegałaś, czy byłaś w klubie nocnym z tym całym makijażem na twarzy? Postawię swoje lewe jądro, że od lat nikt nie widział twojej prawdziwej twarzy. Wydajesz całą swoją kasę, by idealnie wyglądać, i bez przerwy publikujesz zdjęcia w sieci, aby udowodnić całkowicie obcym osobom, jaka jesteś ładna.

Zaczynam odczuwać mrowienie. Czy on mówi o moim koncie na Instagramie? Skąd miałyby o nim wiedzieć? I, Boże, czy właśnie wspomniał o swoich klejnotach?

– No i co z tego, że niektórzy są dumni ze swojego wyglądu? – Patrzę ostro, chociaż wiem, że cała jestem czerwona.

Ciągnie, jakbym w ogóle się nie odezwała.

– Przesadzasz, jesteś rozkapryszona i oceniasz innych. Lubisz być w centrum uwagi i przywykłaś, że zawsze w niej jesteś. Nie znasz świata poza tą swoją bańką mydlaną. Nie trudziłaś się nawet, aby dowiedzieć się czegokolwiek o miejscu, w którym żyje twój tata. Gdzie sama się urodziłaś.

– Nieprawda, gdybym miała czas...

– Masz dwadzieścia sześć lat i nigdy nie miałaś na to czasu? – Unosi brwi, pokazując, że wątpi. – Stwierdziłaś, że nie spodoba ci się Alaska, zanim twoje stopy dotknęły tej ziemi, a od przyjazdu zadzierasz nosa.

– Wcale nie!

– Agnes myślała, że może ci być tu trudno, ale powinnaś postarać się przynajmniej przez ten cholerny tydzień. Nie widywałaś ojca praktycznie przez całe swoje życie, a kiedy w końcu się tu zjawiasz, wkurzasz się, że nie napełnił dla ciebie lodówki? Zapewne nie zastanowiłaś się nawet, jak niełatwo jest tu Wrenowi, jak niezręcznie mu rozmawiać po całym tym czasie czy z powodu tego, przez co właśnie przechodzi. Nie, wołałaś się skupić na swoim pieprzonym sojowym latte i prezentach, które powinnaś przynieść na dzisiejszą kolację. – Uśmiecha się z zadowoleniem. – Jak mi idzie? Pomyliłem się gdzieś?

– Wszędzie – podnoszę głos niezdołna zapanować nad sobą przy całym tym niedowierzaniu. Przywykłam do Simona, do jego łagodnych pytań, celowych przerw i cichego ujawniania znaczenia znajdującego się między wierszami, gdy próbuje mi pomóc odkryć to, kim naprawdę jestem. Taką ma naturę, w dodatku zajmuje się tym zawodowo. Niegdyś mnie to wkurzało, więc wydzierałam się na niego, żeby mnie nie analizował, ale nigdy nie zrobił tego w tak wrogi, uwłaczający sposób.

A potem pojawia się ten koleś, którego poznałam dwanaście godzin temu, wyrzuca mi niestworzone rzeczy i rozkłada je na czynniki pierwsze, jakby miał do tego prawo.

Zimne rozbawienie znika z jego oczu i pozostawia po sobie coś, co wygląda niemal jak smutek.

– Chciałbym się mylić, ponieważ może byś to dostrzegła, spuściła nieco z tonu i wykorzystwała spędzany tutaj czas, żeby poznać ojca.

– Nie masz pojęcia, co się między nami wydarzyło – mamroczę. – Nie mogę tak po prostu wybaczyć i zapomnieć, a na końcu mocno go uściskać.

– Nikt tego od ciebie nie oczekuje, ale jeśli jesteś mądra, dla własnego dobra spróbujesz uratować choćby odrobinę tego, co kiedyś miałaś. – Ponownie patrzy na nadgarstek, sprawdzając która godzina – nie widziałam jeszcze, by wyjął komórkę z kieszeni – po czym okrąża samochód

i wsiada za kierownicę. Pozostawia mnie stojącą po tej naganie, choć tak naprawdę nie znam jej powodu. Nieopodal znajduje się kilku klientów sklepu, którzy stali się świadkami mojego upokorzenia.

Silnik SUV-a ryczy, a chwilę później rozlega się głos:

– Chodź! Nie wszyscy jesteśmy na wakacjach.

Tak, Bobbie i tekst o tym, że ten facet mnie oczaruje... Jasne.

W tej chwili wolałabym przejść te osiem kilometrów odziana jedynie w rój komarów, niż usiąść obok Jonaha.

Kilka miejsc dalej stoi taksówka. Kierowca – mężczyzna o zmierzwionych włosach i znudzonym wyrazie twarzy – siedzi za kierownicą przy opuszczonej szybie, od niechcienia paląc papierosa. Obserwuje całe przedstawienie.

Macham, wciąż trzymając w ręce bukiet margerytek.

– Jest pan wolny?

Kiwa głową i głęboko zaciąga się dymem.

Kierowcom taksówek wolno tutaj palić w pojazdach?

Trzymając głowę uniesioną wysoko – nie dam Jonahowi satysfakcji i nie pokażę, jak zraniły mnie jego słowa – podchodzę do taksówki i wsiadam na tylne siedzenie, próbując ignorować woń tytoniu unoszącą się w powietrzu.

Mężczyzna uruchamia silnik, a ja spoglądam w bok i widzę chłodne spojrzenie Jonaha, który piorunuje mnie wzrokiem przez przednią szybę. Trwamy tak przez trzy... cztery... pięć sekund, nim wciska gaz i w tumanach kurzu wyjeżdża z parkingu.

– Dokąd? – pyta kierowca, przyglądając mi się ciemnymi oczami w lusterku wstecznym.

Kurde. Jak niby mam wrócić do domu taty? Gdzie skręcał Jonah? Czy było to przed dziwną kawiarnią, czy za nią?

– Wie pan, gdzie mieszka Wren Fletcher?

Kręci głową i przez moment panikuję. Już mam powiedzieć, by zawiózł mnie na lotnisko, ale przypominam sobie, że mam adres taty w e-mailu od Agnes. Szybko odnajduję go w skrzynce i czytam mężczyźnie na głos, po czym rozsiadam się na przesiąkniętym dymem siedzeniu, wzdychając z ulgą. W ogóle nie potrzebuję Jonaha.

– Ile za przejazd trasą widokową?

[1] Dolne Czterdzieści Osiem (Lower Forty-Eight) – w ten sposób mieszkańcy Alaski określają resztę stanów USA (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 8



– Nie wierzę, że masz szóstkę dzieci – mówię cicho.
– Siódme urodzi się w grudniu. – Michael śmieje się, gdy skręca na podjazd taty. –
Mówiłem, że miałem osiemnaście lat, gdy przyszedł na świat mój pierworodny.

– Mimo wszystko.

Uśmiecha się psotnie, pokazując pożółkłe od nikotyny zęby z lekką wadą zgryzu.

– Cóż mogę rzec? Cieszę się, że żona lubi dzieci.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz zajęłam się uprzejmą rozmową z kierowcą taksówki, zamiast skupiać się na celu swojej podróży lub wgapiać w ekran telefonu. I prawdę mówiąc, gdybym miała zasięg i nie próbowała unikać Jonaha, nie wiedziałabym zapewne, jak ma na imię ten kierowca.

Jednak po czterdziestu pięciu minutach od wejścia do jego samochodu jestem bardziej zaznajomiona z Michaelem niż z kimkolwiek na Alasce.

Mężczyzna jest tylko trzy lata starszy ode mnie, co jest dość zadziwiające. Przeważnie mieszka z bratem, z którym prowadzi dobrze prosperującą firmę przewozową w Bangor. Tymczasem żona i dzieci żyją w górze rzeki w wiosce liczącej około trzystu mieszkańców. Tam też zostali jego rodzice i siostra. Żona nie chce mieć nic wspólnego z miastem i z tym sposobem życia. Twierdzi, że jest tu zbyt głośno i panuje tłok. To brzmi ironicznie, bo musi uważać, że z taką gromadką dzieci nie jest zbyt głośno i tłoczno, skoro produkuje je na potęgę.

Michael obwiał mnie po Bangor. Zatrzymał się przy tętniącym życiem nabrzeżu i zabytkowym kościele – pierwszym budynku powstałym w mieście. Zgodził się nawet zostać fotografem i zrobił mi kilka zdjęć, które nawet wyszły całkiem nieźle.

– Musisz bardzo tęsknić za dziećmi.

Wzrusza ramionami.

– Zobaczą je, gdy wrócę.

– A jak często tam jeździsz?

– Zależy od pory roku. Trudniej jest to zrobić, gdy czekamy, aż rzeka zamrznie lub rozmarznie. Nie można wtedy pływać, niebezpiecznie jest jeździć. Czasami muszę czekać kilka tygodni – odpowiada lekko, niespiesznie. Podobnie jak Agnes.

– Musi być ci ciężko. – Zastanawiam się jednak, jak to jest w porównaniu z nieobecnością w życiu dziecka przez dwadzieścia cztery lata.

– W ten sposób mogę zapewnić rodzinie lepszy byt. Przebywając tutaj. – Podaje mi wizytówkę. – Dzwonił, ilekroć będziesz chciała gdzieś pojechać. Zawsze pracuję, nawet kiedy śpię.

– Spoko. Dzięki. – Marszczę brwi na widok danych. – Chwila, mówiłeś, że na imię ci Michael.

– To imię kass'aków.

– Czyje?

Śmieje się.

– Kass'akami określamy białych.

– Aha, ale tutaj mam twoje prawdziwe? – Marszczę brwi, próbując przeczytać je na głos.

– Yakulpak?

– Ya-gush-buck – poprawia, wymawiając wyraźnie każdą sylabę.

– Yagushbuck – powtarzam powoli. Ponieważ pochodzę z tak różnorodnego miasta, jakim jest Toronto, nieraz zmagalam się – i poległam – z czymś imieniem. – Ale nie tak jest tu

napisane.

– Nie dla kass’aqów. – Uśmiecha się. – Pozostań przy Michaelu.

– Okej. – Biorę kwiaty i podaję mu trzydzieści dolarów, na które się umówiliśmy, plus zasłużony napiwek. – Dziękuję za bycie moim przewodnikiem. – Wsiadam, z ulgą zauważając, że nigdzie nie ma samochodu Jonaha.

– Żaden problem – mówi Michael, machając. Hamulce piszczą i samochód odjeżdża. Mężczyzna nie zapytał o wymianę zdań na parkingu pod sklepem Meyera, co bardzo mnie cieszy.

W chwili, gdy przechodzę przez próg niesamowicie cichego, ciemnego domu, telefon łączy się z siecią Wi-Fi i zaczyna powiadamiać o wiadomościach i nagranej poczcie głosowej od mamy i Diany. Wzdycham, wiedząc, że dłużej nie zdołam ich unikać.

Ale najpierw muszę coś zjeść.

Na blacie leżą dwie puste, poskładane papierowe torby. Kiedy otwieram lodówkę, widzę zbyt schludnie poukładane rzeczy jak na człowieka, który jeszcze godzinę temu rzucał wszystko na taśmę w sklepie. Oczekiwałam, że zastanę produkty na sałatkę porzucane na trawniku.

Może w ten sposób Jonah przeprasza za bycie dupkiem?

– To już chyba coś – mamroczę, chociaż o wybaczenie musi się o wiele bardziej postarać.

* * *

– W zasadzie jesteś obca, Calla. – Simon milknie, aby upić łyk popołudniowej herbaty, bez wątpienia ze swojej ulubionej chińskiej filiżanki. Gość jest przewidywalny, bo zaraz słyszę, jak odkłada ją na metalowe biurko w gabinecie. – Minie trochę czasu, nim się poznacie i nie będziecie czuć się w swoim towarzystwie niezręcznie.

Trzeszczy krzesło kuchenne, gdy pochylam się, by namoczyć kawałek tosta w żółtku i wsadzić go sobie do ust.

– Przyjechałam tylko na tydzień. – Zacznę w ogóle rozumieć ojca?

– Sama sobie narzuciłaś ten termin. Możesz przebukować bilet i zostać tam dłużej. Właśnie dlatego zapłaciliśmy za niego więcej. Masz kilka możliwości.

– Sądziłam, że zapłaciliście więcej, żebym mogła wrócić wcześniej, jeśli podróż okazałaby się katastrofą. – Oczywiście Simon widzi to inaczej. – Przy tym, jak teraz toczą się sprawy, tydzień wydaje się jak dożywocie.

– Wiedziałaś, że nie będzie łatwo.

– Tak, cóż, nie uda się, jeżeli będzie uciekał, ilekroć wejdę do pokoju.

– Ucieka? A może go przeganiaasz?

Marszczę brwi.

– To znaczy?

– Masz w sobie wiele niezadowolenia, Calla. Lata, w których chroniłaś się przed bólem. Niezbyt dobrze to ukrywasz, a Wren nie jest gotów się z tym zmierzyć. Jeśli macie się poznać, i to w tak krótkim czasie, musisz znaleźć sposób na porozumienie się, nawet jeżeli jest trudno. Przynajmniej tymczasowo.

– Staram się, ale... to nie jest łatwe. – Jak można stworzyć relację bez wcześniejszego wybaczenia?

– Pamiętaj tylko, że nie możesz go kontrolować, ale masz władzę nad tym, jak się w stosunku do niego zachowasz.

Jęczę w duchu. Dlaczego łagodne słowa Simona wydają się zawierać tę samą prawdę, co wykrzywane wcześniej przez Jonaha?

– Wren wspominał coś o rokowaniach lub proponowanych terapiach? O czymkolwiek? –

wtrąca mama głosem, który brzmi odlegle w słuchawce. Zapewne chodzi po gabinecie. Przymierzam, że to jej ulubiona rozrywka. Simon marudzi, że wydepcze mu ścieżkę w perskim dywaniku, który ma po babci.

– Rozmawialiśmy wczoraj przez jakieś dwie minuty, mamó – przypominam jej. – Ale Agnes wspominała, że w przyszłym tygodniu ma lecieć do Anchorage na chemię i radioterapię. I w ogóle nie wygląda na chorego.

– To dobrze. Musieli wykryć chorobę wcześniej. – W głosie mamy wyraźnie słycać ulgę. Simon również musiał to usłyszeć. Jak się z tym czuje? O Boże, zaczynam brzmieć jak mój ojczym psychiatra.

Dzwonek oznajmia, że drzwi do jego gabinetu zostały otwarte.

– Mam pacjenta. Zadzwoń wieczorem, jeśli będziesz chciała dłużej o tym porozmawiać.

– Dzięki, Simon.

– Ale nie między dziesiątą i jedenastą mojego czasu, bo wtedy na BBC leci dokument...

Przestaję go słuchać, zastanawiając się, czym wypełnić resztę dnia w oczekiwaniu na kolację u Agnes. Mogłabym pojechać do Alaska Wild, aby lepiej przyjrzeć się samolotom i poznać ludzi, którzy są dla taty ważniejsi niż jego własna córka. Zaryzykowałabym jednak kolejną niezręczną dwuminutową rozmowę z nim i co gorsza, mogłabym wpaść na Jonaha.

Dzięki Bogu zabrałam ze sobą komputer.

– Nie rozłączaj się, Calla – woła mama. Rozlegają się stłumione dźwięki, po czym jej miękkie, melodyjny głos płynie ze słuchawki, gdy najwyraźniej wychodzi z gabinetu Simona. – Hej.

– Dostałaś zdjęcia, które wysłałam? Powinny już dojść.

– Zobaczmy... Tak! Są! Boże, tym właśnie zaleciałaś do Bangor?

– Niemal się porzygałam.

– Ale nawet nie można załadować do tego bagażu!

– Dlatego właśnie moje walizki mają przylecieć dziś z Anchorage samolotem transportowym.

– Dlaczego, u licha, mieliby przylecieć po ciebie czymś takim?

– Ponieważ Jonah to palant i chyba nie godzi się z tym, że oddycham jego cennym alaskańskim powietrzem. – Streszczam wszystkie wydarzenia powiązane z Jonahem, na co mama sapie i jęczy.

– Ale masz alergię na nabiał! To nie jakieś humory, a poważny problem medyczny – warczy.

– Prawda? – Usatysfakcjonowana opadam na skrzypiące krzesło w kuchni. W końcu ktoś w równym stopniu jest poirytowany wybrykami Jonaha. Zawsze mogę liczyć na mamę w takich sprawach. – To największy dupek, jakiego poznałam.

– Dlaczego Wren go trzyma?

– Ponieważ jestem w jakimś odwróconym wszechświecie, w którym wszyscy go lubią. – Przewracam oczami, mimo że mama tego nie widzi.

– Unikaj go. Nie chcę, by utrudniał ci i tak kłopotliwą wizytę.

– Próbuję, ale wydaje się, że ilekroć wychynę zza rogu, natykam się na tę zarośniętą twarz. On mieszka po sąsiedzku! Nie potrafię od niego uciec.

– Przykro mi, skarbie.

– Nieważne. – Wzdycham ciężko. – Nie chcę już rozmawiać o Jonahu.

– Nie dziwię ci się. Co jeszcze mi wysłałaś... – urywa, przerzucając zdjęcia. – Czy to sałata? – Niemal widzę, jak marszczy brwi.

– Tak. Dosłownie setki główek. Może więcej. Przy drodze są szklarnie.

- Ha. Najwyraźniej przez te dwadzieścia cztery lata coś się jednak zmieniło.
- Ale nie wszystko. – Uśmiecham się, czekając, aż dotrze do kolejnego zdjęcia.

Sapie.

- Kaczki nadal tam są!
- W całej swojej kaczej okazałości.
- Śmieje się przerażona.
- Brzydkie, dokładnie takie, jak zapamiętałam.

Spoglądam na krzykliwą tapetę.

Mama ponownie sapie, więc wiem, że przewinęła do następnego zdjęcia, tego z kaliami w mojej sypialni.

– Jak mogłam o nich zapomnieć? Wiesz, gruba i spuchnięta nie spałam do późna przez wiele tygodni, żeby namalować każdy płatek i dokończyć przed twoim urodzeniem.

– Tak, pamiętam, jak o tym opowiadałaś.

– Rety, to było tak dawno temu – mruczy zamyślona. Następuje dłuższa cisza, kiedy bez wątpienia odpływa pamięcią w przeszłość. – Jakie masz plany na resztę dnia?

– Poza drapaniem wszystkich tych miejsc po ugryzieniach komarów? – mamroczę, wiodąc paznokciami po tyle łydki, gdzie mam czerwoną swędzącą gułę. – Wrzucę kilka postów na stronę. Diana obudziła się z nowymi pomysłami. – Dostałam dziś od niej co najmniej dziesięć wiadomości.

– Diana zawsze budzi się z nowymi pomysłami. Chciałabym mieć energię tej dziewczyny... O! Czas mi ucieka. Muszę biec do kwiaciarni, dokończyć kilka rzeczy. Nie uwierzyłabyś, jaka kobieta zawitała do mnie rano. Zażądała łyszczca w bukiecie, nawet po poinformowaniu jej, że nie wykorzystuję tej rośliny, ponieważ jest dość tandetna. Miała czelność...

Przestaję słuchać tej tyrady, gdy coś dziwnego na tapecie przykuwa moją uwagę. Czuję, że się uśmiecham.

– Czy kaczki mają sutki?

W słuchawce zapada cisza.

– Przepraszam, co?

Przysuwam się i widzę sześć charakterystycznych punkcików na brzuchu kaczki. Istnieją niewielkie różnice w rozmiarach i odstępach między nimi, co podpowiada mi, że ktoś musiał dorysować je ręcznie za pomocą czarnego pisaka. I ma je każda kaczka na ścianie.

– To twoje dzieło?

– Calla, na Boga, o czym ty mówisz?

Do czasu, gdy kończę wyjaśniać, obie zanosimy się śmiechem.

– Musiało to zająć wiele godzin. Tylko na jednej ze ścian są setki kaczek.

– To nie ja, ale żałuję, że nie wpadłam na ten pomysł.

Opieram się i przyglądam z podziwem.

– Może to Agnes. Nie wydaje mi się, żeby podobała jej się ta tapeta.

Śmiech mamy cichnie.

– Co się tam dzieje?

– Nie mam pojęcia, ale cokolwiek to jest, „to skomplikowane”. Idziemy dziś do niej na kolację. Mieszka po drugiej stronie drogi.

– Dobrze. Spędzisz z nim tam więcej niż dwie minuty. Wren zawsze wolno jadł.

– Szczerze mówiąc, boję się tego. – Czy siedzenie naprzeciw niego będzie niezręczne? Czy pokusi się przynajmniej o próbę uprzejmej rozmowy? A może całkowicie mnie zignoruje?

Przynajmniej będzie tam Agnes, która posłuży nam za niewielki bufor.

– Będzie dobrze. Bądź sobą i nie przejmuj się tym, co powiedział tamten gburowaty pilot.
Wcale cię nie zna.

 Nie zna, a jednak nie potrafię wyrzucić jego słów z głowy.

– Dzięki, mamó. Kocham cię. – Ciężko wzdychając, odkładam komórkę na stół i otwieram mojego maca.

ROZDZIAŁ 9



Podjazd Agnes jest tak długi, jak ten ojca, co daje mi czas na przyjrzenie się prostokątnemu budynkowi, gdy podchodzę ze swetrem nasuniętym na głowę, aby ochronić włosy przed nieustającą mżawką.

To lustrzane odbicie domu taty, z wyjątkiem jasnoniebieskiego sidingu i drzwi frontowych pomalowanych na ciemną czerwień, dodających całości niezbędnego mocnego barwnego akcentu. Kobieta nie ma przyległego garażu, ale po lewej stronie znajduje się niewielka szopa, obok której stoi zielony kubeł na śmieci. To właśnie przy nim zaparkowano samochód.

Ściskając smętny bukiet margerytek w jednej ręce, pukam palcami drugiej. Chwilę później rozlega się piskliwy głos Agnes:

– Proszę!

Kiedy przekraczam próg, wita mnie aromatyczny zapach pieczonego kurczaka z ziołami. Zastanawiam się przez chwilę, jak inny jest ten dom od zimnego, ciemnego budynku stojącego po drugiej stronie ulicy. Kuchnia, jadalnia i salon to jedno otwarte pomieszczenie zajmujące całą długość domu. Krótki korytarz rozchodzi się na dwie strony z tyłu, prowadząc, jak zakładam, do pokoi sypialnianych.

Sprawia wrażenie rodzinnego. W skromnym wnętrzu dominują beże i szarości, meble są nijakie w stylu, ale czyste i dobrze utrzymane. I choć domostwo taty pozbawione jest duszy, u Agnes wszędzie widać drobne elementy jej osobowości. Ściany są w żywych odcieniach czerwieni i pomarańcza. Poduszki leżące na kanapie są zdobione ręcznie wyszywanymi ptakami. Dekorację stanowią drewniane maski i inne rzeźby, które mówią o jej rdzennym pochodzeniu, a cała ściana w przedpokoju wypełniona jest zdjęciami ludzi w kolorowych pióropuszach i futrach zwierzęcych. Zakładam, że to członkowie jej rodziny.

– Jak przetrwałaś swój pierwszy dzień na Alasce? – pyta Agnes, odwrócona do mnie plecami, sprawdzając kurczaka na kuchence, który wygląda, jakby świeżo wyjęła go z piekarnika.

– Przez chwilę było ryzykownie, ale dałam radę – żartuję. Większość dnia spędziłam na wrzucaniu linków na stronę i szykowaniu wstępnych postów dla Diany, by mogła dodać do nich kilka swoich słów. Przeszłam z pełnej kaczek kuchni do boleśnie bezbarwnego salonu i wyszłam na osłoniętą werandę – która byłaby fajna, gdyby nie panujący na niej bałagan i pordzewiałe starodawne leżaki. Trafiłam w końcu do sypialni i zdrzemnęłam się godzinę.

Po trudnym poranku nastąpiło wyjątkowo spokojne popołudnie.

– Mam nadzieję, że jesteś głodna. Zaczniemy jeść, gdy zjawią się panowie.

Panowie?

– Jacy panowie? – pytam ostrożnie.

– Tylko Wren i Jonah. Niedługo powinni tu być. Jonah utknął w pobliżu Nome we mgle, ale kiedy wychodziłam, słyszałam, że zaczynało się przecierać. Zapewne uda mu się zdążyć.

– Jonah też ma przyjść? – Walczę, żeby ukryć swoje niezadowolenie.

Agnes się uśmiecha.

– Będzie dobrze, obiecuję.

Wzdycham ciężko. Tak, w oczach Agnes chyba wszystko zawsze „będzie dobrze”.

Cholera, nie uda mi się uciec przed tym facetem.

– Jonah pracuje dla twojego ojca już przeszło od dekady. Jest jakby jego prawą ręką.

Porywa się na te wszystkie ryzykowne lądowania dla myśliwych i wędkarzy, a także rozwiązuje większość problemów z samolotami. No i z klientami, choć nie mamy ich wielu. Pomaga Wrenowi podejmować trudne decyzje. To dobry facet, jeśli przejrzysz przez jego twardą skorupę.

– Zerka na mnie przez ramię i unosi brwi, gdy zauważa kwiaty.

– To w ramach podziękowania. Za kolację... i wszystko... co zrobiłaś.

Uśmiecha się tęsknie.

– Nie pamiętam, kiedy ktoś podarował mi kwiaty. Minęło trochę czasu.

Z pewnością Jonah nigdy tego nie zrobił. Ale czy kiedykolwiek pokusił się o to tata? Czy jest osobą, która mogłaby to zrobić? Czy tych dwoje było w związku, który by tego wymagał?

– Masz wazon, do którego mogłabym je włożyć?

– Chyba mam jakiś wysoki słoik. Muszę go odszukać. Zostaw je na razie na blacie.

Odkładam bukiet, podwijam rękawy i podchodzę do zlewu, żeby umyć ręce.

– Przy czym mogę ci pomóc? – Zauważyłam, że nakryto już do stołu.

Agnes patrzy na wysoki, stojący na trójnogu garnek, po czym na mnie, jakby się zastanawiała.

– Trzeba ubić ziemniaki, więc możesz się tym zająć.

– Żaden problem. – Nie pamiętam, kiedy robiłam to po raz ostatni. Mama prawie wyeliminowała je z naszego menu, twierdząc, że węglowodany niszczyły jej talię. Co jakiś czas jednak wchodzę wieczorem do kuchni, gdy mama jest już w łóżku, i znajduję przy stole Simona z miską tłuczonych ziemniaków i zakłopotanym wyrazem twarzy. Nie wymyśliłam jeszcze, jak je przed nią ukrywa.

– Tłuczek znajdziesz tam. – Wskazuje na szufladę. – A mleko i masło są w lodówce. Masz na nie alergię? Możemy ich nie dodawać.

Uśmiecham się, doceniając troskę i fakt, że zapamiętała.

– W porządku. Nie będę jadła ziemniaków. – Podciągam rękawy i biorę się do roboty. – Tata mówił coś o tym, że przywiezie mi dziś bagaż?

– Nie, ale spodziewam się, że to zrobi. Samolot powinien wylądować godzinę temu.

– Dzięki Bogu. Zniszczę wszystkie buty. – Znalazłam dziś pod zlewem starą szczotkę i spędziłam całą godzinę na delikatnym oczyszczaniu koturnów z błota. Obawiam się jednak, że cała ta robota była na próżno.

Na drewnianych schodach rozbrzmiewają kroki i otwierają się drzwi.

Żołądek od razu mi się ściska, gdy odwracam się, przygotowując na powitanie jednego z dwóch mężczyzn, którzy wywołują we mnie niepokój, chociaż każdy z innego powodu.

Zamiast tego widzę nastolatkę z długimi, lśniąco-ciemnymi włosami koloru kawy związanymi w luźny kucyk i niebieskimi oczami, w których połyskuje ciekawość.

– Calla! Jesteś! – Zdejmuje ubłocone buty.

– Jestem – odpowiadam ostrożnie. Wydaje się mnie znać, mimo że ja nie mam pojęcia kto to.

– Przyszłabym wczoraj, ale mama mówiła, że jesteś zmęczona, potem wstąpiłam w drogę na farmę, ale Jonah powiedział, że wciąż byłaś w mieście.

Jej mama... Zerkam na Agnes i na stół, gdzie cztery krzesła oszukały mnie na tyle, że nie zauważyłam pięciu talerzy. Spoglądam też na ścianę ze zdjęciami i uświadamiam sobie, że na większości znajduje się dziecięca twarz, co nagle mnie poraża.

– To twoja córka? – Agnes ma dziecko? Wspominała o tym wczoraj, a mnie to umknęło, bo byłam zbyt zajęta własnymi zmartwieniami?

Agnes się uśmiecha.

– To Mabel. Ostrzegam, że jest ognistą kulą energii.

Szeroki uśmiech dziewczyny rywalizuje z uśmiechem jej matki. Zauważam, że jej twarz nie jest tak okrągła, ale z pewnością ma te same głęboko osadzone oczy, choć są może trochę większe.

– Pochodzisz z Toronto, prawda? Fajnie! Bardzo chciałabym tam pojechać. George tam był i mówił, że było super! Podglądałam twoje konto na Instagramie. Powinnaś być modelką. Jesteś taka ładna!

– Toronto jest świetne – zgadzam się, przetwarzając informacje padające z jej ust. Z pewnością nie jest nieśmiała i mówi z prędkością karabinu maszynowego ochrypłym głosem, nieco inaczej artykułując zgłoski niż matka.

Jednak ważniejsze jest to, jak ta dziewczyna z zachodniej Alaski dowiedziała się o moim koncie na Instagramie?

– Przy podpisie w e-mailu masz do niego link – wyjaśnia Agnes, jakby potrafiła wyczytać pytanie z mojej twarzy. – Byłam ciekawa, więc kliknęłam i przeniosło mnie na twoją stronę. Przrzekam, że Mabel zwiedziła każdy jej zakamarek.

– Ach, tak. – Sygnaturka po treści maila. Całkowicie o niej zapomniałam. Teraz to sensowne.

– Pojechałaś dziś taksówką nad rzekę? – pyta Mabel.

– Eee... tak. – Chwilę zajmuje mi zrozumienie jej słów. Wcześniej wstawiłam kilka zdjęć. Postanowiłam zignorować radę Diany i opowiedziałam o moim dniu w Bangor, o przyjaznym taksówkarzu, który tak naprawdę nie miał na imię Michael, jego dzieciach i kolejnym potomku w drodze, a także o sposobie wykorzystywania rzeki, żeby je wszystkie zobaczyć. Wydawało mi się to bardziej interesujące i szczerze.

Wrzuciłam ten materiał jakąś godzinę temu, ale chyba nawet pośrodku tego pustkowiec nastolatki mają internet w telefonach.

– Mabel, może umyjesz ręce i przyniesiesz dodatkowe krzesło z mojego pokoju? – Agnes zaczyna kroić kurczaka wprawnymi pociągnięciami noża, a następnie odkłada plasty mięsa na biały talerz.

Mabel podchodzi, aby przyjrzeć się potrawie, którą właśnie przygotowuje matka. Dziewczyna jest wyższa od Agnes przynajmniej o kilka centymetrów, ale ubrana w te same jeansy z supermarketu.

– Dobrego wybrałam?

Agnes ciągnie za lewą nogę ptaka, mięso zaczyna się rozdzielać, a spod złocistej skórki wypływa smakowity sos.

– Tak. Chociaż wolałabym, żeby miał nieco mniej tłuszczu na udkach.

– Był najwolniejszy! Ledwie musiałam biec, by go złapać.

– Łapałaś naszą kolację? – pytam nagle.

Mabel uśmiecha się do mnie.

– Barry pozwolił mi wziąć jednego do domu za pomaganie mu na farmie.

– Tej na końcu drogi? Widziałam jakąś, biegając rano.

– Whittamorów – potwierdza Agnes. – Jest dość znana. Poza Barrym i Dorą nikt nie był w stanie niczego tu wyhodować. W zeszłym roku udało im się wytworzyć ponad dwadzieścia dwie tony warzyw. I kto wie, ile jajek dał ten ich podziemny kurnik. Nasze samoloty dostarczają ich produkty do wielu wiosek.

– Zdziwiłam się na jej widok – przyznaję. – Mama lubi rośliny, a nie potrafiła niczego tu wyhodować.

– Pory roku są teraz dłuższe i cieplejsze niż dwadzieścia cztery lata temu. Mimo to uprawa tej ziemi wymaga sporo pracy. Przynajmniej Whittamorowie ciężko pracują – mamrocze

Agnes. – Barry przygotowywał glebę przez dwa lata, zanim cokolwiek w niej posadził.

– Tak. Do tego wybudował ogromne tunele, byśmy mogli zacząć wysiewać warzywa już w lutym. Nie pada w nich śnieg czy deszcz i jest o wiele cieplej.

Agnes się śmieje.

– Właśnie tam w zimie można ją najczęściej znaleźć. Tam lub w ich piwnicy.

– A, właśnie! – wykrzykuje Mabel, jakby coś sobie przypomniała. – Barry mówił, że widział cię rano. Byłaś ubrana na różowo i biegłaś drogą.

Przynajmniej nie powiedział, że byłam naga.

– Tak, to ja. Komary mało nie pożarły mnie żywcem – dodaje, drapiąc się po ręce, która nagle zaczyna swędzieć.

Mabel się krzywi.

– Komary i kuczmany dają w kość.

– Kuczmany?

– Tak. Okropnie gryzą w tym roku. Wkładaj jeansy i bluzę, gdy wychodzisz z domu, a cię nie dopadną.

– Z pewnością. – Oczywiście kiedy moje bluzy dotrą tu z Anchorage.

– A w ogóle, jak było dziś na farmie? – pyta Agnes.

– Tak samo jak co dzień. Nudno.

– Pamiętaj, że jesteś szczęściarą. Jest tu wiele osób, które pozbierałyby jajka i warzywa w zamian za świeże produkty i niekiedy kurczaka.

– Założę się, że woleliby robić to za kasę – mamrocze Mabel.

– Kiedy będziesz starsza, założę się, że będziesz dostawać pieniądze. No, chyba że dalej będziesz przychodzić do nich tylko wtedy, kiedy będziesz miała na to ochotę. W takim wypadku w ogóle mogą cię nie zatrudnić – karci ją Agnes w dość delikatny sposób.

Ile właściwie Mabel ma lat i dlaczego farmer nie chce jej płacić?

Dziewczyna oddała zmartwienia matki rozdrażnioną miną.

– Barry nie przywiązuje wagi do tego, kiedy przychodzę. A poza tym kury składają dwa razy więcej jajek, gdy jestem w pobliżu. Jestem ich zaklinaczką. – Uśmiecha się szeroko, po czym staje na palcach i wyjmuję paczkę chipsów z szafki.

Agnes pospiesznie odbiera ją córce i odkłada na miejsce.

– Niedługo jemy kolację, kurza zaklinaczko. Idź się umyć.

Mabel z jękiem odchodzi korytarzem, czemu się przyglądam.

– Naprawdę ma wiele energii.

– Wyczynem jest wymyślanie jej zajęć, zwłaszcza w wakacje. Jestem bardzo wdzięczna Barry'emu, że ją zatrudnił. – Agnes milknie i dodaje cicho: – Jeszcze nie wie o Wrenie. Wkrótce jej powiem. Chciałam... Prosił mnie, żebym z tym poczekała.

Zauważam, że prosił również, by nie mówiła mnie czy Jonahowi, ale się nie dostosowała.

Na drewnianych schodach słycać podwójne kroki, o wiele cięższe i wolniejsze.

Obracam się i widzę niebieskie jak lód oczy, które przyglądają mi się intensywnie zza szyby. Mimowolnie patrzę wilkiem, chociaż klatka piersiowa ściska mi się z niepokoju.

Rozbrzmiewa krótkie pukanie, po czym drzwi natychmiast stają otworem.

– Nie pachnie jak *muktuk* – mówi tata, pochylając się, aby rozsznurować buty. Jego głos natychmiast rozbudza we mnie coś znajomego.

– Pomyślałam, że zaczniemy łagodnie, nim nakarmimy Callę wielorybem.

Próbuję nie okazać niesmaku, na co Agnes chichocze.

– Złapała tym razem tłustego?

– Najwyraźniej tłustego i powolnego. Chociaż nie tak wolnego jak wy dwaj. Zaczynałam

się martwić, że nie przyjdziecie. – Agnes uśmiecha się nawet podczas upominania go za spóźnienie.

– Wiesz, jak jest. – Wchodzi głębiej i przygląda się półmiskowi z kurczakiem. Ja z kolei patrzę się na niego, zupełnie mechanicznie tłukąc ziemniaki, choć mój umysł spowija mgła niedowierzania.

Naprawdę jestem na Alasce. Z ojcem. Obserwuję jego codzienne życie, otoczona przez jego znajomych, wdychając lekką woń dymu papierosowego.

– Mabel jest już w domu? – pyta.

– Myje się. Zaraz przyjdzie – odpowiada Agnes i dodaje ciszej: – Gdy tylko usłyszysz głos Jonaha.

Tata jęczy.

– Ucieszę się, gdy minie jej to zadurzenie.

Mabel podkocha się w Jonahu? Zaskoczona unoszę brwi, zerkając przez ramię, gdy domniemany obiekt jej uczuć wchodzi do środka i zdejmuję kurtkę oraz czapkę.

Muszę przyznać, że nie jest brzydki, mimo że ma wszystkie te włosy na twarzy. Gdybym tylko zdobyła parę nożyczek... Palce świerzbią mnie na tę myśl.

Do głowy przychodzą mi jego wcześniejsze słowa – że od przyjazdu tylko bym wszystkich oceniała – i rodzą się we mnie wyrzuty sumienia.

W końcu zauważam, że tata przygląda mi się łagodnie szarymi oczami.

– Jak ci minął dzień, Calla?

Wracają do mnie słowa Simona.

Czy ucieka? A może go przeganiaasz?

Nie możesz go kontrolować, ale masz władzę nad tym, jak się w stosunku do niego zachowasz.

– Dobrze. – Prócz bury, którą dała mi jego prawa ręka. Ubijam ziemniaki. – Spokojnie.

Kiwa powoli głową.

– Przypuszczam, że bardzo różnił się od tego, do czego przywykłaś.

– Tak, trochę. – Uśmiecham się. Ile dni zdołam tu wytrzymać, zanim zapragnę wrócić do mojego miasta? Lub jakiegokolwiek większego ludzkiego skupiska?

– Samochód sprawiał jakieś problemy? Ostatnio trudno wbić dwójkę.

– Eee... – Zerkam pytająco na Agnes i zauważam, że lekko kręci głową. Chyba nie poinformowała go, że nie potrafię prowadzić auta. Najwyraźniej Jonah też tego nie zrobił. Powinam się przyznać?

Nasza relacja i tak jest już niezręczna, nie chcę jej pogarszać, wytykając, ile o mnie nie wie.

– Nie. Żadnych problemów.

– Dobrze... dobrze... – Nadal powoli kiwa głową. Przeciąga się niewygodna cisza.

– Przywieźli walizki Calli?

– Jeśli o to chodzi... – Tata milknie, drapiąc się po siwej głowie. – Nie było dziś dla nich miejsca.

– Żartujesz?! – Wzrasta moje rozczarowanie. – Ale ja potrzebuję ubrań! Kaloszy!

– Zrobimy dziś kolejne pranie – proponuje Agnes.

– No chyba tak – mamroczę, mimo że przecież nie o to chodzi. – Dlaczego wszyscy nagle nie mają dla nich miejsca?

– Mieliśmy jakieś dostawy na ostatnią chwilę, które musiały dotrzeć do wiosek. Tak tu już jest. – Tata patrzy na mnie ze współczuciem.

– Pożywienie, lekarstwa, no wiesz, naprawdę potrzebne rzeczy – dodaje z rozbawieniem

Jonah.

– Jutro dostaniemy twoje walizki. – Agnes uśmiecha się kojąco, chociaż dodaje: – Zapewne.

– Nie martw się, podejrzewam, że Billy naprawdę dobrze o nie dba.

Zaciskam usta i wracam uwagą do ziemniaków, próbując uspokoić oddech i wyrzucić z siebie frustrację. W sprawie bagażu nic nie poradzę, a ukatrupienie Jonaha tłuczkiem do ziemniaków zepsuje nastrój przy kolacji.

– Hej, Aggie. Przyniosłem ci to na wieczór.

– Wow! Najpierw kwiaty od Calli, teraz to?

Znajomy dźwięk ściąga moja uwagę do blatu, na którym Jonah stawia sześciopak budweisera.

Szczęka mi opada. Porzucam ziemniaki – które i tak są już pewnie miazgą – i staję z nim twarzą w twarz.

– Powiedziałeś, że nie da się kupić piwa w Bangor! – oskarżam go. – Powiedziałeś, że to niepijąca społeczność.

– Nie można – odpowiada, wyjmując dwie puszki. Jedną rzuca tacie, który z łatwością ją chwyta.

Piorunuję wzrokiem jego pełną zadowolenia twarz. Kolejna z jego pieprzonych gierek. Zapewne zwinął te piwa ze sklepu, a następnie mnie okłamał.

– Ściślej rzecz ujmując, społeczność Bangor nie jest już niepijąca, ponieważ zmieniono prawo i można tu sprzedawać alkohol – mówi tata. Rozlega się trzask i syk, gdy otwiera puszkę. – Ale nikt nie pokwapił się, żeby zakupić licencję na sprzedaż, ponieważ ludzie obawiają się tych z wiosek. Musisz więc polecieć po alkohol lub zakupić go u któregoś z bimbrowników, czego ci nie polecam, Calla. Od niektórych produktów można oślepnąć. – Przeskakuję wzrokiem pomiędzy mną a Jonahem, marszcząc brwi. – Daj znać, co byś chciała, a przywieziemy ci następnym razem, gdy któryś z nas będzie w mieście.

– Dziękuję. – Wzdycham z irytacją. – I obiecuję, że następnym razem przyniosę na kolację coś o wiele lepszego niż kocie szczyny. – Ruchem głowy wskazuję na biało-czerwone puszki, dopiekając lekko Jonahowi, który prychnął.

– Twój tata je lubi, ale chyba powinnaś o tym wiedzieć, co?

Stojąc naprzeciw niego, zaciskam zęby i szukam celnej riposty. Tak, zna tatę lepiej niż ja i postanowił wykorzystać to jako broń przeciwko mnie, uderzając, ilekroć dostrzeże sposobność.

Napięcie między nami pęka, gdy rozlega się śmiech.

Tata i Agnes pochylają się, a po pełnych policzkach kobiety płyną łzy.

Zerkam ostrożnie na Jonaha, który jest równie zdezorientowany jak ja.

– Chyba musisz im wyjaśnić, Wren – mówi Agnes, nakładając spory kawał białego mięsa na talerz.

Tata upija łyk i stuka się palcem w usta.

– Nawet nie lubię kotów.

Jonah zwiesza głowę na dłuższą chwilę, po czym zaczyna się trząść, a szczery, dźwięczny śmiech wypełnia pokój.

– Co ty tam możesz wiedzieć? Nawet szatan jest zdolny do śmiechu – mamroczę, choć również się uśmiecham, gdy napięcie szybko ulatuje z kuchni.

Wciąż wesoły tata kręci nieco głową.

– Jak bardzo dawałeś się we znaki mojej córce, Jonah?

Mojej córce. To takie obce słowa, a mimo to sprawiają, że się rumienię.

Wrażenie szybko ulatuje, gdy wielka ręka Jonaha łąduje na moim ramieniu, zanim

mężczyzna przyciąga mnie do swojego boku. Jego sylwetka jest jak ceglany mur w porównaniu z chuderlawym Coreym.

– Ja? Miałbym dawać się we znaki tej cierplivej, uroczej, prostolinijnej dziewczynie?

Próbuję się wyrwać, ale Jonah zacieśnia uchwyt, przyciągając mnie jeszcze bliżej, aż praktycznie zostaję wprasowana w jego tors i biodro, a mój policzek kończy przyciśnięty do jego piersi. Lekki zapach żelu pod prysznic zwietrzyła już po całym dniu pracy, ale Jonah wciąż pachnie niesamowicie.

Chociaż naprawdę nie chcę go wachać.

– Nie dogadalibyśmy się lepiej, nawet gdybyśmy się starali. Jesteśmy jak groszek i marchewka, Wren. Pieprzony groszek i marchewka.

Odpycham się rękami, wbijając mu palce w żebra, szukając wrażliwych miejsc. Znajduję jednak wyłącznie twarde mięśnie. Mogę więc myśleć tylko o jednym: przeszukaniu napakowanej klatki piersiowej. Trafiam na sutek, który ściskam i przekręcam.

Mężczyzna natychmiast mnie puszcza i stęka z bólu.

– Powiedziałabym, że bardziej jak ocet i mleko – rzuca wciąż rozbawiona Agnes.

W korytarzu rozlegają się miękkie kroki.

– Co się tu dzieje? Co was tak bawi? – Do kuchni wpada Mabel, która przebrała się w czarne legginsy i zwykły, biały, dopasowany podkoszulek, co podkreśla jej wąskie biodra i małe, acz jędrne piersi. Długie, proste włosy sięgają jej do połowy pleców, najwyraźniej niedawno je szczotkowała. Niewinne spojrzenie szybko omiata nasze twarze, nim zawiesza się na Jonahu.

I natychmiast widzę prawdę w słowach Agnes.

Mabel poważnie zakochała się w Jonahu.

O Boże, dlaczego?

– Cześć, dzieciaku. – Tata ją obejmuje i przyciąga do siebie. – Jak tam na farmie?

Żołądek mi się kurczy. Mnie tak nazywał. To mi nadał tę ksywkę.

– Dobrze. Nudno. Dlaczego nie mogę posiedzieć w Wild? – dąsa się dziewczyna.

Tata się śmieje.

– Ponieważ byłoby to jeszcze bardziej nudne. Dlaczego dwunastolatka chce spędzać całe lato na lotnisku?

Ma tylko dwanaście lat? Zachowuje się jak znacznie starsza, chociaż nie przebywałam w towarzystwie tak młodych dziewczyn, nie licząc okresu, kiedy sama miałam dwanaście lat.

Mabel przewraca oczami.

– Dwanaście lat i niemal jeden miesiąc. I nie siedziałabym na lotnisku, gdybyś nauczył mnie latać.

– No i się zaczyna... – mamrocze Agnes.

– No co? Powiedział, że mnie nauczy.

– Kiedy będziesz mieć czternaście lat! – przypomina jej Agnes.

– Tak. Ale to zaledwie za rok i jedenaście miesięcy. Nie zapominaj o tym. – Mabel wbija tacie palec w brzuch, na co ten się spina.

– Jak mógłbym zapomnieć? – Mierzwi jej włosy. – Przypominasz mi o tym co tydzień, odkąd skończyłaś sześć lat.

Uderza we mnie wielka fala zazdrości. Tak wiele lat temu rozmawiałam z tatą o tym, że pewnego dnia nauczy mnie latać samolotem, jeszcze zanim uświadomiłam sobie, że zdecydowanie wolę stąpać po ziemi. A oto obejmuje Mabel, obiecując jej to samo, co mi. Zachowując się jak ojciec, którym według wyobrażeń miał być dla mnie.

W mojej podświadomości zaczyna kiełkować niepewne podejrzenie.

Agnes i tatę łączy „skomplikowana” relacja. Kobieta mówiła, że znają się niemal od szesnastu lat. A sądząc po wyglądzie dziewczynki, przypuszczam, że jej ojciec nie pochodzi z Juków ani żadnego innego rdzennego ludu Alaski.

Słyszę w uszach szum własnej krwi.

Dwanaście lat i miesiąc. Oznaczałoby to, że urodziła się pod koniec czerwca. Tata miał przylecieć do Toronto na koniec roku szkolnego w czerwcu dwanaście lat temu.

Czy to zbieg okoliczności? A może...

Czy Mabel należy do tajemniczego „to skomplikowane”?

Czy mam przyrodną siostrę, o której nikt mi nie powiedział?

Kiedy mama wyszła za Simona, desperacko pragnęłam rodzeństwa. A idąc do liceum, żałowałam, że mama nie wpadła. Wtedy mogłaby zająć się dzieckiem i przestałaby dyszeć mi w kark.

Ale czy przez cały ten czas miałam młodszą siostrę, o której istnieniu nic nie wiedziałam?

Nie spodziewałam się takich wieści, gdy wsiadałam na pokład samolotu, by tu przylecieć.

Czy to przez Mabel tata mnie wtedy nie odwiedził?

Czy powód nie miał jednak nic wspólnego z Alaska Wild?

Czy to dla tej małej mnie porzucił?

Czy wybrał ją, a nie mnie?

– Calla? – Tata mi się przygląda. – Wszystko w porządku? Zbladłaś.

– Tak. – Odchrząkuję. – A właściwie nie. Niezbyt dobrze się czuję. – Nie potrafię się uśmiechać i udawać, że wszystko jest w porządku. Muszę pozbierać myśli.

Agnes i tata wymieniają zmartwione spojrzenia.

– Może się położysz? – proponuje kobieta. – Moja sypialnia znajduje się po lewej...

– Nie, chyba pójdę do domu. – Na drugą stronę ulicy.

Potem, jeśli mam rację, wsiadę w samolot i wrócę do Toronto.

Wyczuwam, że Jonah przygląda mi się intensywnie, gdy przechodzę obok niego. Wsuwam stopy w ubłocone tenisówki i spieszę do drzwi.

– Calla!

Kiedy już jestem na zewnątrz, odwracam się i widzę, że Jonah podąża za mną podjazdem w niezawiązanych butach. Nie mam w tej chwili ochoty na rozmowę z nim. Przyspieszam, potykając się o jakąś dziurę, bo łyzy zasnuwają mi widok.

Jonah jest szybszy, niż się spodziewałam, więc mnie dogania i chwyta za rękę, gdy wchodzę po schodach do domu taty. Trzyma mocno, nie dając mi uciec.

– Co się tam, u diabła, stało?

– Nie czuję się dobrze...

– Gówno prawda, czułaś się wyśmienicie, a kiedy Wren przytulił Mabel, zaczęłaś się wydurniać. Nie mów, że jesteś zazdrosna o dwunastolatkę.

Agnes miała rację. Jonah jest zbyt spostrzegawczy. Chyba jednak wszyscy to zauważyli.

Oddycham głęboko i się odwracam. Stoję na drugim stopniu, więc nasze oczy znajdują się na jednym poziomie, dzięki czemu mogę spojrzeć wprost w nieodgadnione, zimne, błękitne morze.

– Jest moją przyrodną siostrą, prawda? – pytam drżącym głosem.

Nie sądzili, że się połąpię?

Naprawdę uważali, że mogą to ukrywać?

Z mieszanimy szoku i bólu rodzi się gniew.

Jonah otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale jeszcze się nad tym zastanawia.

– Co powiedzieli ci na temat Mabel?

– To znaczy dziewczyny, o której nigdy nie słyszałam, aż poznałam ją dziesięć minut temu?

Jego pytanie brzmi jak potwierdzenie, którego potrzebowałam. Po moim policzku spływa pojedyncza łza, szybko ją ocieram wolną dłonią. Nie znoszę płakać, gdy jestem zdenerwowana.

– Wren ci o niej nie mówił?

Ile Jonah wie o naszej nieistniejącej relacji?

– Ani słówkiem. Nie, odkąd wykręcił się od bycia moim ojcem. – Ale nie jej, najwyraźniej. Wymyka mi się kolejna łza, choć tym razem jej nie ocieram. – Miałam dwanaście lat, żeby pogodzić się z faktem, że bardziej troszczył się o swoje samoloty i Alaskę niż o mnie. – Parskam szyderczo. – A teraz dowiaduję się, że zachował się tak, bo ma drugie dziecko.

Jonah puszcza moją rękę.

– Cholera, Wren – mamrocze wraz z czymś, czego nie rozumiem, ale to bez wątpienia wiązanka przekleństw.

Wspinam się po schodach, by wejść do domu i zostać sam na sam z myślami.

– Ojciec Mabel pracował dla Wrena. Był pilotem w Wild – woła za mną Jonah, na co przystaję.

– Chwila. Więc mój tata... nie jest jej ojcem?

– Nie, nie jest – odpowiada wolno i wyraźnie Jonah.

Garbię się, odczuwając dziwną ulgę.

– Więc gdzie teraz jest jej ojciec?

– Zginął w katastrofie samolotu kilka miesięcy przed jej narodzinami.

– Oj. To... do dupy.

Jonah milczy przez chwilę, najwyraźniej jest pogrążony w myślach.

– Dlaczego zjawiłaś się na Alasce, Calla?

Marszczę brwi.

– To znaczy? Żebym mogła poznać ojca, zanim, no wiesz... Tak na wszelki wypadek. – Nie powinnam była tego wyjaśniać.

– Więc może powinnaś go poznać, a nie doszukiwać się rzeczy, przez które mogłabyś go nadal nienawidzić?

– Nie nienawidzę go. I niczego nie szukam. To... Nie rozumiesz.

Wzdycha ciężko.

– Słuchaj, nie moja sprawa, co się między wami wydarzyło, mam własne dramaty, ale wiem, jak to jest próbować komuś wybaczyć tylko po to, aby zdać sobie sprawę, że zbyt długo się zwlekało. – Patrzy w ziemię, nim wraca wzrokiem do mojej twarzy. – Zaufaj mi, nie chcesz, by coś takiego wisiało nad twoją głową. – Nawet pomimo tej szpeceniastej brody wiem, że zaciska usta.

Czy mówi o własnym ojcu? Co się między nimi stało? Patrzę w jego stalowe oczy przez dwie, trzy sekundy.

To on jako pierwszy odwraca głowę i zerka na dom Agnes, przy którym tata opiera się o barierkę, przykładając rękę do ust, żeby zaraz ją odsunąć. Pali.

Dopada mnie wielki wstyd. Byłam zazdrosna, mimo że nie miałam ku temu dobrego powodu. Wybiegłam stamtąd, generalnie rujnując kolację, sprawiając, że atmosfera stała się dla wszystkich jeszcze bardziej niezręczna.

To tyle, jeśli chodzi o panowanie nad swoim zachowaniem i poddawanie kontroli takich uczuć jak niechęć.

– Wiesz, z pewnością jesteś córką Wrena – mruczy Jonah.

– Dlaczego to powiedziałaś? – pytam ostrożnie. Chcę usłyszeć odpowiedź?

– Ponieważ żadne z was nie ma odwagi, by wyznać prawdę w najbardziej istotnych kwestiach.

Przyglądam się, jak odchodzi, a żwir chrzęści pod jego butami.

ROZDZIAŁ 10



Drapię się gwałtownie po łydce, gdzie ukąsił mnie komar, gdy otwierają się drzwi prowadzące z salonu na patio. Na zewnątrz wygląda tata.

– Tu jesteś. – Przygląda się patchworkowej kołdrze, którą przyniosłam ze swojego pokoju i którą się owinęłam, żeby nie dopadł mnie wieczorny chłód, kiedy siadłam na rozchwanym aluminiowym leżaku. – Głodna?

– Trochę – przyznaję zawstydzona, czując, że znów rumienię się z powodu zażenowania po scenie, którą zrobiłam.

Wychodzi z dwoma talerzami, trzymając je na jednej ręce.

– Agnes ci to zapakowała. Powiedziała, że skoro nie jesz ziemniaków, da ci inne rzeczy. – Na wysłużonym stoliku stojącym przede mną kładzie talerz, na którym jest pełno białego i ciemnego mięsa – zapewne więcej, niż zdołałabym zjeść. Co zabawne, jest też groszek i marchewka.

Ruchem głowy wskazuje na stojący obok mnie leżak w pomarańczowo-czerwone paski i podarty w kilku miejscach, gotowy ustąpić pod jakimkolwiek ciężarem.

– Mogę się przysiąść?

– Tak, oczywiście. Proszę.

Zajmuje miejsce z jękiem, kładąc swój talerz na plastikowych pojemnikach ustawionych tuż obok.

– Agnes przyrządza wspianalego kurczaka. Nigdy nie widziałem nikogo, kto nie wróciłby po dokładkę.

Sięgam po swój talerz.

– Zniosę je po posiłku, by przeprosić za to, co miało miejsce wcześniej.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale wydaje się, że zmienia zdanie i zamiast tego z kieszeni kamizelki wyjmuje piwo.

– Chcesz?

Normalnie bym odmówiła, ale wewnętrzny głos każe mi przyjąć napój. Wieczorną ciszę przerywa dźwięk otwieranej puszki.

Przyglądam mu się przez chwilę, gdy popija piwo i patrzy w pola przed nami.

Czy powinnam wyjaśnić wcześniejszą sytuację?

Czy mam poczekać, aż o niej wspomni? A co, jeśli tego nie zrobi?

Może powinnam unikać tematu Mabel i popracować nad polepszeniem atmosfery, żeby nie było nam już niezręcznie?

– Przepraszam – rzucam, zanim mam szansę to przemyśleć.

– W porządku, Calla – mamrocze, unosząc rękę. – Jonah wyjaśnił, o co ci chodziło. – Śmieje się cicho. – Zaraz po tym, jak przedstawił, co myśli o mnie i o tym, jak sobie z tobą radzę. Rety, ten gość się nie patyczkuje. Potrafi zrównać z ziemią. – Wskazuje na podłogę, by pokazać, o co mu chodzi.

– Tak, zauważyłam – mamroczę, marszcząc brwi. Jonah powiedział, że nie chce się mieszać w nasze sprawy.

– Chociaż miał rację. Jestem ci winien wyjaśnienie, mimo że niczego ono nie naprawi. Nawet jeśli jest o dwanaście lat za późno. – Ojciec tak intensywnie wpatruje się w stertę starych, zużytych butów rzuconych w kąt, że zastanawiam się, czy nie dostanę jakiejś pary.

– W styczniu w roku, gdy miałem przylecieć do ciebie do Toronto, Derek, jeden z moich

pilotów, przemierzał Alaska Range, kiedy dość szybko obniżył się pułap chmur. Wydaje się nam, że to go zmyliło i wykonał zły manewr. Wleciał wprost w górę.

– To ojciec Mabel?

Przytakuje.

– To ja miałem lecieć, ale zająłem się problemami na miejscu. Paliwo się kończyło, miałem uziemione dwie maszyny i tonę dokumentów do wypełnienia, których nie mogłem olać. No wiesz, podatki... tego typu rzeczy. Poprosiłem więc Dereka, żeby przyszedł w wolny dzień i poleciał za mnie.

Zaczynam rozumieć.

– To ty byś się wtedy rozbił?

Tata zginąłby tamtego dnia.

– Tego nie wiem. Derek latał dopiero z pięć lat, nie miał doświadczenia w górach. Ja? Nie zliczyłem, ile razy przemierzyłem tę drogę. Znam tamtejsze warunki. Nigdy nie popełniłbym takiego błędu. – Upija spory łyk piwa. – Nie powinienem go wysyłać.

Szukam słów, ale nie wiem, co powiedzieć.

– Musiało być ci trudno.

– Było. Wszystkim w Wild było. Ale w szczególności Agnes. Mabel miała urodzić się w sierpniu, jednak nastąpiły komplikacje i przyszła na świat w czerwcu, kilka dni przed tym, jak miałem lecieć do ciebie do Toronto. Miała wadę serca, potrzebowała operacji. Wysłano ich do Anchorage, więc polecałem tam z nimi. – Wzdycha ciężko. – Po tym, co się stało z Derekiem, nie mogłem zostawić Agnes, żeby sama musiała sobie radzić. Nie, kiedy istniało ryzyko, że Mabel nie przeżyje. Właśnie dlatego cię nie odwiedziłem.

Odtwarzam fragmenty tamtej rozmowy sprzed dwunastu lat. Telefonu, który zakończył moją relację z ojcem. Przez tyle lat pozwolił mi myśleć, że zrezygnował ze mnie dla czegoś tak trywialnego jak praca.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? Zrozumiałabym.

– Miałaś czternaście lat, Calla. Błagałaś mnie o tę wizytę od lat. Wcześniej tak wiele razy cię rozczarowałem. Stwierdziłem, że powód nie miał znaczenia. Zwłaszcza gdy w grę wchodziła jakaś inna dziewczynka. Nie miałem pojęcia, jak ci to wyjaśnić. Łatwiej mi było rzucić winę na Wild. Przynajmniej przywykłaś do tego typu wymówek.

Zastanawiam się nad jego słowami. Miałaś czternaście lat i bardzo chciałam się z nim zobaczyć, wiedzieć, że jestem dla niego ważna. Bez względu na powód, zrozumiałabym tę nieobecność?

Czy w tej chwili w pełni ją rozumiem?

– Powiedziałeś o tym mamie? – Boże, jeśli wiedziała i mi nie powiedziała...

Kręci głową.

– Twoja matka była... Sprawy między nami mocno się skomplikowały. Zawsze takie były.

Skomplikowane. Wydaje się to regułą, jeżeli chodzi o tatę.

– Ponieważ wciąż cię kochała? – pytam cicho.

Prycha niezręcznie. Drapie się po mocno zarośniętej głowie i przez chwilę patrzy na mnie szarymi oczami, szukając czegoś – nie wiem czego – nim wraca wzrokiem do sterty butów.

– Co o tym wiesz?

– Tylko to, co powiedział mi Simon. Stwierdził, że wciąż była w tobie zakochana i że zostawiłaby go, gdyby istniała szansa, że się zejdziecie. – Waham się. – Miał rację?

Pociera czoło.

– Słuchaj, nie chcę powodować niepotrzebnych napięć pomiędzy tobą a matką.

– A jak mógłbyś je spowodować? – pytam ostrożnie.

Wygląda, jakby walczył z myślami.

– Nigdy nie potrafiliśmy się dogadać. Wiedziałem to od chwili, gdy ją poznałem, a mimo to jakimś cudem udało jej się mnie przekonać, że będzie nam razem dobrze. Do diabła, nie spierałem się z nią. Wiedziałem, że pewnego dnia się obudzi i zda sobie sprawę, że była dla mnie za dobra. Do tej chwili brałem jednak to, co mi dawała. Taka kobieta... – Kręci głową, a na jego twarzy pojawia się niewielki, tajemniczy uśmiech. – Nie zdziwiłem się, kiedy się spakowała i wyjechała. I tak byłem zaskoczony, że tyle tu została. I nie mogłem błagać, by nie wyjeżdżała. Nie byłoby to w stosunku do niej fair. Wiedziałem, że nigdy nie zaznałaby tu szczęścia.

– Ale to nie ciebie opuściła. – Gdyby zechciał rozpocząć wspólne życie w miejscu, z którego oboje byliby zadowoleni, nie siedziałabym w tej chwili obok całkowicie obcej osoby.

– Mieszkam na Alasce, jest częścią mnie. Nie potrafię tego wyjaśnić. To miejsce, to życie... mam to we krwi. – Marszczy brwi. – Twoja mama zadzwoniła do mnie po tym, jak obwieściłem, że do ciebie przylecę.

– Tak? – Nie pamiętam, aby mi o tym mówiła, ale może po prostu zapomniałam.

– Pierwsza rozmowa była krótka. No wiesz, chciała się dowiedzieć, gdzie się zatrzymam i na jak długo.

Zaczynam się denerwować. Powiedział, że to była pierwsza rozmowa.

– Ile razy potem do ciebie dzwoniła?

Waha się.

– Kilka – przyznaje w sposób, który podpowiada mi, że z pewnością było więcej niż trzy połączenia. – Boże, dobrze było usłyszeć jej głos po tych wszystkich latach. – Wpatruje się we własne dłonie. – Problem polegał jednak na tym, że rozbudziło się wiele uczuć. Byłem lekko zdezorientowany. Ona również.

– To znaczy? – Osuwam się na leżaku, gdy czuję, jak ściska mi się żołądek. Co on mi dokładnie mówi? – Mieliście telefoniczny romans? – To jeden z powodów, przez które wszystko się posypało?

– Czekaj, Calla. Chwila. Nie odczytuj z tego zbyt wiele. – Unosi ręce w geście poddania, kontynuuje opowieść dopiero chwilę później. – Wydawało się, że wyprowadzka do Toronto była dobra dla was obu. Nie chciałem mieszać w waszym życiu, nie, kiedy w ostatecznym rozrachunku niczego by to nie zmieniło. Nie byłem w stanie zapewnić wam tego, czego naprawdę potrzebowałyście. Wiedziałem o tym, twoja matka również. – Znów ciężko wzdycha. – Po tym, jak odwołałem wizytę z powodu Mabel, postanowiłem, że nadszedł wreszcie czas, żeby wycofać się na dobre i dać wam spokój. I może nie była to właściwa decyzja. Bóg jeden wie, że podjąłem ich w życiu wystarczająco wiele. Chociaż niczego już nie zmienię. – Po chwili patrzy na mnie ze smutnym uśmiechem. – A może była dobra. Wydaje się, że wyrosłaś na dobrą osobę.

Mam ochotę powiedzieć, że to dzięki mamie i Simonowi.

Chociaż nie potrafię zliczyć przepłakanych nocy, gdy wmawiałam sobie, że tacie na mnie nie zależało.

Wciąż mam problem z przyswojeniem tych wieści. Dlaczego ktokolwiek miałby budować relację z drugą osobą, od początku wiedząc, że ten związek był skazany na niepowodzenie? Po co się żenić i płodzić dziecko?

A jeśli już, dlaczego przynajmniej nie postarać się odrobinę, aby coś z tego wyszło? To znaczy wiem, że mama zaszła ze mną w ciążę przez przypadek, ale mimo wszystko.

Tata odkłada puszkę i kładzie talerz na kolanach, po czym bierze się do krojenia kurczaka.

– A jak w domu?

– Eee... dobrze. Super – jaką się zaskoczona tym, jak szybko potrafi przekierować rozmowę o przeszłości na neutralny grunt.

– A mama? Ojczym? Jak on ma na imię?

– Simon.

Kiwa głową.

– A kim jest? Lekarzem?

– Psychiatrą. – Przepycham widelcem kawałek kurczaka, nagle tracąc apetyt. W końcu zmuszam się do wzięcia kęsa, w duchu zachwycając się jego kruchością i soczystością.

– Wiedziałem, że to jakiś mądrała.

– Jest bardzo bystry. I cierpliwy. Czasami tak cierpliwy, że to wkurzające.

Tata się uśmiecha, choć wyraz ten szybko niknie.

– Ale jest dobry dla ciebie i mamy?

– Najlepszy. – Był dla mnie prawdziwym ojcem.

Gdyby mógł, przypomniaby mi, żebym odsunęła gorycz i przypomniaby sobie, dlaczego w ogóle przyleciałam na Alaskę.

Nie wiem jednak, czy Simon wie o tych telefonach mamy sprzed wielu lat. Przecież płaci rachunki. Widziałam, że sprawdzał bilingi. Czy domyśliłby się, że to nie ja dzwoniłam?

Nagle znów rozpala się we mnie gniew. Czy mama jest świadoma tego, jak dobry jest dla niej Simon? Że może na niego nie zasługuje?

Tata przeżuwa niespiesznie. Mama mówiła, że je powoli. Zastanawiam się, czy rzeczywiście tak jest, czy wykorzystuje to, by uniknąć dalszej rozmowy.

W końcu przęłyka.

– Powiedz, co porabiałas od naszej ostatniej rozmowy.

– Chcesz, żebym streściła ci ostatnie dwanaście lat mojego życia? – Nie chciałam mu dopiec.

Wzrusza ramionami.

– No chyba że masz na dziś lepsze plany.

– Nie, nie mam. – Nałożyć maseczkę wygładzającą na twarz i zabić trochę czasu, przeglądając media społecznościowe, aż zasnę.

– W takim razie chyba mamy chwilę... – Unosi puszkę i puszcza do mnie oko. – I piwo Jonaha.

* * *

– Dlaczego się tak uśmiechasz?

Tata kręci głową, jego wesołość jest coraz większa. Dawno już dokończył kolację, pochyła się teraz przy barierce jakieś trzy metry ode mnie, z zapalonym papierosem pomiędzy palcami.

– To nic takiego. Samo słuchanie ciebie przywodzi mi na myśl tamte telefony sprzed lat.

Śmieję się zakłopotana.

– Te, gdy usta mi się nie zamykały?

Chichocze.

– Czasami potrafiłaś się tak rozgadać, że musiałem odłożyć słuchawkę na biurko i biec do toalety. Wracalem po chwili, a ty nawijałaś dalej, nieświadoma mojej nieobecności.

– Mówisz, że teraz też musisz skoczyć do łazienki?

Otwiera drzwi z ganku na zewnątrz i wylewa resztkę piwa na trawę. Wyszczuliśmy dwie pozostałe puszki z sześciopaku Jonaha.

– Właściwie chyba pójde się położyć. Jestem wykończony.

Znów się spinam. Straciłam poczucie czasu – wprowadzając tatę w moją edukację, pracę, ostatnie zwolnienie, stronę prowadzoną z Dianą, a nawet relację z Coreym, któremu od wyjazdu z Toronto nie poświęciłam wiele myśli. Gdzieś w całym tym procesie zapomniałam o rzeczywistości. W tej chwili wraca ona z podwójną siłą.

Jest zmęczony, bo miał długi dzień?

A może to przez raka trawiącego jego ciało, powoli obdzierającego go z energii? Pomimo całej tej goryczy nie chcę, by umarł.

Waham się.

– Agnes mówiła, że w następnym tygodniu rozpoczynasz leczenie.

Kiwa głową, resztki wesołości ulatują z jego twarzy.

– To... jak jest źle?

– To rak płuc, Calla. Nigdy nie będzie dobrze – mówi cicho. – Ale czekałem dwadzieścia cztery lata, żeby cię zobaczyć. Aż do przyszłego tygodnia nie chcę myśleć o szpitalu. Mam cię tu teraz. Tylko na tym chcę się skupić, dobrze?

Uśmiecham się mimowolnie.

– Okej. – To pierwsza jego uwaga na temat zadowolenia z mojej obecności.

Słychać trzask zamykanych drzwi od samochodu, przez co spoglądamy na dom Jonaha. Silnik w jego aucie budzi się do życia, a chwilę później opony plują żwirem.

– Chyba ma kolejny lot.

– Teraz? – Sprawdzam ekran telefonu, jest dziewięta wieczór.

– Musimy do maksimum wykorzystywać światło słoneczne. W lecie pracujemy nieco dłużej. Wyruszamy o szóstej rano, czasami jesteśmy w powietrzu jeszcze o północy.

Krzywię się.

– Dokąd leci?

– Wiesz, nie przypominam sobie, aby mówił, że ma dziś gdzieś lecieć. Ale Jonah przeważnie ma swój własny grafik. – Prycha. – Któż to może wiedzieć? Może leci po kolejny sześciopak?

Na chwilę odsuwam od siebie myśli o zdrowiu taty.

– Dobrze. Może następne również będziemy mogli wypić.

Tata się śmieje. Brzmi to tak samo gładko jak dawno temu przez telefon. Rozpala się we mnie ciepło i doceniam, że w końcu mam szansę usłyszeć ten dźwięk osobiście.

– Jak udaje ci się wytrzymać z nim każdego dnia? Jest... nie do zniesienia. – Ulubiony zwrot Simona. Będzie śmiesznie, gdy przyznam, że go użyłam.

– Kto? Jonah? – Tata przesuwa się na koniec ganku, by zerknąć na żółty dom, którego ja nie widzę. – Wciąż pamiętam dzień, gdy wiele lat temu pojawił się w Wild. Był chuderlawym, pełnym pychy dwudziestojedynolatkiem z Vegas, rozpaczliwie pragnącym latać. I był w tym dobry.

Podpowiada mi to, że Jonah ma teraz zapewne trzydzieści jeden lat, jest więc ode mnie starszy tylko o pięć.

– Mówił, że dorastał w Anchorage.

– Tak. Nie znosił ojca za to, że go stamtąd zabrał. Wrócił, kiedy tylko dostał ku temu okazję. Wątpię, czy kiedykolwiek wyjedzie.

Zupełnie tak jak tata. Ale dlaczego? Co takiego ma w sobie Alaska? Co sprawia, że jest dla nich miejscem wartym poświęcenia wszystkiego innego?

– Czasami może być trudny w obyciu, ale jest najlepszym pilotem, jakiego tu mamy. Zapewne także najbardziej szalonym, jednak w pewnym stopniu wszystkich nas to łączy. Niektórzy są po prostu bardziej szurnięci niż inni.

– Z tym zarostem z pewnością wygląda na szaleńca. Chociaż nie wiem, czy jestem w stanie zgodzić się z tym, że jest najlepszym pilotem.

– Cub był dla ciebie za mały. – Tata kiwa głową, jakby już słyszał tę historię.

– Specjalnie przyleciał tym maleństwem, aby mnie nastraszyć. Myślałam, że zginę.

– Nie, gdy za sterami siedzi Jonah – mówi z pewnością. – Być może porywa się na ryzyko, na które ja bym się nie zdecydował, ale zawsze jest w tym rozważny.

Przypuszczam, że jak w przypadku lotu, by uratować rodzinę Ethel.

– Niemal zwymiotowałam. Miałam przygotowaną torebkę.

Tata się uśmiecha.

– Cóż, przysłużyłoby mu się, gdybyś to zrobiła. Wiesz, pewnego razu miał na pokładzie dzieciaki wracające z zawodów zapaśniczych i po drodze dwóm osobom zrobiło się niedobrze. Twarz Jonaha miała barwę zupy grochowej, gdy wysiadł z kabiny. Nie znosi odgłosów wymiotowania.

– Żałuję teraz, że tego nie zrobiłam – przyznaję i upijam łyk piwa. – Chociaż w takiej sytuacji mogłoby być mu trudno wylądować.

Tata śmieje się, wrzucając peta do pustej puszki.

– Porozmawiam z nim. Postaram się, by był dla ciebie miłszy, ale on nie jest wcale taki zły, gdy się go pozna. Możesz go nawet polubić.

– Nie zapędzajmy się aż tak.

Tata idzie do drzwi, zbierając po drodze puste talerze.

– W szafce obok telewizora znajduje się sporo filmów, w razie gdybyś chciała coś obejrzeć.

– Posiedzę tu jeszcze przez chwilę, zanim też się położę. Wciąż cierpię z powodu jet lagu, ale dzięki za odpowiedź.

Rozgląda się po werandzie.

– W lecie Susan siadała tam w każdy wieczór. Oczywiście było tu wtedy o wiele ładniej. Miała kwiaty w donicach i wielki wiklinowy fotel. – Uśmiecha się na to wspomnienie. – Zawijała się w koc, zupełnie jak ty. Wyglądała jak gąsienica w kokonie.

– W domu też tak robi. Mamy niewielki taras. Jest trzy czwarte mniejszy niż ten tutaj... ale jest fajny. Przytulny.

– Wciąż hoduje kwiaty?

Śmieję się.

– Nasz dom przypomina dżunglę. Jest właścicielką kwaciarni i świetnie sobie w niej radzi.

– Cieszę się z tego. – Zaciska usta i usatysfakcjonowany kiwa głową. – Wspaniale. Cóż, dobranoc, Calla.

– Dobranoc. – Czuję potrzebę dodania „tato”, ale coś mnie powstrzymuje.

– I nie przejmuj się Jonahem. Lubi denerwować ludzi. – Zamyka za sobą cicho drzwi, pozostawiając mnie na werandzie.

– Pieprzony szkodnik – mamroczę pod nosem.

Mimo to, jeżeli się nie mylę, ten szkodnik pomógł mi odkryć prawdę.

Prawdę, którą musiałam poznać, jeśli liczę na pojednanie z ojcem.

ROZDZIAŁ 11



Krzywię się, czując w ustach smak gorzkiego potu i środka na komary, gdy maszeruję podjazdem taty, a moje serce wciąż bije niespokojnie. Jak do tej pory, dzisiejszy dzień stanowi powtórkę z wczoraj – kolejna zbyt wczesna pobudka, kolejne chmury na niebie, kolejny cichy, martwy dom, prócz aromatu świeżo parzonej kawy stanowiącej dowód, że tata tu był, ale wyszedł, zanim wychyńłam ze swojego pokoju.

Chociaż dziś nie czuję, aby sprawy pomiędzy Wrenem Fletcherem a mną były tak beznadziejne jak wczoraj.

Z drugiej jednak strony nie zaczęłam się nawet zastanawiać, co czuję, wiedząc o telefonach, które wykonała wtedy moja matka. Jestem na nią zła za Simona. Jednak coś podpowiada mi, że ojczym wie więcej, niż zdołał przede mną przyznać, siedząc na schodach.

Co, gdyby matka nie dzwoniła? Co, jeśli uczucia pomiędzy moimi rodzicami by powróciły? Czy tata postanowiłby się od nas odsunąć?

Kiedy zdyszana wspina się po schodach, mój wzrok ląduje na zielonym fordzie stojącym przy domu obok. Nie słyszałam, gdy Jonah wczoraj wrócił. Musiał przyjechać po tym, jak poszłam spać.

Otwieram drzwi do kuchni i krzyczę, gdy zastaję w środku postać nalewającą sobie kawy do kubka termicznego.

– Co tu robisz?

– A na co to wygląda? – Jonah odkłada wypełniony do połowy kawą dzbanek do zaparacza. Ubrany jest mniej więcej tak samo jak wczoraj: w czarną koszulkę, której materiał ładnie opina jego ramiona. I znów ma za luźne jeansy. Ta sama czapka z napisem USAF trzyma na miejscu jego zmierzwione jasne włosy.

– Nie masz u siebie zaparacza?

– Wren każdego ranka nastawia pełny dzbanek dla nas obu. To taki nasz zwyczaj. Zawsze przychodzę tu z kubkiem.

Marszczę brwi.

– A wczoraj też tu byłeś?

– Tak. – Obraca się i opiera o blat, wbijając we mnie spojrzenie tych swoich ładnych niebieskich oczu. – Byłaś pod prysznicem. – Przyszczygnął brodę? Wciąż jest długa i gęsta, ale wydaje się mniej zmierzwiona. A może... no nie wiem. Jest w nim coś innego. Wygląda nieco mniej dziko i nieprzyjaźnie.

Unosi kubek do ust, upija spory łyk i nim skupia się na mojej twarzy, omiata wzrokiem moje pokryte potem ciało, odziane w różowe spodenki i koszulkę na ramiączkach, która według niego nie pozostawia niczego wyobraźni.

– Spray na komary działa?

Zupełnie nie potrafię go odczytać i to trochę niepokojące.

– Na to wygląda – mamrocę nagle zdenerwowana. Zapewne o to mu właśnie chodziło. Unoszę z uporem głowę i podchodzę do zlewu.

– Agnes ostrzegła cię w sprawie wody, prawda?

Zamieram z dłonią w połowie drogi do ust.

– To znaczy? Jest zanieczyszczona? – Nie wypilał jeszcze niczego z kranu, ale myłałam zęby.

– Nie, jest czysta, ale nie mamy tutaj wodociągów. Raz w tygodniu przyjeżdża wielka cysterna i napełnia zbiornik przed domem. Jeśli zużyjesz wszystko przed przyjazdem następnej, nie będziesz miała jej wcale.

– Często to się zdarza? Że się kończy?

– Nie, kiedy ludzie jej nie marnują – podkreśla, gdy strumień płynie sobie swobodnie z kranu.

Zakręcam wodę.

– Dzięki za informację.

– Żaden problem. – Milknie. – Te ukąszenia nie wyglądają ładnie.

Czuję, że patrzy na moje uda, na napuchnięte zaczerwienione ślady, których się dorobiłam.

Oblewam się rumieńcem.

– Nic mi nie będzie.

Podłoga trzeszczy pod ciężkimi butami, gdy Jonah zmierza do drzwi.

– Powodzenia przy przebierankach, czy co ty tam robisz cały dzień.

I... najwyraźniej wrócił do bycia dupkiem. Szkoda, ponieważ przez chwilę wydawało mi się, że zdołam go polubić.

– Powodzenia we wkurzaniu ludzi, czy co ty tam robisz cały dzień.

Rozbrzmiewa głęboki śmiech, gdy mężczyzna wychodzi. Przyglądam się przez okno, jak zupełnie beztrzesko przemierza trawnik w kierunku swojego samochodu.

– Gnojek – mamrocę pod nosem. Przynajmniej wczorajszy gniew, który odczuwałam w stosunku do niego, nieco wyparował. Teraz jestem tylko lekko poirytowana. Nalewam sobie pół kubka kawy i z niechęcią sięgam do lodówki po płynną kredę, by go wypełnić.

Marszczę brwi, gdy zauważam świeży kartonik mleka firmy Silk.

Rano go tu nie było.

Czy Jonah mi go zostawił?

Otwieram drzwi na ganek w chwili, gdy wyjeżdża fordem z podjazdu na główną drogę, spiesząc do Alaska Wild.

Czy wczorajszego wieczoru poleciał dla mnie po to mleko?

Wyszukiwarka Google pokazuje tylko dwa sklepy w tym mieście. Najwyraźniej musiało być w tym drugim, a mimo to sama myśl, że Jonah mi je przyniósł...

Dopełniam kubek, rozcieńczając gorzki smak, a następnie upijam spory, smaczny łyk.

Nie jest to latte Simona, ale przeżyję – przyznaję z niewielkim, pełnym zadowolenia uśmiechem.

* * *

– Dzięki za podwózkę. – Zamykam drzwi taksówki, wiodąc wzrokiem po rzeszy pracowników naziemnych ubranych w pomarańczowe kamizelki, gdy na chłodnym wietrze prowadzą wypakowane paczkami wózki w kierunku samolotów.

– Proszę, ale wiesz, że mogłaś tu przyjść – mówi Michael, odpalając papierosa.

– Jest bliżej, niż mi się zdawało – przyznaję. Mimo to spacer zająłby pół godziny.

Obserwuję ulatujący w górę dym. – Nie powinieneś palić. – Przynajmniej nie robił tego, kiedy siedziałam w samochodzie, inaczej musiałabym poszukać sobie innego kierowcy.

– Tak, tak. Wiem. Próbowałem rzucić. – Lekceważy sprawę apatycznym tonem.

– To próbuj dalej. Dla swoich dzieci. – Mówi o nich w sposób, po którym wnioskuję, że pomimo swojej sytuacji życiowej mocno się o nie troszczy.

Odjeżdża, trzymając rękę za oknem i salutując mi leniwie palącym się papierosem.

Wzdycham ciężko, otwierając frontowe drzwi Alaska Wild, przy czym czuję niespodziewane łaskotanie w brzuchu. Kiedy byłam młodsza, wyobrażałam sobie, że firma taty mieści się w jednym z tych przepastnych terminali lotniskowych. Takich jak te, które widywałam w telewizji, z hordami ludzi biegających jak mrówki we wszystkich kierunkach, oszalałymi, żeby zdążyć na kolejny lot, ciągnącymi za sobą walizki. Raz zapytałam mamę, czy tak wygląda Alaska Wild. Roześmiała się i wyjaśniła: „Nie, Calla, to w ogóle tak nie wygląda. Raczej jak zwykły hangar”.

Próbowałam więc wyobrazić sobie tę prostą przestrzeń z samolotami, pilotami i ojcem pośrodku. Ale poległam.

Teraz jednak, stojąc w przestronnym holu, zauważając drewniane ściany, szare linoleum z zielonymi ścieżkami, które noszą ślady wielu odcisków butów, świetlówki w kasetonowym suficie oraz wielkie okno wychodzące na pas startowy, w końcu rozumiem, co miała na myśli.

Przypomina to bardziej warsztat mechaniczny, do którego jeździ mama i do którego mnie zawiozła, gdy po weekendzie spędzonym na degustacji wina nad Niagarą coś zaczęło dziwnie gwizdać w silniku. Nawet dystrybutor z wodą i papierowymi kubkami w kącie wygląda podobnie.

Przynajmniej nie śmierdzi tu olejem. Nie potrafię opisać tej woni. Być może to mieszanka wilgoci i parzonej kawy?

Rzędy granatowych krzesełek – niewygodnych, typowych dla lotnisk – wypełniają przestrzeń. Na oko jest tu wystarczająco miejsca, by pomieścić ze trzydzieści osób. Wszystkie siedzenia są w tej chwili wolne.

Szczupła brunetka z różowymi policzkami siedzi na samym końcu przy biurku z dwoma komputerami. Zerka na mnie raz po raz swoim jastrzębim spojrzeniem okrągłych oczu. Uśmiecha się, zauważając, że na nią patrzę.

– Ty musisz być Calla. – Jej głos z charakterystycznym amerykańskim akcentem, którego nie potrafię umiejscowić, wydaje się odbijać echem w pustym pomieszczeniu.

Nie wiem, jak się zachować.

Posyłam jej wymuszony uśmiech.

– Hej. Szukam Agnes.

– Jest na tyłach. – Wskazuje drzwi za swoimi plecami. – A tak przy okazji, jestem Sharon.

– No tak. Agnes mi o tobie mówiła. Córnka Wrena, Calla. – Kręcę głową, zbliżając się do niej. – Co właśnie sama powiedziałaś.

Dziewczyna śmieje się i wskazuje na drzwi.

– Idź.

Dopiero kiedy okrążam biurko, zauważam jej okrągły brzuch. Mimowolnie wytrzeszczam oczy.

– Dziecko. – Klepie się. – I to spore.

– Kiedy masz termin? – Wygląda, jakby zaraz miała urodzić.

– Jeszcze osiem tygodni, ale mam już dosyć.

– Domyślałam się. – Nie może być ode mnie starsza. Możliwe, że jest nawet młodsza.

Walczę, żeby się nie skrzywić na myśl o postawieniu się na jej miejscu. Może za kilka lat myśli o dziecku będą dla mnie bardziej zachęcające.

Na przykład za jakieś dziesięć.

– Powodzenia. – Przechodzę przez drzwi do o wiele mniejszego pomieszczenia w podobnym stylu, którego jedną połowę zajmują metalowe szafki w przeróżnych rozmiarach, a drugą trzy wielkie biurka.

Na wszystkich ścianach rozwieszono mapy, a po lewej stronie znajduje się niewielki gabinet z drzwiami, na których widnieje napis Wren Fletcher. Ale pokój jest pusty.

Tęgi, siwy mężczyzna siedzi przy biurku w kącie, wciskając gumką ołówka przyciski topornego kalkulatora. Obok niego drukarka rzeźi i wypływa strumień białego papieru. Jest to scena jak z kiepskich starych filmów, które oglądałam z Simonem. Gościowi brakuje jeszcze mgiełki dymu papierosowego i telefonu z tarczą.

Agnes wygląda zza swojego monitora. Na końcu nosa ma okulary, których szkła są za wąskie do jej okrągłej twarzy.

– Cześć, Calla. Szukasz taty? – Nie jest zaskoczona moją wizytą, chociaż nigdy nie widziałam, żeby się denerwowała.

– Nie, właściwie to chciałam porozmawiać z tobą. Możesz pozwolić sobie na przerwę?

– Właśnie stwierdziłam, że przydałaby mi się świeża kawa. – Wstaje i zabiera z biurka zielony kubek, po czym czerwony stojący obok faceta z kalkulatorem. – Jeszcze jedną, James?

– Aha. – Mężczyzna nawet na nią nie patrzy.

Waha się.

– Calla przyszła.

Zatrzymuje rękę w połowie ruchu, unosi krzaczaste brwi i na mnie patrzy.

– Dobry Boże, jesteś kopia Susan – mówi cicho, zanim ponownie spogląda na dokumenty przed sobą. – Cholera, gdzież to skończyłem?

– James jest „w swoim żywiole”, jak powiedziała Mabel. – Agnes ruchem głowy wskazuje na drzwi. – Staramy się mu nie przeszkadzać. Jest nieco zrzędlawy. – Zagląda za róg. – Sharon? Nasłuchuj komunikatów, dobrze? Niedługo powinien odezwać się Wren.

– Oczywiście! – mówi radosna recepcjonistka.

– Poleciał do St. Mary, żeby sprawdzić naprawy budynku dworca. – Agnes prowadzi mnie przez kolejne drzwi do czegoś, co, jak zgaduję, jest pokojem socjalnym. To długi korytarz, po którego jednej stronie znajduje się aneks kuchenny, pośrodku prostokątny stół, a po drugiej trzy zupełnie niepasujące do siebie, ustawione w literę „U” kanapy ze zniekształconymi przez lata poduchami. Przed nimi znajduje się ława z podartymi czasopismami i źle złożonymi gazetami.

Wydaje się, że jest tu o kilka stopni chłodniej. Obejmuję się, próbując zapewnić sobie ciepło.

– Ten facet najwyraźniej pamięta moją mamę. – Chyba powiedziała do niego „James”.

– I ciebie. – Agnes wyjmuje wypełniony do połowy kawą dzbanek z zaparzacza i nalewa napar do dwóch kubków. – Od czterdziestu ośmiu lat James przychodzi tu co tydzień, by popracować nad księgowością Wild. Dasz wiarę?

Wow.

– I nie używa komputera?

– Nie. Tylko tego swojego wielkiego kalkulatora i książek.

– Żartujesz, prawda?

Agnes z rozbawieniem w oczach kręci głową.

– Tak właśnie jest na Alasce?

– Tak właśnie jest w Alaska Wild. – Puszcza wodę i myje brudne kubki w zlewie. Krzywo przyczepiona na ścianie kartka głosi: „Korzystasz, myjesz”, choć najwyraźniej jest powszechnie ignorowana. – Z tego samego powodu twój tata wciąż przyjmuje zlecenia i zapisuje je na skrawkach papieru, które muszę wyjmować mu z kieszeni, i dlatego przyjmuje je wyłącznie osobiście lub telefonicznie. – Śmieje się. – Gdybyś nie zauważyła, firma zatrzymała się w czasie kilka dekad temu.

– Nie mogłam znaleźć strony internetowej – przyznaję. – Przynajmniej takiej działającej.

– To nasza jedyna strona. – Agnes nadal się śmiejąc, przewraca oczami. – Nawet nie wiem, ile czasu potrzebowałam, żeby przekonać Wrena, że jest nam ona potrzebna. Wyklócał się, że nie musi płacić komuś wielu tysięcy, ponieważ wszyscy na Alasce i tak nas znają. Tak czy siak, w końcu się zgodził i zatrudniliśmy projektanta z Toledo. Wziął kasę, ustawił adres i tyle. Pisałam do niego przez kilka miesięcy, aż moje wiadomości zaczęły do mnie wracać. – Wzrusza ramionami. – Nie szukaliśmy już nikogo innego.

– Nie musicie nikomu płacić. Możecie sami to zrobić.

Prycha.

– Po latach w końcu udało mi się stworzyć prosty formularz dla pracowników w Excelu. Znam swoje ograniczenia.

– A co z tą dziewczyną z recepcji? Sharon?

– Radzi dobrze sobie z klientami, na tym właśnie polega jej siła. Tak jak i Maxine. Nie ma jej dziś, ale pewnie kiedyś ją poznasz.

– A co z Jonahem?

– Jonahem? – Chichocze. – Ten gość przeważnie nawet nie odbiera własnego telefonu. Nie... Jonah jest dobry w pilotowaniu samolotów, rozkazywaniu wszystkim i rozwiązywaniu problemów. Nie chce mieć do czynienia z komputerami.

– A czy nie ma ich w samolotach? – mamrocze oschle. Chociaż to wyjaśniałoby jego zegarek. – A może ja mogłabym się tym zająć podczas pobytu tutaj? – proponuję bez dłuższego namysłu. – To znaczy, nie znam się na samolotach ani czarterach, ale jestem pewna, że coś bym stworzyła. – Większości tego, co pojawiło się na stronie Calla & Dee, sama się nauczyłam.

– To nie jest aż tak ważne. W końcu jakoś to ogarniemy. Jesteś tu tylko na tydzień. Powinnaś spędzać czas na poznawaniu taty.

Chyba tak.

Ale i tak go nie ma.

Agnes wyciska gąbkę i odkłada, aby wyschła.

– Mabel była u ciebie dziś rano?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Tak tylko się zastanawiam. Powiedziałam, by dała ci spokój, ale czasami w ogóle mnie nie słucha. W Bangor nie ma niczego nowego i ekscytującego. – Uśmiecha się. – Poza tobą. A ona czasami potrafi przytłoczyć.

Wspomnienie o Mabel przywodzi mi na myśl, dlaczego przyjechałam tu z samego rana. Waham się, czy poruszyć ten temat, bo wiem, że rozmowa będzie niezręczna.

– Przepraszam za wczoraj.

Macha ręką mniej więcej tak, jak zrobił to ojciec.

– Mogliśmy przewidzieć, że dojdzie do takiego zamieszania i że będzie to dla ciebie szokujące.

Przyglądam się przez chwilę profilowi kobiety, która wsypuje cukier do stojącej na blacie kawy. Czy naprawdę to rozumie?

– Tata powiedział mi o ojcu Mabe, Dereku, tak?

– Tak. – Uśmiecha się tęsknie. – Wciąż pamiętam, kiedy przyleciał tu z Oregonu. Był głośnym, lubiącym żarty nowym pilotem, więc od razu się w nim zakochałam. Pobraliśmy się rok później. – Odchodzi, by usiąść naprzeciw mnie przy stole, ściskając w niewielkich dłoniach kubek z kawą. – Kiedy dostaliśmy wiadomość, że nie pojawił się na lotnisku docelowym, wiedziałam. Z powodu mgły poszukiwania zajęły dwa dni. Siedziałam tam, gdy powiedziano mi, co znaleziono. – Ruchem głowy wskazuje błękitną kanapę, na co czuję ucisk w gardle.

– To... straszne.

W jej oczach pojawia się ból, jednak szybko ulatuje.

– Tak, ale liczyłam się z taką możliwością. Dotyczy to każdego z tych mężczyzn i warunków, w jakich latają. Przez lata straciliśmy kilku przyjaciół. Nie powiem ci, ile razy wystraszył mnie Jonah. Tak czy inaczej... cieszę się, że byłam w ciąży z Mabel. Stanowi jego część, którą nadal mam.

– Często o niego pyta? – Tyle, ile ja pytałam mamę o tatę, będąc młodszą?

– Nie. Czasami. – Agnes opiera się, wpatrując w kasetony na suficie. – Bardzo przypomina mi Dereka. Ma w sobie jego energię i ten ochryply głos.

– Zabawne, jak czasem się układa, co?

Czuję, że Agnes wpatruje się we mnie ciemnymi oczami, gdy przeciągam palcem po sękach drewna na blacie, dłońmi, które według mamy mam po ojcu.

– To przez śmierć Dereka Wren postanowił polecieć do ciebie do Toronto. Mój mąż nakłaniał go do tego, a kiedy umarł, Wren czuł się wobec niego zobowiązany.

A nie czuł się tak w stosunku do mnie?

Odsuwam od siebie tę gorzką myśl.

– Ponieważ obwiniał się o śmierć Dereka. Mówił mi o tym.

Agnes jęczy z dezaprobatą.

– Bez względu na fakty Wren zawsze znajdzie sposób, aby obarczyć się winą za tamten wypadek. Albo Derek nie miał na tyle doświadczenia, by poradzić sobie w górach, co oznacza, że Wren źle go ocenił, albo nie można było tego uniknąć i to Wren powinien wtedy lecieć. Kiedy pogoda nie jest stabilna, często się tam załamuje. Piloci myślą rzeki i nie skręcają, gdy powinni, lub wykonują manewry zbyt wcześnie. Tak czy inaczej, Derek wciąż powinien z nami być. Przynajmniej według Wrena. Nikt inny tak tego nie widzi. – Waha się wpatrzona we mnie. – Nie powiedział mi, że odwołał wizytę u ciebie, aż było za późno. Gdybym wiedziała, co planował, nalegałabym, żeby do ciebie poleciał. Czuję się częściowo odpowiedzialna za to, co się między wami wydarzyło. I przepraszam cię za to.

– Nie... Nie miałaś z tym nic wspólnego. To on zdecydował. – I być może popełnił błąd. A może nie. Co stałoby się z naszą rodziną, gdyby przyleciał? Czy mama odsunęłaby się od Simona?

Czy zrobiłaby coś, czego już nie zdołałaby cofnąć?

Jak wyglądałoby teraz moje życie, gdyby tata przyleciał wtedy do Toronto?

Wzdycham ciężko.

– Szkoda, że mi nie powiedział. Nawet jeśli wtedy bym tego nie zrozumiała, wolę myśleć, że w końcu by to do mnie dotarło.

– Jeżeli ma to coś poprawić, wiem, że choć się nie przyzna, Wren bardzo żałuje swojego zachowania w stosunku do twojej mamy i ciebie. – Agnes wstaje i podchodzi do szafek przy zlewie. – Muszę przyznać, że potrafi być wkurzający. Mało mówi i nie zdradza uczuć, co nie oznacza, że mu nie zależy. Jest wręcz przeciwnie. Musisz jedynie uważnie się przyjrzeć, żeby dostrzec emocje oraz to, jak je okazuje. – Staje na palcach, chcąc sięgnąć do szafki nad zlewem. Zaczyna w niej grzebać, przesuwając puszki i pudełka, niestojące w żadnej szczególnej

kolejności. W pokoju słyhać uderzanie drzwiczek o ramę.

Musi coś robić, zupełnie jak mama.

Przynajmniej to mają wspólne.

Przez ostatnie dwa dni zdołałam przyjrzeć się relacji ojca z Agnes, mimo to wciąż gości we mnie niepewność.

– A czy ty... i tata, kiedykolwiek... To znaczy, czy były chwile, gdy łączyło was coś więcej?

Skupia się na wiszącej na ścianie podkładce, bierze przyczepiony do niej ołówek i coś notuje – może robi inwentaryzację?

– Był czas, gdy miałam na to nadzieję.

– Ale już nie masz?

Nie odpowiada od razu, jakby uważnie dobierała słowa. W końcu mówi:

– Już nie mam.

Rozlega się pukanie do drzwi, więc obie obracamy się do stojącej na progu Sharon, której brzuch jest jeszcze bardziej widoczny w porównaniu z jej długimi, chudymi nogami.

Oczy Agnes błyszczą, kiedy na nią patrzy.

– Jak się trzymasz?

Sharon podtrzymuje dół brzucha, idąc do lodówki.

– Sikam co dwadzieścia minut, o wszystkim zapominam i mam okropną zgagę. I Max cholernie mnie wkurza.

– Max to ojciec. Lata u nas regularnie do Nome – wyjaśnia Agnes, przyglądając się, jak pracownica stoi przy otwartej lodówce z zagubionym wyrazem twarzy, przeszukując półki. – Może po prostu się cieszy.

– Ja będę się cieszyć, kiedy to małe już ze mnie wyjdzie – odpowiada stanowczo. – Agnes, znalazłaś już kogoś na miejsce moje i Maxa?

– W przyszłym tygodniu Jonah ma rozmowę z nowym pilotem. Nie mam natomiast nikogo do recepcji. Chyba przez jakiś czas będziemy się zmieniać. Ja, Maxine i Mabel. No chyba że uda mi się przekonać Callę do dłuższego pobytu. – Śmieje się. – Co ty na to? Zastąpisz Sharon po jej przeprowadzce do Dolnych Czterdziestu Ośmiu? Spędzałabyś więcej czasu z tatą... – zarzuca przynętę.

Ojciec powiedział jej o restrukturyzacji w banku? Jestem bezrobotna, prawdę mówiąc, mogłabym zostać tu dłużej.

Zastanawiam się, dlaczego Max i Sharon wyjeżdżają. Czyżby nie lubili Alaski?

– Boże, przecież dlatego tu przyszłam. Rany, to zaćmienie! – jęczy Sharon. – Wren się odezwał. Ląduje za dziesięć minut.

– Dobrze. W końcu. – Agnes macha na mnie. – Chodź, Calla. Obejrzyjś lądowanie ojca.

* * *

Obejmuję się ramionami, bo zmarzłam przez ostatnią godzinę. Wilgotne powietrze i gęste chmury zwiastują deszcz, ale przynajmniej zimny wiatr przewiał stąd komary.

– Patrz! Jest! – Agnes wskazuje na niebo, gdzie pojawia się punkcik szybko przybierający kształt samolotu. Kobieta się uśmiecha. – Nigdy nie znudzi mi się oglądanie, jak ci faceci wracają do domu.

Muszę przyznać, że przeszywa mnie mały dreszcz, gdy stoję na płycie otoczona samolotami i uświadamiam sobie trudną do zaakceptowania prawdę, że dla niektórych są one jedynym łącznikiem z cywilizacją. To z pewnością zupełnie inny styl życia, niż dojeżdżanie do celu metrem czy samochodem.

– Czy tata lata każdego dnia?

– Nie, zazwyczaj spędza dni przy telefonie, rozmawiając z pilotami i obserwując raporty pogodowe. Ale przez ostatni tydzień częściej siadał za sterami. Wydaje mi się, że chce spędzić w samolocie tyle czasu, ile tylko zdoła, zanim będzie musiał się poddać.

Marszczę brwi.

– Co to znaczy?

Rozgląda się.

– Wkrótce będzie musiał zgłosić pogarszający się stan zdrowia, a kiedy to zrobi, zostanie uziemiony. Nie będzie mógł latać, przechodząc terapię. Tak naprawdę już powinien to zgłosić. Wydaje mi się, że właśnie dlatego wybiera się na pojedyncze loty. Chyba potrafi pogodzić się z łamaniem zasad tylko w sytuacji, gdy chodzi o ryzykowanie własnego życia. – Milknie na chwilę. – To chyba w tym dla niego najgorsze. To, że nie będzie mógł wystartować, kiedy tego zapragnie.

W ciszy obserwuję powiększającą się plamkę.

– Naprawdę kocha latać.

– Bardziej niż ktokolwiek, kogo znam, a na Alasce jest sporo pilotów – zgadza się. – James opowiadał o przekonaniu twojej babci, że Wren po wyjściu z łona płakał tylko dlatego, że nie chciał dotknąć ziemi. Jeśli ktokolwiek urodził się do latania, jest to twój ojciec. – Uśmiecha się zamyślona. – Wiesz, zawsze wiedzieliśmy, kiedy z tobą rozmawiał. Wylatywał później bez mówienia nikomu, dokąd się udaje ani kiedy wróci. Nie odpowiadał na komunikaty czy nawoływania innych pilotów przez radio. – Śmieje się. – Doprowadzał nas tym do szału. Oczywiście wracał po około godzinie, ale i tak było to dość lekkomyślne. W końcu nauczyliśmy się, że w ten sposób odreagowywał.

– Zabawiając się w kamikadze?

– Przebywając w swoim ulubionym miejscu, wysoko na niebie, z dala od wszystkich, których stracił na ziemi.

Nie wiem, czy broni decyzji taty o odsunięciu się od rodziny, czy próbuje mi ją wyjaśnić. W każdym razie to jakby wypaczanie rzeczywistości. Tata nigdy nie był ofiarą.

– Nie musiał nas tracić. Niebo Alaski nie jest jedynym niebem. Zapewne znalazłby pracę gdzie indziej. W firmach jak Pacific Northwest, British Columbia, Alberta, Ontario. Stracił nas, bo nie chciał się starać.

Milczy przez chwilę, mruży oczy, wpatrując się w nadlatujący samolot, jakby ważyła swoje następne słowa.

– Wiesz, że twój tata mieszkał przez chwilę w Colorado?

– Eee... nie. – Tak wiele o nim nie wiem, więc chyba nie powinno mnie to dziwić. – Kiedy to było?

– Miał dwadzieścia jeden lat. Pojechał do wujka, brata twojej babci. To stamtąd pochodzili twoi dziadkowie, ale przenieśli się na Alaskę przed narodzinami Wrena. Tak czy inaczej, Wren nigdy nie był poza stanem. Pojechał, żeby zobaczyć, jak wygląda reszta Ameryki, zanim na dobre przejął rodzinny interes. Na miejscu dostał pracę w zespole poszukiwawczo-ratowniczym. Latał, odkąd skończył czternaście lat, miał więc wystarczające doświadczenie. W ciągu jednego dnia dostał trzy oferty pracy. I podczas tamtego pobytu udało się mu również zwiedzać. Był w Kalifornii, Arizonie, Oregonie. Nie pamiętam, gdzie jeszcze. Na jeden weekend skoczył do Nowego Jorku. – Śmieje się. – Nie spodobało mu się to miasto. Mówił, że nie mógł doczekać się wyjazdu. Nawet po roku mieszkania na południu twierdził, że czuł się jak gość w zupełnie innym kraju. Tak wiele różnic zauważył. Ludzie byli inni, podobnie jak ich styl życia. I priorytety. Wszystko biegło tak szybko. Bardzo tęsknił za domem.

– Wrócił więc na Alaskę.
– Nie miał wyjścia. Twój dziadek zachorował i znalazł się w szpitalu w Anchorage. Po powrocie Wren przejął Wild. Był na to przygotowany, ale myślał, że nastąpi to dużo później. No wiesz, miał dwadzieścia trzy lata, gdy zmarł jego ojciec.

– Nie wiedziałam, że był tak młody.
– Musiało to być przytłaczające, chociaż Wren nigdy nie narzekał. To miejsce przez lata stało się dla niego bardzo ważne. Twoja babcia pomagała mu, jak tylko mogła, ale i tak to na nim spoczęła największa odpowiedzialność. W pewnych chwilach zależało od niego nawet ludzkie życie. – Przygląda się zbliżającemu się samolotowi. – Życie tutaj może być proste, ale nie jest łatwe i nie jest dla każdego. Woda się kończy, rury zamarzają, silniki nie chcą odpalić, jest też ciemno przez osiemnaście, dziewiętnaście godzin dziennie, i to przez kilka miesięcy. A na dalekiej północy nawet dłużej. Tutaj chodzi o posiadanie jedzenia i ciepła, by przetrwać zimę. Chodzi o przeżycie i radość z otaczającego nas towarzystwa. Nie o to, czyj dom jest większy ani kto ma fajniejsze ubranie czy więcej pieniędzy. Wspieramy się nawzajem, bo siedzimy w tym razem. I ludzie to lubią lub nie. Nie ma niczego pomiędzy. Osoby jak Wren czy Jonah nie potrafią pozostać zbyt długo z dala od tego miejsca. A ci jak Susan... cóż, nigdy nie przywykną. Walczą z zamiast się z nim pogodzić, a przynajmniej nauczyć się adaptacji. – Milknie, jakby zastanawiała się, czy powinna mówić dalej. – Nie zgadzam się z decyzjami Wrena, jeśli chodzi o ciebie, ale wiem, że nie podjął ich dlatego, że mu na tobie nie zależało. I jeśli chcesz obwinać kogoś o brak starań, jest kilka takich osób. – Obraca się do mnie z uśmiechem. – Ale możesz też skupić się na tym, co jest tu i teraz, zamiast na tym, czego nie możesz zmienić.

Rozumiem, o co jej chodzi. O to, że wina za rozpad małżeństwa rodziców nie spoczywa jedynie na barkach taty i może mama też nigdy tak naprawdę się nie starała, nawet pomimo zapewnień, że było inaczej.

Mały samolot w biało-czarne paski jest coraz bliżej. Podchodzi do lądowania, ustawiając się nad krótkim pasem startowym, a jego skrzydła kołyszą się na boki.

– Zawsze wyglądają tak niestabilnie przy schodzeniu? – pytam ostrożnie.
– Zależy od bocznego wiatru. Nie martw się. Wren potrafi wylądować nawet we śnie.
Zaniepokojona odwracam uwagę i patrzę na samoloty na lotnisku. Kilka z nich było lądowanych, gdy przyjechałam, a teraz są zamknięte, najwyraźniej gotowe do drogi.
– Co przewożą? Widziałam, że obsługa pakowała do nich jakieś pudła.
– To maszyny transportowe. Wiele paczek i pocztę do wiosok.
– Wild dostarcza też pocztę?

– O tak. Od lat mamy na to umowę. Codziennie przewozimy wiele ton towarów. Listy, zamówienia internetowe, jedzenie, paliwo. Chemikalia do uzdatniania wody. Dwa tygodnie temu przewoziliśmy dwa quady z Barrow do Sherpy.

– Wow. Nie wiedziałam, że zakres działalności jest aż tak rozległy – przyznaję zakłopotana.

Kiwa głową.

– To dość poważna logistyka. Spośród wszystkich lokalizacji to tutaj pracuje najwięcej osób. Było nas więcej, ale konkurencja przejęła obsługę obozów myśliwskich i wycieczki organizowane przez firmy podróżnicze. Jest też coraz mniej prywatnych klientów z Dolnych Czterdziestu Ośmiu – prycha. – Pewnego dnia Wren kazał mi obdzwonić wszystkie nasze linie, żeby się upewnić, że działały, ponieważ żaden telefon się nie odzywał. Ale... jakoś sobie radzimy – mówi niemal beztrudno, chociaż ściągnięta twarz podpowiada mi, że nie traktuje tej sprawy lekko. Kiedy dostrzega u mnie zmartwienie, obdarowuje mnie uśmiechem. – Nie musisz się tym przejmować, Calla.

Przyglądamy się, gdy samolot taty dotyka kołami zwirowego pasa, odbijając się dwa razy. Trzęsąc się, idę za Agnes, zmierzającą do maszyny naprowadzanej przez tego samego niskiego, krępego gościa, który był tutaj po moim przylocie.

Tata wysiada z zaskakującą sprawnością jak na pięćdziesięcioletnia. Docieramy do niego w chwili, gdy staje na ziemi.

– Jak było? – woła Agnes.

– Z tyłu kadłub wciąż przecieka, a chłopaków bardziej interesuje przerwa na lunch niż robota. Za kilka dni muszę wysłać tam Jonaha, by zwrócił im uwagę. – Spogląda na mnie szarymi oczami. – Długo tu jesteś?

– Od wschodu słońca – przyznaję, mimo że nie widziałam żadnego.

– Przywykniesz po kilku dniach.

– W sam raz, żeby wracać do domu.

– Zazwyczaj tak jest – mamrocze. Marszczy brwi, patrząc na niebo, kiedy zaczyna padać deszcz. – Mam nadzieję, że do tego czasu nastanie lepsza pogoda.

– Przyjechała zobaczyć firmę i tatę latającego samolotem – mówi Agnes, puszczając do mnie oko. – Może powinienś zabrać ją na podniebną wycieczkę, by zobaczyła cokolwiek poza Bangor.

– Dziś? – Żołądek natychmiast ściska mi się z nerwów. Co innego oglądać lądowanie samolotu, a co innego wskoczyć na jego pokład i polecieć bez przygotowania po tak strasznym ostatnim doświadczeniu.

Tata wydaje się wyczuwać moją panikę. Śmieje się.

– Chyba Jonah nastraszył biedaczkę.

– Nic jej nie będzie. Może ty lub Jonah zabierzecie ją Betty – proponuje.

Marszczę brwi. Betty?

– Nie da się – mówi robotnik, który rozładowuje samolot taty za naszymi plecami. – Betty jest w hangarze.

Zerka na wielki hangar, w którym stoi bananowo-żółty samolot. Obok niego stoją dwaj mężczyźni i o czymś rozmawiają. Jeden jest wysoki, z siwymi włosami i wielkim brzuchem, a drugi niski, ubrany w jeansowy kombinezon, trzyma jakieś narzędzie. Przypuszczam, że jest mechanikiem.

– Sonny! – rozlega się donośny głos, który ściąga naszą uwagę na lewo, do osoby zmierzającej w naszą stronę. – Pamiętałeś, aby zapakować zapasy z lodówki?

– Cholera – szepcze facet. Zerka na mnie, po czym odchodzi, a na jego twarzy widać zdenerwowanie, jakby naprawdę zapomniał o tym, co powiedział Jonah.

– Wieje silny dolny wiatr, a od północy idzie deszcz. Lepiej się zbieraj – ostrzega tata na powitanie.

– Będę w powietrzu za pięć minut. – Jonah przystaje przy mnie. – Dzwoniłem do River & Co. i im nagadałem. Powiedzieli, że zapłacą pod koniec tygodnia.

Tata kiwa głową.

– Dobrze. Byłoby dobrze. Wiem, że są cholernie zapracowani, ale nie ma powodu, by nie płacili.

– Tak, zapracowani przerzucaniem wszystkich swoich klientów do Jerry'ego – narzeka Jonah. – Jeżeli nie zapłacą w terminie, będziemy musieli im podziękować.

– Nie stać nas na to – ostrzega łagodnie Agnes.

– Już i tak prawie ich straciliśmy – odpowiada Jonah.

Tata wzdycha ze znużeniem, jakby przeprowadzali tę rozmowę zbyt wiele razy. Spogląda na hangar.

– Co się z nią dzieje?
– George mówił, że zabawnie się dziś zachowywała.
– Zabawnie? Dlaczego zabawnie?
– Nie umiał wytłumaczyć. Po prostu nie spodobał mu się jej lot.
– Dwadzieścia siedem lat za sterami i potrafi powiedzieć jedynie, że zachowywała się „zabawnie”?

– Wiesz przecież, że to George i jego „odczucia”. – Jonah posyła tacie wymowne spojrzenie. – Któż to wie. Może nie pogłaskał swojej króliczej łapki trzy razy przed startem. Tak czy inaczej, zbliżał się termin pełnego przeglądu, więc poprosiłem Barta, żeby go zrobił.

W końcu zaczynam rozumieć.

– Nadajecie imiona samolotom – mówię powoli. Wypowiadał się o nich jak o prawdziwych ludziach, jak o członkach rodziny.

Wszyscy patrzą na mnie, na twarzy taty maluje się uśmiech.

– Czy tamten nie miał na imię... Beckett? – Próbuję sobie przypomnieć, gdy do mojej głowy napływa strumień wspomnień. Mówił, że latał nad biegunem północnym, nawet kazał poprosić mamę, by pokazała mi go na mapie. Najwyraźniej to na Alasce.

– Becker. Po tym geologu, George’u Beckerze. To jeden z beaverów. – Tata promienieje.
– Twój dziadek nazwał je po alaskańskich odkrywcach. Mieliśmy ottera imieniem Moser. I Stocktona oraz Turnera. Były to pipery. Cooka musieliśmy kilka lat temu posłać na emeryturę, gdy jeden z pilotów przy lądowaniu na lodowcu uderzył w łosia. Nic mu się nie stało. – Tata zbywa mój grymas. Nagle wyrzuca z siebie wiele faktów i imion. – Bering po Vitusie Beringu przechodzi remont silnika. Ha. – Tata drapie się po niewielkim zaroście na podbródku. – Nie wierzę, że to zapamiętałaś.

– Ja również. – Zapomniałam, jak łatwo rozmawia się z tatą o samolotach. – Betty również była odkrywcą?

Cała trójka parska śmiechem.

– Tutaj trochę zszedłem z kursu – przyznaje tata z zawstydzonym uśmiechem. – Mamy Betty, która jest w hangarze. A to Veronica jest cesseną. To moja wyjątkowa dziewczynka. – Stuka palcami w kadłub samolotu, którym właśnie przyleciał, po czym wskazuje na pomarańczowo-białą maszynę stojącą nieopodal. – To Archie – milknie, patrząc na mnie wymownie.

– Nie licz na wiele, Wren. Wątpię, by kiedykolwiek czytała komiksy – wcina się Jonah, przy czym wyczuwam, że uśmiecha się pod zarostem, choć tego nie widzę.

Tym razem jednak się mylą. Omijam gnojka i staję przed białym samolotem z granatowym dziobem i rzędem okienek po boku.

– To jest zatem Jughead? – Zerkam na Jonaha, żeby w jego jasnych niebieskich oczach dostrzec zaskoczenie. Rodzi się we mnie poczucie zwycięstwa, więc pozwalam, aby mój własny uśmiech odmalował mi się na twarzy.

Nie ma mowy, bym przyznała Jonahowi rację i wyznała, że nigdy w życiu nie trzymałam w rękach komiksu – ponieważ są bezsensowne i nigdy nie byłam siedmioletnim chłopcem – i nie wymieniałabym jakiegokolwiek bohatera komiksowego, gdyby nie Netflix.

Chodzi jednak o to, że utarłam Jonahowi nosa i odczuwam w tej chwili ogromną satysfakcję.

Tata podchodzi i gładzi granatowy dziób Jugheada.

– Jest koniem roboczym naszej drużyny sportowej. W ciągu roku sporo lata między wioskami, dostarczając dzieciaki na mecze, a potem zabierając je z powrotem do domów.

– Uczniowie latają tu na mecze?

– Powinnaś zobaczyć budżet szkół na podróże. – Uśmiecha się znacząco. – Tutaj jest zupełnie inaczej.

– A mówiąc o budżecie... James sprawdził, ile straciliśmy przez zeszlotygodniowe uziemienie – mówi z powagą Agnes. – Czekaj cię kilka decyzji do podjęcia.

Radość znika z twarzy taty, który z powagą kiwa głową.

A we mnie wzrasta niepokój.

Najpierw komentarz Agnes o konkurencji, a teraz to. Czy Alaska Wild ma problemy finansowe? Czy jest na tyle źle, że tata musi martwić się nie tylko o swoje zdrowie, lecz także o przyszłość rodzinnego interesu?

Wraca Sonny, biegnąc niezdarnie w stronę najbliższego samolotu, w krótkich rękach trzymając styropianową lodówkę turystyczną.

– Tylko ta, prawda, Jonah?

– Tak. Dobra, ja spadam – obwieszcza Jonah, podchodząc jakby niechętnie do schodków swojej maszyny.

– Może zabierzesz ze sobą Callę? – sugeruje nagle Agnes.

Mimowolnie patrzę na nią wilkiem.

– Nie, dzięki. – Zwariowała? Jakbym jeszcze kiedykolwiek miała wsiąść do samolotu z tym facetem.

Jonah się śmieje, wkłada okulary przeciwsłoneczne, tym samym ukrywając przede mną oczy.

– W porządku. Może Wren nauczy cię prowadzić, gdy mnie nie będzie. – Odwraca się i wchodzi na pokład.

– Udanego lotu! – wołam, a krew wrze mi z irytacji. Palant.

– Zadzwoń, gdy wylądujesz – dodaje Agnes.

– Jak zawsze.

– Wcześniej – mówi jak matka, która prosi dziecko, by się zameldowało.

– Okej.

Agnes wzdycha ciężko, co jest jedyną oznaką frustracji, a potem odwraca się do nas.

– Może pójdziesz pogadać z Jamesem, a ja zabiorę Callę do miasta, żeby kupiła środek antyhistaminowy na te ukąszenia? Wygląda, jakby miała reakcję alergiczną.

– Byłoby super – potwierdzam, drapiąc się po ręce.

– Tak. – Tata marszczy brwi w zamyśleniu. – Co miał na myśli, mówiąc o prowadzeniu?

– Przeszukuje wzrokiem parking, bez wątplenia wyglądając swojej furgonetki.

Wzdycham.

Wielkie dzięki, Jonah.

ROZDZIAŁ 12



– A może „Przyjemne zwiedzanie z Wild”? Ładnie brzmi, co?

– Tak, nieźle – mamroczę, przeglądając stronę Alaska Aviator. Twierdzą, że są najlepszą firmą czarterową w tej części kraju. Nie wiem, czy to prawda, ale chyba każdy turysta planujący wycieczkę w te rejony wierzy im na słowo.

Jest tu wyszczególnione wszystko, co potencjalnie chciałabym wiedzieć – opisano ich historię, typy samolotów, wycieczki, pilotów. Jest tu również dokumentacja związana z bezpieczeństwem, cennik, rekomendacje dla zakwaterowania i obozów. Lista jest długa. I na poparcie swoich słów zamieszczają także zdjęcia! Mają galerię malowniczych alaskańskich krajobrazów, fotografowanych o każdej porze roku, co dodatkowo ma zachęcić klientów.

Gdybym była turystką pragnącą zarezerwować wycieczkę, Alaska Aviator byłaby na szczycie mojej listy. A jeśli nie oni, jedna z pozostałych firm, których strony przeglądałam przez ostatnie kilka godzin, siedząc na rozklekotanym leżaku na werandzie.

Z pewnością nie byłaby to Alaska Wild, która pozostaje na szarym końcu po wpisaniu w wyszukiwarce i nie podaje żadnych informacji poza bezpośrednim linkiem.

– Nie skupiasz się na mnie, prawda? – warczy Diana.

– Skupiam się, przyrzekam – kłamię. – Uważam, że jest super. Chociaż może powinno być: „Jak przyjemnie zwiedzać z Wild w tych samych ciuchach”, jeżeli nie znajdzie się reszta mojego bagażu. Chyba byłoby dobre dla tych z plecakami – dodaję bez przekonania.

– Nadal nie dostałaś swoich walizek? Wariactwo.

– Powinny być dziś. – Mam nadzieję.

– Okej, to i tak zostaną ci cztery dni, by nosić tamte ubrania.

– Chyba tak.

– O co ci chodzi, Calla?! Mówisz, jakby ci nie zależało.

– Nie wiem. Chyba jestem zmęczona. Wzięłam benadryl na te ukąszenia komarów i chce mi się spać. – Krzywię się na widok wielkiego czerwonego wybrzuszenia na łydce. – Ale wątpię, żeby zadziałał. Mam zbyt ciepłą skórę.

– Oj... niefajnie. Mam nadzieję, że nie zmieni się w cellulitis.

– Co? – piszczę spanikowana.

– Nie cellulit, a cellulitis. To infekcja. Weź długopis i narysuj wokół tego okrąg. Jeśli bula urośnie, będziesz potrzebowała antybiotyku.

– Skąd o tym wiesz?

– Ej, my się w ogóle znamy? Moja mama jest pielęgniarką.

– No tak – mamroczę.

– Ale jestem pewna, że nic ci nie będzie. Weźmiesz jeszcze ze dwie dawki i wszystko będzie dobrze. O! Wymyśliłam, że mogłybyśmy wrzucić post o...

Przestaję słuchać, kiedy zaczyna nawijać o warkoczach Wikingów i gorących źródłach. Prawdę mówiąc, mój brak entuzjazmu nie bierze się z zaginionego bagażu czy otępienia środkami antyhistaminowymi. Chodzi raczej o to, że strona Calla & Dee wydaje mi się w tej chwili taka trywialna...

– A co z yeti? – pyta nagle, wyrywając mnie z zamyślenia. – Co z nim? – Przyjaciółka poznała wszystkie krwawe szczegóły mojego pierwszego i drugiego spotkania z Jonahem w tekstowej rozmowie wypełnionej przekleństwami i nadziejami na niefortunne seksualne spotkanie z dzikim zwierzem.

– Nie wiem. Może mogłybyśmy wrzucić kolejny post z serii: „Jak zmienić chłopaka

z lasu w miejskiego dżentelmena. Edycja alaskańska”.

Prycham.

– Wierz mi, potrzeba czegoś więcej niż pary nożyczek, aby odkryć w nim dżentelmena. Co gorsze, on lubi swój wygląd. – Musi, inaczej dlaczego miałby sobie na niego pozwalać przez tak długi czas?

– Kurde. Muszę lecieć. Macha do mnie Kawał Mięcha – mamrocze. – Jakbym była jego osobistą asystentką czy kimś w tym stylu.

– Jest właścicielem kancelarii – przypominam jej, a fakt, że szef Diany żywi się wyłącznie tymi długimi, wąskimi kawałkami mięsa, które można znaleźć w sklepach spożywczych przy kasach, tego nie zmienia.

– Rety, muszę poszukać sobie nowej pracy. Na razie – mówi pospiesznie szeptem i się rozłącza.

Wkładam słuchawki do uszu, puszczam muzykę i wracam do poszukiwań. Biorę też kanapkę z szynką, którą zrobiłam sobie na lunch, i czytam o konkurencji Alaska Wild, aż stwierdzam, że kanapka mimo wszystko nie jest wystarczająca. Idę więc do kuchni, żeby przygotować sobie humus z marchewką, a także nalać do szklanki gotowego zielonego koktajlu.

Wychodzę na werandę.

I krzyczę.

Na stole siedzi szop zajęty pałaszowaniem resztek chleba.

– Sio! Uciekaj! – wrzeszczę, spodziewając się, że rzuci się na popękane drzwi prowadzące na zewnątrz, przez które najpewniej się tu wdarł.

Ale zwierzak tylko na mnie patrzy tymi swoimi paciorkowatymi oczami i wraca do konsumowania mojej niedojedzonej kanapki.

Kopię w jakiś plastikowy pojemnik.

– Wynocha stąd!

Szop piszczy na mnie, co bardzo działa mi na nerwy.

I nagle przesuwa się do przodu.

Odsuwam się o kilka chwiejnych kroków, zrzucając przy tym połowę jedzenia z talerza na podłogę i rozlewając koktajl na jeansy, gdy próbuję uciec od intruza, który tymczasowo zajęty jest toczącą się marchewką. Podnosi ją zwinnymi łapkami i zaczyna obgryzać.

Alaskańskie szopy różnią się od tych z Toronto?

Czy ten mnie zaatakuje?

W kącie stoi miotła z gałązek. Stawiam talerz i szklankę na najbliższym parapecie i chwytam mocno obydwoma rękami za narzędzie gotowa wziąć zamach.

– Bandit! – nawołuje głęboki głos.

Szop staje na tylnych łapkach i obraca się w tamtym kierunku, nasłuchując.

– Bandit! Chodź tu!

Zwierzak wciska się w szparę w drzwiach. Przyglądam się mu, wciąż ściskając miotłę, gdy szkodnik przemierza trawnik i zatrzymuje się pół metra od Jonaha. Znów staje na tylnych łapkach i wyciąga się ku niemu.

– Cześć, koleżko. Psocisz? – Jonah czule drapie szopa po głowie, na co zwierzak popiskuje z radością.

– No chyba żartujesz! – Krzywię się z przerażeniem, kiedy zaczynam rozumieć. – To twój pupil?

– Nie. Na Alasce nie wolno trzymać ich w domu – wyjaśnia rzeczowo sąsiad.

– Więc co to jest? Mnie to wygląda na twojego pupilka.

– To szop, który mieszka pod moim domem. – Jonah mruży oczy, patrząc na trzymaną

przeze mnie miotłę. – Co zamierzałaś z nią zrobić?

– Przegonić go stąd, zanim by mnie ugryzł.

– Nie ugryzie, póki nie dasz mu do tego powodu.

Myślę o Timie i Sidzie. O ich kołyszących się ciałkach, gdy wędrowały podjazdem po grzebaniu w zgniłych, śmierdzących resztkach jedzenia, i krzywię się.

– Wiesz, że roznoszą choroby, prawda?

Jonah po raz ostatni głaszcze pupila, zanim staje prosto. Szop ucieka.

– Banditowi nic nie jest.

– Nadałeś mu imię?

– Tak. No wiesz, bo ma tę czarną maskę na oczach...

– Rozumiem – przerywam. – Superoryginalnie. – Chociaż pasuje. – Ukradł mi kanapkę.

Jonah wzrusza ramionami.

– Więc nie zostawiaj jedzenia w miejscu, w którym może je zwędzić.

– Nie zostawiłam. Leżała na stole, na talerzu, na zamkniętej werandzie. Wdarł się tam.

I oblałam się przez niego koktajlem. – Wskazuję na jeansy z zieloną plamą. Pocięło mi nawet do skarpet.

Oczy mężczyzny marszczą się w kącikach z powodu rozbawienia.

– Następnym razem nie bądź taka niezdarna.

Piorunuję go wzrokiem. Dlaczego w ogóle tu jest? Myślałam, że będzie w pracy! Zabieram swój posiłek i maszeruję do środka, żeby się przebrać w ostatnie czyste rzeczy, które mam, a następnie biorę banana, aby się posilić.

Kiedy wracam, Jonah siedzi na moim miejscu. Na szczęście nigdzie nie ma szopa.

– Co to? – pyta, wskazując mojego maca.

– Komputer.

Posyła mi beznamiętne spojrzenie.

– Dlaczego przeglądasz strony innych firm czarterowych?

– Ponieważ chcę się dowiedzieć czegoś więcej o konkurencji taty.

– Po co? Nagle zainteresowałaś się przejściem rodzinnego biznesu? – mamrocze.

– Nie – rzucam i wgrzgam się w banana. – Ale zauważyłam, że Alaska Wild nie ma strony internetowej, i sędzę, że to poważny błąd. W dzisiejszych czasach każdy ma witrynę. Nawet mieszkająca nieopodal szesnastolatka wyprowadzająca psy, można jej nawet zapłacić online. To najprostszy sposób handlu.

Jonah opiera się, rozkładając nogi po męsku i krzyżując ręce na piersi. Rozsiadł się wygodnie.

– Nie potrzebujemy się promować w przyległych wioskach, wszyscy nas znają. To samo tyczy się firm kurierskich i szkół.

– Tak, ale co z turystami? Agnes mówiła, że macie ich coraz mniej.

– Tak, mamy – przyznaje. – Ale strona internetowa temu nie zaradzi.

Siadam na sąsiednim leżaku, który skrzypi pode mną, metalowe nogi nie są równe.

– Gdybym wybierała się na Alaskę i chciała pozwiedzać okolicę lub polecieć do innego miasta, nie wiedziałabym nawet o istnieniu Alaska Wild.

– Oczywiście, że byś wiedziała. Jesteśmy wymienieni na większych stronach poświęconych turystyce Alaski. I znajdujemy się również w katalogu.

– Tak, ale tam nie ma informacji. Nie napisano o posiadanych przez firmę samolotach, o zasadach przewozu, polityce lotniczej, rozkładzie czy cenach...

– Mówimy o tym, gdy dzwonią – odpowiada, jakby to było zupełnie oczywiste.

Najwyraźniej całkowicie nie rozumie.

– Jonah, może tak zachowują się miejscowi, ale jeżeli chcesz przyciągnąć ludzi z dolnych stanów, czy jak to tam nazywacie, z innych części świata, to nie wystarczy. Ludzie nie dzwonią teraz po firmach lotniczych, póki nie zawężą swojego wyboru. Nie rozmawiają przez telefon. Ja nie dzwonię nawet do znajomych. No, chyba że nie mam wyjścia. Wszyscy żyją teraz w sieci, poszukują informacji w wyszukiwarce Google, decydują się na dwie czy trzy firmy i dopiero potem dzwonią. Wielu nie zrobi nawet tego, jeśli ma szansę zadać pytania przez e-mail.

– Mogą do nas napisać.

– A jak mają znaleźć adres? Wasza strona jest pusta. I możesz mi wierzyć, nie będą szukać tej samej firmy w katalogu – ciągnę, bo wydaje się, że Jonah naprawdę mnie słucha. – Wiele osób rezerwuje przez internet, drukuje bilet i przyjeżdża na lotnisko. A jeżeli na rynku istnieją inne firmy, które mają strony, a na nich informacje, zdjęcia samolotów, wideo z lotów, łatwiej im zdecydować. Od razu pominię Alaskę Wild. Szczerze? Gdybym miała przylecieć na Alaskę, po czym wydać więcej pieniędzy na zwiedzanie gór, oglądanie przyrody czy uczestnictwo w jakimś obozie, nie zrobiłabym tego, korzystając z usług firmy, która nie potrafi nawet stworzyć sobie podstawowej strony.

Nie mam konkretnych danych na poparcie swoich słów, ale przecież tak podpowiada zdrowy rozsądek. To znaczy, wszyscy o tym wiedzą, prawda?

Jonah wciąż wygląda, jakby wątpił.

– Słuchaj, załóżmy, że jestem Johnem Smithem z Arkansas, który chce się udać na Alaskę na polowanie. Nigdy tam nie był, więc szuka obozów i znajduje ten. – Wstaję i przesuwam leżak bliżej, aż mogę sięgnąć po laptopa. Jonah oczywiście się nie rusza, przez co muszę sięgnąć ponad jego udem, by wziąć komputer. Otwieram stronę obozu, która pojawiła się wcześniej na górze listy wyszukanych adresów. – A kiedy klikam: „Jak się do nas dostać”, zostaję przekierowana do Alaski Aviator.

– Ponieważ mają z nimi umowę. My mamy taką z River & Co.

– Tymi, którzy nie płacą na czas? – Przysuwam się i otwieram ich stronę, niechcący trącając Jonaha kolanem. – Przepraszam – mamrocze. – Do wyboru mają Alaskę Wild i Alaskę Aviator. – Stukam w ekran pomalowanym paznokciem, żeby podkreślić swoje słowa, ponownie szturchając go kolanem. Nie odsuwa się. – Zatem gdy John Smith planuje wyprawę w te rejony, Alaskę Aviator wygląda dla niego lepiej, ponieważ nie ma ich z czym porównać, a musi podjąć decyzję, siedząc w Oklahomie.

– Myślałam, że mówiłaś o Arkansas.

– Nieważne. Chodzi o to, że przekonałby się do Wild tylko wtedy, gdyby bardziej mu się opłacało.

– U nich zapłaci mniej więcej tyle samo.

– Zgadnij więc u kogo John zakupi bilet na swoje polowanie. – Opieram się, czując satysfakcję. – Może to nie River & Co. jest problemem. Może nie mówią turystom, aby latali z tamtymi. Może ci idą do nich, ponieważ łatwiej im wybrać.

Jonah przesywa mnie wzrokiem, a na zwykle chłodnej, obojętnej twarzy gości ciekawość.

– Wiesz, jak to zrobić? Zbudować stronę?

– Tak. W pewnym stopniu stworzyłam tę. – Pochylam się, żeby pokazać mu serwis Calli & Dee.

– Jest różowa.

Przewracam oczami.

– To tylko estetyka. Mogłabym zrobić coś dla Alaski Wild.

– W cztery dni?

– Tak. Chyba tak. Przynajmniej coś prostego. – Wzruszam ramionami. – No bo co mam tu do roboty?

Powoli kiwa głową, marszcząc brwi w zamyśleniu.

– Nie będzie to za wiele kosztowało, co?

– Nie. Skorzystam z tego samego programu, którego użyłam przy swojej stronie. To prawie darmowe. No i mam aparat, więc mogę pstryknąć kilka fotek. Nie jestem profesjonalnym fotografem, ale robię przyzwoite zdjęcia. Zrobiłam te. – Klikam na post zawierający fotografie z pięknym krajobrazem.

– Cekiny w mieście – czyta na głos Jonah.

– Zapomnij o tytule i popatrz na zdjęcia.

– Kto to? – Ruchem głowy wskazuje Dianę, która pozuje w High Parku, ubrana w miniówkę z cekinami w identycznym odcieniu jak kwitnące wiśnie za nią.

– Moja przyjaciółka.

– Cholera.

– Okej. Super. Lecisz na długonogie blondynki. Co za niespodzianka – komentuję. – Ale patrz na fotografię.

– Ta spódnica ledwie zakrywa jej tyłek.

– Jonah! – warczę, choć się śmieję, po czym szturcham go w pierś, czując pod moimi palcami, jak jest twarda.

– Zapomnij o Dianie i jej krótkiej spódniczce. Chodziło mi o to, że potrafię robić zdjęcia. W każdym razie wszystko będzie lepsze od tej pustki.

Przygląda mi się z rozbawieniem, a ja czuję, jak w odpowiedzi moje usta rozciągają się w głupkowskim uśmiechu, mimo że jestem lekko poirytowana.

– Nie traktujesz mnie poważnie.

– Traktuję, przyrzekam. – Kładzie rękę na moim kolanie i ścisza je pospiesznie, nim ponownie się rozsiada. – No więc zrób to.

– Poważnie? – Nie potrafię ukryć zdziwienia.

Wzrusza ramionami.

– Wyłożyłaś mi swoje argumenty. Wciąż nie wiem, czy to kupuję, ale nie zaszkodzi spróbować.

– Powinnam zapytać najpierw tatę?

– Nie. Po prostu powiedz mu, co robisz. Ucieszy się.

– Tak myślisz?

– Żartujesz? Jego córka interesująca się Wild?

Nie nazwałabym tego interesowaniem się Wild, a raczej próbą przydania się do czegoś i zajęcia się czymś. Zatrzymuję tę myśl dla siebie.

– No to... dobra.

– Dobra. – Kiwa głową. – Możemy zrobić to razem?

Wow. Chwila.

– Razem? – Czuję, że oczy wyjdą mi z orbit.

– A jak inaczej dodasz informacje o samolotach, historii firmy i temu podobne? Poradzisz sobie sama? W cztery dni? Wiesz wszystko, co trzeba, o tym miejscu?

– No tak. – Wspólna praca nad stroną Alaska Wild. – To powinno być interesujące – mamrocę pod nosem.

Jonah się uśmiecha.

– Co powiedziałaś?

– Bo jesteś...

– Ty też jesteś – odpowiada i dodaje bardziej miękko: – Chociaż jesteś też bystra. – Wzdycha i patrzy na swoje złęczone ręce. – Dobra, już dobra, słuchaj, kiepsko zaczęliśmy, co było moją winą. Tak, potrafię przyznać, że zachowałem się jak kretyn.

– To jak... zawarcie pokoju czy coś w tym stylu? – Czy jest zdolny do przyzwoitego zachowania?

– Czy coś. – Patrzy na zegarek i wstaje z swojego leżaka. Stawiając ciężkie kroki, zmierza do drzwi, którymi można wyjść z werandy na zewnątrz.

– Tata poprosił, żebyś był dla mnie miły, prawda?

– Nie.

Nie kupuję tego, zwłaszcza po tym, jak mówił, że porozmawia z Jonahem w mojej sprawie. I coś czuję, że zbyt mocno się przyjaźnią, by sąsiad zbył tę jego prośbę.

– Hej.

Zatrzymuje się w drzwiach.

– Tak?

– Co wiesz na temat diagnozy taty? – Ojciec wyraźnie nie chciał o tym rozmawiać, a Agnes przedstawiła mi wszystko, co wie.

Jedyną osobą, z którą mogę o tym pogadać, jest więc Jonah.

Garbi się i wzdycha ciężko.

– Wiem, że ma raka i że nie chce o tym rozmawiać podczas twojej obecności tutaj.

– Co to według ciebie oznacza?

– Że ma raka i że nie chce o tym rozmawiać podczas twojej obecności tutaj – przyznaje rzeczowo.

Przewracam oczami.

– Ale nie wyjawiał ci, jak jest źle?

Następuje długie milczenie, po czym Jonah przyznaje niechętnie:

– Zapytał, czy zastanawiałem się kiedykolwiek, by odkupić od niego firmę.

To mnie zaskakuje.

– Myśli nad sprzedażą Alaska Wild?

– Rozważa możliwości. Powiedział, że może zechce przejść na emeryturę.

Tata na emeryturze. Przecież ma dopiero pięćdziesiąt trzy lata. Chociaż zaczął prowadzić interes, gdy tylko skończył dwadzieścia lat. Może po trzech dekadach w końcu ma dosyć. Ale co innego miałby robić?

Zostałby na Alasce?

A może byłby nareszcie gotów spróbować czegoś nowego?

– Co mu powiedziałeś?

Śmieje się.

– Nie mam takich pieniędzy. W dodatku nie chcę tkwić za biurkiem przez kolejne trzydzieści lat. Podoba mi się tak, jak jest teraz. Chociaż powiedziałem, że bez względu na to wszystko poprowadzę firmę tyle, ile będzie tego potrzebował.

Mniej więcej tak, jak tata przejął jej prowadzenie po dziadku, kiedy ten zaczął leczenie.

Z trudem przełykam ślinę.

– Miło z twojej strony, że chcesz to dla niego zrobić.

– Tak, cóż, Wren jest dla mnie jak rodzina. Nie ma nic takiego, czego bym dla niego nie zrobił. – Odchrząkuje, bo jego głos stał się ochryply.

Serce mi się ściska na ten niecodzienny pokaz emocji.

– Myślisz, że z tego wyjdzie?

– Uważam, że... jeśli możesz tu zostać nieco dłużej, to powinnaś tak zrobić.

– Mogłabym – rzucam bez namysłu.
Jonah obraca się, żeby na mnie spojrzeć, unosząc pytająco brwi.
Wzruszam ramionami.
– Zostałam zwolniona, więc nie mam pracy, do której musiałabym wracać.
Wpatruje się we mnie.
– Powinnaś więc zostać z tydzień lub dwa tygodnie. A może jeszcze dłużej, jeśli poradzisz sobie z tym miejscem.
Posyłam mu puste spojrzenie.
Na jego twarzy nie ma jednak wesołości.
– Wierz mi, Calla, do końca życia będziesz żałowała, jeśli tego nie zrobisz – mówi stanowczo.
Czy ma to cokolwiek wspólnego z jego własną przeszłością i ojcem?
I co to w ogóle oznacza? Cały miesiąc w Bangor na Alasce?
Czy tata zgodzi się gościć mnie w domu tak długo?
Jonah zerka na różowy kardigan, którym się owinęłam.
– Przed przylotem do domu kontaktowałam się z Anchorage w sprawie twojego bagażu. Wydaje się, że mają jakiś problem z samolotem. Twoje walizki jednak dziś nie przylecą.
Jęczę.
– Serio?
– Musisz się z tym pogodzić. – Wychodzi i rozkołysanym krokiem przemierza trawnik, pozostawiając mnie wrzącą z wściekłości.
* * *

Skrzypią drzwi, więc oglądam się przez ramię i widzę, że do domu wchodzi tata.
– Trudny dzień, co? – Pracował przez niemal czternaście godzin.
– Wszystkie dni takie są. – Wydając pełne zmęczenia westchnienie, rzuca dokumenty na blat i pociera oczy. – Coś ładnie pachnie.
Wrzucam pokrojoną paprykę do miski.
– Zrobiłam obiad. Sałatka grecka z kurczakiem i domowej roboty sos. – Powinno zostać to spakowane i oznaczone jako płynne złoto, przez to ile kosztowały mnie składniki plus opłata za taksówkę. – Będzie gotowa za pięć minut. Mam nadzieję, że lubisz czarne oliwki.
– To... Tak. Jasne. – Milknie na chwilę, przy czym czuję, że na mnie patrzy. – Dziękuję, Calla. To bardzo miłe.
– Nic takiego. – To tylko pierwszy posiłek, który dla nas przygotowałam, myślę z niewielkim uśmiechem. Pozornie mały i nieistotny, który zapamiętam jednak do końca życia.
– Jak ci minął dzień?
Chciałabym mu powiedzieć o planach dotyczących stworzenia strony internetowej Wild.
Pragnę również zapytać, czy naprawdę rozważa przejście na emeryturę.
Od czego mam zacząć?
Słysząc kroki na schodach, chwilę później drzwi otwierają się i do środka wpada zdyszana, jakby przebiegła cały podjazd, ale uśmiechnięta Mabel.
– W samą porę!
– Cześć, dzieciaku. – Twarz taty natychmiast się rozpogadza. – Co tam masz?
– Moją specjalność. – W rękawicach kuchennych unosi przykryte folią aluminiową szklane naczynie, ogłaszając z przesadną emfazą, której nie potrafiłabym wykrzesać z siebie w najbardziej szalony dzień: – Najsmaczniejszy, najpyszniejszy, najznamienitszy makaron, jaki w życiu jadłeś. Właśnie wyjęty z piekarnika. – Kładzie naczynie na stole i zdejmuje folię, przez

co w powietrzu unosi się zapach zapiekanego sera. – W końcu udoskonaliłam przepis!

Mój układ trawienny wybuchłby po czymś takim.

– Wow. I wystarczyłoby mi na tydzień. – Śmieje się tata. Wyjaśnia mi: – Mabel odkryła w sobie pasję do gotowania. W zeszłym roku wiele eksperymentowała w kuchni i wykorzystywała mnie jako królika doświadczalnego. To chyba... ósmy tydzień, jak robisz tę zapiekankę.

– Dziewiąty – poprawia z dumą. – Ale to jest to, o czym ci opowiadałam.

– Dziewięć tygodni jedzenia makaronu. – Patrzy na mnie zboląły, a ja próbuję się nie śmiać, mimo że rechoczę w duchu. Ta głupiutka dwunastolatka przerywa właśnie jeden z niewielu wieczorów, które mam z ojcem. Nie mieszkam po drugiej stronie ulicy. Nie mogę przybiec z obiadem w ręce, ilekroć najdzie mnie na to ochota. To ja powinnam dla niego gotować.

Ma ledwie dwanaście lat i wątpię, żeby celowo popsowała mi wieczór z tatą, ale mimowolnie odczuwam do niej urazę.

To jednak wyjaśnia pustą lodówkę i sposób taty na przetrwanie.

– Calla, tylko poczekaj, aż spróbujesz. – Mabel wyjmuję z szafki trzy talerze.

– Chciałabym, ale mam alergię na nabiał – wyjaśniam, krzywiąc się.

– Poważnie? Do bani. To co będziesz jeść? – Podchodzi, by zajrzeć do mojej miski. Marszczy nos. – O, w takim razie dobrze, że zrobiłam dla nas obiad.

Marszczę brwi.

– Dlaczego?

– Bo Wren nienawidzi warzyw. A już zwłaszcza sałatek.

Tata się krzywi.

– To chyba zbyt mocne słowa, Mabel...

– Wcale nie! Mama nazywa go dzidziusiem, bo musi kroić warzywa na maleńkie kawałeczki i zalewać sosem, by móc je zjeść. – Uśmiecha się do mnie, wyjmując dużą łyżkę z szuflady.

Zatem wcześniej był po prostu grzeczny. Jeśli się nad tym zastanowić, na jego talerzu nie było wczoraj groszku czy marchewki.

Wzdycha i uśmiecha się do mnie zawstydzony.

Mabel nakłada słusne porcje makaronu na dwa talerze, po czym niesie je do salonu, wołając:

– Grasz czarnymi czy to moja kolej?

– Nie pamiętam. Wybierz. – Zatrzymuje się w drzwiach. – Zazwyczaj gramy wieczorami w warcaby. Opuściłem kilka partii.

Ponieważ przyleciałam na Alaskę.

Waha się, przygryzając dolną wargę.

– Alergia na nabiał...

– Tak.

– Dlatego w lodówce stoi mleko sojowe.

– Tak. Do kawy.

– Ha. Cóż, przynajmniej już wiem.

– No tak. A ja wiem, że nie jesz takich rzeczy. – Wskazuję nożem na moją miskę z sałatką.

– Zjadłbym do ostatniego kęsa, dzieciaku – zapewnia, a następnie wchodzi do salonu.

Zostawia mnie uśmiechającą się do kaczek na ścianie.

* * *

Mabel krzyczy, zrzucając czarny pionek z szachownicy, a następnie dodaje go do swojej rosnącej kupki.

– Jak to jest przegrać czternasty raz z rzędu z małą dziewczynką?

Tata mocno marszczy brwi, wpatrując się w planszę, jakby odtwarzał w myślach ostatnie ruchy.

– Wygląda na to, że za dobrze nauczyłem cię grać – mamrocze, opierając się w swoim skórzanym fotelu. Spogląda na kanapę, na której siedzę ze skrzyżowanymi nogami i laptopem na kolanach. – Na pewno nie chcesz spróbować, Calla? Szukam przeciwnika, którego zdołam pokonać. Moje ego tego potrzebuje.

– Może jutro – rzucam niezobowiązująco.

Tata się śmieje.

– Dziękuję, że kłamiesz, żeby nie zranić moich uczuć. Twoja matka też zawsze odmawiała.

Zaciekawiona Mabel spogląda na mnie, po czym wraca uwagą do Wrena. Zastanawiam się, ile wie o naszej historii. Czy potrafi wyczuć napięcie pomiędzy nami? Napięcie, które dzięki Bogu, wydaje się powoli maleć.

Tata układa pionki z powrotem na planszy.

– To samo miejsce o tej samej porze, dzieciaku?

Próbuję ignorować fakt, jak ściska mi się żołądek. Nazwał ją tak dziś przynajmniej kilkakrotnie i za każdym razem mnie to denerwowało. Przypominało, że tą małą łączy z nim relacja, której ja nigdy nie miałam. Nawet pomimo tego, że rozmawialiśmy przez telefon.

Pomimo faktu, że nie są spokrewnieni.

Pomimo tego, że nie jest w związku z Agnes.

Wren traktuje Mabel jak ojciec córkę.

Dziewczynka patrzy na zawieszony na ścianie zegar i mówi niechętnie:

– Dobra. – Po chwili dodaje jednak z szatańskim błyskiem w oku: – Jutro dam ci wygrać.

– Byłaby to miła odmiana.

– To jesteśmy umówieni. Na razie. – Przysuwa się, cmoka mojego tatę w czoło i robi to bez wahania, jakby całowała go wcześniej z tysiąc razy.

Jak zareaguje na wieść o raku? Kiedy dowie się, że wszyscy chronili ją przed ponurą prawdą? Coś mi podpowiada, że nie będzie dobrze.

Bierze sweter, który zarzuciła na oparcie fotela taty.

– Hej, Calla, powinnaś iść ze mną jutro rano na zbieranie jagód. Wybiera się sporo osób z miasta.

Odsuwam od siebie smętne myśli.

– Tak? Może się skuszę. – Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni to robiłam.

– Okej. – Wzrusza ramionami, jakby w ogóle o to nie dbała, ale z tego, co mówiła Agnes, wnioskuję, że tylko się zgrywa.

Tak szybko, jak tu weszła, Mabel wychodzi, pozostawiając po sobie spokój.

– Mam nadzieję, że smakował ci makaron – mówię i gryzę jabłko. – Zostało tyle, że można by wykarmić ze dwadzieścia osób.

– Szczerze mówiąc, nie potrafię określić różnicy pomiędzy tym a tamtymi z pozostałych ośmiu tygodni – odpowiada tata, zerkając na mój pusty talerz, na który dwukrotnie nakładałam sałatkę. – Szkoda, że nie możesz mi z nim pomóc. Jak na tak szczupłą osobę, wydaje się, że potrafisz dużo zmieścić.

– Chyba różnica w czasie wpływa na mój apetyt – przyznaję. – W dodatku śmietnikowa

panda Jonaha zniszczyła mi lunch, więc niewiele dziś zjadłam.

Tata marszczy brwi.

– Śmietnikowa panda?

– Szop.

– A. – Tata kiwa głową z uśmiechem. – Poznałaś Bandita.

– Trzyma to coś jak pupilka. Wiesz o tym, prawda?

Tata się śmieje.

– W zeszłym roku Jonah odkrył, że mały, osierocony szop mieszka pod jego domem. Rzucił mu jedzenie, by ten się wydostał i sobie poszedł, ale nie zadziałało.

– Oczywiście, że nie. Nikt nie porzuci takiego bufetu na rzecz głodowania w lesie.

– Jonah zbudował mu na werandzie małą budę, w której zwierzak teraz mieszka. Wydaje się, że mu tam wygodnie.

– On go dziś głaskał. – Krzywię się.

– Bandit jest dość przyjaznym futrzakiem. Lubi, jak się zwraca na niego uwagę. – Tata mówi, jakby to aprobował.

– Zdajecie sobie sprawę, że szopy roznoszą choroby, prawda?

Macha ręką, lekceważąc moją troskę.

– Nie, nie jest chory. Jonah przyjaźni się z panią weterynarz, która zaszczepiła Bandita przeciwko wścieklicznie. Rety, ależ to była akcja. Jonah musiał uspić go strzałką. – Milknie. – Oczywiście nie sądzę, żeby Marie powinna go szczepić, ale jeśli nikt się nie dowie... – Patrzy na mnie ostrzegawczo.

– Komu niby miałabym powiedzieć? – Oczywiście poza mamą i Dianą.

Tata rozstawia pionki na szachownicy.

– A co z tobą? Pamiętam, że bardzo chciałaś mieć psa. Udało ci się go dostać?

– Nie. Simon ma alergię prawie na wszystko, co ma cztery nogi. Chociaż raz miałam rybkę. Dostałam ją na święta.

W zamyśleniu marszczy brwi.

– Chyba to pamiętam.

– Miała na imię Gupik, bo była... cóż, gupikiem. – Przewracam oczami na tę dziecięcą prostotę. – Przeżyła tydzień, a potem została pożegnana w toalecie.

– Więc nie miałaś zwierzków.

– Nie. – Prycham. – No, chyba że liczymy Tima i Sida.

Tata pytająco unosi brwi.

– Dwa żyjące w okolicy szopy, które od zawsze mnie prześladują.

– Prześladują cię? – powtarza z rozbawieniem. – Mówisz, jakby były straszne.

– Są straszne! I wielkie. Dwa razy większe niż Bandit. I podstępne. – Mimo że nie zrobiły kiedykolwiek nic poza wkurzaniem mnie.

– Wiedziałaś, że szopy nie pochodzą z Alaski?

– Nie – odpowiadam powoli.

– Przywieziono je tutaj w latach trzydziestych, aby robić futra.

– To... fascynujące. – Nie potrafię wyzbyć się goryczy, która wywołuje śmiech taty.

– Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o wścieklicznę, bardziej obawiamy się lisów. Te małe nicponie zawsze dostają się do wiosek i atakują psy. Marie co miesiąc przylatuje z Anchorage na kilka dni, aby prowadzić klinikę weterynaryjną w Bangor, Jonah zazwyczaj zabiera ją do wiosek, żeby mogła zaszczepić zwierzaki na wścieklicznę. Walczy z nią zaciekle.

– Ta cała Marie i Jonah wydają się zżyci, skoro zaryzykowała dla niego szczepienie Bandita – mówię nonszalancko. – Są w związku czy coś takiego?

Tata marszczy brwi.

– Nie, nie... Tylko się przyjaźnią. Przynajmniej z tego, co mi wiadomo. Chociaż Jonah nie mówi o dziewczynach, z którymi się... umawia. – Milknie po tym słowie, przez co wydaje mi się, że to nie najlepsze określenie, jeśli chodzi o kobiety, którymi się interesuje. – Oczywiście Agnes jest przekonana, że Marie zabiłaby, by być dla niego kimś więcej, ale mówi to o większości jego towarzyszek.

– Nie rozumiem – mówię zdumiona. Kayley – dziewczyna z kawiarni... Marie, pani weterynarz... nawet dwunastoletnia Mabel durzy się w tym wielkim brutalu. Chociaż Jonah jest dla nich wszystkich o wiele miłszy niż dla mnie, jeśli flirt z dziewczyną z kawiarni miałby być jakąś wskazówką.

Wciąż czuję to, co mnie ukłuło, gdy oglądał Dianę w miniówce. Od tamtej chwili nie odpuściło. Wydaje się, że to cień rozczarowania, ale przecież to nie może być to, bo nawet nie lubię Jonaha w ten sposób. Ledwie go w tej chwili toleruję.

Tata przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– Wciąż się nie dogadujecie?

– Dziś chyba nastąpił przełom. Pomoże mi stworzyć stronę internetową Alaska Wild. – Może w końcu się przyjaźnimy.

Lub się pozabijamy.

Tata wytrzeszcza oczy.

– Stronę?

Kiedy kończę wyjaśniać powody, tak jak opowiadałam już dziś o tym pomysle Jonahowi, tata głęboko się zamyśla.

– Prosił cię o to?

– Nie. Sama zaproponowałam.

– I to nad tym pracowałaś cały wieczór? – Ruchem głowy wskazuje mój komputer.

– Tak. Stworzyłam szkielec. – Schodzę z kanapy i kładę laptopa na stole, gdzie znajdowała się szachownica. – Możemy pobawić się kolorami i stylami, żeby to poprawić, po czym będę musiała dodać teksty i zdjęcia.

– Chciałbym mieć przynajmniej połowę twojego zmysłu biznesowego. O wiele łatwiej byłoby prowadzić tę firmę. – Uśmiecha się. – Jesteś dość mądra, dzieciaku.

Czuję nostalgię. Wiem, że to przezwisko nie jest już zarezerwowane wyłącznie dla mnie, ale wciąż czuję to samo, co kiedyś.

– Jonah powiedział mi też, że zapytałeś go, czy chciałby kupić Wild.

– Powiedział ci o tym? – Tata zaciska usta, wpatrując się w matową wykładzinę.

– Nie powinien?

– Raczej mu nie zabroniłem – mówi po chwili. – Ze wszystkich, których znam, on prowadziłby ją najlepiej. Aro Airlines się nią interesowało, ale zostałyby pochłonięta. – Uśmiecha się ze smutkiem. – Nie wydaje mi się, że jestem gotowy na to patrzeć.

Ale Jonah mówił, że nie ma pieniędzy, więc jakie możliwości ma tata?

– Mówił, że zastanawiasz się nad emeryturą.

Głęboko nabiera powietrza.

– Rozważam to. To było długie trzydzieści lat. Mały odpoczynek by mi nie zaszkodził. – Milknie, po czym pyta: – Jesteś zmęczona?

– Niespecjalnie. Zdrzemnęłam się po południu. – Znokautował mnie benadryl. Na szczęście opuchlizna nie wyszła poza niebieską obwódkę.

– W szafce mam filmy. Są stare, ale to jedno z moich ulubionych.

Czy tata okrężną drogą prosi, bym obejrzała z nim film? Czy Wren Fletcher próbuje

ponownie poznać córkę?

– Mogę coś wybrać – mówię nieśmiało.

– Tak? Dobrze.

Zamykam laptopa, odkładam go na bok i podchodzę do szafki.

Najpierw jednak dostrzegam niewielki uśmiech zadowolenia na twarzy taty.

ROZDZIAŁ 13



Obracam się, słysząc odległe pukanie.

Chwilę później odgłos pojawia się ponownie, tylko tym razem to jakby walenie do drzwi.

Do drzwi mojej sypialni.

Odsuwam opaskę z oczu i mrużę je, bo pod zasłonami przesącza się sporo światła.

– Tak? – wołam ochryplym od snu głosem.

Nie słyhać odpowiedzi, tylko jeszcze więcej dobijania się. To nagłący dźwięk, który mnie denerwuje.

Walczę z nakryciem, by się spod niego uwolnić, i człapię do drzwi, po czym natychmiast je otwieram.

Na progu stoi Jonah.

– Co się stało? Z tatą wszystko dobrze? – pytam spanikowana, rozglądając się po korytarzu.

Mężczyzna patrzy na mnie hardo przez dłuższą chwilę, potem omiata wzrokiem moją twarz.

– Jonah?

Mruga kilkakrotnie.

– A więc tak wyglądasz bez tego całego świństwa?

Wzdycham z irytacją.

– O tej porze nie jestem w nastroju na kłótnie. Czego chcesz? Gdzie tata?

Spojrzenie Jonaha skupia się na mojej klatce piersiowej, przypominając mi, że mam na sobie tylko bawełnianą koszulkę na ramiączkach, bez biustonosza pod nią. No i aura jest rześka.

Przeszywa mnie dziwny dreszcz, jednak i tak krzyżuję ręce na piersi.

Mój gość unosi głowę.

– Musiał lecieć do Anchorage. Myślałem, że wstałaś.

Przez chwilę wpatruję się w te jasnoniebieskie tęczęwki. Wydają się ciemniejsze. Pełne żaru. Czy on jest... podniecony?

– Położyliśmy się późno, bo oglądaliśmy film. Potem nie mogłam zasnąć. Która w ogóle jest godzina?

– Siódma. Ubieraj się. Lecisz dziś.

Wrywa mnie to z otępienia, w jakim się znajdowałam.

– Że co?

– Jest ładna pogoda, a twój tata chciał, żebyś zobaczyła więcej Alaski. Jesteś tu od trzech dni. Czas, byś wsiadła na pokład.

– Z tobą? – pytam z powątpiewaniem.

Uśmiecha się.

– Chodź. Zrobisz zdjęcia na stronę Wild. Przecież tego chciałaś, prawda?

Mój niepokój szybko wzrasta na myśl o wejściu na pokład samolotu z Jonahem. Jednocześnie odczuwam dziwne podniecenie. Poza tym nie chcę spędzić kolejnego dnia na siedzeniu w domu i szukaniu sposobów na zabicie czasu do powrotu taty.

– Dobra, daj mi godzinę.

Parska śmiechem.

– Masz pięć minut.

– Tak, jasne. Nie przygotuję się w pięć minut. Nie jestem tobą.

W odpowiedzi dostaję obojętne spojrzenie.

– Jesteś na Alasce. Włóż jakieś ciuchy, umyj zęby i jedziemy.

– Pół godziny. – Jeśli pominę prysznic i pospieszę się z makijażem, powinnam zdążyć.

– Pięć minut.

– Dwadzieścia – targuję się.

Jego zwyczajowo lodowate spojrzenie przesuwa się po moich ustach, szyi, klatce piersiowej i niżej, aż wraca do moich oczu. Jonah głośno przełyka ślinę.

– Nie potrzebujesz niczego, by dobrze wyglądać, Calla. Poważnie.

Brak mi słów. Czy to był komplement? Od Jonaha?

I dlaczego jego rozpalony wzrok nie wprawia mnie w zażenowanie?

Dlaczego czuję coś zupełnie przeciwnego, lekko drżąc? Czy...? Nie, nawet jeśli górna część twarzy jest całkiem ładna, a sylwetka imponująca, nie mogę na niego lecieć. Nie mogę nie widzieć tych włosów jak u yeti.

Jednak coś w jego spojrzeniu rozbudza moją ciekawość.

– Kwadrans – mówię i odchrząkuję.

– Jeśli nie będziesz gotowa za pięć minut, wrócę tu, przerzucę cię sobie przez ramię i wyniosę na zewnątrz.

– Wcale nie.

Posyła mi cwaniacki uśmiezek, od którego krew zaczyna mi szybciej płynąć.

– Spróbuj, a się przekonasz. I tak dla twojej wiadomości, mam gdzieś to, czy będziesz ubrana. – Wciska guzik przy zegarku.

– Czy właśnie uruchomiłeś stoper?

– Pięć minut. Czekam w samochodzie.

Piorunuję wzrokiem jego oddalające się plecy.

– Tik-tak!

– Dupek. – Z jękiem rzucam się po jeansy.

* * *

– Celowo próbujesz najechać na każdą dziurę? – warczę. Wpatrując się we własne odbicie w lusterku w osłonie przeciwsłonecznej, próbuję nałożyć drugą warstwę tuszu na rzęsy.

– Jesteś w alaskańskim buszu. Przestań się malować – mamrocze, ale zwalnia. Mimo to droga jest zbyt wyboista, bym mogła się pomalować.

Poddaję się, zakręcam tusz i wrzucam go do torebki.

– Dlaczego wszyscy nazywają to buszem? Busz oznacza gęsty las, a takie występują na terenach, z których pochodzę. Tutaj nie ma żadnego. Tylko jakieś drzewa. Nie ma buszu – dodaję cicho – poza tym na twojej twarzy.

– Ależ jesteśmy dziś pyskaci – mówi rozbawiony.

Wkładam okulary przeciwsłoneczne, blokując poranne promienie. Cieszę się z tej odmiany po mżawce, ale nie wtedy, kiedy świeci mi prosto w oczy.

– Jeśli ci się to nie podoba, następnym razem nie wyciągaj mnie prosto z łóżka i nie goń, jakby się paliło. – Nigdy nie mam dobrego nastroju po takiej porannej bieżance.

– Dałem ci dodatkowe trzy minuty.

– Aleś ty wspaniałomyślny. – Sięgam po kubek termiczny, który udało mi się napełnić kawą, zanim Jonah wpadł do kuchni z wyjącem w zegarku alarmem. – Zupełnie nie rozumiem, jak powstrzymujesz kobiety przed dobijaniem się do twoich drzwi.

Jego miękki śmiech sprawia, że przeszywa mnie dreszcz. Nie podoba mi się ten pociągający chichot.

– Cieszę się, że mimo wszystko masz w sobie trochę ognia.
– Chyba przy tobie daję z siebie to, co najlepsze – mamroczę. Normalnie język nie świerzbi mnie do kłótni.

Skreca zbyt szybko, więc kawa chlapie na moją białą koszulkę.

– Cholera! – Ścieram płyn, ale to na nic.

– Spokojnie. To tylko T-shirt.

– Kosztował stówę.

– Zapłaciłaś aż tyle za coś takiego? – Marszczy brwi, jakby uważał mnie za idiotkę.

– No co?! Idealnie pasuje i wygląda jak nowy nawet po pięćdziesięciu praniach.

– Za stówę to ta plama powinna się sama sprać.

– Chcesz powiedzieć, że twoja wysokiej jakości odzież z lokalnego sklepu spożywczego tego nie robi? – Zerkam na jego koszulkę, która mimo że jest zwyczajna, dobrze się na nim prezentuje.

Uśmiecha się.

– Cieszysz się mlekiem sojowym przez te ostatnie kilka poranków?

Cholera. Całkowicie zapomniałam. I oczywiście porusza ten temat po tym, jak mu przywaliłam, tylko po to, by mnie upokorzyć. Nie gra fair.

– Dziękuję. – Waham się. – Miło z twojej strony.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie. Zrobiłem to dla wszystkich, którzy znajdą się w twoim otoczeniu.

Zaciskam usta, żeby mu nie odpowiedzieć, i odwracam się od niego, skupiając wzrok na lotnisku przed nami.

To tyle, jeżeli chodzi o rozejm.

* * *

Agnes bystrym wzrokiem przeskakuje pomiędzy mną a Jonahem, w jej oczach połyskuje ciekawość.

– Dwoje leci, dwoje wraca, tak?

– Potrzebuje, abym pilotował, więc nie da sobie beze mnie rady. – Jonah bierze od Sonny'ego małą czerwoną skrzynkę z paskiem i wkłada ją do tylnej części pomarańczowo-białego samolotu. – Przynajmniej do naszego powrotu.

Dzięki Bogu, ta maszyna jest większa – myślę na widok dwóch foteli umiejscowionych obok siebie z przodu i kolejnych za nimi. Obite są bordowym materiałem, który okropnie nie pasuje do pomarańczowego paska na zewnątrz. Nie żeby dopasowanie kolorystyczne miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Pragnę jedynie, by to coś pozostało w powietrzu.

– Proszę. Będiesz tego potrzebowała. – Rzuca mi cienką, dzianinową, czarną bluzę z kapturem.

Agnes przygląda się, gdy ją wkładam.

– Wyglądasz dziś inaczej, Calla.

– Ponieważ Jonah dał mi czas tylko na skorzystanie z toalety i nie mogłam się umalować.

– Czuję się naga i brzydka. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni wyszłam do ludzi z odsłoniętą twarzą. Nawet na siłownię nie chodzę bez makijażu.

Agnes uśmiecha się ciepło.

– Ładnie ci. Ten wygląd do ciebie pasuje.

Zapinam zamek i podwijam rękawy, które sięgają daleko za moje paznokcie. Bluza jest na mnie o wiele za duża, ale nie tonę w niej tak bardzo, jak się tego spodziewałam. I wiem, że należy do Jonaha, bo pachnie jego drzewnym i mydłanym świeżym zapachem.

– Myślisz, że dostanę dziś swój bagaż?
– Tak, z pewnością. Twój tata przywiezie ci walizki.
– Dzięki Bogu. Nie mogę się doczekać, żeby włożyć kalosze. – Zerkam na zabłocone buty do biegania. Zniszczone.

– Wszyscy gotowi? – pyta Jonah, spoglądając na mnie. Bije od niego jakaś dziwna energia, której wcześniej nie było. Zawsze jest taki przed startem?

Nie czułam tego wczoraj.

– A tak właściwie, dokąd lecimy?

– Zmieniłoby to coś, gdybym ci powiedział?

– Nie – przyznaję. – W góry? – Bo po pierwszym przeżyciu i historii ojca Mabel trochę się boję.

– Nie. – Jonah unosi czapkę i wygładza zmierzwione włosy, zanim ponownie ją nakłada.

– Hej, Aggie, George poleciał już do Holy Cross?

– Wciąż czeka na przesyłkę. Polecą, kiedy tylko ją dostanie.

– A dostawa do St. Mary?

– Joe zapewne zaraz wylądował.

– Dobrze. W końcu. Ci ludzie czekają już wiele tygodni na amunicję do nadchodzącego polowania – komentuje.

Pomimo rozdrażnienia jego osobą mimowolnie go podziwiam, gdy na własne oczy widzę, jak dba o codzienne sprawy Wild. Wiem już, dlaczego tata tak na nim polega i uważa za godnego następcę w prowadzeniu rodzinnego biznesu, który był w rękach Fletcherów od dekad. I jak niezbędna będzie pomoc Jonaha w nadchodzących miesiącach i latach.

– Okej. Możemy lecieć.

Choć mój żołądek już wcześniej był ściśnięty, teraz zaczyna wiązać się w supeł i odczuwam przedziwną mieszankę strachu i ekscytacji, obserwując, jak Jonah wsiada na pokład i zakłada słuchawki.

– Baw się dobrze, Calla! – mówi Agnes i odwraca się, żeby odejść.

Sonny czeka na mnie, jedną ręką przytrzymując drzwi i nie mogąc się doczekać, by je zamknąć. Trzyma również pomarańczowe pałki.

Wsiadam i zajmuję miejsce. Nie jest tu tak ciasno jak w cubie, ale daleko temu wnętrzu do przestronności, co oznacza, że moja ręka od ramienia aż po łokieć przyciśnięta jest do ręki Jonaha i pozostanie tak, dopóki stąd nie wyjdziemy. Nie ma innego sposobu przy pilocie jego postury, więc godzę się z sytuacją i próbuję patrzeć przed siebie, na front samolotu. To tylko deska z tarczami, przełącznikami i dźwigniami. Po obu stronach naszych nóg ma wyżłobioną przestrzeń. Jonah płynnie przyciska, przełącza i ciągnie różne rzeczy na panelu z wprawą kogoś, kto robił to już tysiące razy.

Z silnika dobiega niski warkot, śmigło obraca się dwukrotnie, zanim przyspiesza i mi się rozmywa.

Jonah bez słowa podaje mi słuchawki. Biorę zestaw, świadoma, że przy tym ruchu ocierają się nasze palce.

Mimo że mnie nie pociąga.

Mimo że mam ochotę przywalić mu w twarz.

– Słyszysz mnie? – odzywa się głębokim głosem w moich uszach.

– Tak. Ile lat ma ten samolot? – Przez pikowaną tapicerkę na bokach i metalowe korbki do otwierania szyb wygląda jak samochód z filmu *Grease*.

– Jest starszy niż my oboje.

– O, świetnie. – Samochody połowę ode mnie młodsze rozpadają się na ulicach, a ja mam

zaufać, że ten kawał metalu wzniesie się w powietrze?

– Nie dotykaj wolanta.

– Czego?

Szturcha mnie muskularnym ramieniem, kiedy sięga, by postukać w czarną dźwignię przede mną, przypominającą powiększony kontroler gier telewizyjnych. Jest identyczna jak ta przed nim.

– Ani pedałów w podłodze. To stery.

Nie wiem nawet do czego. Mam ważniejsze zmartwienie.

– Gdzie torebka do rzygania?

– Nie będzie ci potrzebna.

– Z doświadczenia wiem, że wręcz przeciwnie.

– Nie zrobi ci się niedobrze.

– Nie zdołasz tego powstrzymać. Gdzie jest?

Kręci głową i wzdycha ciężko.

– Pod twoim fotelem.

Kiedy Jonah rozmawia z kontrolerem ruchu na lotnisku, sięgam pod fotel i macam, aż wyczuwam papier. Wyjmuję torebkę i wkładam w wąski uchwyt w drzwiach.

– Spokojnie, nie musisz się bać – mówi Jonah w słuchawkach, gdy samolot zaczyna się toczyć po płycie.

Nie odpowiadam, zamiast tego patrzę na Sonny'ego, który idzie obok, machając swoimi pomarańczowymi pałkami. Samolot podskakuje na pęknięciach asfaltu, dając mi dziwne, straszne poczucie *déjà vu*.

Ciągnę za pas, żeby mocniej go napiąć, spoglądając na małą armię samolotów taty – niektóre lądowane przez obsługę naziemną, inne czekające na niewielkie grupki turystów. Nie potrafię stwierdzić, czy pas startowy przed nami wydaje się wąski i krótki w porównaniu z otaczającą nas szeroką, płaską ziemią, czy jest taki naprawdę.

– Nie wiem, jak możesz być córką Wrena i tak bardzo wariować w małym samolocie.

– Ponieważ mój pierwszy lot małym samolotem był strasznym doświadczeniem z okropnym pilotem – odpowiadam.

Unosi się jego klatka piersiowa.

– Słuchaj, zachowałem się jak dupek i przepraszam.

Docieramy do końca pasa startowego. Patrzę w niebieskie oczy Jonaha i widzę w nich rzadko spotykaną szczerłość.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie wiem. Chyba chciałem się przekonać, jaka naprawdę jest córka Wrena.

– Jaka jestem? – Prycham. – Cóż, byłeś blisko przekonania się, jak wygląda zawartość mojego żołądka.

– Tak, tego nie było w planie. – Marszczy brwi. – Widziałem twoje zdjęcia i pomyślałem, że musisz być jedną z tych wypindrzonych lasek z miasta, których nie znoszę.

Również marszczę brwi.

– Jakie zdjęcia?

– Te, które Mabel pokazywała mi na telefonie.

Musi mówić o moim koncie na Instagramie.

– Co z nimi nie tak?

– Nic. Tylko kiedy dziewczyna wygląda jak ty... – Kręci głową. – Chyba od samego początku chciałem dać ci nauczkę.

Wyglądająca jak ja, czyli w jego ocenie – jak lalka Barbie.

– No i? Już nie jestem wypindrzoną laską, której nie znosisz?

– Zdecydowanie jesteś wypindrzona. – Uśmiecha się kpiąco. – Ale jesteś w porządku. –

Rozmawia przez radio z wieżą kontroli lotów, a ja znów odczuwam tę dziwną mieszankę strachu i ekscytacji.

Czekamy w ciszy na pozwolenie na start.

– Twój pierwszy raz był ze mną? – pyta cicho.

– Co?

– Tak powiedziałaś. Że to był twój pierwszy raz.

Zaczynam rozumieć i przewracam oczami, rumieniąc się jednocześnie.

– Tak, ale byłeś kiepski. Powinieneś się wstydzić.

Jego głęboki śmiech odbija się echem w mojej piersi.

Odzywa się wieża, dając mu pozwolenie.

– Jeśli dziś umrę, zabiję cię. – Zaciskam uda, bo nagle chce mi się sikać.

– Wymagałoby to niezłego talentu – mamrocze, zaciskając silne dłonie na wolancie.

– Ale poważnie, dokąd mnie zabierasz?

Przełącza kilka dźwigni.

– Pokażę ci, że w Wild chodzi o coś więcej niż zarabianie pieniędzy – odpowiada, powtarzając gorzkie słowa, które wypowiedziałam zaledwie kilka dni temu kasjerce u Meyera.

Wstrzymuję oddech, kiedy samolot zaczyna przyspieszać.

ROZDZIAŁ 14



Wpatruję się w głęboki błękit i bogatą zieleń pod nami.

– Nigdy wcześniej nie widziałam tylu jezior! – Niezliczone, dziwnie ukształtowane akweny są rozproszone tak daleko, jak tylko sięgam wzrokiem. Jest ich tyle, że nie potrafię określić, czy to woda na lądzie, czy ląd na wodzie.

A w centrum tego wszystkiego znajduje się skupisko prostokątnych budynków z dachami w jaskrawych odcieniach czerwieni, zieleni i niebieskiego.

– To część delty Yukon-Kuskokwim. Przed nami jest Morze Beringa – wyjaśnia Jonah, jego głęboki głos dźwięczy mi w uszach.

Celuję canonem Simona i próbuję zrobić kilka zdjęć krajobrazu zapierającego dech w piersi. Blask słońca odbijający się od szkła sprawia, że jest to trudne.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. To z pewnością lepszy samolot. Wydieram się?

Uśmiecha się, ukazując idealne białe zęby.

– Nie, wszystko w porządku. – Rozgląda się po niebie swoim jastrzębim wzrokiem. – To dobry dzień na lot. Nie wieje tak mocno jak zwykle.

– W dodatku jesteś lepszy niż ten dupek, z którym ostatnio leciałam. – Walczę o powagę, pstrykając fotki kolorowemu miastu i czując, że Jonah się we mnie wpatruje. Czekam na jego przemądrzałą odpowiedź.

– To Kwigillingok, tam właśnie zmierzamy – mówi zamiast tego.

– Wydaje się, że niedawno wystartowaliśmy.

– To tylko trzynastominutowy lot. Większość podróży do wiosek jest krótka. Nawet dotarcie do Barrow zajmuje mniej niż dwie godziny, a to najbardziej wysunięty na północ punkt Alaski. – Przechyliła samolot w prawo, przez co odczuwam trzepotanie w brzuchu.

Chociaż muszę przyznać, że nie jest to tak przerażające jak poprzednio.

* * *

Może i widok z góry jest malowniczy, ale rzeczywistość na dole to zupełnie inna historia.

W końcu potrafię oddychać i na powrót mówić.

– Czy wszystkie lotniska w tych wioskach są takie? – Nawet nie można nazwać tego czegoś lotniskiem. Jeśli reszta jest podobna, naprawdę nie mam zamiaru zapoznawać się z innymi regionami Alaski.

– Nie. To jedno z najniebezpieczniejszych – mówi nonszalancko Jonah, pozornie nieporuszony tymi wszystkimi wybojami i szarpnięciami, prowadząc maszynę wąską żwirową drogą z wodą po obu stronach. Wylądowaliśmy praktycznie na skrawku wyspy.

– I stwierdziłeś, że dobrze będzie zabrać mnie ze sobą?

– Chrzest ognia.

– Byłam już chrzczona, dzięki. – Nie żebym odwiedziła kościoła przez ostatnie dwie dekady. Biorę uspokajający oddech. – Myślałam, że wpadniemy do wody.

Jonah się uśmiecha, zdejmując słuchawki i zatrzymuje się w końcu niedaleko pozbawionej okien szopy, gdzie stoją dwie osoby przy quadach. Znów coś przełącza, przez co śmigło zwalnia, a silnik milknie.

– Może gdybyś leciała z kimś innym, ale ja jestem dobry.

I zrozumały.

Odpina pas i wyciąga się, chcąc sięgnąć za swój fotel, żeby coś odbezpieczyć. Przyciska mi wtedy mocną pierś do ramienia. Czuję miętę w jego oddechu. Zaciskam usta, martwiąc się, że mój nie jest tak świeży.

Do samolotu podchodzą dwie osoby. Są ubrane jak wszyscy inni, których do tej pory widywałam na Alasce – w warstwy flaneli i bawełny, jeansy oraz wysokie buty.

– Dlaczego tu przylecieliśmy?

– Aby przekazać im przenośny respirator. – W końcu wyjmuję czerwoną skrzyneczkę. Muszę się przesunąć, aby nie uderzył mnie nią w głowę. – Chodź. Czas poznać klientów Wild. – Otwiera drzwi i wyskakuje.

Nie wysiadam tak zgrabnie jak on. Potykam się i upadam. Kiedy udaje mi się obejść samolot, Jonah wręcza już skrzynkę.

– ...przez cały ten piach podrywany wiatrem przez kilka ostatnich dni – mówi kobieta. – Przynajmniej dziś nie jest tak źle. – To rdzenna mieszkanka Alaski, w średnim wieku z ładną twarzą i gładkimi, czarnymi, związanymi w kucyk włosami. Ma lekki akcent podobny do taty, Agnes, Michaela i mniej więcej każdego, kto mieszka tu przez całe swoje życie. Przypomina mi dziewczynę, Marie, z uniwersytetu, która wychowywała się w Sault Ste. Charakterystycznie się wyrażała. Przeciągała samogłoski i nie wymawiała niektórych spółgłosek. Mówiła bardzo szybko. Nawet jeżeli dialekt nie jest ten sam, to z pewnością „mowa północy”.

– Powinno jej pomóc. Przykro mi, że tyle mi to zajęło. – Jonah zdejmuje czapkę i wygładza włosy. Zastanawiam się, czy ciągle musi je poprawiać, czy może nie jest tego świadomy.

– Te nowe są o wiele mniejsze. – Kobieta zachwyca się trzymaną skrzyneczką. – Evelyn mówiła, że dręczyłeś Anchorage, aż się poddali.

– Mówili o następnym tygodniu, a to przecież ściema. Mieli ten jako zapasowy w magazynie.

– Ratujesz nas, Jonah. – Kobieta patrzy na mnie z ciekawością.

– Enid, to Calla, córka Wrena. Przyleciała w odwiedziny z Toronto. Pokazuję jej okolicę. Na twarzy kobiety pojawia się uśmiech.

– Wszyscy tutaj znają twojego tatę. I Jonaha. – Kiwa na niego głową. – Zawsze pomagają. To kosztowne, ale i tak to robią.

– Latanie nie jest tanie – mówi pouczającym tonem Jonah.

Enid macha ręką, śmiejąc się łagodnie.

– Wiem, wiem. Drocę się. Jesteście najlepsi. Zawsze można na was liczyć.

– Lecimy. Musisz dostarczyć ten respirator małej dziewczynce. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała – mówi mój towarzysz, odchodząc.

– Powiedz Wrenowi, że niedługo musi do nas przylecieć. Będę miała trochę krasnorostów – woła Enid.

Uśmiecham się i macham, po czym wracam do samolotu.

– Krasnorostów?

– Sporo się tu tego je.

– Czy tata...

– Nie znosi ich, ale nie odmawia się jedzenia od człowieka z wioski, bo ci ludzie zbierają i polują na dosłownie wszystko. Wkładają w to wiele wysiłku, więc jeśli ci to proponują, sprawa jest poważna.

– Czy Enid jest lekarką?

– Nie. Jest niby-pielęgniarką. Szkoliła się z zakresu podstawowej pomocy i regularnie kontaktuje się z lekarzami z Bangor. Czasami przywozimy lekarza tu czy do innej wioski.

– Jeśli ktoś wymaga hospitalizacji...
– Jeżeli to coś pilnego, leci samolot ewakuacji medycznej, w innych przypadkach my. W przeszłości lataliśmy z poważnie cierpiącymi – mówi z powagą. – Te podróże zawsze wydają się pięć razy dłuższe.

Założę się jednak, że Jonah nigdy ich nie odmawia. Może być dupkiem, ale widzę, że lubi pomagać innym.

– Co jest tej małej?

– Ma ciężką astmę, ostatnio inhalatory niezbyt pomagają. Potrzebuje pompy tlenowej, a ta przedpotopowa, którą mieli, zepsuła się w zeszłym tygodniu. Teraz biedne dziecko będzie mogło oddychać. – Wzdycha, a ja wyczuwam w tym prostym geście ulgę.

– Dlaczego jej rodzina nadal mieszka tak daleko od cywilizacji, skoro mała ma problemy ze zdrowiem? Na ich miejscu przeniosłabym się do Bangor.

Zerka na mnie, na jego czole pojawiają się głębokie zmarszczki.

– Ponieważ jej rodzina mieszka tam od setek lat. To ich dom. Tylko to znają. Tylko tak potrafią żyć – stwierdza rzeczowo, jakbym nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień.

– Nie pojmuję.

– Nie musisz. Wystarczy, że to uszanujesz.

Teraz to mnie poucza. Znowu przychodzi mi coś do głowy.

– Czy to dlatego tak mnie rano pospieszałeś?

– Pytasz o to, czy możliwość oddychania dziecka była ważniejsza od twojej próżności?

Przewracam oczami, przyjmując to za potwierdzenie.

– Mogłeś mi powiedzieć. Nie uznałabym wtedy, że jak zwykle byłeś fiutem.

– A gdzie w tym zabawa? – Otwiera drzwi i przytrzymuje je przede mną.

– Masz zatem manieri – mamrocze, wsiadając.

– Zazwyczaj dla dam, ale w tym wypadku zrobię wyjątek – odpowiada natychmiast. Trzaska drzwiami, nie dając mi szansy na rewanż.

– Gnojek – rzucam i przygryzam dolną wargę, żeby się nie roześmiać. Jego uwagi nie są tak kąśliwe, jak na początku.

Chyba zaczynam cieszyć się tą wymianą zdań.

Czekam, aż dwa razy obejdzie samolot, dotykając kadłuba, przy okazji marszcząc intensywnie brwi. W końcu wsiada.

– Coś z nim nie tak?

– Nie ma pęknięć ani wycieków. Wszystko okej.

– To... co dalej? – pytam, gdy znowu przełącza te wszystkie guziki.

– Nie masz mnie już dosyć? – pyta żartobliwie, ale wyczuwam w tym powątpiewanie.

– Chcesz, żebym miała? – Ma dość takiej pasażerki?

Następuje dłuższa chwila milczenia.

– Nie. Wcale.

– Dobrze. Tylko nie wpadnij do wody, okej?

Uśmiecha się i nakłada słuchawki.

– Jeżeli myślisz, że lądowanie tu było ekscytujące, poczekaj na start.

* * *

Jonah gasi silnik. Po całym dniu słuchania nieprzerwanego warkotu następująca po nim cisza wydaje się wyraźniejsza.

Zdejmuję słuchawki, opadam na siedzenie i przyglądam się budynkom Alaska Wild. Słońce wciąż znajduje się wysoko na niebie, mimo że jest już po dwudziestej. Głowa mi pulsuje

ze zmęczenia, z nadmiaru wrażeń i niedostatecznej ilości pożywienia. Zjadłam dziś tylko jabłko, banana i garść krakersów, które zaoferowała mi Agnes po jednym z powrotów do bazy.

– To... – Jonah wzdycha. – To tylko zarabianie, co?

Jeżeli obrał za cel przekonanie mnie, że się myliłam, odniósł sukces. Dzień był długi i męczący, pełen lądowań na wyboistych pasach startowych, które zdawały się niczym więcej jak zwirowymi drogami, położonymi pomiędzy tysiącami kilometrów w większości niezamieszkałych terenów, ciągnących się we wszystkich kierunkach. Niemal każdy lot miał na celu dotarcie do wioski, aby dostarczyć zamówione kilka tygodni wcześniej zapasy. Jonah znał tych wszystkich ludzi z imienia. Żartował z nimi, przeproszał za opóźnienia. Dziękowali mu za przybycie, nawet jeśli większość czekała na niego na pasach przez wiele godzin. Jeden przyjeżdżał na teren lotniska każdego dnia i sprawdzał, czy mgła się podniosła i czy któremuś z pilotów uda się wylądować.

Przez cały czas uśmiechając się do tego człowieka, mogłam myśleć o tym, ile razy zamówiłam ciuchy lub kosmetyki online, a potem denerwowałam się, że po przyjeździe z pracy nie czekała na mnie paczka. I o mamie, która pewnego dnia utopiła telefon w zlewie i zamówiła drugi z dostawą na następny dzień. Siedziała niecierpliwie w domu. Paczka przyszła w tym samym czasie, co ja wróciłam z pracy, więc byłam świadkiem, jak mama narzekała na dostawcę, na to, że straciła cały dzień i że operator powinien rozumieć, jak ważny jest telefon w dzisiejszych czasach. Mówiła także, że firma kurierska powinna ulepszyć swoje dostawy, zmniejszając czas oczekiwania klienta, że powinni szanować cudzy czas i wynagrodzić jej dzień, w którym musiała zwolnić się z pracy. Gość w kombinezonie musiał cierpliwie słuchać tego wszystkiego, patrząc na nią przeschlonymi oczami i czekając, żeby w końcu podpisał odbiór. Jakby przywykł do osób krzyczących na niego z powodu dostarczanych ważnych paczek. Założyłam się, że ciągle mu się to zdarza.

Mama, której nigdy nie określiłabym jako cierplivej, krytykowała zupełnie obcą osobę z powodu telefonu przywiezionego na czas. Tymczasem tutaj był człowiek trenujący husky do jakiegoś ważnego wyścigu, codziennie z radością przyjeżdżający psim zaprzęgiem na lotnisko, żeby zdobyć penicylinę, na którą ktoś w jego wiosce czekał od wielu tygodni.

Nie dziwię się, że matce się tu nie podobało.

Zaczynam rozumieć punkt widzenia Jonaha. Zobaczył dwudziestosześcioletnią dziewczynę pojawiającą się tu w butach na koturnie, w kapeluszu, z dwiema wielgachnymi walizkami i chciał mnie naprostować.

– Zarabianie i dostarczanie pizzy – poprawiam żartobliwie.

– No tak. – Śmieje się. – Ale widziałas, jak rozpromieniły się te dzieci?

– Najszczęśliwszy mały solenizant, jakiego w życiu widziałam.

Kręci głową.

– A ty to niemal zniszczyłaś.

Jęczę.

– To byłaby twoja wina. – Posyła mi oszołomione spojrzenie, więc parskam śmiechem. – Dlaczego miałabym ci wierzyć? – Kiedy taksówka przywiozła Jonahowi dwa pudełka pizzy od Gigi, założyłam, że to nasz lunch. Ale wtedy mój towarzysz stwierdził, że mamy lecieć z nią na szóste urodziny jakiegoś dzieciaka, wioząc przy okazji jakiś inny towar, więc uznałam, że mnie wkłęca.

Wyglądniła już sięgałam do środka, by oderwać kawałek i pozbyć się z niego sera, kiedy nawrzeszczał na mnie i zamknął pudełko.

Dzięki Bogu, ponieważ matka z chłopcem czekali na nas na pasie startowym. Gdy dotarliśmy do liczącej trzystu mieszkańców wioski, mały wytrzeszczał oczy z radości

i podniecenia. Matka wyjaśniła, że odkąd nauczycielka – kobieta pochodząca z Chicago – opowiedziała im w zeszłym roku o popularnej żywności, chłopiec na swoje przyjęcie urodzinowe chciał jedynie pizzę.

A jeśli już przy tym jesteśmy...

– Jestem głodna. – I zmęczona.

– Tak, ja też. Dobrze, że na dziś koniec. – Jonah wzdycha i rozpiną swój pas, jednak nie wysiada. Otwiera usta, więc czekam, aż coś powie, ale zmienia zdanie. Siedzimy w niezręcznej ciszy.

– Hej, dzięki za zabranie mnie. I brak katastrofy – podsuwam z nadzieją, że przełamie napięcie. – Dobrze się bawiłam. – A co ważniejsze, zaczynam pojmować, jak ważna jest Alaska Wild dla tutejszych mieszkańców oraz jak wielu ludzi zamieszkujących te wioski polega na Jonahu czy tacie, a także innych pilotach. Są oni ich szansą na przeżycie.

I pomyśleć, że tata został obciążony tym ciężarem niedługo po skończeniu dwudziestu lat.

Tymczasem ja mam dwadzieścia sześć i nie ciąży na mnie nawet odpowiedzialność za posiadane zwierzątko.

Jonah patrzy na mnie przez chwilę, po czym wygląda przez boczną szybę.

– Podziękuj tacie. To on zmusił mnie, bym cię zabrał.

– Jasne – mamrocze, gdy pilot wysiada z samolotu. Dlaczego nie może przyznać, że również dobrze się bawił?

Tata i Agnes zmierzają w stronę maszyny, kiedy ją opuszczam.

– I jak? Gdzie byliście? – pyta tata, z zaciekawieniem przeskakując wzrokiem pomiędzy nami.

– Calla? – naciska Jonah.

Nagle czuję się, jakbym znów miała dziewięć lat i wróciła do irytującego „czego nauczyłaś się dziś w szkole”. I mimo że wtedy odpowiadałam niechętnie, ograniczając się jedynie do odpowiedzi „tego i tamtego”, w tej chwili opowiadam o wioskach, których nazw nie potrafię wymówić, i przekazuję słowa nowo poznanych osób.

– Rozumiem, że robiłaś zdjęcia. – Ruchem głowy wskazuje na aparat Simona.

– Aż w połowie dnia padła bateria.

– W takim razie jutro też musisz lecieć z Jonahem – podpowiada nonszalancko Agnes z wesołym uśmiechem.

Już mam rzucić: „Jasne!”, ale Jonah unosi ręce w geście poddania.

– Dość tej pokuty. Mamy tu sporo pilotów. – Smutnieję nagle, żołądek mi się ścisza. – Poważnie, Wren. To chyba moja najgorsza pasażerka. Powinieneś się za nią wstydzić.

Opada mi szczęka.

– Hej! Byłam świetną pasażerką!

W końcu na surowej twarzy pojawia się uśmiech.

Uświadamiam sobie, że żartuje. Odczuwam ulgę.

Wraz z dezorientacją. Dlaczego odczuwam ulgę? Dlaczego w ogóle zależy mi na tym, żeby Jonah ponownie wpuścił mnie do samolotu?

Ponieważ mimo że przez większość czasu trzymałam się kurczowo fotela i modliłam się w duchu, gdy lądowaliśmy, byłam przerażona, ale też podekscytowana. Dzień był zupełnie niepodobny do wszystkiego, czego w życiu doświadczyłam.

Nawet nie potrafię tego opisać. Zapamiętam te momenty do końca swoich dni.

A także rolę, jaką odegrał w nich Jonah.

Jasne, jest nieokrzesany. Potrafi być chamski i zbyt zuchwały, a wręcz bezczelny. Tak

właściwie musi nauczyć się nie mówić tego, co mu ślina na język przyniesie. Jest również wesoły i troskliwy. I bez względu na to, jak bardzo się stara, nie jest w stanie ukryć tego, że troszczy się o ludzi.

– Hej, czy Bart znalazł coś w Betty? – pyta Jonah, znów poprawiając czapkę.

Tata kręci głową.

– Powiedział, że przekopał ją dwukrotnie i niczego się nie doszukał. Zaczyna myśleć, że George'owi się zdawało, co też jest możliwe. Facet nadal jest przekonany, że ptak wleciał mu w śmigło, bo Bobbie nie zszyla dziury w jego szczęśliwych skarpetkach.

– No a podwozie połamało mu się z powodu czarnego kota siedzącego na jego ganku – dodaje Jonah.

– George jest trochę przesądny – wyjaśnia Agnes teatralnym szeptem.

– Chyba go za to nie winię. – Ptaki w śmigle? Odpadające podwozie? Cieszę się, że nie usłyszałam tych historii rano.

– Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby dłużej stała w hangarze, zwłaszcza gdy czeka nas załamanie pogody. Możemy być uziemieni przez cały weekend – mówi tata.

– Cały weekend? – powtarzam. – Czy zdołam dotrzeć do Anchorage w niedzielę, żeby lecieć do domu?

– Może być różnie – przyznaje tata, a po chwili dodaje: – Jeśli się martwisz, Jonah może lecieć tam z tobą w piątek rano. Pewnie rozpada się dopiero pod wieczór. Mogłabyś spędzić kilka dni w mieście. – Marszczy brwi. – To raczej bardziej w twoim stylu.

– W piątek rano. – Co oznaczałoby, że zostałby mi ostatni wspólny dzień. Ostatni z tatą.

– Tylko żeby mieć pewność, że zdążysz na ten niedzielny lot do domu. – Patrzy w ziemię, jakby czegoś tam szukał.

Czy czuje to samo, co ja?

Wydaje mi się, że dopiero tu przyleciałam i nie jestem gotowa, by już się zegnać. Przypominam sobie, że mogłabym zostać, ale dlaczego tata o to nie poprosi? Oczywiście narzuca się najprostszą odpowiedź – że nie chce mnie tutaj. Uciszam głos niepewnej dziewczynki i doszukuję się innego powodu.

Może uważa, że chcę stąd wyjechać. Może nie chce niczego mówić, żebym nie czuła się zobowiązana zostać. Tak samo jak nigdy nie poprosił o to mamy.

Czuję, że Jonah się we mnie wpatruje. Jakby był w stanie odczytać kłębowisko myśli w moim umyśle, kiwa głową, bez słów przekazując, że wiem, co powinnam zrobić.

Waham się.

– Albo mogłabym przebukować bilet na następny weekend.

Tata unosi brwi, przyglądając mi się uważnie.

– Naprawdę tego chcesz?

– To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebym została dłużej. Wiem, że zacznasz leczenie...

– Nie mam nic przeciwko – odpowiada pospiesznie z uśmiechem i jeżeli się nie mylę, z ulgą. – To również twój dom. Tu, na Alasce.

– Okej. W takim razie zostanę nieco dłużej. – Podjęłam właściwą decyzję?

Agnes rozpromienia się, a Jonah sztywno kiwa głową, przez co myślę, że tak.

Wiatr, który wzmógł się już wcześniej, owiewa nas, rozwiewając mi włosy. Drzę, przypominając sobie, że nie mam ciepłych ubrań.

– A tak w ogóle, przywiozłeś moje walizki?

– Jeśli o to chodzi... – Tata się krzywi. – Kiedy Billy poszedł do magazynu po twój bagaż, nie mógł go znaleźć.

I moja bańka szczęścia tak po prostu pęka.

– Co znaczy „nie mógł ich znaleźć”? Zgubił je? – Moje ubrania... Moje buty...

– Pewnie się gdzieś zawieruszyły przy tych wszystkich opóźnieniach z lotami tam i z powrotem. Jestem pewien, że wkrótce się znajdą.

– A jeżeli nie? – pytam podniesionym, piskliwym głosem.

Tata marszczy brwi w zamyśleniu.

– Ubezpieczenie zazwyczaj pokrywa kilkaset dolarów. Wykupiłaś je, prawda?

– Tak, pokryje koszt swetra i pary szpilek – mamroczę. Mój ekscytujący dzień właśnie skończył się katastrofą. – Od przylotu tutaj noszę na zmianę dwie pary jeansów. Jak mam przetrwać dłużej?

Jonah, który milczał przez cały ten czas, podsuwa z rozbawieniem:

– Z ochotą zawiozę cię do Meyera, żebyś coś sobie kupiła.

Wskazuję na niego palcem.

– To twoja wina. Gdybyś wziął wtedy większy samolot, mój bagaż nie zostałby zgubiony.

– Gdybyś spakowała się na tydzień, nie na rok, nie musielibyśmy zostawiać tam twoich walizek – odpowiada gładko.

– Hej, wcześniej przyznałeś, że byłeś dupkiem! – Dlaczego znów się spiera?

– Daj nam dzień czy dwa dni – zapewnia kojąco Agnes niczym sędzia rozstrzygający spór pomiędzy drużynami. – Takie rzeczy się zdarzają, ale zawsze znajduje się rozwiązanie.

Zaciskam usta, bo mam ochotę powiedzieć, że to gówno prawda. Wiem, że próbuje pomóc.

Tata wzdycha.

– Chodź, dzieciaku. Czas do domu.

ROZDZIAŁ 15



Kiedy następnego ranka Jonah pojawia się w domu taty, jestem już wykąpana i przebrana po porannym biegu. Napełniam pół kubka termicznego kawą, przeglądając wpisy na moim instagramowym profilu. Zachwycam się, widząc nowych obserwatorów i komentarze. Przybyło ich dzięki podniebnym fotografiom jednej z wiosek. Umieściłam je wieczorem na stronie wraz z krótką historią chłopca, który chciał pizzę, i raportem z przerażającego lądowania, uznanego przez moich obserwatorów za zabawny.

– Dokąd dziś lecimy? – pytam, odsuwając od siebie wczorajszą wymianę zdań dotyczącą bagażu.

Jonah staje obok mnie, gładko i bez wahania zaciskając dłoń – niemal dwa razy większą od mojej – na uchwycie dzbanka, przez co udaje mu się mnie dotknąć.

Moje serce gubi rytm.

– Zabieram grupę turystów i ich przewodnika w głąb kraju. – Jego głos wydaje się wyjątkowo głęboki, gdy zakłóca ciszę tego domu. – Nie ma wolnych miejsc.

– Oj. – Marszczę brwi rozczarowana. Myślałam, że żartował wczoraj, mówiąc o „pokucie”, ale może było w tym jednak ziarno prawdy.

Skupiam uwagę na napełnieniu kubka mlekiem sojowym.

– Dlaczego to robisz?

– Nie lubię smaku kawy, dlatego w domu piję tylko latte. – Opowiadam mu o wypasionym ekspresie Simona.

Odstawia dzbanek do zaparzacza i wyłącza go.

– Chyba masz fajnego ojczyma.

– Tak. Jest cudowny dla mamy i dla mnie. – Kiedy napisałam wieczorem do domu, by przekazać, że postanowiłam zostać, Simon wysłał mi numer swojej karty kredytowej, w razie gdyby linie lotnicze zażądały dopłaty. I powiedział, że postępuję słusznie i że jest ze mnie dumny.

– Mój ojczym jest fiutem – mamrocze. – Ale mój ojciec też taki był.

Rzucam na niego okiem, upijając łyk i mrużąc oczy pod wpływem jasnego słońca, gdy Jonah przygląda się rozległej ziemi za oknem. Otworzył się nieco przede mną. Próbuje łagodnie:

– Twoi rodzice też się rozwiedli?

– Tak. Tata był egoistycznym palantem, który niezbyt dobrze traktował mamę. Słuchaj, po południu muszę dostarczyć zaopatrzenie dla turystów na obóz, jeśli chciałabyś ze mną lecieć.

– Okej! – mówię nieco zbyt szybko i z wielkim zapałem. – Może pojedę wcześniej do biura. Mogę popracować nad stroną. Ściągnąć zdjęcia, które wczoraj zrobiłam. – Wieczorem nie poświęciłam temu czasu, dopadła mnie ekscytacja wyśmienicie spędzonym dniem, gdy słuchałam nawijania Mabel. Później dziewczyna piętnasty dzień z rzędu pokonała mojego tatę w warcaby. Nie potrafię stwierdzić, czy specjalnie daje jej wygrać.

Jonah bez celu błąka się po kuchni z kubkiem przy ustach. W końcu zatrzymuje się przed niewielkim stołem, spoglądając na tapetę.

– Wiesz, kto dorysował kaczkom sutki? – Wciąż zapominam zapytać o to tatę.

– Co dorysował?

– Sutki. Kaczkom.

Marszczy brwi, uważnie patrząc na tapetę.

– O czym ty mówisz?

– O tym! – Podchodzę, pochylam się nad stołem i stukam paznokciem w ścianę. – Widzisz? Sutki. Tu, tu i tu. Ktoś dorysował każdej kaczce sutki.

– Powtórz to jeszcze raz.

– Co? – Odwracam się i widzę, że próbuje się nie śmiać. W końcu pojmuję, że od początku wiedział, o czym mówię. – Zamknij się. Jesteś dzieciakiem.

Patrzy na mnie, omiatając wzrokiem moje oczy, policzki, usta.

– A tak w ogóle, wczoraj wyglądałaś lepiej. Bez tego całego świństwa na twarzy.

Czuję, że się rumienię, bo rodzi się we mnie mieszanina zażenowania i złości.

– A ty wyglądasz tak samo z całym tym świństwem na facjacie.

Unosi rękę i przeciąga palcami po brodzie.

– Co jest z nią nie tak?

– Nic, jeśli planujesz żyć samotnie w górach i plądrować domy w poszukiwaniu jedzenia.

I nie chodzić do końca wyprostowany.

– Mówisz więc, że ci się nie podoba. – Nie można pomylić rozbawienia w jego głosie z niczym innym.

– Zdecydowanie nie.

Wzrusza ramionami.

– Wiele kobiet na to leci.

– Wcale nie.

– To mój styl.

– Nie. Styl jest co najwyżej hipsterski, można też nosić się na drwała. Yeti się w to nie wpisuje. – Wpatruję się w te kudły, szukając tego, co może się pod nimi kryć – mocna zuchwa, wysokie kości policzkowe – ale nie potrafię ich odnaleźć. – Nie mam pojęcia, jak wyglądasz pod całym tym futrem.

Zastanawia się.

– A to dla ciebie ważne? Chcesz wiedzieć, jak wyglądam?

– Nie! Tylko... Dlaczego sam nie chcesz? – jąkam się, jestem cała czerwona. Dlaczego tak mnie to ciekawi, dlaczego żyje we mnie nadzieja, że pod tym zarostem skrywa się przystojna twarz?

Kąciki jego oczu marszczą się, gdy rechocze.

– No weź, Calla. Czas do pracy.

* * *

Spokój w holu Wild zastąpiony został tłumem ciał z plecakami i szmerem pełnych ekscytacji rozmów. Słychać również płacz noworodka.

– Niedźwiedzie cię jeszcze nie dopadły? – Jonah uśmiecha się do wysokiego, szczupłego faceta, ubranego w zieloną wojskową kurtkę i trzymającego w ręce podkładkę do pisania.

– Jeszcze nie. Dobry dzień na lot, co? – ściskają sobie dłonie i z łatwością rozpoczynają rozmowę. Zdaje się, że to grupa turystów, o której mi mówił. Dobrze zna ich przewodnika.

Idę na tyły, gdzie za biurkiem recepcji siedzi pulchna, ciemnowłosa kobieta, która macha do mnie, trzymając słuchawkę telefonu przy uchu. Domyślam się, że to Maxine.

Bezgłośnie witam się z Sharon, która wzięła dziecko od młodej rdzennej mieszkanki Alaski i kołysze je na rękach, próbując uciszyć. Obok wysoki, przystojny blondyn z wystylizowanym zarostem przygląda się jej z uwielbieniem, obejmując ją. To musi być Max. Tymczasem młoda mama, której pod oczami malują się cienie, ewidentny dowód nieprzespanych nocy, spogląda na leżącą u jej stóp torbę.

Hałas zostaje stłumiony w chwili, kiedy zamykam za sobą drzwi do biura.

– ...przenieś dostawę na popołudnie i wyślij po nią Jeana – mówi tata, stojąc nad wielką mapą rozciągającą się na jego biurku. Zarówno on, jak i Agnes mają na nosach okulary do czytania. Stoi z nimi starszy mężczyzna z okrągłym brzuchem i wąsem na twarzy. Poznają go, bo to on znajdował się w hangarze z Betty.

Tata unosi głowę, jego koncentracja natychmiast się rozwiewa.

– Dzień dobry, Calla.

Agnes posyła mi swój typowy szeroki uśmiech.

– George, to córka Wrena.

– Cześć. – Mężczyzna swoją dużą i spoconą dłonią ściska moją dłoń. – Miło w końcu cię poznać. Żona mówiła, że przyleciałaś niedawno z Jonahem. Początkowo myślała, że znalazł sobie ładną dziewczynę.

Kawałki układanki wskakują na swoje miejsce.

– Twoja żona pracuje u Meyera?

– Tak. To Bobbie. – Śmieje się. – Chciała urządzić imprezę! – Ma wyraźny akcent ze Środkowego Zachodu. – Jak ci się do tej pory podoba Alaska?

– Jest świetna. Inna, ale świetna – przyznaję.

Śmieje się głośno.

– Pewnie. Nie jest podobna do niczego innego.

– Co na dziś zaplanowałaś? – Tata zerka na laptopa, który wystaje z mojej torebki.

– Niezbyt wiele. Jonah powiedział, że rano nie ma dla mnie miejsca w samolocie, ale będzie mógł zabrać mnie po południu.

– A może polecisz gdzieś ze staruszkami?! Hej, możesz zrobić sobie krótką przerwę, nie?

– George klepie tatę w ramię, znów się śmiejąc. – Może przekonasz ją do przejścia rodzinnej tradycji.

Tata odpowiada śmiechem, ale nawet ja słyszę, że jest sztuczny. Agnes mówiła, że lata tylko sam, aby nie mieć wyrzutów sumienia, bo w ogóle nie powinien siadać za sterami.

– Tak, chciałbym, ale muszę skupić się teraz nad harmonogramem i wpisać tę niespodziewaną podróż. I wymyślić, jak ją wcisnąć pomiędzy zaplanowane rzeczy i nadchodzącą burzę... – Rzuca wymówkami jak kostką do gry, mocno ściskając prawdę w dłoni.

– A ja chcę popracować nad stroną dla was i dodać statystyki – mówię.

– Możesz usiąść tam. – Agnes wskazuje biurko, które zajmował wcześniej księgowy James.

– Super, dzięki. – Odchodzę, a reszta ponownie skupia się na mapie.

Wtedy coś przychodzi mi do głowy.

– Tato...?

Ojciec unosi głowę.

– Tak, dzieciaku?

Tracę oddech, gdy dociera do mnie, że zwróciłam się tak do niego pierwszy raz od lat.

– Eee... – Chwilę zajmuje mi pozbieranie myśli. – Tak mi przyszło do głowy, że jeśli będzie miejsce, mógłbyś polecieć później ze mną i Jonahem. – Rozwiałyby to wszelkie wątpliwości w kwestii pilotowania i spędzilibyśmy trochę czasu razem.

– Dlaczego słyszę swoje imię? – Wchodzi Jonah, przerywając odpowiedź taty. – Co znów o mnie mówiła?

– Zachwyciła się właśnie, jakim jesteś wspaniałym młodym człowiekiem. – George znów się śmieje i puszcza do mnie oko. Zdaje się, że nie tylko Bobbie szuka Jonahowi dziewczyny.

– Zabawne, wcześniej powiedziała mi, że wyglądam jak yeti – mamrocze, biorąc ze stołu segregator. Zaczyna uważnie przeglądać jego zawartość.

Agnes parska śmiechem, popijając kawę, przez co zanosi się kaszlem. Tata klepie ją po plecach, by się nie zakrztusiła, sam się przy tym śmiejąc.

– Jim leci Betty, żeby zabrać tę dziewczynę z dzieckiem do domu? – Jonah marszczy brwi. – No nie wiem, Wren.

Tata wzrusza ramionami.

– A co niby mam zrobić? Dobry mechanik z trzydziestoletnim stażem mówi, że jest w porządku. Musimy mu zaufać, Jonah. Każda inna maszyna jest dziś w powietrzu, a ta biedaczka chce dotrzeć do męża i rodziny. Utknęła w Bangor na ponad miesiąc.

Jonah patrzy na George'a, na którego twarzy pojawia się wyraz zmieszania.

– Zapomniałem wtedy o Jillian. Chyba to mnie rozstroiło.

– Kim jest Jillian? – pytam szeptem Agnes.

– To jest Jillian. – George wyciąga z kieszeni małą kołyszącą się figurkę hawajskiej tancerki hula. Taką, którą przykleja się w samochodzie na desce rozdzielczej, żeby przy każdym ruchu kiwała się na boki. – Dał mi ją mój pierwszy pasażer w Wild i od tamtej pory się z nią nie rozstaję. Poza tym jednym razem. Nie zabrałem jej po raz pierwszy. Jak mówiłem, to mnie rozstroiło.

– Tak... może. – Jednak Jonah nie brzmi na przekonanego. Marszczy brwi. Przegląda przez dłuższą chwilę coś, co, jak zakładam, jest planem dnia, zanim rzuca segregator na biurko, trafiając w mapę. – Najpierw sprawdzę ją na szybko. Zobaczymy, co mi podpowie intuicja.

– Ludzie tam na ciebie czekają – przypomina mu ostrzegawczo tata. – Mamy też wypełniony harmonogram przed burzą.

– I właśnie dostałam zlecenie odbioru awaryjnego – dodaje Agnes. – Człowiek z wioski musi pilnie trafić do szpitala. Trzeba wymyślić, jak...

Jonah jest już przy drzwiach.

– Nie ma sensu się kłócić – mamrocze George.

Tata tylko ciężko wzdycha.

– Uparty jak osioł.

* * *

– Jest sprawdzona. Przeprowadziłem na niej każdy test i działa! – Mechanik Bart drapie się po podbródku, stojąc z tatą i ze mną, gdy wpatrujemy się w żółty samolot na pasie startowym. – Ten gnojek nigdy mi nie wierzy.

Wiatr zarzuca mi długie włosy na twarz, zmuszając, abym je poprawiła. Żałuję, że nie mam na sobie czarnej bluzy Jonaha. Była bardziej praktyczna niż różowy kaszmirowy sweterek, którym właśnie próbuję się zakryć.

– Znasz go. Nikomu nie ufa, nawet jeśli sam dobrze wie, jakie to niedorzeczne – mamrocze tata. – Chociaż lepiej, żeby się pospieszył. Wciąż mamy dzień pełen pracy i jakies... – zerka na pomarańczową skarpetę, która powiewa na maszcie – trzydzieści węzłów.

– Po co to? Mierzy siłę wiatru? – Widywałam takie na lotniskach. Zakładałam, że to tylko wskaźniki.

– Nazywają się rękawami wiatrowymi. Wskazują prędkość i kierunek wiatru, dają znać, jak ryzykowne będą start i lądowanie. Jeśli wiatr przekroczy czterdzieści pięć węzłów, nie będziemy mogli zabrać pasażerów.

– Ha... Trzeba tyle wiedzieć.

– A co z tobą? – Bart przysuwa się i zerka na mnie zielonymi oczami. Jest ode mnie niższy jakies trzydzieści centymetrów, przez co jego wzrok znajduje się niemal na wysokości mojej klatki piersiowej. Raz czy dwa razy przyłapałam go na tym, że z tego korzystał. – Podczas

pobytu tutaj zamierzasz nauczyć się którymś latać? Może pewnego dnia przejmiesz rodzinny interes, kiedy twój staruszek kopnie w kalendarz?

Chociaż chciał niewinnie zażartować, bo Bart o niczym nie wie, ściska mi się żołądek. Mimowolnie spoglądam na tatę, który wpatruje się w Betty. Nie potrafię niczego wyczytać z jego twarzy, ale nie uchodzi mojej uwadze, jak unosi się jego klatka piersiowa.

– Chyba zadowolę się byciem pasażerem i niewymiotowaniem. Dzięki.

– Na pewno? Bo masz tu przecież najlepszego nauczyciela – dodaje Bart nieświadomy panującego napięcia.

– Właściwie, najlepszy nauczyciel jest tam. – Tata wskazuje na Betty, której silnik ryczy, przyspieszając.

– Chyba żartujesz, prawda?

Patrzy na mnie z powagą.

– Wcale nie.

– Znam dwulatki, które mają więcej cierpliwości – odpowiadam z powątpiewaniem.

Słychać hałas, gdy mały samolot zaczyna nabierać prędkości. Chwilę później maszyna podrywa się z ziemi. Skrzydła Betty przechylają się na obie strony, kiedy Jonah wzbija się w niebo.

– Muszę przyznać, że daje dobry pokaz – mamrocze tata, puszczając do mnie oko. Coś mi mówi, że nie ma na myśli zdolności akrobacyjnych Jonaha.

– Widzisz? Mówiłem. Jest w porządku – zapiera się Bart, obracając się w kierunku hangaru z kluczem w ręce. – Muszę wracać, żeby naprawiać prawdziwe usterki, nie te wymyślone.

Tata wzdycha.

– Dobrze. Teraz musimy jedynie wymyślić... – urywa, patrząc w niebo. – Hej, Bart?

– Tak, szefie? – odpowiada mechanik, zwalniając kroku.

– Słyszysz? – pyta z przejęciem.

Marszczę brwi, nadstawiając uszu i szukając tego, co mogło zaniepokoić tatę.

Chwilę mi zajmuje, zanim wyławiam charakterystyczny odgłos, klekot. Potem nastaje cisza.

– Co się dzieje? – pytam zdenerwowana.

– Nie wiem. Silnik się wyłączył. Może Jonah go restartuje. – Obaj mężczyźni milkną i nasłuchują.

Tymczasem ja słyszę jedynie bicie własnego serca i szum krwi w uszach.

Samolot zaczyna opadać.

Dzwoni telefon, tata wyjmując komórkę z kieszeni. Nie wiedziałam nawet, że ją ma.

– Tak? Okej. – Rozłącza się. – Agnes. Jonah zgłosił przez radio, że silnik się pali. Zgasił go celowo. Posadzi ją po drugiej stronie farmy Whittamore'ów. Jedziemy.

Żołądek mocno mi się ściska, gdy biegnę za tatą, który idzie znacznie szybciej, niż kiedykolwiek widziałam.

– Nic mu nie będzie? – Słyszę panikę w swoim głosie.

– Nic, nie martw się. Będzie szybował. Wie, jak lądować awaryjnie – zapewnia mnie, wyciągając kluczyki z kieszeni i wskazując za kierownicę swojej furgonetki.

Wsiadam na środkowe siedzenie, za mną wchodzi Bart.

Spokój wzbudzony słowami taty szybko wyparowuje, gdy pospiesznie wyjeżdżamy na drogę.

* * *

Czuję się jak łowca burz, kiedy pędzimy, śledząc sunący w kierunku ziemi żółty samolot.

– Tu jest naprawdę płasko. To dobrze, co?

– Tak, dobrze – obiecuje tata, klepiąc mnie po kolanie. – Jonah lądował na wszystkim, począwszy od lodowca, a skończywszy na górskim zboczu, z którym nawet ja bym sobie nie poradził. Nie martw się.

– Oczywiście mamy tu wiatr, krzaki, linie energetyczne, jezioro i kilka domów, których trzeba się wystrzegać. No i jeśli ogień nie zgaśnie...

– Bart! – warczy tata, aż się wzdrygam.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, by tata podniósł głos.

– Jak to było? Dziewięć na dziesięć lądowań awaryjnych kończy się bez zadrapania? Tak, Jonah wie, co robi – mamrocze Bart, niespokojnie bębniąc palcami o drzwi.

Chciałabym mu wierzyć, ale sposób, w jaki to powiedział, sprawia wrażenie, że wyciągnął te cyfry z tyłka.

Ziemia tu jest płaska, jednak horyzont przysłania linia krzaków, przez co nie widać Betty, którą sprowadza Jonah.

Po chwili słychać głośny łomot.

– To normalne? – pytam spanikowana.

Tata nie odpowiada, skręcając w błotnistą ścieżkę. Przypuszczam, że to prywatna droga dla traktorów czy czegoś takiego. Jest wąska, pełna dziur, których tata nie omija, pędząc prosto, aż podskakujemy na siedzeniu. W końcu hamuje gwałtownie.

– Dalej nie dojedziemy.

Wysiadamy. Nie czekam na mężczyzn, tylko pędzę, przeskakuję przez krzaki, a moje buty sportowe zapadają się w grząskim błocie.

Jeżeli liczby Barta były prawdziwe, Jonah jest tym jednym z dziesięciu.

Nie wiem, kiedy zaczęłam biec, ale poruszam się bardzo szybko. Krew szumi mi w uszach, gdy docieram do wraku i potykam się o metalowe żółte kawałki. Jednocześnie robię, co w mojej mocy, aby skupić się na tym, że jedno ze skrzydeł Betty wystaje pod dziwnym kątem, a kadłub jest podziurawiony i podrapany. Przemierzam trawę i zrytą błotnistą ziemię.

Jonah siedzi w pewnej odległości od tego koszmaru, przyciskając się plecami do skały. Po nosie cieknie mu krew, a lewe oko i broda wyglądają jak żywcem wyjęte z horroru.

– O Boże. – Klękam przy nim, odsuwam jego długie i zmierzwiłone włosy. Znajduję źródło krwawienia, czyli ranę na czole.

– Wciąż jestem przystojny? – pyta niewyraźnie.

Parskam śmiechem. Pomimo zadyszki odczuwam wielką ulgę, nie tylko dlatego, że mężczyzna żyje, lecz także ze względu na to, że nie stracił sarkastycznego poczucia humoru.

– Musimy coś z tym zrobić. – Rozglądam się, przypominając sobie, że znajdujemy się na polu. – Masz. Użyj tego. – Zdejmuję sweter i przyciskam go do jego rany.

– Dzięki. – Wzdycha, kładąc zakrwawioną rękę na mojej, żeby wziąć ode mnie materiał.

Najpierw dociera do nas Bart.

– Wszystko z nią w porządku, co? – pyta go Jonah.

– Ale... Ja... – jąka się Bart.

Dźwięk kaszlu zwiastuje przybycie taty.

– Jezu Chryste. – Przyciska rękę do ust, próbując stłumić wydawane odgłosy. – Co się stało?

– Usłyszałem dziwny dźwięk, a po chwili zaświeciła się kontrolka silnika. Poczułem dym, więc go wyłączyłem – wyjaśnia Jonah. – Wszystko było dobrze, póki nie wpadłem na te skały. Zobaczyłem je dopiero w ostatniej chwili. Próbowałem je ominąć, ale nie mogłem. Kurwa,

przepraszam...

– Coś ci się stało? – przerywa mu tata, jakby nie chciał słuchać kajania.

Jonah przesuwa się i krzywi.

– Chyba zwichnąłem bark, próbując się wydostać, ale oprócz tego w porządku.

– Uderzyłeś się w głowę?

– Nie.

– Pokaż.

Zabieram rękę i wstaję, by się odsunąć. Tata kuca obok pilota. Zabiera mój zakrwawiony sweter i krzywi się na widok rany.

– Jest płytka i w miarę czysta. Zapewne powstała od metalu. Powiedziałbym, że czeka cię przynajmniej dziesięć szwów.

Jedno oko, to niepokryte krwią, patrzy na mnie.

– Ekscytujące, co nie, Barbie?

Zirytowana kręcę głową.

– Dziewczyna biegła jak jeszcze nikt, kogo widziałem – oznajmia tata.

– Chciała się upewnić, że poległem.

Chciałam się upewnić, że nic mu nie jest, ponieważ mi zależy.

– Nie. Stwierdziłam, że skorzystasz z okazji, aby zniszczyć mój ulubiony sweter – mówię zamiast tego.

– Hmm. – Jonah rozchyła zakrwawione usta w uśmiechu, gdy ponownie przyciska miękki różowy materiał do czoła. – Przynajmniej wynikła z tego chociaż jedna dobra rzecz.

W oddali rozlega się wycie syren.

Jonah jęczy.

– Kto zadzwonił? Przecież nie dam się stąd wynieść. – Tata pomaga mu się podnieść, przy czym pilot krzywi się z bólu, poruszając się powoli i bez zwyczajowego wdzięku. Nawet będąc rannym, ma w sobie to coś. Zamiera, żeby spojrzeć na pogruchotaną Betty.

– Cholera. To co, jest dziewiąta?

– Dziesiąta, ale hej, dziesięć samolotów straconych w ciągu pięćdziesięciu czterech lat to nie tak źle. – Tata kręci głową i wzdycha. – Nigdy więcej nie wątp w słowo George'a i jego nedorzeczne przeczucie.

Bart parska śmiechem, mimo że na jego twarzy maluje się przerażenie, gdy kopie butem jakiś kawałek metalu.

ROZDZIAŁ 16



– Hej. – Ręka taty wystaje przez otwarte okno samochodu. – Na pewno nic ci nie jest?

– Tak, na pewno. Zrobię sobie lunch i posiedzę na werandzie. – Po wypadku wróciłam z tatą do Wild, ale nie zdołałam wysiedzieć w biurze. Głównym powodem była wciąż płynąca w moich żyłach adrenalina, ale również to, że miałam koszulkę poplamioną krwią Jonaha.

Wszystkie samoloty firmy uziemiono, póki komisja nadzoru lotniczego nie wyda pozwolenia na wznowienie lotów. Tata stwierdził, że musi wrócić na miejsce wypadku z jednym ze śledczych, więc zaoferował, że odwiezie mnie do domu.

Spoglądałam na cichy dom sąsiada.

– Kiedy według ciebie wróci Jonah?

– Trochę to potrwa. Zanim go wypuszczą, muszą go porządnie przebadać, w razie gdyby coś stało mu się w głowę.

Potakuję z powagą. Okropne przeczucie – to, które związało mi żołądek w supeł, gdy zobaczyłam wrak samolotu – wciąż we mnie tkwi, choć minęło już kilka godzin.

– Nic mu nie będzie, Calla.

– Tak, wiem. – Zbywam to.

– Okej. Zadzwoń, gdybyś chciała później przyjechać. – Tata kaszle kilka razy i odchrząkuje. – Masz mój numer?

Na dowód unoszę kartkę, którą dał mi przed wyjściem, czyli jakieś pięć minut temu.

Samochód odjeżdża tyłem, ale zatrzymuje się gwałtownie. Tata wygląda, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Wiesz, stary fotel mamy chyba nadal jest w garażu. Ten, na którym bujała się na werandzie. Jest tam też mnóstwo rzeczy, które spakowała na zimę.

– Masz na myśli zimę dwadzieścia cztery lata temu?

– Tak... – Drapie się z tęsknym uśmiechem po podbródku. – Tak czy inaczej, możesz znaleźć tam coś ciekawego. – Odjeżdża, samochód podskakuje na wyboistym podejździe. Przyglądam mu się w ciszy, zastanawiając się, czy naprawdę jest tak spokojny pomimo dzisiejszego wypadku, czy tak dobrze ukrywa swoje zdenerwowanie.

Zauważam, że zwalnia na drodze, żeby porozmawiać z dziewczynką jadącą na rowerze. Dopiero po chwili orientuję się, że to Mabel.

Po chwili mała przemierza podjazd taty, jej długie włosy powiewają na wietrze. Kiedy do mnie dociera, dyszy, więc wiem, że słyszała o Jonahu. Wytrzeszcza oczy na widok mojej koszulki.

– To tylko rozcięcie. Zapewne założą mu z dziesięć szwów – zapewniam ją, cytując tatę.

Mabel zdejmuje plecak i upuszcza go z hukiem na ziemię.

– Byłam w mieście na zakupach, kiedy usłyszałam, że Jonah rozbił samolot i został zabrany do szpitala. Pojechałam tam, ale mnie nie wpuścili i nie mogłam dozwonić się do mamy. Kiedy się udało, powiedziała mi, że wszystko z nim w porządku i mam wracać do domu, ale się zmartwiłam – nawija, spanikowana, sapiąc, jakby pedałowala co sił w nogach, by się tu dostać.

– Wróci do domu za kilka godzin. Nic mu nie jest.

– Okej. – Powoli kiwa głową, jakby potrzebowała chwili, by zrozumieć moją odpowiedź i w nią uwierzyć. Odsuwa włosy z czoła. – Mogę zostać z tobą do tego czasu? – pyta z desperacją. Może nic mu nie jest, ale ten stan z łatwością może się zmienić. Coś strasznego stało się osobie, na której zależy tej małej, a ona nie chce być sama.

Uświadamiam sobie, że ja też.

– Oczywiście, że możesz. – Uśmiecham się. – Mam nadzieję, że lubisz przekopywać się przez sterty staroci.

* * *

– Wszystko z tobą w porządku?

– Oczywiście, że tak. Nie siedziałam w tym samolocie, mam.

– Mimo wszystko widok musiał być przerażający.

– Był – przyznaję.

Słyszę, jak wzdycha.

– Pamiętam tamte dni, gdy wysłuchiwałam historii o tym, że coś poszło nie tak. Ilekroć każdego dnia wzbijali się w powietrze, szacowałam szanse na to, że wydarzy się coś złego. A one tylko rosły. Zwłaszcza w tych małych samolotach, które nie są jak te wielkie, sterowane komputerami odrzutowce i nie mają tylu zabezpieczeń. Doszło do tego, że każdego dnia, kiedy twój tata wychodził z domu, zastanawiałam się, czy widzę go po raz ostatni.

– To pewnie trudne.

– Trudne? Dostawałam szału. Nigdy nie miałam być żoną pilota na Alasce.

Zawód Simona jest z pewnością o wiele bezpieczniejszy. Poza tym jednym razem, gdy któryś z pacjentów rzucił w niego posrebrzaną figurką Zygmunta Freuda. Nie trafił, ale wybił nią dziurę w ścianie. Największym wypadkiem Simona w pracy było zacięcie się papierem i odciski na pośladkach od fotela.

– Dzięki Bogu za tego całego George'a. Wyobraź sobie, co mogło się stać.

Tak, dzięki Bogu za George'a i Jillian, jego tancereczkę hula.

Ale, co ważniejsze, dzięki Bogu za upór Jonaha, który musiał sprawdzić wszystko sam. Gdyby nie nalegał na lot Betty, w samolocie z płonącym silnikiem znalazłaby się młoda matka i jej niedawno narodzone dziecko.

Kto wie, czy lądowanie byłoby lepsze.

Całkiem możliwe, że dziś Jonah uratował im życie.

– Nadal świecą! – wykrzykuje Mabel za moimi plecami. Obracam się i widzę, że w szeroko rozpostartych rękach trzyma czerwone, niebieskie i zielone światełka choinkowe.

– Nie wierzę!

– Prawda? – Chichocze. – Sprawdzę resztę.

– W co nie wierzysz? – pyta mama.

– Czeka, mam – mówię, odsuwając telefon od ust. – Jeśli będziemy mieć ich wystarczająco dużo, będziemy mogły przyczepić je do sufitu, żeby tworzyły baldachim.

Mabel wytrzeszcza oczy.

– Ale byłoby fajnie.

– Calla! Z kim rozmawiasz?

– Z córką Agnes, Mabel. Wiedziałaś, że tata zatrzymał twoje rzeczy? Wszystkie. – Spędziłyśmy dwie godziny na przerzucaniu zakurzonych plastikowych doniczek w kącie garażu, aby odnaleźć świąteczne dekoracje, krasnale ogrodowe i zegary słoneczne.

– Agnes ma córkę? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

A dlaczego ty nie powiedziałaś mi o telefonach do taty? Chciałabym ją zapytać, ale gryzę się w język.

– Nie miałam okazji. – Szczerze mówiąc, nie rozmawiałyśmy od poniedziałkowego popołudnia. Chcę jej opowiedzieć o wielu rzeczach, których nie mogę przekazać przez wiadomości, ale nie czas na to. – Pod brezentem znalazłyśmy twój wiklinowy fotel. Jest

w przyzwoitym stanie – mówię, próbując zmienić temat na lżejszy. Poduszka już dawno rozpadła się pod wpływem wilgoci i jakichś gryzoni, najpewniej myszy, ale rama jest na tyle solidna, że powinna wytrzymać.

Wyciągnęłyśmy go, następnie Mabel pomogła mi posprzątać werandę, przenieść leżaki, wędki i inne rzeczy do garażu, które zebrały się tam przez lata. I zrobiła to wszystko, w ogóle nie narzekając.

To pierwszy raz, gdy spędzam z nią czas bez taty i warcabów. Jest szybka, zręczna, wygadana. Potrafi mówić na trzy różne tematy jednocześnie, często urywając każdy w połowie zdania. Zaczynam myśleć, że ma problemy z koncentracją.

I coraz bardziej ją lubię.

– Słuchaj, muszę lecieć. Mam klienta – mówi mama. – Później mi wszystko opowiesz, dobrze?

– Pewnie. – Wiem, że chodzi jej o dzisiejszy wieczór, ale nie spieszy mi się do tej rozmowy. Czy naprawdę powinna wiedzieć, dlaczego tata odwołał swój przyjazd wiele lat temu? Przejęłaby się informacjami o kłopotach finansowych Wild, z którymi próbuję pomóc podczas mojego pobytu na Alasce? Możliwe. Jednak ja egoistycznie pragnę czasu tylko z tatą, bez jej komplikacji.

Rozłączam się i słyszę samochód.

Mabel rzuca lampki, które trzymała, i rusza do drzwi.

– To Jonah! – krzyczy. Przemierza trawnik, spiesząc na jego podjazd.

Czuję niewytłumaczalną chęć, by biec za nią, ale opieram się, zajmując się piciem wody i jedzeniem jabłka, które umyłam już dawno temu, ale nie miałam apetytu, żeby je napocząć.

W końcu postanawiam, że odczekałam już wystarczająco długo i mogę wyjść.

Jonah opiera się o samochód, z uśmiechem słucha nawijania Mabel. Jestem w połowie trawnika, gdy mnie zauważa i zaczyna rzucać ku mnie ukradkowe spojrzenia.

– Pozwolili ci jechać samemu do domu? – wołam, walcząc o zachowanie powolnego tempa. Jakbym nie odliczała w duchu czasu, nie mogąc doczekać się, aż wróci do domu.

Odsuwa się od auta, staje prosto i nawet do mnie podchodzi.

– A kto miałby mnie zatrzymać? – Nie ma bandaża. Na jego czole widać ścieżkę czarnych szwów, jakieś dwa, trzy centymetry poniżej linii włosów. Rana jest mniejsza, niż się spodziewałam. Mimo to wygląda na bolesną. Z większości krwi go umyto, ale brodę ma posklejaną i brązową.

Przygryzam wargę, aby się nie uśmiechać, kiedy na nowo odczuwam ulgę i zadowolenie. Ruchem głowy wskazuję jego czoło.

– Ile?

– Tylko dziewięć. Powinno się ładnie wygoić. – Rozchyła usta w cwany uśmiešku. – Lekarka powiedziała, że to poprawi mój świetny wygląd. Chyba ze mną flirtowała.

– No tak. Oczywiście. – Przewracam oczami, ale się śmieję. – A reszta okej?

– Ramię trochę boli, ale nic nie zostało złamane. Miałem szczęście.

– No myślę. – Przypominam sobie, jak to się mogło skończyć, i drzę.

– Chodź i zobacz werandę Wrena! – nalega Mabel, wyciągając do niego rękę.

– Później, dzieciaku – odpowiada, używając ksywki nadanej jej przez tatę. – Muszę się wykapać i przebrać. Może też zdrzemnąć. – Ciemnogranatowa bawełniana koszula dobrze skrywa plamy, choć nie całkowicie. Ruchem głowy wskazuje coś w oddali, uśmiechając się. – Chociaż wygląda na to, że ktoś ją obejrzy.

Obracamy się i widzimy, że w kierunku domu taty zmierza Bandit.

– Chipsy! – wykrzykuje Mabel i rzuca się biegiem.

Jonah się śmieje.

– Porządnie się przy tobie pożywi.

– Nieważne, może zeżreć je wszystkie. I tak nie jestem głodna. – Obejmuję się, bo owiewa mnie chłodny wiatr.

Jonah otwiera usta, aby coś powiedzieć, ale wydaje się, że zmienił zdanie. Sięga przez uchyloną szybę do auta i wyciąga czerwono-czarną koszulę w kratę, którą mi rzuca.

– Pomyślałem, że nie będziesz chciała z powrotem tamtego swetra. Najmniejsza, jaką mieli. Powinna pasować.

– Wow. Jest... Dzięki. – Wkładam ręce w rękawy i naciągam materiał, czując pod palcami jego miękkość. – Teraz wyglądam, jakbym była stąd.

– Aż tak bym się nie zapędzała – mówi, ale się uśmiecha.

– Wiesz, kiedy tata wróci do domu?

– Zapewne trochę mu zejdzie. Nadzór znów pozwolił nam latać.

– Tak, widywałam samoloty przez ostatnią godzinę. – Z werandy taty jest świetny widok na niebo nad lotniskiem. Zastanawiałam się, czy to celowe, czy może szczęśliwy traf, że tu zamieszkała.

– Wciąż ma do czynienia ze śledczym, ale mieli wrócić z pola, więc na szczęście wszystko teraz przyspieszy. Nie powinno być żadnych problemów. Mamy zapisy dotyczące konserwacji. Dość szybko powinienem wrócić do latania – mówi nonszalancko. Nie brzmi jak ktoś, kto prawie dziś zginął, chociaż nie jest też zwyczajnym, drażniącym mnie Jonahem.

Kręcę głową. Właśnie wrócił ze szpitala po tym, jak rozbił samolot o ziemię, a już nie może się doczekać, by wzbicie się w powietrze.

– Pieprzeni podniebni kowboje – mamroczę pod nosem.

– Hmm?

– Nic. – Ruchem głowy wskazuję na dom, przyciskając do siebie koszulę. – Jeszcze raz dziękuję. Powinieneś odpocząć.

Idzie w kierunku ganku, ale robi to wolno i niechętnie.

– Hej... Udało ci się zrobić dziś jakieś postępy ze stroną? – woła przez ramię.

– Nie za bardzo.

– Nie jesteś przyzwyczajona do ciężkiej pracy, co?

No i oto Jonah, którego znam.

– Może gdybyś nauczył się, jak utrzymać samolot w powietrzu, nie byłabym dziś tak rozproszona.

Odpowiada głębokim, ciepłym śmiechem, a mnie przeszywa dreszcz.

– Po obiedzie przyjdź do mnie z komputerem, to popracujemy razem.

Marszczę brwi.

– Jesteś pewny?

– Trzeba ją zrobić, tak? – Przyspiesza, wchodzi na schody i do domu.

* * *

Jest już po dwudziestej, kiedy wychodzę z domu, pozostawiając w nim tatę i Mabel, i przemierzam błotnisty trawnik, jednak na niebie wciąż świeci słońce. W jednej ręce mam resztki, które zostały z kolacji, a w drugiej laptopa. Waham się tylko przez chwilę i pukam do drzwi.

– Proszę!

Czekam, nasłuchując zbliżających się kroków.

– Nie wstanę!

Otwieram drzwi. Wyczuwam mieszaninę cytryny i mięty, gdy wchodzę do małej, schludnej kuchni, która jest podobna do tej taty – ma taką samą barwę szafek i blatów. Mimo to czuję, że jest świeża, czysta i nowa.

Zapewne dlatego, że na ścianach nie ma armii kaczek.

Poza tym przygotowałam się na woń stęchłego piwa i trzydniowe kości po żeberkach, coś, co mogłoby służyć alaskańskiemu kawalerowi, który tak niewiele wysiłku przykłada do swojego wyglądu.

– Hej – wołam, zdejmując ubłocone buty sportowe, wciąż mocno marszcząc brwi. – Przyniosłam ci talerz zapiekanki serowej Mabel, w razie gdybyś był głodny. Tata stwierdził, że jest nawet dobra.

– Zostaw w kuchni. – Niemal po namyśle dodaje: – Proszę.

Kładę talerz na blacie i wchodzę do salonu. Kolejne pomieszczenie, które jest identyczne w układzie pokoju taty – ma przesuwne drzwi prowadzące na werandę, niewielki, czarny piec na drewno i beżowe płytki w odległym kącie, a w drugim proste regały na książki z sieci IKEA. Mimo to tu jest inaczej.

I znów – niespodziewanie czysto.

Puchaty dywan ma barwę kawy; jest na tyle nowy, żeby nie mieć zagnieceń. Ściany pomalowano na ciepłą szarość i ozdobiono fotografiami kolorowych samolotów czarterowych na tle zaśnieżonej tundry. Lampy stołowe rzucają przytulny blask na spowity cieniami pokój, mimo że na zewnątrz świeci słońce.

Szczerze mówiąc, wygląda to tak, jakby dom Jonaha projektowała kobieta.

Gospodarz leży wyciągnięty na boku na grafitowej welurowej kanapie. Przebrał się w czarne dresowe spodnie i miękki szary podkoszulek, który nie jest obcisły, ale podkreśla nieco jego mięśnie. Mężczyzna klnie pod nosem, walcząc z butelczką lekarstw.

– Daj, pomogę.

– Nie trzeba.

Odbieram mu fiolkę, drapiąc przy tym jego suche, szorstkie dłonie. Otwieram ją jednym płynnym ruchem.

– Masz rację. Zupełnie nic ci nie jest. – Pilnuję, by zobaczyć, jak przewracam oczami, kiedy oddaję mu leki. – Na co to?

– Dzięki – mamrocze, wyjmując pastylkę. – Na rozluźnienie mięśni. – Świeżo umyte włosy zwisają mu po obu stronach twarzy. Najwyraźniej się kąpał, choć w skołtunionej brodzie nadal widać zaschniętą krew. Można pozbyć się jej jedynie za pomocą nożyczek.

Przygląda mi się, podejrzliwie mrużąc oczy.

– No co?

– Przyniosę ci wody. – Szukam w szafkach szklanki, chwilowo zahipnotyzowana stanem kuchni. Jest czyściutka. Wszystko jest ładnie poukładane i nie ma brudu. Na suszarce znajdują się dwa talerze z różową obwódką wraz z innymi naczyniami, mimo to zlew ze stali nierdzewnej aż błyszczy.

Ale co stanowi najdziwniejsze odkrycie? – Szafka na produkty w puszkach. Spodziewałabym się, że taki facet wrzuci puszki w zupełnie przypadkowy sposób, a tutaj są pogrupowane w równych rzędkach wysokościami i szerokościami, każda etykietą do przodu.

– Hej, widziałeś kiedyś *Sypiając z wrogiem*? Ten film z Julią Roberts i jej szalonym byłym mężem? – Tym, który lubił układać puszki w ten sam sposób? Jak na ironię, oglądałam go wczoraj z tatą.

– Nie oglądałam telewizji. – Chwila ciszy. – Dlaczego pytasz?

– Bez powodu – odpowiadam i dodaję bardziej miękko: – Założę się, że dobry stary

Martin też nie oglądał. – Jedzenie dla psa? Dlaczego Jonah ma kilkanaście puszek kurczaka i wątróbki obok brzoskwiń, kukurydzy i czarnej fasoli? Przecież nie ma psa.

Ale przypominam sobie, że ma szopa.

– Co ty tam robisz?

– Nic. – Napełniam wysoką szklankę z wygrawerowanymi kwiatami i niosę mu, po czym stawiam na ławie.

– Dzięki. – Jonah szybko przełyka tabletkę i zaczyna się krztusić.

– Spałeś wcześniej?

– Nie. Za bardzo bolał mnie bark. Będzie dobrze, gdy lek zacznie działać.

– Brałeś go już wcześniej?

– Tak. Kiedy pierwszy raz wybiłem bark, jeszcze w liceum. Grałem wtedy w futbol.

– Ha. Nie powiedziałabym, że lubisz sporty zespołowe. – Podchodzę do regału, zauważając coś, czego nie dostrzegłam wcześniej – że nie ma tu telewizora.

– Nie lubię. Wywalili mnie z drużyny w połowie sezonu.

Kręcę głową, ale uśmiecham się, przeglądając stare grzbiety książek, zaciekawiona, co interesuje Jonaha poza lataniem samolotami i byciem gburem.

– To się nazywa książki – mówi miękko i gładko.

Wielki Gatsby... Zbrodnia i kara...

– Rety, ale z ciebie literat.

– A czego się spodziewałaś?

– Nie wiem... *Jak oskórować wiewiórkę w czterech krokach? Sto jeden sposobów na przyrządzenie bobra? Korzyści wynikające z pokrewieństwa rodziców?* – drwię.

Śmieje się oschle.

Musi tu mieć około dwieście książek.

– Wszystkie przeczytałaś?

– To właśnie robi się z książkami, Barbie.

Ignoruję tę ksywkę, bo próbuje mnie wkurzyć, i zwracam uwagę na półkę ze zdjęciami w ramkach.

– To twoja mama?

– Tak. Kiedy jeszcze mieszkała w Anchorage.

Przyglądam się oszałamiającej kobiecie w wiśniowym bikini, siedzącej na krawędzi pomostu z rozwianymi wiatrem długimi blond lokami i ze smukłymi nogami skrzyżowanymi w kostkach.

– Jest bardzo podobna do norweskiej instagramowiczki, którą obserwuję. Naprawdę ładna.

– Pochodzi z Norwegii, więc to nawet logiczne.

Obok niej siedzi uśmiechnięty sześciolatek. Jego chude, opalone nogi zwisają poza krawędź, a równie jasne włosy lśnią w letnim słońcu. Przenikliwe niebieskie oczy, chociaż tak niewinne, pasują do leżącego na kanapie mężczyzny.

– Wciąż mieszka w Vegas?

– W Oslo. Wróciła tam, gdy ponownie wyszła za mąż.

– Często się widujecie?

– Minęło już kilka lat. Miałem plan odwiedzić ją w święta, ale wątpię, aby to się udało.

– Dlaczego?

– Z powodu Wrena – stwierdza rzeczowo, jakby pytał, dlaczego miałby nie lecieć spotkać się z matką, jeśli nie przez Wrena.

– No tak. Oczywiście. – Jonah będzie prowadził Wild i latał z tatą na leczenie do

Anchorage. Jonah, który nie jest z nim nawet spokrewniony. – Wciąż dasz radę lecieć z nim w poniedziałek rano?

– Polecę ja lub ktoś inny.

Odczuwam wyrzuty sumienia. Czy to będzie złe z mojej strony, jeśli wrócę do domu i zostawię ojca w trakcie leczenia? To znaczy... przebukowałam bilet, ale czy powinnam zostać jeszcze dłużej? Czy powinnam pomagać mu w domu? Mimo wszystko jestem jego córką, nawet jeżeli dopiero niedawno się poznaliśmy. Jestem mu to winna?

A jeżeli nie dla niego, to czy powinnam zostać, aby dzielić ten ciężar z Jonahem, Agnes i Mabel?

A jeżeli nie dla nich, to czy powinnam to zrobić dla siebie?

Muszę zadzwonić później do Simona. On zawsze jest moim głosem rozsądku.

Na następnej fotografii znajduje się wysoki i szczupły nastoletni Jonah, stojący sztywno i z powagą obok mężczyzny ubranego w mundur. Za nimi widać myśliwiec. Na zdjęciu obok chłopaka musi być jego ojciec. Nic dziwnego, że miał tak piękną żonę – sam był przystojnym, chociaż surowym, mężczyzną z wyraźną żuchwą. Unoszę fotkę.

– Ile tu masz lat?

– Nie wiem. Może trzynaście?

Wciąż w okresie dojrzewania, z gładką chłopięcą twarzą i ustami zbyt pełnymi w stosunku do reszty – jeżeli miałyby to być jakiś problem. Młody, ale prawdopodobnie już przykuwający uwagę koleżanek ze szkoły.

– Nauczył cię latać?

– Tak. Był wyśmienitym pilotem.

– A ty nie chciałeś wstąpić do wojska?

– Nie. – Chwila ciszy. – Chociaż powinienem. Chciał tego. Oczekiwał tego ode mnie. Zgłosiłem się, przeszedłem testy. Ale kiedy przyszło do złożenia podpisu na przerywanej linii, zmieniłem zdanie i odszedłem – mówi ze smutkiem.

– Ale musiał się cieszyć z tego, co robisz, prawda?

– W końcu tak, pod koniec się cieszył. Początkowo wcale. Nie rozumiał, dlaczego chciałem marnować czas dla grupki Eskimosów. To oczywiście jego słowa. – Dłuższa chwila ciszy. – Nie rozmawialiśmy przez siedem lat.

– I pogodziliście się, kiedy zachorował na raka? – pytam cicho.

Jonah wzdycha.

– Walczył z nim rok, zanim pojechałem, żeby odwiedzić go w szpitalu. Zmarł kilka dni później.

Zerkam przez ramię i widzę, że Jonah wpatruje się w sufit.

– Żałujesz, że nie pojechałeś wcześniej. – Powiedział mi już o tym, tylko w znacznie subtelniejszy sposób.

– Był zbyt uparty, aby przeprosić za wszystkie gówniane rzeczy, które mówił i robił przez lata, a ja zbyt dumny, żeby mu wybaczyć. – Spogląda mi w oczy. – I nie mogę nic zrobić, nie mogę tego zmienić.

Ale ja mogę, ponieważ wciąż mam czas. Nic dziwnego, że popychał mnie, bym pogodziła się z ojcem i od nowa zbudowała tę relację. Nie chce, żebym odczuwała ciężar, który sam nosi w sercu. Jego sytuacja nie różni się od mojej. I czy gdybym nie miała kogoś takiego jak Simon, kto siedział ze mną wieczorem i pomagał przełamać niechęć, przyleciałabym tak szybko na Alaskę?

Jonah potrzebuje własnego Simona.

Wszyscy go potrzebują.

Biorę kolejną fotografię, tę, na której mój tata i Jonah siedzą obok siebie w kokpicie, uśmiechając się do osoby znajdującej się na tylnym siedzeniu, trzymającej aparat. Włosy taty wciąż są brązowe, a zmarszczki na czole mniej widoczne.

Ale to od Jonaha nie potrafię oderwać wzroku. W końcu widzę jego twarz, wolną od tego wstrętnego zarostu i długich, zmierzwionych włosów.

– Kiedy zostało zrobione?

– W pierwsze lub drugie wakacje mojego pobytu tutaj. Nie pamiętam. – Milknie. – Dlaczego pytasz?

– Masz dołeczki – rzucam. Dwa głębokie dołeczki, które podkreślają pełny uśmiech, wysokie kości policzkowe i mocną, regularną żuchwę. Nawet kształt jego głowy jest pociągający, gdy jasne włosy są krótko obcięte. Piękne rysy twarzy odziedziczone po matce Skandynawce, co teraz tu widać, a wszystko to ukryte pod warstwą tych paskudnych kłaków.

Jego oblicze w połączeniu z ostrym spojrzeniem niebieskich oczu sprawia, że Jonah jest... Ośmielę się powiedzieć: ładny? A zdjęcie zrobiono, gdy miał jakieś dwadzieścia jeden lat czy dwadzieścia dwa lata, kiedy wciąż wyglądał odrobinę chłopięco. Dziesięć lat później...

Obracam się i patrzę na yeti, który się do mnie uśmiecha, jakby dokładnie wiedział, że jest atrakcyjny, i potrafił czytać mi w myślach.

– Zrobimy to czy co? – pyta nonszalancko.

– Słucham? – Czerwienię się.

– Czy popracujemy nad stroną. Przyniosłaś komputer, prawda?

Aha. Oddycham powoli.

– No tak.

– Dobrze, bo pewnie zasnę, kiedy tylko lek zacznie działać.

Odstawiam zdjęcie na półkę, biorę laptopa z kuchni i siadam na drugim końcu kanapy.

Przez cały czas jestem świadoma, że Jonah mnie obserwuje.

* * *

– Mówiłeś sześćdziesiąty czwarty, tak? Jonah?

– Hmm... – Ma zamknięte oczy, jego pierś unosi się w powolnym, równym rytmie.

– Jonah? – powtarzam cicho.

Nie reaguje.

– No to raczej koniec na dziś. – Dwadzieścia minut pomocy zawsze lepsze niż nic. Chociaż tak naprawdę nie zdołałam popracować nad stroną, ponieważ prócz telewizora, Jonah nie ma także internetu.

Dlaczego normalny trzydziestojednolatek nie ma w domu telewizji czy połączenia z siecią?

Zamykam laptopa, po czym patrzę na zrelaksowaną twarz, w zamyśleniu przygryzając wargę. Gdy już go poznałam, wiedziałam, że nie jest jak inni. I co skłoniło go do ukrywania takiej twarzy? Bóg jeden wie, że to nie kwestia pewności siebie. Wydaje się cholernie z siebie zadowolony.

I przecież nie chodzi też o to, że sobie odpuścił. Nie jest niechlujem, który siedzi na kanapie z paczką chipsów, wycierając tłuste palce o pękaty brzuch, zanim sięgnie po dziesiątą puszkę piwa. Nawet teraz, kiedy leży w spodniach od dresu i koszulce, widać, że nie jest zapuszczony.

Z zewnątrz dochodzi głośny dźwięk. Bandit szuka czegoś na werandzie. Staje na parapecie, przyciskając łapki do szyby, wpatrując się we mnie tymi swoimi czarnymi, paciorkowatymi oczami.

– Nie wpuszczę cię do środka. – Kręcę do niego głową.

Odpowiada piskliwie i zeskakuje. Rozlega się dziwny huk. Ciekawa tego, co wykombinował, podchodzę do okna i widzę, że stoi przy pustej misce, uderzając w nią łapą jak pies.

– Jesteś głodny. I chyba ja muszę cię nakarmić. – Wzdycham z niechęcią, idę do kuchni, wkładam kolację Jonaha do lodówki i biorę puszkę psiego zarcia, które najwyraźniej jest dla wcale nieudomowionego szopa. – Nie wierzę, że to robię – mamroczę, uchylając drzwi z otwartą puszką i łyżką w dłoni. Weranda Jonaha nie jest bogata. Zasadniczo znajduje się tu tylko kilka półek i plastikowych pojemników po jednej stronie, a po drugiej wielkie pudło ze sklejki, prawdopodobnie oaza Bandita. Nie ma nawet gdzie usiąść.

Szop staje na tylnych łapkach i macha przednimi w powietrzu. Ile taki zwierzak w ogóle je? Jest o połowę mniejszy od Tima czy Sida. Najwyraźniej najsłabszy w miocie. Chyba nawet uroczy, o ile szopy mogą takie być.

– Sio! Cofnij się! – nakazuję świadoma jego ostrych pazurów, kiedy wybieram połowę puszek do miski, z niesmakiem marszcząc nos. – Ugh! – krzywię się, czując, jak coś obślizgłego ląduje mi na ręce.

Bandit wpycha swój trójkątny pyszczek do miski, gdy odwracam głowę w bok.

Wtedy zauważam małe kółka wystające spod grubego, wełnianego, wciśniętego w kąt koca. Kółka, które przypominają te od walizek.

Zaczynam coś podejrzewać, więc ciągnę za koc i widzę srebrną walizkę – moją srebrną walizkę.

Jak, u licha, znalazła się pod kocem na werandzie Jonaha?

Istnieje ku temu tylko jedna możliwość.

Musiał ją tu schować.

Co oznacza, że cały czas ją przetrzymywał.

Jak ją w ogóle dostał? Czuję, że się krzywię, przerabiając w myślach scenariusze. Czy poleciał po nie do Anchorage? Jeśli tak, nie mógł zrobić tego dziś. Ani wczoraj, bo cały czas byliśmy razem. To oznacza, że musiał polecieć przedwczoraj. I co? Ukradł mój bagaż Billy'emu?

Miał moje rzeczy przez kilka dni?

Ale... dlaczego?

Przez okno piorunuję wzrokiem śpiącego olbrzyma, odczuwając przemożną potrzebę, by wmaszerować tam, uderzyć go w twarz i zażądać, żeby mi to wytłumaczył. Prawdopodobnie tak właśnie bym zrobiła, gdyby nie przeżył dziś katastrofy lotniczej.

Pieprzony Jonah.

Czy zdołamy przetrwać choćby jeden dzień, w którym nie będzie mnie irytował?

Trzaskam drzwiami, gdy wciągam obie walizki do domu, a plastik uderza o metal. Jonah ani drgnie.

Wiozę bagaż obok kanapy, specjalnie trącając biodrem jego głowę, na tyle mocno, aby nabić sobie sińca.

I nic.

– Ty sukinsynie – warczę, gdy się gotuję, i upuszczam walizki w kuchni, by z hukiem wpadły na szafki, a następnie wracam po laptopa. – Powinam otworzyć drzwi i wpuścić tu Bandita. To na pewno by cię obudziło, dupku. Zaslugujesz, żeby ktoś zdemolował ci mieszkanie. – Co mu w ogóle powiem, gdy będę z nim jutro rozmawiać? Czy uśmiechnie się zawiadacko i rzuci jakimś gładkim tekstem?

I co powiedzą Agnes i tata? Czy mnie zbęda? Czy tata oznajmi, że z nim porozmawia? Czy Agnes uniesie rękę i stwierdzi: „Oj, Jonah lubi gierki”?

Patrzę na niego, jak leży nieprzytomny z tymi zmierzwionymi, rozsypanymi na poduszce włosami, z krzaczastym zarostem na policzkach, myślę, że powinnam...
Czuję, jak na twarzy powoli rozciąga mi się mściwy uśmiezek.

ROZDZIAŁ 17



Nie da się chodzić po centrum Toronto i nie spotkać bezdomnych, którzy najczęściej ukrywają się na uboczu, śpiąc pod wieloma warstwami koców. W dzień siedzą na skrzyżowaniach, trzymając w rękach papierowe kubki po kawie. Splątane włosy opadają na ich ponure twarze, gdy czekają, aż jakiś nieznajomy wrzuci im drobne.

Czasami zastanawiam się, jak ci ludzie wyglądają pod warstwami brudu i zaniedbania. Co gorący prysznic, grzebień i maszynka do golenia byłyby w stanie z nich wyczarować. Gdyby ludzie nie przyspieszali na ich widok, być może nie lekceważyliby ich aż tak bardzo. Gdyby mogli spojrzeć na nich w innym świetle.

Trochę w sposób, w jaki patrzę teraz na Jonaha – zachwycona z powodu tego, co nożyczki kuchenne i maszynka do strzyżenia, którą znalazłam w szafce w łazience, zdołały wykrzesać.

Miało być proste cięcie. Miałam dla żartu obciąć mu brodę z jednej strony, jak faceci często robią kumplom, gdy ci zasną pijani na kanapie. Tylko tyle, żeby wkurzył się po przebudzeniu.

Ale pomyślałam sobie, że mógłby to tak zostawić tylko po to, by doprowadzić mnie do szału. Ponieważ wiem, że Jonah jest do tego zdolny.

Zaczęłam więc porządne strzyżenie.

Ani razu się nie ruszył.

Nawet nie drgnął, gdy skróciłam jego posklejane krwią włosy. Ani kiedy cichy pokój wypełniło bzyczenie maszynki. Ani kiedy ostrożnie – bardzo delikatnymi ruchami – stylizowałam busz zasłaniający mu twarz. Kudły kurczyły się, aż odkryłam pełne, miękkie wargi, ostre kości policzkowe i wyrzeźbioną żuchwę.

Jonah ma w tej chwili gęstą, choć krótką bródkę, taką, która wywołuje zazdrość u większości mężczyzn i sprawia, że dziewczyny i żony pokazują magazyny swoim partnerom, żądając: „Chcę, byś tak wyglądał!”.

I nie poprzestałam tylko na tym. Zająłam się też zmierzwionym mopem na jego głowie, przycinając mocno boki – przynajmniej na tyle, na ile mogłam przy horyzontalnej pozycji śpiącego. Włosy na czubku głowy zostawiłam dłuższe, na jakieś pięć centymetrów, ale je wycieniowałam, po czym wystylizowałam tanim żelem znalezionym w otchłani próżności Jonaha w łazience.

Siedzę teraz i podziwiam przystojnego mężczyznę, którego odkryłam pod nieokielznanymi, popielotoblond włosami, gdy śpi tak spokojnie. Dłonie mnie świerzbią, by pogłaskać go po twarzy. Teraz wydaje się nieco starsza, delikatne rysy są bardziej męskie. Jest jeszcze bardziej atrakcyjny niż na zdjęciu, na widok którego śliniłam się wcześniej.

I zastanawiam się, jak, u licha, prosta zemsta zmieniła się w podziw dla tego przebiegłego drania.

Jęczę.

– Nawet nieprzytomny jesteś dupkiem, co?

Przechyla głowę w prawo i oddycha mocniej. Wstrzymuję oddech, gdy zaczyna otwierać oczy.

Wzdycham z ulgą, widząc, że je zamyka i przestaje się ruszać.

Uświadamiam sobie, że nie chcę tu być, kiedy się obudzi, bo opuszcza mnie jakiegokolwiek poczucie zwycięstwa odczuwane do tej pory. Nie mam pojęcia, jak zareaguje, gdy dostrzeże to,

co mu zrobiłam. Czy będzie się z tego śmiał?

A może przesadziłam?

No przecież skróciłam włosy człowiekowi, który odsypiał obrażenia doznane w wyniku przymusowego lądowania.

Rodzi się we mnie niepokój. Zbieram dowody zbrodni i ruszam do kuchni.

Nie chodzi tylko o to, że zabrał moje rzeczy, przypominam sobie, gdy chowam broń do szuflady i wyrzucam resztki włosów pod zlew. Nieskończenie wiele razy był dla mnie chamski. W końcu pękłam. To się właśnie dzieje, gdy ktoś przegnie – inny może mu obciąć włosy we śnie.

Biorę leżący na blacie notatnik i długopis, zapisuję krótką notkę, którą zostawiam na stoliku obok lekarstwa i szklanki ze świeżą wodą. Kiepski zestaw, jeśli chodzi o zawarcie pokoju.

Jeżeli wcześniej zachowywałam się głośno, teraz przechodzę na paluszkach, niosąc każdą walizkę na zewnątrz i w dół po schodach, trudząc się, aby nie wydawać przy tym żadnych dźwięków. To absolutny koszmar, kiedy ciągnę bagaż po błotnistej, mokrej trawie, a gdy docieram do bezpiecznego domu ojca, niemiłosiernie bołą mnie ręce.

Tata zajmuje miejsce w swoim skórzanym fotelu w salonie. Odwraca wzrok od meczu baseballowego na ekranie telewizora, by na mnie spojrzeć.

– Jak się miewa nasz facet?

Przez tak proste pytanie nagle budzą się we mnie wyrzuty sumienia.

– Śpi. Wziął jakieś leki, które go uspiły.

– Przypuszczam, że musi wypocząć. Miał dość trudny dzień. – Tata zakrywa usta, gdy kaszle.

– Dobrze się czujesz? – Zauważyłam, że przy obiedzie też kaszał.

Macha lekceważąco ręką i kilkakrotnie odchrząkuje.

– Nie powinienem biec po tamtym polu. Dziś coś zrobiliście?

– Troszkę. Szybko zasnął.

– Ale nie było cię dłuższą chwilę – mówi jakoś dziwnie, nie potrafię stwierdzić, o co mu chodzi.

Patrzę na wiszący na ścianie zegar. Jest niemal jedenasta.

– Nakarmiłam Bandita i... przejrzałam książki Jonaha – jąkam się, odwracając wzrok, ponieważ czuję, że się rumienię. Mam nadzieję, że tata nie będzie w stanie stwierdzić, że coś ukrywam. Nie potrafię jednak przyznać się do tego, co zrobiłam Jonahowi.

Co, jeśli tata stwierdzi, że posunęłam się za daleko?

Co, jeśli będzie mną rozczarowany?

– Znalazłaś coś interesującego?

– Co?

– Książki... – Patrzy na moje puste ręce.

– Nie. Nie lubię czytać. Coś dobrego w telewizji?

– Nie. Tak tylko włączyłem na chwilę. Siedziałem dziś przez jakiś czas na werandzie.

Ładnie ją z Mabel posprzątałyście. Cofnąłem się myślami w czasie o kilka lat.

– Poczekaj, aż zajdzie słońce. – Przyczepiłyśmy stare lampki do sufitu.

Wzdycha, wyłącza telewizor i rzuca pilota na stolik.

– Może jutro wieczorem. Dzisiejsze wydarzenia mocno mnie wyczerpały.

– Tak, sama jestem zmęczona.

Porusza się powoli, gdy wstaje z fotela i zabiera kubek.

– Na pewno nic ci nie jest? Wydajesz się trochę... nadpobudliwa.

– Wszystko okej. Hej, o której wyruszasz jutro z domu?

– Zapewne jak zwykle. Przed szóstą.

– Powinnam pojechać z tobą, skoro Jonah nigdzie się nie wybiera.
Śmieje się.
– Kilka szwów na czole nie utrzyma go z dala od Wild, nawet jeśli nie będzie mógł latać.
– No tak. Dobra. – Świetnie. Zaciskam usta.
Tata znów patrzy na mnie z ciekawością.
– Dobrze, do zobaczenia rano.
– Tak.
Zauważa stojące w kuchni walizki.
– Hej! Mówiłem, że przylecą!
– Tak, przyleciały – mamroczę pod nosem. Mam powiedzieć, co zrobił Jonah? Częściowo mam ochotę donieść na złotego chłopca, ale najpierw chcę, żeby mi się wytłumaczył.
Poza tym teraz to sprawa pomiędzy nim a mną.
Tata marszczy brwi.
– Jak tu w ogóle dotarły?
– Taksówką, kiedy wracałam.
– Hmm... – Jego grymas się pogłębia, jakby przejrzał moją ściemę. Zaraz jednak wzrusza ramionami. – Masz już swoje ciuchy. To dobrze. Dobranoc.
– Dobranoc, tato.
Zatrzymuje się, posyłając mi niewielki uśmiech zadowolenia, po czym odchodzi do swojego pokoju.
Wzdycham drżąc w chwili, gdy zamykam za sobą drzwi sypialni. Jonah dostał to, na co zasłużył. Przecież go nie oszpeciłam. A włosy odrastają. Jeśli woli wyglądać jak jaskiniowiec, nie będzie potrzebował zbyt wiele czasu, aby do tego wrócić.
Odstawiam walizki i nawet ich nie rozpakowuję.
* * *

Dwieście czterdzieści cztery.
Ktoś dorysował sutki dwustu czterdziestu czterem kaczkom.
To tysiąc czterysta sześćdziesiąt cztery dorysowane sutki w kuchni ojca.
– Calla?
Obracam się i widzę stojącego w drzwiach tatę.
– Hej! Robię nam kawę. Zaraz skończę.
Przenosi zaskoczone spojrzenie na zaparacz, z którego hałaśliwie wypływa ciemny płyn, a potem wraca nim do mnie.
– Dobrze się czujesz?
– Tak. Nie mogłam spać, więc postanowiłam się przygotować, aby pojechać z tobą.
Patrzy w moje oczy przejawiające zmęczenie, którego żadna ilość kremu i korektora nie są w stanie zatuszować.
– Też nie spałem za dobrze – przyznaje, co potwierdzają worki pod jego oczami. – Przepuszczam, że nie służył ci widok tego, co stało się wczoraj z Jonahem.
– Tak, może. – Nie spałam z jego powodu, ale nie przez wypadek, a bardziej przez jego potencjalną złość, gdy odkryje, że został ostrzyżony jak jakiś baran z farmy. Zbędnie to śmiechem, czy wrócimy do początków naszej znajomości, kiedy odczuwaliśmy wzajemną odrazę? – Tak czy siak, stwierdziłam, że mogę wstać wcześniej i rozpocząć dzień z tobą.
– Nie ma w tym nic złego. – Nalewa sobie kubek i bierze łyk kawy.
I zaczyna się krztusić.
– Ile dałaś łyżek?

– Tyle, ile było napisane na opakowaniu. Źle?
Zaciska usta i kręci głową, po czym odpowiada sztywno:

– Super.

Posyłam mu puste spojrzenie.

– Kłamiesz.

– Trochę mocna. – Uśmiecha się, bierze kolejny łyk, ale odwraca się, żebym nie widziała jego skrzywienia.

– Przepraszam. Nie wiem, jak się parzy kawę. Nie musisz jej pić.

– Żartujesz? – Znów zmusza się do wzięcia łyka, udając zadowolenie. – Córka właśnie ją dla mnie przygotowała. Z pewnością wypiję.

Śmieję się, mieszając własną – z dodatkową porcją mleka sojowego – i przyglądam się tacie, jak dokańcza napój, na przemian dramatycznie się krzywiąc i drżąc. Wkłada kubek do zlewu, bierze kluczyki i kamizelkę.

– Jeśli wcześniej nie byłem rozbudzony...

Wychodzę za nim i idę do samochodu.

– Ładne – podziwia z uśmiechem moje kalosze i ruchem głowy wskazuje na flanelową koszulę od Jonaha, którą mam przewieszoną przez ramię. – I pasują.

– Zadziwiająco. Przynajmniej mam teraz coś odpowiedniego do włożenia na siebie. – Wyjęłam z walizki moje ulubione jeansy z dziurami i dodałam do nich srebrny dzianinowy sweterek, pod który założyłam koronkowy biustonosz.

– Masz prawo do frustracji. Trzeba się przyzwyczaić do panującego tu porządku rzeczy.

Chciałabym powiedzieć, że problem z bagażem nie leżał po stronie Alaski, za to po stronie wysokiego, śpiącego jeszcze sąsiada.

Oboje patrzymy na spokojny żółty dom.

– Ciekawe, jak się dziś czuje – mówi cicho tata. Wsiada za kierownicę i zamyka za sobą drzwi. Uruchamia silnik.

Niezdolna do oderwania wzroku od domu Jonaha okrążam furgonetkę. Sapię, gdy wydaje mi się, że lekka kuchenna zasłonka się porusza. Delikatnie.

Jest jednak szósta rano. Wmawiam sobie, że Jonah jeszcze nie wstał.

Mimo to wskakuję do samochodu i zapinam pas, próbując ukoić sumienie.

Tata trzyma ręce na kierownicy, ale nie odjeżdża.

– Może któreś z nas powinno zapukać i sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku?

– A nie powinniśmy dać mu się wyspać? Jest bardzo wcześnie. – Bębnę pospiesznie palcami o kolano, wpatrując się przed siebie.

Czuję, że tata patrzy na mnie podejrzliwie.

– Na pewno dobrze się czujesz, Calla? Jesteś jakaś poddenerwowana.

– Tak? – pytam nonszalancko. – Pewnie przez tę kawę.

– Nie, zaczęło się wieczorem. – Waha się. – Zaszło coś pomiędzy tobą a Jonahem?

Nie zniosę tego dłużej.

– Poza tym, że znalazłam swoje walizki na jego werandzie? – Co może stać się oficjalną wymówką, kiedy ktoś zapyta o moją zbrodnię.

Tata wytrzeszcza oczy.

– Jonah miał twój bagaż?

– Ukrył go pod kocem.

Tata wzdycha z irytacją.

– Sukin... Muszę z nim porozmawiać. O patrz, wstał. – Ruchem głowy wskazuje jego otwierające się drzwi.

Żołądek mi się ściska.

– Pojadę do niego później i upewnię się, że... – urywa, widząc, że Jonah wychodzi sztywnym krokiem na ganek w tych samych spodniach dresowych i koszulce, w których wczoraj zasnął. Znajdujemy się za daleko, aby widzieć zszytą ranę na jego czole.

Nie jesteśmy jednak oddaleni na tyle, by nie móc odczytać kamiennego spojrzenia, gdy patrzy na nas, krzyżując muskularne ramiona na szerokiej piersi.

Piorunuje mnie wzrokiem.

W samochodzie na chwilę zapada cisza, tata wysoko unosi brwi.

W końcu mówi:

– Calla, ile czasu byłaś u niego po tym, jak zasnął?

– Nie jestem pewna – mamroczę, patrząc na drogę. Jego ton jest łagodny, ale nie potrafię go odczytać.

– I... mogłabyś powtórzyć, co tam robiłaś? Pracowałaś nad stroną, karmiłaś Bandita i... Ach tak, przeglądałaś jego książki. I tyle?

– Tak – kłamię z takim przekonaniem, jakie tylko potrafię z siebie wykrzesać.

– I o niczym nie zapomniałem?

– Z pewnością nie, ale musimy jechać. Już. – W końcu ośmielam się spojrzeć. Widzę, że tata zaciska usta, próbując się nie śmiać, chociaż kiepsko mu to wychodzi.

– Tak, chyba masz rację. – Wrzuca bieg. Przemierzamy podjazd, tata omija większe dziury i mówi:

– Te leki na rozluźnienie mięśni musiały być silne – duma.

– Bardzo – zgadzam się.

Tata wbija wzrok we mnie, aż nie jestem go w stanie ignorować. Obracam się i patrzę mu w oczy. Zauważam w nich iskrę.

Do czasu, gdy wyjeżdżamy na główną drogę, tata kaszle, śmiejąc się.

– O, Calla... Naprawdę sama się prosisz.

– Zasłużył sobie!

– Tak, też bym tak powiedział, ale Jonah zawsze musi mieć ostatnie słowo. Nie odpuści ci tego.

Z uporem krzyżuję ręce na piersiach.

– Powinien mi podziękować. Teraz przynajmniej ludzie mogą zobaczyć jego twarz.

Tata z zaciekawieniem unosi brwi.

– A widok jego twarzy to coś dobrego?

– Nie wygląda już tak, jakby został zamknięty w klatce i przetransportowany do zoo. – Mają w ogóle ogrody zoologiczne na Alasce? Wątpię.

Tata parska głośnym śmiechem.

– Przez chwilę wydawało mi się, że coś mogło między wami zajść. No wiesz, z napięciem po wypadku i w ogóle. Może razem... no wiesz... – Patrzy znacząco.

Czerwienię się.

– O tym właśnie myślałeś?

– To znaczy, nie byłaby to najstraszniejsza rzecz na świecie. Jest mądry, ciężko pracuje. Wydaje się, że kobiety go lubią. – Śmieje się nerwowo. – Ojciec może mieć nadzieję, nie?

Co on właśnie powiedział? Tata naprawdę liczy, że się spikniemy?

Ja i Jonah?

Wraca do mnie wczorajszy widok jego twarzy – spokojnej, przystojnej, pogrążonej we śnie. Odsuwam go od siebie.

– Nie zakocham się w żadnym podniebnym kowboju – odpowiadam stanowczo.

Tata się śmieje, kaszląc.

– Boże, Calla, czasami tak bardzo przypominasz matkę.

– Właśnie tak nazwała tutejszych pilotów – przyznaję zawstydzona.

– Tak, cóż... nie mogę powiedzieć, że się myliła, przynajmniej jeżeli chodzi o Jonaha.

I pewnie tak jest lepiej. Nie musisz powielać naszych błędów – mówi, skręcając w drogę wiodącą do Alaska Wild.

ROZDZIAŁ 18



Agnes mruży oczy, kiedy się pochyla i uważnie spogląda na ekran komputera.

- Tamto bardziej mi się podobało.
- Wracam do pierwszego sposobu kadrowania zdjęć.
- Tak, to. Przypomina widokówkę. – Prostuje się i zdejmuje okulary. – Naprawdę dobrze ci idzie, Calla. I bardzo szybko.
- Zapisuję ustawienia.
- Powinnam dokończyć za dzień lub dwa.
- Sprawiasz, że wydaje się to takie łatwe.
- Przyrzekam, że takie właśnie jest. Pokażę ci, jak wszystko zrobić. I jeśli będziesz potrzebowała w czymkolwiek pomocy, zawsze będziesz mogła do mnie napisać. – Jakie to dziwne, że zaledwie tydzień temu pisałyśmy do siebie jako zupełnie obce sobie osoby, które dopiero miały się spotkać.
- Odzywa się moja komórka, na ekranie pojawia się zdjęcie Diany robiącej dzióbek.
- Muszę odebrać – mamrocze, wstając. Spodziewałam się tego telefonu. Wiadomość, którą wysłałam jej dziesięć minut temu, mogła sprawić, że zapragnie szczegółów. – Chcesz, żebym przyniosła ci wody?
- Agnes macha ręką, dziękując, i wraca do swojego biurka.
- Wdzięczna, że pomieszczenie socjalne w tej chwili jest puste, wzdycham głęboko i odbieram.
- Nie zrobiłaś tego! – sapie wyraźnie zszokowana przyjaciółka.
- Yeti już nie jest yeti.
- O Boże, Calla! Jak bardzo jest wściekły?
- Jeszcze nie wiem.
- Pamiętasz czasy, gdy Keegan zasnął pijany, a chłopaki z drużyny ogoliły mu...
- Tak, fuuuj! Proszę, nigdy więcej nie przypominaj mi tej historii. – Brat Diany jest dla mnie jak członek rodziny, więc nawet wiele lat później ten obraz wciąż mocno mnie niepokoi.
- Okej, ukrywam się właśnie w pokoju pocztowym, mam jakieś pół minuty, zanim Kawał Mięcha przyjdzie mnie szukać – szepcze konspiracyjnie, więc wyobrażam sobie atrakcyjną, wysoką blondynkę w ołówkowej spódnicy kucającą za kserokopiarką. – Nie mam teraz czasu na szczegóły. Podaj tylko ostateczny werdykt.
- Ostatecznie... – Otwieram lodówkę i dotykam butelek wody, żeby znaleźć najzimniejszą. – Jest apetyczny.
- Poważnie? Jak bardzo?
- Pamiętasz, jak kilka tygodni temu pokazywałam ci stronę tego modelu fitness przypominającego wikinga? – Był to jedyny facet z brodą, którego uznałam za atrakcyjnego.
- Jęczy, potwierdzając.
- No to tak. Tylko jeszcze lepiej.
- Powiedz, że zrobiłaś zdjęcie.
- Nie! – krzyczę. – Nie robię zdjęć nieprzytomnym facetom!
- Poważnie, Calla? W tym miejscu wyznaczyłaś sobie granicę? – drwi.
- Krzywię się.
- No wiem.
- Czyli nadal jest dupkiem, ale przynajmniej przystojnym, tak?

– Tak, totalnym dupkiem. Chociaż nie do końca. Czasami jest tak okropny, że mam ochotę dać mu w twarz – przyznaję. – A niekiedy... Wcale mi nie przeszkadza. – Nie jestem już na niego zła, jak byłam wczoraj. Skupiam się bardziej na rosnącym we mnie napięciu.

Co, jeśli Jonah naprawdę się na mnie wkurzy? Co, jeśli nie będzie już chciał mieć nic ze mną do czynienia?

– To traficie do łóżka?

– Co? – piszczę. – Nie!

– Jest przystojny, a ciebie nie ciągnie do niego emocjonalnie. Idealny materiał do bzykania.

– Ja... Nie! – Boże, najpierw ojciec, teraz przyjaciółka? – Nie robię takich rzeczy, przecież o tym wiesz. – Nie jestem w stanie nie angażować serca w takich sytuacjach, więc kończę zraniona lub stwierdzam, że nie lubię faceta i zalewam się żalem. – Poza tym lubi długonogie blondynki. Sama tu przyleć i się z nim prześpij.

– No weź. Potrzebujesz bzykanka.

– Wierz mi, nie potrzebuję. Odkąd tu przyleciałam, ani przez sekundę nie myślałam o Coreym. – Co tylko dowodzi tego, że nie popełniłam błędu, zrywając z nim.

– Dobrze! Zajmij się zatem wikingiem!

– Nie zamierzam! – Parskam śmiechem, uświadamiając sobie, jak bardzo za nią tęsknię. – Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć. – Jak niby kobieta ma zainicjować coś z facetem takim jak Jonah, który zapewne wyśmiałby jej próby jaskiniowego zaciągnięcia do łóżka? Musiałaby być bardzo odważna, aby w ogóle spróbować.

Diana jęczy.

– Ugh. Kawał Mięcha mnie woła. Jego głos jest tak wkurzający, że zaczynam mieć koszmary. Muszę skończyć. Idź i zdobądź faceta. I zadzwoń wieczorem. Musimy ustalić plan na następny tydzień. Calla & Dee nie mogą być tylko Dee, gdy ty masz wolne i latasz za apetycznym wikingiem.

– Wiem, przepraszam. Sprawy przybrały dość szalony obrót. – Nasza strona znalazła się w moich myślach tuż obok byłego chłopaka. – I nie, nie zamierzam iść z Jonahem do łóżka. – Zadowolona, że znalazłam najzimniejszą wodę, zamykam biodrem drzwi lodówki. – To byłby bardzo kiepski pomy... Aaa!

Jonah stoi jakies pół metra ode mnie.

– Zadzwoń później – mamrocę i rozłączam się.

Choć wczoraj wydawał się bardzo przystojny, taki zadbany i zrelaksowany we śnie, teraz – gdy góruje nade mną, zaciskając zęby i wpatrując się we mnie zimnym spojrzeniem niebieskich oczu – jednocześnie wzbudza podziw i onieśmiela. Jego broda pozostała niezmiernie, a włosy, choć nieco rozczochrane, nadal mają nadaną im przeze mnie objętość.

Ale nie wydaje się rozbawiony.

Jak dużo usłyszał z mojej rozmowy?

Czerwienię się. Próbuję nad sobą zapanować, sięgając po wodę, która wypadła mi z ręki, gdy się wystraszyłam.

– Powinieneś zostać w domu i odpoczywać – mówię, próbując brzmieć nonszalancko.

– Czuję neodpartą potrzebę złożenia tu wizyty. – Jego lekki ton kontrastuje z lodowatym spojrzeniem.

Zerkam na szwy na jego czole. Rana powinna się ładnie zagoić, ale jeśli tak się nie stanie, coś mi mówi, że nawet z blizną Jonah będzie atrakcyjny.

W wielkiej dłoni mężczyzny znajduje się kartka, którą niespiesznie rozkłada.

– Drogi Jonahu. To za zabawkowy samolot, w którym nie zmieścił się mój bagaż, za

kradzież moich walizek, za brak pomocy w zdobyciu piwa dla taty... – czyta swoją listę wykroczeń z zostawionej przeze mnie notki, a ja obserwuję, jak poruszają się przy tym jego zgrabne wargi. Jakim cudem wyglądają na miękkie, skoro wypowiadają tak wiele szorstkich słów? – ...za zdewastowanie tapety taty, jeśli to byłeś ty...

Zapomniałam zapytać ojca o kaczki, ale coś mi podpowiada, że Jonah mógłby się pod tym podpisać.

Jego usta w końcu rozciągają się w uśmiechu. Unoszę wzrok i widzę, że zostałam przyłapaną na gapieniu się na jego wargi, gdy recytuje ostatnią linijkę z pamięci:

– W końcu za rozbicie Betty i wystraszenie mnie na śmierć.

Serce wali mi jak młotem. Nie wiem, dlaczego to dodałam. Zapewne to nie jego wina, że Betty spadła na ziemię.

Tak samo spokojnie i metodycznie składa kartkę i wkłada ją do tylnej kieszeni, przez co jego szary podkoszulek napina się na piersi, ujawniając mięśnie, na które próbuję – niestety ponosząc porażkę – nie patrzeć.

Walczę, żeby odkręcić butelkę wody, niezdolna znaleźć do tego siły.

Jonah bez słowa mi ją odbiera. W powietrzu rozchodzi się dźwięk odkręcanego plastiku.

– Długo zbierałaś się na odwagę?

Odsuwam od siebie obawy co do tego, że mógł coś podsłuchać, posyłając mu puste, oskarżycielskie spojrzenie.

– Chwilę, szczególnie po tym, jak znalazłam swoje walizki na twojej werandzie, obok mieszkania szopa.

– A tak w ogóle to dzięki za nakarmienie Bandita. – Oddaje mi butelkę wody, nasze palce ocierają się o siebie przy tym ruchu.

– Od jak dawna miałaś moje rzeczy?

– Odkąd poleciałem po nie do Anchorage następnego wieczoru po twoim przyjeździe – przyznaje nonszalancko, bez wahania czy choćby odrobiny żalu.

– Ale to... Chcesz powiedzieć, że mój bagaż leżał u ciebie od poniedziałku? – Podkreślam słowa, szturchając go w ramię.

Wzdryga się, po czym masuje obolałe miejsce.

– Przepraszam. – Krzywię się, a mój gniew nieco ulatuje. – I namówiłeś Billy'ego, żeby cię krył?

– Nie. Nie miał pojęcia, że je wziąłem. Denerwował się i wymyślał wymówki z nadzieją, że się znajdą.

Kręcę głową.

– Jesteś dupkiem.

Jonah omiata wzrokiem mój odsłonięty obojczyk i zatrzymuje spojrzenie na ozdobnym koronkowym ramiączku biustonosza.

– Przeżyłaś, prawda?

– Tak, ale po co to było? Próbowałaś czegoś dowieść?

– Czyż nie dowiodłem?

Wzdycham.

– Właśnie zaczynałam cię lu...

Parska głośnym śmiechem, rzucając mi znaczące spojrzenie.

– O, wydaje mi się, że dziś też mnie lubisz.

Znów się rumienię. Poważnie, ile usłyszał?!

Odsuwam się od niego, ale idzie za mną, naruszając moją przestrzeń osobistą i udaremniając ucieczkę. Sprawia, że moje serce przyspiesza.

– Wiesz, że odrośnie?
– Niestety tak.
Uśmiecha się.
– Niestety dla kogo?
– Dla mieszkańców Alaski. Na szczęście mnie tu już dawno nie będzie.
Jonah unosi rękę. Początkowo się spinam, gdy chwyta w palce kosmyk moich włosów.
– Co robisz? – pytam ostrożnie, a moje ciało reaguje na jego subtelny dotyk. Gęsia skórka obsypuje moje ręce, obojczyki i dekolt.
– Byłem tylko ciekawy, jakie w dotyku są twoje włosy. Miękkie. – Marszczy brwi zamyślony. – I takie długie. Musiałś je zapuszczać przez jakieś dwa lata.
– Nie. Nigdy nie miałam krótkich.
– Nigdy?
Zaczynam się denerwować.
– Nigdy.
– Hmm... Myślę, że dobrze byłoby ci w krótkich. – Zaciska wokół nich pięść, trzymając je jakby spięte w kucyku, delikatnie dotykając palcami mojego karku. – Krótkie jak u Aggie.
– Nie mam do tego odpowiedniego kształtu twarzy. – Odchrząkuję, bo głos mi drży.
Patrzy intensywnie na moje czoło, kości policzkowe, żuchwę, jakby oceniając moje słowa.
– Jestem pewien, że masz wystarczająco dużo kosmetyków, żeby to naprawić.
– Wiem, co robisz.
Lekko ciągnie, po czym puszcza moje włosy.
– Niby co?
– Próbujesz mnie nastraszyć, że się zemścisz, obcinając mi włosy.
Krzywi się drwiąco.
– Co? Miałbym zakraść się do twojej sypialni z nożyczkami, gdy będziesz spała? Nigdy bym tego nie zrobił. Nie jestem świrem.
– Nie zakradłam się do twojej sypialni – warczę. – I cię nie oszpeciłam. Pomogłam ci.
– Pomogłaś? – powtarza.
– Tak. Może teraz uda ci się z kimś przespać. O ile nie będziesz się odzywał.
Posyła mi niegodziwy uśmiezek, przez który zasycha mi w gardle.
– Sądzisz, że mam problemy w tej materii, Calla?
– Miałam na myśli dwunożne stworzenia. – *Arogancki gnojku, z pewnością stałeś i podsluchiwałeś.* Moja odpowiedź mogła być ostra i szybka, ale jest już za późno. Ma przewagę, ponieważ mimo wszystko dobrze wie, że wczorajsza wywołana chęcią zemsty pielęgnacja odniosła niespodziewany efekt uboczny.
W tej chwili yeti niezaprzeczalnie mnie pociąga.
Boże, znów się czuję, jakbym była w podstawówce. Billy Taylor, kapitan drużyny hokejowej, dowiedział się o moim zadurzeniu. Nie odwzajemniał uczucia – Keegan delikatnie przekazał tę wiadomość – ale moje młodzieńcze zauroczenie stało się powodem drwin ze strony jego kumpli, więc przez cały rok szkolny ukrywałam się w klasie i za wyższymi uczniami, ilekroć mijaliśmy się na korytarzu.
Był to ostatni raz, kiedy wyrwało mi się, że mogę interesować się jakimś chłopakiem, zanim zyskałam stuprocentową pewność, że on będzie interesował się mną.
Główna różnica polega jednak na tym, że Billy Taylor był fajnym chłopakiem, który nigdy mnie nie zawstydził.
Jonah nim nie jest.

– George powiedział, że widział cię, jak tu szedłeś. – Napięcie ulatuje, gdy nagle odzywa się Agnes. Kobieta okrąża stół i staje obok nas. – Powinieneś zostać w domu i wypoczywać. – Jej karcenie jak zwykle jest słabe. Nie mam pojęcia, jak poradzi sobie w przyszłości z Mabel. Chociaż ile kłopotów sprawi nastolatka w miejscu, w którym nie ma barów i tak trudno kupić alkohol?

Mimo wszystko jej przyście wydaje się ratunkiem.

– Właśnie to samo mu powiedziałam – mamroczę, próbując zachować pozory godności.

– Więc... chcesz wypróbować tu swój nowy wizerunek? – pyta z łagodnym uśmiechem.

Nie wspomniałam o swoim przewinieniu, najwyraźniej musiał to zrobić tata.

– Najwyraźniej – odpowiada w końcu Jonah. – Calla stwierdziła, że potrzebna mi zmiana.

– Pasuje ci. – Agnes patrzy na mnie ciemnymi oczami, w których wyraźnie błyszczy niewypowiedziane ostrzeżenie, jakby pytała: „Czy wiesz, głupia dziewucho, jakie piekło właśnie sobie zgotowałaś?”.

– Prawda, że ładniej wygląda? – Podkreślam swoje słowa, przechylając głowę na bok i omiatając pełnym podziwu wzrokiem jego rysy. – Owczarek mojego sąsiada też zawsze dobrze wyglądał po strzyżeniu. I pomagało na pchły.

Agnes parska śmiechem.

Nie potrafię odczytać spojrzenia mężczyzny patrzącego mi właśnie głęboko w oczy, ale mój żołądek się ściska, a krew szybciej krąży w żyłach.

– Sharon chciała się ze mną zobaczyć – kłamię, odsuwając się. Idę do drzwi, zmuszając nogi do powolnego marszu, żebym nie wyszła na tchórza, którym tak naprawdę jestem.

ROZDZIAŁ 19



– Cholerny deszcz. Wszystko jest mokre – mamrocze tata, kaszłąc i patrząc przez okno w salonie poza mokrą od nieustannych opadów werandę. Zaczęło się lekką mżawką około drugiej po południu – wcześniej, niż się spodziewano – i szybko przeszło w ulewę, która uziemiła większość samolotów. Ku przerażeniu Sharon, Max ma zostać na noc w Nome. – Na szczęście zapowiadają, że największe opady mają przejść do jutrzejszego wieczora. Przynajmniej miejmy nadzieję, że tak będzie. – Znów kaszle.

– Mogę zadać ci poważne pytanie?

Odpowiedź zajmuje mu chwilę.

– Jasne, dzieciaku – mówi czule, ale i niechętnie.

– Podkochujesz się w Julii Roberts?

– Eee... – Wzdycha drżąc z ulgą i się śmieje. – Nie wiem. Coś zauważyłaś?

Wydaje mi się, że obawiał się, że będę nalegała, aby przedstawił szczegóły diagnozy i prognozy. Że będę pragnęła się dowiedzieć, czy nieustający od niedawna kaszel jest wynikiem czegoś innego niż wilgoć w powietrzu i bieg przez pole. Jednak ostatnio zrozumiałam, że mam ochotę rozmawiać o nadchodzącej walce tak samo jak on, czyli wcale.

– Masz każdy film z jej udziałem zarówno na kasetach, jak i na płytach DVD. Zatem tak, jestem pewna, że się w niej kochasz.

Tata uśmiecha się rozmarzony.

– Jej śmiech. Przypomina mi Susan.

Marszczę brwi i próbuję sobie przypomnieć ten dźwięk, gdy na ekranie telewizora pojawiają się napisy filmu *Pretty Woman*.

– Nigdy tego nie zauważyłam, ale tak, zdaje się, że masz rację. – Mama śmieje się zaraźliwie i dźwięcznie, przez co nieznajomi przerywają rozmowy i szukają źródła dźwięku.

– Wiesz, to właśnie dzięki temu przedstawiłem się jej tamtego wieczoru. Usłyszałem ją, zanim jeszcze zobaczyłem. A kiedy już na nią spojrzałem, pomyślałem: „Muszę wstać i podejść do tej kobiety, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu”. – Przez chwilę milczy, wpatrując się w swoje dłonie. – Mieszkała tu jakieś pół roku, gdy zorientowałem się, że od dłuższego czasu nie słyszałem jej śmiechu.

– Wciąż ją kochasz?

– Och, dzieciaku. To, co mieliśmy... – urywa, kręcąc głową.

– Wiem. Nigdy nie miało się udać. Nie mogło wypalić. Nigdy by wam się nie ułożyło.

Rozumiem, ale czy wciąż ją kochasz?

Milczy przez dłuższą chwilę.

– Zawsze będę ją kochał. Zawsze. Chciałbym, aby to wystarczyło, ale tak nie jest. Przez chwilę wydawało mi się, że zmieni zdanie i do mnie przyłeci. No wiesz, spędzi kilka miesięcy z rodziną i wróci.

– A ona miała nadzieję, że ty zmienisz zdanie i przyłecisz do nas.

– Tak. Cóż... jak mówiłem, nigdy nie miało nam się udać. Cieszę się, że znalazła kogoś, kto jest dla niej dobry. I dla ciebie.

– A co z tobą?

– Hmm?

– Inna kobieta?

– O – waha się. – Raz próbowałem z kimś, kto wiele dla mnie znaczył, ale oboje dość szybko zorientowaliśmy się, że byłoby trudno, gdy inna kobieta wciąż zajmowała miejsce

pośrodku sceny. Taka rywalizacja nie byłaby fair dla żadnej ze stron, a ja nie czułem presji, żeby się zdeklarować. Chyba małżeństwo nie jest dla mnie.

– Mówisz o Agnes?

– Rety. – Pociera oczy i się śmieje. – Naprawdę mnie dziś przesłuchasz, co?

– Przepraszam.

– Niepotrzebnie. Dobrze o tym porozmawiać. To ważne. Żałuję, że więcej z tobą nie rozmawiałem. – Wzdycha. – Mabel nie miała nawet dwóch latek, więc nie pamięta. To nie było nic wielkiego czy oficjalnego, tylko długie pogaduszki, niektóre pomysły, że może nasza relacja się pogłębi...

– Ale tak się nie stało?

Tata zaciska usta w zamyśleniu.

– Agnes jest wszystkim, czego powinienem pragnąć, jeśli chodzi o żonę. Jest dobra, zabawna, cierpliwa. Kocha rodzinę i Alaskę. Troszczy się o mnie, choć jej o to nie prosiłem. Naprawdę nie wiem, co bym bez niej począł. Pewnego dnia będzie dla kogoś niesamowitą partnerką.

Czekam na „ale”, które wisi w powietrzu, chociaż jestem pewna, że już je słyszałam.

„Tak, cóż... nie jestem Susan”, powiedziała Agnes, kiedy tu przyleciałam. Nie mówiła z goryczą. Raczej z rezygnacją.

Tata wzdycha.

– Powtarzałem jej, że powinna sobie kogoś znaleźć. Interesował się nią pewien mężczyzna, ale nigdy nie dała mu szansy. Chyba przywykła do niektórych rzeczy, tak jak i ja. Tak więc... żyjemy tu sobie, jak widzisz.

– Uważam, że to naprawdę miłe. Sposób, w jaki opiekujecie się sobą nawzajem. To znaczy, Mabel przynosi ci obiady... ty zostawiasz dzbanek kawy dla Jonaha... To po prostu miłe. Jesteście jak rodzina.

– Tak, cóż... – Drapie się po siwym zaroście na podbródku. – Tak właśnie jest.

– Cieszę się, wiedząc, że masz tu ludzi, którym na tobie zależy. – Które zaopiekują się tobą, gdy wyjadę. – I że mogłam ich poznać.

Krzywi się zamyślony.

– Nawet Jonaha?

– Nawet jego – przyznaję niechętnie, dodatkowo przewracając oczami. Jonah, który na szczęście trzymał się dziś z dala, pomagając tacie i Agnes uporać się z wczorajszymi opóźnieniami. Ja z kolei ukrywałam się w kącie ze słuchawkami w uszach, pracując nad zakładką „historia Wild”. Dodałam zdjęcie moich dziadków stojących obok pierwszego kupionego przez nich samolotu.

Staralam się udawać, że go nie widzę, ilekroć przechodził obok.

– To już coś. – Ziewa, wstaje z fotela i sięga do kieszeni kamizelki. – Słuchaj, wyjdę na chwilę, potem pójdę się położyć. Padam z nóg.

Mimowolnie patrzę ostro na trzymaną przez niego paczkę papierosów.

Zauważa moje spojrzenie i wzdycha.

– Palilem przez ponad czterdzieści lat, Calla.

– Zabije cię to, jeśli nie rzucisz. – Taka jest rzeczywistość, którą zrozumiałam, gdy po raz pierwszy stanęłam z nim twarzą w twarz w korytarzu. Teraz jeszcze bardziej mnie niepokoi. Zapewne dzieje się tak dlatego, że nie czuję się już tak, jakbym patrzyła na nieznajomego.

– Lekarz stwierdził, że nie robi to różnicy, więc po co się męczyć.

– Skoro tak powiedział lekarz...

Otwiera usta, ale się waha.

– Ziewasz. Idź spać, dzieciaku.

Jestem wyczerpana po wczorajszej bezsennej nocy.

– Hej, myślisz, że moglibyśmy zamknąć na noc drzwi na klucz?

Marszczy brwi.

– A po co? Coś cię wystraszyło?

– Poza sąsiadem, który chce obciąć mi włosy sekatorem?

– Tak powiedział? – Śmieje się. – Przecież tego nie zrobi.

Patrzę na niego wymownie.

– Nigdy bym nie pozwolił, żeby ci to zrobił – zapewnia.

– Sam mówiłeś, że mi nie odpuści, mimo że zaszła ogromna poprawa. – Mimo że moja krew płynie szybciej za każdym razem, kiedy słyszę jego głos. Skupiałam się dziś na swoim zadaniu tylko w połowie, przerabiając w myślach przeszłe rozmowy, odtwarzając jego słowa i to, jak wyglądał, ale przypisując to do nowego Jonaha – tego, który zwróciłby moją uwagę, gdybyśmy się spotkali na ulicy.

Jakimś cudownym sposobem zapomniałam o wszystkich nieprzyjemnych wymianach zdań i jego gierkach. Tamto było udziałem wkurzonego yeti. Mój umysł – a co bardziej prawdopodobne, moje hormony – wydawał się robić z Jonaha pewnego rodzaju doktora Jekylla i pana Hyde'a, żebym mogła swobodnie ślinić się do wikinga.

– Nie zapominaj, że nadzór lotniczy nie dał mu jeszcze pozwolenia na pilotowanie. Jeden telefon... – Tata puszcza oko.

Jestem pewna, że tylko żartuje, ale doceniam starania.

– A czy możemy i tak zamknąć drzwi?

Wzrusza ramionami.

– Jasne, jeżeli zapewni ci to spokojniejszy sen.

– Dobrze, dzięki. – Zbieram brudne naczynia. – O, zrobię owsiankę na śniadanie.

Będziesz też chciał?

– Normalnie nie jadam śniadań, ale... – Rozważa sprawę. – Pewnie. Z chęcią.

– Okej. – Uśmiecham się usatysfakcjonowana. – Dobranoc, tato.

* * *

Wczorajszy mocny deszcz przyniósł ze sobą poranne ochłodzenie. Natychmiast po wyjściu z łazienki dostaję gęsiej skórki. Owijam się mocno ręcznikiem, idąc do sypialni, gdzie zamierzam się szybko ubrać.

Wyczuwam znajomy zapach, kiedy tylko wchodzę do środka i zaciągam się głęboko. Mydło Jonaha. Ale to niemożliwe. Zamknęłam drzwi frontowe, zanim weszłam pod prysznic.

Ostrożnie rozglądam się po pokoju. Na krześle znajduje się laptop i telefon, ubranie, które sobie przygotowałam, leży nietknięte na łóżku. Reszta schludnie wisi w szafie.

Obracam się odrobinę i zauważam problem.

Górna szuflada jest pusta.

Nie ma ani jednej tubki, puszki, buteleczki, szczotki.

Zniknęły wszystkie moje kosmetyki.

Sięgam do torebki.

Nawet stamtąd wyjął podstawowe rzeczy – puder, tusz, mój ulubiony błyszczek.

– Jonah! – wołam, jakbym klęła. Wybiegam z pokoju i spieszę korytarzem.

Stoi w kuchni, opierając się nonszalancko o blat, plecami do zlewu, krzyżując nogi w kostkach, i zajada owsiankę.

Moją owsiankę.

W drwiący sposób na jego palcu wisi klucz. Klucz do tego domu, jak przypuszczam.

– Gdzie moje rzeczy? – żądam. Irytacja przez moment zasnuwa moje myśli.

Zatrzymuje rękę w połowie drogi do ust, omiatając wzrokiem moje ciało. Skupia spojrzenie zbyt długo na nagich udach, przez co przypominam sobie, jak krótki jest ręcznik – dłuższy o jakieś dziesięć centymetrów od mojego upokorzenia. Potem wraca do pochłaniania mojego śniadania.

– Jakie rzeczy? – pyta.

– Wszystkie, które zabrałeś z mojego pokoju.

– A, te rzeczy. – Niespiesznie oblizuje łyżkę. – W bezpiecznym miejscu.

Biała koszulka pod flanelową koszulą ma wilgotne smugi. Deszcz wciąż pada, choć jest lżejszy niż wczoraj. Na tyle mały, by Jonah pobiegł do siebie z moimi rzeczami, po czym wrócił, żeby ze mnie drwić?

– W moim domu – potwierdza, jakby czytał mi w myślach. – I nigdy ich nie znajdziesz.

– To nie jest śmieszne. Te do makijażu są warte ponad tysiąka. – Palety z cieniami, które nietraktowane delikatnie się pokruszą, a przypuszczam, że Jonah nie obszedł się z nimi łagodnie.

– Cholera. Tysiąc? Na Alasce to przestępstwo. – Nie brzmi, jakby był zaniepokojony.

– Może w takim razie powinnam zadzwonić na policję?

– Tak, dobry pomysł. Wyświadcz mi jednak przysługę i zapytaj o Ropera. Ostatnio narzekał, że się nudzi. – Wskazuje łyżką na miskę. – A tak przy okazji, całkiem smaczne. Co to?

Moja frustracja znów wzrasta.

– To moje. – Rzucam się na niego i jedną ręką wciąż przytrzymując ręcznik na miejscu, drugą odbieram mu miskę. Biorę czystą łyżkę z suszarki, obracam się i idę do swojego pokoju i trzaskam za sobą drzwiami.

Chwilę później rozlega się pukanie.

– Czego?! – warczę, podciągając legginsy do bioder.

– Wszystko ci oddam.

– No ja myślę.

– Na koniec.

Jęczę.

– Jesteś fiutem!

– Dlaczego? Pomagam ci. Może będziesz miała szansę iść z kimś do łóżka. – Jego rozbawienie jest wyraźne, gdy powtarza moje wczorajsze słowa.

– Ja także nie mam problemów w tej kwestii – odpowiadam wyniośle.

Następuje chwila milczenia.

– Kim jest Corey?

– Moim byłym. – Wkładam skarpetki.

– Dlaczego z nim zerwałaś?

Naprawdę chcę zaspokoić jego ciekawość? Wykorzysta to w jakiś sposób przeciwko mnie?

– Odsunęliśmy się od siebie. Albo się znudziliśmy, nie wiem. Zakończyłam ten związek, zanim tu przyleciałam. – Otwieram drzwi i widzę, że Jonah nonszalancko opiera się o ścianę, wpatrując się w sufit i dając mi dobry widok na swoją grdykę. Nawet szyję ma ładną.

Patrzy na mnie niebieskimi oczami i natychmiast zapominam o irytacji.

– Dlaczego chcesz wiedzieć o mojej relacji z Coreym?

Wzrusza ramionami.

– Jestem po prostu ciekawy. – Omiata wzrokiem moją fioletową tunikę i czarne legginsy. Wyraz jego twarzy jest nieczytelny, a mimo to moje serce przyspiesza.

Wzdycham ciężko i próbuję bardziej cywilizowanego podejścia.

– Jonah, mógłbyś, proszę, oddać mi moje rzeczy...

– Nie. – W jego głosie nie ma już wahania czy drwiny.

– Dobra – rzucam krótko. – Będę się dobrze bawić, demolując twój dom, aż je znajdę. –

Ponieważ wiem, że Jonah nie zostanie tu przez cały dzień.

Omijam go, ale zatrzymuje mnie, chwytając za boki, a następnie popycha do tyłu, aż przez materiał czuję chłód ściany.

Unoszę ręce pomiędzy nami, żeby przycisnąć dłonie do jego piersi, niepewna, co się właściwie dzieje. Mój umysł nie rejestruje niczego poza tym, jak mocne i ciepłe jest jego ciało i jak duże mięśnie wyczuwam pod palcami.

Dopiero kiedy ośmielam się spojrzeć w górę i zauważam, jak pociemniały jego oczy, zaczynam to dostrzegać.

Mimo wszystko nowo odkryta fascynacja może nie być jednostronna.

Milczymy przez chwilę, nawzajem mierząc się wzrokiem i próbując zrozumieć, jak dokładnie do tego doszło.

Wtedy Jonah się pochyla i muska moje usta w pocałunku delikatniejszym, niż byłabym w stanie sobie wyobrazić. Jego wargi smakują miętową pastą do zębów i brązowym cukrem z mojej owsianki. Świeżo skrócone włosy na brodzie łaskoczą mnie w skórę w ten dziwny, intymny sposób.

Nie mogę oddychać.

Nieruchomieje, a potem próbuje po raz drugi. Testuje mnie, by się przekonać, jak zareaguję.

– Myślałam, że nie lubisz takich jak ja – szepczę zbyt zawstydzona, aby powieść palcami po jego szerokiej piersi.

Rozluźnia mocny uścisk na mojej talii. Jedną rękę przesuwają na biodro, drugą unosi na plecy i łopatkę, aż w końcu obejmuje kark. Wsuwa mi palce we włosy i lekko je ciągnie, zmuszając, bym odchyliła głowę.

– Chyba się myliłem – przyznaje głębokim, ochryplym głosem, który czuję aż w podbrzuszu.

Całuje mnie bez wahania, otwierając mi usta i wsuwając w nie język. Nasze oddechy mieszają się ze sobą. Krew szumi mi w uszach, a serce wali jak oszalałe. Przeszywa mnie dreszcz, jakiego nie czułam chyba nigdy. W moim wnętrzu rozpala się żar.

Ledwo jestem świadoma, że na zewnątrz rozbrzmiewają kroki, po czym niesie się głośny, podekscytowany głos Mabel:

– Calla? Jesteś gotowa?

Jonah odsuwa się, stawia krok do tyłu, wzdychając miękko. To jedyny znak, że mogę na niego działać równie mocno, jak on na mnie.

– Hej! – Mabel staje w korytarzu, a woda kapie z jej kanarkowożółtego płaszcza przeciwdeszczowego na podłogę, gdy przeskakuje pomiędzy nami spojrzeniem szeroko otwartych oczu. – Co robicie?

– Eee... My... – jąkam się. Jest zbyt młoda, żeby wyczuć napięcie? Aby domyślić się, w czym nam przeszkodziła?

– Dawałem Calli coś, czego potrzebowała – mówi Jonah, wracając do swojej normalnej, opanowanej postawy, choć w jego głosie słychać nutę rozbawienia.

Patrzę na niego, bo chwilowo brak mi słów. Cóż, jeśli do tej pory Mabel nie rozumiała...

Mężczyzna z zarozumiałym uśmiechem sięga do tylnej kieszeni i coś z niej wyjmuje.

– Proszę. – Podrzuca to, więc chwytam niezdarnie. Mój antyperspirant. – Widzisz, nie

jestem aż takim fiutem. – Odchodzi, przy okazji czochrając Mabel włosy. Chwilę później słychać trzask zamykanych drzwi.

Dziewczyna się krzywi.

– Jonah kupił ci dezodorant?

Jestem zbyt przytłoczona, żeby próbować jej to wytłumaczyć.

– Co muszę ze sobą zabrać? – pytam, ignorując jej ciekawość.

– Siebie! Resztę mam ja. – Uśmiecha się i unosi ręce. W jednej ma żółty płaszcz, w drugiej koszyki.

– Idealnie. – Poranek spędzony w zimnym deszczu na zbieraniu jagód z grupą nieznajomych jest najlepszym zajęciem, jakiemu mogę się teraz poświęcić, próbując jednocześnie wymyślić, co właśnie zaszło między mną a Jonahem.

I czy chcę, by się kiedykolwiek powtórzyło.

ROZDZIAŁ 20



– Max upiera się nad Thorntonem, po dziadku. – Krzywi się z niesmakiem Sharon.

Wzruszam ramionami.

– Zdrobnieniem byłoby Thor? To raczej spoko imię. Unikalne.

– Ale jego matka nie pozwoliłaby go zdrabniać. Zawsze byłoby: „Thorntonie to”, „Thorntonie tamto”. – Przewraca oczami. – Już i tak wiele odpuściłam, przenosząc się tutaj. Nie zamierzam nadawać synowi takiego imienia.

– Nie dziwię ci się – szepczę. – A tak w ogóle, dokąd się przenosicie?

– Wracamy do Portland w Oregonie. Nie wierzę, że niedługo będę w domu. – Sharon głaszcze się po brzuchu powolnymi, okrężnymi ruchami, sięgając drugą ręką po jagodę do jednego z koszyków, które przyniosłyśmy z Mabel na lotnisko. Po kilku godzinach kucania w deszczu przy niekończących się krzaczkach nadal pieką mnie uda i nie jestem w stanie się rozgrzać. – Wciąż pamiętam dzień sprzed trzech lat, gdy Max wrócił do domu i obwieścił: „Kochanie, zgadnij co. Dostałem pracę! Przeprowadzamy się na Alaskę!”. Nawet nie wiedziałam, że złożył podanie. – Śmieje się, kręcąc głową. – Nie zrozum mnie źle, będziemy szaleńczo tęsknić za tymi ludźmi, ale wszystko tu jest takie trudne. A teraz będziemy mieć dziecko.

Założę się, że Sharon wyśmienicie dogadałaby się z moją mamą.

– A Max nie ma nic przeciwko wyprowadzce?

– Na razie nie, ale chciałby wrócić tu za pięć lat, by znów pracować z Wrenem. Cóż, przekroczymy ten most, kiedy do niego dotrzemy. A może powinnam powiedzieć lotnisko.

Za pięć lat. Mimowolnie robię w duchu obliczenia. Będę miała wtedy trzydzieści jeden lat. Gdzie będę? Oczywiście w Toronto. Ile do tego czasu odbędę podróży na Alaskę? Czy tata przyleci mnie odwiedzić? Czy wciąż będę mieszkała z mamą i Simonem? A może wyjdę za mąż i się wyprowadzę? Czy będę głaskać wielki brzuch jak Sharon?

Czy tata będzie ze mną?

Przełykam ślinę przez nagle ściśnięte gardło.

Niewielka rdzenna mieszkanka Alaski idzie w kierunku biurka, trzymając małą torbę. Siwe włosy zawinęła w jaskrawą, kwiecistą różową chustę, ale reszta jej ubrań jest w brązowym lub zielonym kolorze. Mają jedynie zapewnić jej ciepło, nic więcej.

– Jakies wieści? – pyta grzecznie i z uśmiechem. Jakby siedziała w lobby od siódmej rano, co według Sharon jest bardzo prawdopodobne. Osoby przebywające w holu grają przez cały dzień w gry z nadzieją, że w którejś chwili ich lot się odbędzie. Naliczyłam dziś czternaście osób. Głównie wędkarze, którzy nie mogą się doczekać, aby dotrzeć na swoje obozy. Łatwo dostrzec kogoś, kto nie pochodzi z Alaski – chodzi po poczekalni jak zwierzę w klatce, zerkając na niebo za każdym razem, kiedy znajduje się obok okna, i mamrocząc pod nosem ze zniecierpliwienia. Ci, którzy wiedzą, jak to wszystko tu działa, siedzą cierpliwie na swoich miejscach, skupiając wzrok na ekranach telefonów, robiąc na drutach lub rozmawiając z innymi podróżnymi.

Pozwolenie na start wydano jakąś godzinę temu. Połowa samolotów już wzbija się w niebo. Kwestia czasu, nim odlecą i ci ludzie.

– Chłopaki ładują maszynę, Dolores. – Sharon uśmiecha się współczująco do kobiety. Samolot transportowy, którym chce polecieć, utknął na noc w wiosce i właśnie zjawił się na lotnisku. – Po całym roku musisz się cieszyć na myśl o spotkaniu z siostrą, co?

Kobieta wzrusza ramionami i mamrocze:

– Chciałabym, by się tu przeniosła.

Sharon zwraca się do mnie:

– Powinnaś zobaczyć wioskę, z której pochodzi Dolores. Znajduje się w pobliżu Barrow. Ja tam nie byłam, ale Max tak. Słońce nie zaszło tam od... Od kiedy, Dolores?

– Od początku maja – potwierdza starsza kobieta.

– No tak. Początek maja. W końcu zajdzie za kilka tygodni. I nie pojawi się przez dwa miesiące zimy. Wcale. Nie możemy tam latać podczas nocy polarnych.

– Dostają zapasy na jesieni lub wcale – dodaje kobieta.

– I ciągle jest tam zimno. – Sharon drży. – Ile było dziś?

– Cztery. – Dolores, chcąc podkreślić swoje słowa, pociąga pikowany płaszcz.

Wyobrażam to sobie. Przecież jest początek sierpnia. Trzęsę się na samą myśl.

Dolores przygląda mi się bystrym wzrokiem.

– Kto to? Zastępczyni?

Sharon się śmieje.

– Nie. Córka Wrena. Przyleciała w odwiedzin.

Pasażerka znów posyła mi zaciekawione spojrzenie, mniej więcej to samo spotkało mnie w sklepie. Przynajmniej dziś nie czuję się nie na miejscu, ponieważ nie mam makijażu i mam na sobie flanelową koszulę. I wtedy kobieta spogląda na coś za mną. Na twarzy staruszki maluje się szczerzy uśmiech, który ukazuje brakujące zęby.

– No i jesteś.

– Znow lecisz do Helen?

Moje serce gubi rytm na dźwięk głosu Jonaha.

– Niestety. Zabierzesz mnie tam? – W czarnych oczach pojawia się iskra nadziei. Czy wszyscy mieszkańcy Alaski znają i lubią tego faceta?

– Nie tym razem. Ale nie martw się, będziesz w dobrych rękach Jima. – Opiera się o krawędź biurka i w tej pozycji znajduje się twarzą do nas obu.

Chyba nie mam odwagi popatrzeć na niego, ani skinąć mu głową. Spoglądam więc na starszą kobietę, obserwując go jedynie kątem oka, gdy odczuwam na skórze mrowienie, a na policzkach ciepło.

Trzygodzinny pobyt na deszczu ostudził moje hormony, dosłownie i w przenośni. Dopuszczenie do tego, co się stało rano, nie było dobrym pomysłem. Nie żałuję tego – jak mogłabym żałować czegoś tak dobrego? – ale do niczego mnie nie zaprowadzi, więc po co się wysilać? Wracam do Toronto, gdzie jest moje miejsce, a on zostanie na Alasce – tu, gdzie jego.

To ślepy zaulek.

Popelniliśmy błąd.

Dolores spogląda czarnymi oczami na twarz Jonaha, zatrzymując wzrok na jego zszytym czole.

– Słyszałam o wypadku.

– To tylko zadrapanie, nic mi nie jest. Jestem gotowy do drogi.

Bo jesteś szalony.

Kobieta marszczy brwi.

– Chociaż jakoś inaczej wyglądasz.

– Nie, wszystko po staremu – odpowiada szorstko, ale słyhać, że się droczy.

– Ależ tak. – Ponownie omiata wzrokiem jego twarz. – Ale nie wiem, co się zmieniło.

Nie potrafię stwierdzić, czy żartuje.

– W końcu obciął włosy! – woła siedząca kilka metrów dalej Maxine. Jest niska, pulchna, mówi głośno i jeszcze głośniejsze się śmieje.

Dolores chrząka i spogląda na niego jeszcze przez chwilę.

– Bardziej podobała mi się poprzednia broda – stwierdza w końcu, jakby mężczyzna czekał na jej ocenę. – Teraz jesteś za przystojny.

Jonah się uśmiecha, przy czym ukazują się jego dołeczki. Nie jest ani trochę obrażony tą szczerą opinią.

– Nie tak przystojny, jakbym wyglądał bez niej. Poza tym niektóre kobiety lubią ładnych mężczyzn. – Milknie i spogląda na mnie. – Prawda, Calla?

Czerwienię się, kiedy czuję, że wszyscy na mnie patrzą. Chrząkam.

– Niektóre pewnie tak. – *Dupku.*

W jego oczach pojawia się rozbawienie, jakby mówił: „Dupku, którego znów masz ochotę pocałować”.

I ma rację.

Kiepski pomysł, Calla. Bardzo zły.

– Marie! – Naszą walkę na spojrzenia przerywa pisk Sharon. Dziewczyna wybiega zza biurka, żeby przywitać się z wysoką, szczupłą blondynką, która właśnie pojawiła się w drzwiach.

Czy powiedziała Marie? Ta Marie? Pani weterynarz, która przylatuje tu raz w miesiącu, by ratować zwierzęta? Misjonarka, która zaszczepiła szopa Jonaha? Przyjaciółka, która – według Agnes – chciałaby czegoś więcej niż tylko przyjaźni?

Potwierdza to napis na kieszonce na jej piersi – Doktor Marie Lehr.

Próbuję się na nią nie gapić, ale i tak zauważam długie nogi odziane w niebieskie jeansy, długie i złote loki, które są wilgotne od deszczu, a mimo to w naturalnych, seksownych falach opadają jej na ramiona. Ma prawdziwie turkusowe oczy otoczone gęstymi, długimi rzęsami, mały nos, pełne usta i choć kości policzkowe do niej nie pasują, okrąg twarzy działa na jej korzyść. Powiedziałabym, że jest po trzydziestce i wygląda świeżo, chociaż na skórze nie ma ani grama makijażu.

Pamiętam, jak zastanawiałam się, jaka kobieta byłaby w typie Jonaha. Czuję, że właśnie ją poznałam.

Przyjaciółka czy nie, mogę się założyć, że z nią spał.

Dolores wraca na swoje miejsce, a Sharon obejmuje nowo przybyłą.

– Dopiero wylądowałaś?

– Tak. Trudny lot. – Odwzajemnia uścisk, który wydaje się niezręczny; przeskakuje wzrokiem do Jonaha, po czym wraca do Sharon, jakby nie była pewna, na kim się skupić. – Dobra, po pierwsze, wow, co za brzuch! A minął zaledwie miesiąc, od kiedy widziałam cię po raz ostatni.

– Tylko ty możesz tak powiedzieć – jęczy Sharon, głaszcząc się po nim.

– A ty? – Unosi brwi, przechodząc na drugą stronę biurka. – Co, u diabła, Jonah?

Mężczyzna ją obejmuje i przyciąga do siebie. Jest wysoka, ale w tej pozycji wydaje się drobna.

– Dokładnie, co, u diabła – mamrocze. – Cześć, Marie.

Odsuwają się od siebie, a kobieta wyciąga rękę i w intymny sposób głaszcze go po brodzie palcami z naturalnymi, schludnie przyciętymi paznokciami. Tak, jak kobieta może głaskać leniwie mężczyznę w łóżku, zaraz po seksie.

– Podoba mi się – mruczy.

No jasne.

A tak w ogóle, ile razy to robili?

Czy z nią również Jonah pogrywa w dziecinne gierki? Czy przyszpilił ją do ściany w ciasnym korytarzu, żeby skraść pierwszego buziaka? Czy wiedział o jej dzisiejszym przylocie,

gdy dobierał się do mnie rano? Czy zniknie na tyle dni, na ile kobieta tu zostanie?

Przynajmniej jej nie obmacuje. Właściwie odsunął się i wrócił do swojej nonszalanckiej, wyluzowanej pozy. Patrzy na mnie.

– Padłem ofiarą okrutnego, bezdusznego żartu.

Odsuwam od siebie rosnący niepokój, aby przewrócić oczami.

Jonah się śmieje.

– I zapewne sobie zasłużyłem.

– Zapewne – powtarzam z sarkazmem.

Kobieta z zaciekawieniem taksuje mnie pobieżnie spojrzeniem turkusowych oczu.

– To córka Wrena, Calla – mówi Jonah. – Przyleciała w odwiedziny.

– Nie wiedziałam, że Wren ma córkę – mówi powoli Marie. Z uśmiechem podaje mi dłoń, mimo że nie jest tak pogodna, jak na widok Jonaha. – Pierwszy raz na Alasce?

– Tak.

– Odebrałem ją w zeszły weekend z Anchorage. Jak do tej pory było... interesująco. – Jonah uśmiecha się tajemniczo, a ja, do jasnej cholery, znów się rumienię.

Marie przeskakuje wzrokiem pomiędzy nami i nie ma mowy, by była tak naiwna jak Mabel.

– Skąd jesteś?

– Z Toronto.

– O, daleko – mówi, jakby zamierzała stwierdzić „jaka szkoda”. Znacząco wpatrując się w Jonaha, jakby chciała się upewnić, że mężczyzna zdaje sobie sprawę z tego, co to oznacza. – Na długo zostaniesz?

– Na kolejny tydzień.

– Okej... – Jeśli się nie mylę, wzdycha z satysfakcją. Jeszcze tydzień i będzie miała Jonaha dla siebie.

– No chyba że postanowię przedłużyć pobyt – rzucam bez namysłu.

Jonah unosi lewą brew.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

To kłamstwo. Dokładnie wiem, dlaczego to palnęłam. Rodzi się we mnie nieprzyjemne uczucie.

Nie wierzę. Jestem o nią zazdrosna.

Przylapałam mojego chłopaka, z którym byłam od roku, na obściskiwaniu Stephanie Dupont, i pomachałam mu na do widzenia. Tymczasem wystarczyła jedna intymna chwila z Jonahem, żebym była gotowa przedłużyć pobyt na Alasce, chcąc zrobić na złość jego atrakcyjnej koleżance.

Właśnie to dostaję po jednym pocałunku z tym facetem.

Po drugiej stronie pomieszczenia rozlega się kaszel. Zaraz po tym tata wygląda z biura.

– Cześć, Marie. Już minął miesiąc?

– Zawsze mi się dłuży, Wren. Myślałam, że do tego czasu pozbędziesz się tego kaszlu.

– Tak... ale chyba nigdzie się nie wybiera. – Nikt nie widzi, jak nerwowo przestępuje z nogi na nogę, jakby nie czuł się komfortowo z tym kłamstwem. Zwraca się do Jonaha: – Raporty mówią, że mgła się przerzedziła, ale pozostały ciężkie chmury. Zapewne nadal będzie tak mżyc.

Jonah staje prosto, wzdycha z rezygnacją, a ja mimowolnie podziwiam jego tors, przypominając sobie, co czułam, dotykając go rano.

– Polecę na niskim pułapie. Może być.

– Co się dzieje? – pyta Marie, wpatrując się w twarz Jonaha.

– Mam odebrać turystów z gór. Czekają w umówionym miejscu już od czwartku.
– Przyda ci się towarzystwo? – pyta ochoczo.
– Już je mam, dzięki. Obiecałem jej lot w te rejony. Równie dobrze mogę upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Uświadamiam sobie, że mówi o mnie.

Walczę, żeby nie okazać szoku. Nigdy niczego mi nie obiecywał. Czy w ten sposób unika okazji do spędzenia czasu sam na sam z Marie?

A może chce pobycć więcej ze mną?

Muszę odmówić, powiedzieć, by leciał i zabrał ze sobą Marie. Dam w ten sposób wyraźnie znać, że wydarzenia tego poranka były błędem i nie interesuje mnie powtórka.

– Gotowa? – Patrzy bezpośrednio na mnie.

– Tak, zróbmy to. – *O... Calla.* Rodzi się we mnie dziwna mieszanina ekscytacji i strachu. Jestem gotowa? Bez względu na to, co stało się rano, czy jestem gotowa wsiąść do samolotu, kiedy na własne oczy widziałam, jak inny rozbił się zaledwie dwa dni temu?

Dlaczego mam wrażenie, że to sprawdzian? Że Jonah znów chce mnie przetestować?

Tym razem jednak zależy mi, aby dobrze przed nim wypaść.

Tata przygląda nam się przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. W końcu patrzy na Jonaha, z którym wymienia długie spojrzenie.

– Nie ryzykuj – ostrzega go.

– Jak zwykle – obiecuje z powagą Jonah.

* * *

– I kolejny! – krzyczę, celując obiektywem w dół, próbując uchwycić łosia z szerokimi łopatami na głowie, przechodzącego przez rzekę w stronę doliny. – Ależ one są wielkie.

Wpatrywałam się w ziemię, odkąd zobaczyliśmy małe stado karibu pasące się pod górą. Na tym końcu rzeki Kuskokwim widać zupełnie inny krajobraz niż tam, gdzie przepływa ona przez tundrę. Tutaj dolina wypełniona jest wysoką, wiecznie zieloną roślinnością, łąki usiane są mnóstwem różowych i fioletowych kwiatów, rzeka ma szersze skaliste brzegi, a wszystko to mocniej odcina się kolorami na tle szarego nieba.

– Można tu znaleźć prawie wszystko. Wilki, karibu, renifery, owce... – Jonah skupia się na trasie lotu, za co jestem wdzięczna, ponieważ lecimy dość nisko, po obu naszych stronach rozciągają się góry, ich szczyty zasnuwa mgła. – Wypatruj, może dostrzeżesz rodzinę grizli.

– Dużo ich tu?

Śmieje się.

– To kraj niedźwiedzi. Jak myślisz?

Drzę, ale wpatruję się w okolice rzeki z nowym zainteresowaniem.

– Ile czasu spędzili tu ci turyści?

– Podrzuciliśmy ich na miejsce osiem dni temu.

– Osiem dni? – Próbuję sobie wyobrazić, co to oznacza. Osiem dni noszenia sprzętu w górę i dół. Osiem dni włóczenia się po dziczy, w której można spotkać niedźwiedzie, spania w namiocie, który mogą zaatakować niedźwiedzie, poszukiwania jedzenia, którego również mogą szukać niedźwiedzie. Osiem dni bez toalety czy ciepłego prysznica. Za to z niedźwiedziami. – Szaleństwo.

– Tutaj to całkiem normalne. Szalone tylko wtedy, gdy nie wiesz, co robisz. Na szczęście ta para ma pojęcie. To małżeństwo z Arizony. Chyba mówili, że mają piętnastą rocznicę ślubu czy coś w tym stylu.

Wypróżnianie się do dołka przez osiem dni.

– Bardzo romantyczne – mamrocze cierpko.
– Niektórzy tak uważają. Tutaj, pośrodku pustkowia, możesz robić to, co ci się żywnie podoba – wyjaśnia. Mam przecucie, że mówi z doświadczenia.
– Tak, tylko tych dwoje, miliony komarów i wielkie grizli ryczące nocą wokół ich namiotu.

Śmieje się.

– Zazwyczaj dają spokój, póki turyści nie zrobią czegoś głupiego, ale właśnie dlatego zawsze, gdy obozuję, biorę ze sobą broń.

– I co, trzymasz ją naładowaną pod poduszką? – Kręcę głową. – Do diabła, nie. Za żadne skarby bym tu nie zasnęła, niezależnie od tego, ile doświadczenia miałaby osoba, która by mi towarzyszyła.

– Nie? – Chwila ciszy. – Nawet gdybyś była ze mną? – rzuca nonszalancko, a jednak w jego słowach słychać wyraźny podtekst.

Przełykam ślinę, bo nagle czuję w brzuchu jakieś dziwne trzepotanie i nie jestem gotowa na ten nieoczekiwany zwrot w rozmowie, mimo że z podniecenia pocierałam spoconymi dłońmi o uda, odkąd wyszliśmy z Wild. Jonah przez cały ten czas zachowywał się profesjonalnie, ściskając wolant i prowadząc samolot stabilnie pomimo bocznego wiatru, który z pewnością mógłby zdmuchnąć nas z pasa startowego.

Niemal ciągle rozmawiał przez radio z innymi pilotami, nasłuchiwał ostrzeżeń i nawigował ich przez mgłę i mocny deszcz. Wnioskując po ich raportach, nie wydaje mi się, żeby front szybko opuścił tę stronę stanu.

Dzisiejszy lot z Jonahem nie jest tak stresujący jak poprzedni, to zupełnie inne doświadczenie. Nie wiem, czy dlatego, że przez warunki pogodowe nie powinien ryzykować, czy może ma to więcej wspólnego z atmosferą panującą w ciasnym kadłubie.

Chociaż wiem, że to był błąd, nie potrafię przestać myśleć o tamtym pocałunku. Deszcz, turbulencje... Wszystko w moich myślach rywalizuje o uwagę z tym, co wydarzyło się tego ranka – z ustami Jonaha na moich ustach oraz sposobem, w jaki oddychał, kiedy się odsunął.

Teraz przemierzamy tę mglistą dolinę, a on sugeruje, byśmy uprawiali seks. Może nie powiedział tego wprost, ale właśnie to usłyszałam i nagle zaczęłam wyobrażać sobie nas nagich na dmuchanym materacu, z klapą pomarańczowego namiotu szeroko otwartą na wielką zieloną dzicz.

I wydaje się to szalenie romantyczne.

– Mogłoby być okej. – Wpatruję się w rzekę. Zabrzmiałam niemal tak, jakbym była zawstydzona. Kiedy ostatnio odczuwałam zażenowanie w stosunku do faceta, który najwyraźniej ze mną flirtował? Jestem przekonana, że robił to od kilku dni, na co całkowicie nie zwróciłam uwagi, a przecież sprawia, że mrowi mnie skóra i pragnę jego dotyku. Czy jest równie podniecony jak ja?

Czy rozstawił nogi tak szeroko, bo ma...

– Mogłoby być?

Odchrząkuję, wyrzucając tę myśl z głowy.

– Tak. Jesteś znacznie większym celem dla niedźwiedzia. Poza tym potrafię szybciej biegać.

W słuchawkach rozlega się głośny śmiech, który sprawia, że przeszywa mnie dreszcz i uśmiecham się głupkowato. Uzależniłam się od rozśmieszania go.

Niestety wesoła rozmowa dobiega końca, gdy mżawka staje się coraz ostrzejsza i wiatr się wzmacnia. Jonah jeszcze mocniej ściska wolant, marszcząc brwi na widok ciemnych chmur przed nami.

– Nie wygląda to dobrze.
– Nie, nie wygląda – zgadza się. – Tak tu właśnie jest, pogoda potrafi zmienić się w okamgnieniu. Nie jesteśmy jednak daleko od umówionego punktu zbiórki. Dotrzemy do niego.
– Okej. – Dociera do mnie, że całkowicie mu ufam. Może nie jest to korzystna chwila, aby pytać, ale przyda mi się odwrócenie uwagi, nawet pomimo zaufania. – A z tą całą Marie co cię łączy?
– To znaczy?
Obracam się, żeby spojrzeć na jego twarz, szukając wskazówek. Może Dolores miała rację i jest za ładny, ponieważ te pełne usta nie pasują do takiego mężczyzny. Ani rzęsy, które są tak długie, jakby były sztuczne.
– Doskonale wiesz, o co mi chodzi.
Przez chwilę zerka na mnie niebieskimi oczami, nim wraca wzrokiem do nieba.
– Dlaczego chcesz wiedzieć?
– Jestem ciekawa – powtarzam jego słowa, które wypowiedział, pytając o Corey’ego.
Uśmiecha się.
– Przyjaźnię się z nią.
– Nawet jeśli pragnie czegoś więcej?
– A pragnie?
Przewracam oczami.
– Przestań grać głupka. Wiesz, czego chce.
Przełącza coś na tablicy przyrządów.
– A dlaczego cię to interesuje?
– Nie interesuje.
Kręci głową.
– Panna Fletcher pełną gębą.
– Co to miało znaczyć?
– To, że powinnaś zapytać o coś, co naprawdę chcesz wiedzieć, Calla – mówi z irytacją.
– Dobra. Byliście kiedyś na randce?
– Nie.
Waham się.
– Do czegoś między wami doszło?
– Określ dokładniej.
– To chyba odpowiedź na moje pytanie – burczę bardziej do siebie, spoglądając na górskie zbocze.
– Raz mnie pocałowała.
– I...?
– Nie jestem w stanie dać jej tego, czego oczekuje. Nie jestem jeszcze w tym punkcie życia. – Nie wydaje się skrępowany, otwierając się przede mną.
– Jest ładna – ryzykuję.
– I bystra, i troskliwa, ale pragnę jedynie przyjaźni. Ona o tym wie. Wyjaśniłem jej to. Nie potrafię powstrzymać westchnienia ulgi.
– Zgaduję, że to odpowiedź, którą chciałaś usłyszeć.
Odwracam głowę, aby ukryć swój zmieszany uśmiech. Naprawdę jest zbyt spostrzegawczy. I śmiały. I byłby przyzwoity, gdyby przynajmniej raz nie wykorzystał wysokiej, jasnowłosej, długonogiej pani weterynarz w chwili swojej męskiej słabości.
– O co jeszcze chcesz zapytać? – rzuca cicho.
Waham się tylko przez chwilę. Dlaczego miałabym teraz przerywać?

– Dlaczego mnie dziś pocałowałeś?

– Ponieważ chciałem i wiedziałam, że ty również tego pragnęłaś – wyjaśnia, jakby było to oczywiste, czego właśnie się po nim spodziewałam. Milknie na chwilę. – Mylę się?

– Nie. – Niestety istnieje pomiędzy nami zbyt wiele przeszkód, które staram się ignorować. – Nie uważasz, że to odrobinę ryzykowne? Może jeszcze bardziej skomplikować tę sytuację. W dodatku i tak wyjeżdżam... – urywam, gdy doznaję objawienia.

Za tydzień mnie tu nie będzie. Nastanie miły, szybki i nieskomplikowany koniec tego, cokolwiek się między nami dzieje.

Wymyka mi się ciche:

– Ach... tak, oczywiście. – Właśnie dlatego to zrobił. To ja zaczęłam wyczytywać zbyt wiele z jednego pocałunku, zwłaszcza gdy zbliżył się do mnie gość, którego jeszcze tydzień temu nie znośiłam. Właśnie dlatego nie daję się naciągać na jednorazowe numerki.

– Oczywiście co?

Nagle na niebie pojawia się pomarańczowy samolot i zmierza wprost na nas. Przykuwa uwagę Jonaha, który przerywa naszą rozmowę. Chwilę później trzeszczy radio. Ktoś go wywołuje i nadaje złowrogie ostrzeżenie o okropnym bocznym wietrze oraz ulewnym deszczu za górą.

Czuję, jak na mojej twarzy maluje się strach.

– Zawracamy?

– Nie możemy. I tak jesteśmy na miejscu. – Przechyliłyśmy się na prawe skrzydło i zaczynamy opadać.

ROZDZIAŁ 21



– To na pewno właściwe miejsce? – pytam ze zwieszoną głową i owinięta kurtką, kiedy idę za Jonahem wąską ścieżką przez świerkowy las ze ściółką pełną bylin. Zostawiliśmy samolot i dalej musimy iść pieszo. Boli mnie żuchwa od zaciskania zębów, bo rzucało na zejściu, a moje legginsy przemokły od deszczu, który pada bardziej poziomo niż pionowo.

– To jedyne miejsce w okolicy.

Gdzieś po prawej gałązka trzaska na tyle głośno, że słyhać ją poprzez szum deszczu.

– Jonah... – Wstrzymuję oddech, obracając się i przeszukując wzrokiem drzewa.

– Spokojnie. Samolot wystraszyłby większość stworzeń. To pewnie Lannerdowie.

– No tak. – Przyspieszam, żeby skrócić dystans pomiędzy nami. Oslaniając oczy dłonią, wchodzę pod łuk, który ktoś skonstruował za pomocą pnia drzewa i liny. Ze środka zwisa rzeźbiony w drewnie znak, na górze przyczepiono poroże. Pasuje i jest dziwnie przyjemne pośrodku tego pustkowia.

Przed nami stoi niewielka chata. Wydaje się zadbana i dobrze zaopatrzona, obok znajduje się stos porąbanego drewna, a w solidne drewniane drzwi wetknięto gałązkę. Po prawej stoi rustykalny regał, na którym umiejscowiono przeróżne pudełka, narzędzia, sznurki, rękawice robocze i dwa czarne kanistry z ostrzegawczymi naklejkami z płomieniami. Przeróżne sprzęty wiszą na ścianie na kołkach, chronione przed pogodą przez szeroki daszek.

– Ogólnodostępne schronisko – czytam zawieszony nad drzwiami napis. Przyglądam się ogromnemu porożu powyżej i rakietom śnieżnym po obu jego stronach. – Każdy może z niego skorzystać?

– Powiedzmy. Stoi tu od dawna. Chyba od lat trzydziestych. Głównie korzystają z niego ludzie z największego wyścigu psich zaprzęgów na Alasce – Iditarod – dodaje, pukając do drzwi. – Halo? – Czeka chwilę, otwiera je i wchodzi.

Pachnie tak, jak się spodziewałam, że będzie pachniała dziewięćdziesięcioletnia leśna chata – stęchłym drewnem i wilgotną sadzą.

– Nie dotarli tu jeszcze – oświadcza Jonah, po czym rzuca ostro: – Cholera.

Z pewnością nie ma dowodów ich obecności. Trzy małe okienka wciąż są zabite z zewnątrz sklejką. Piętrowe łóżka w kącie – o prostych drewnianych ramach zbitych gwoździami, żeby się trzymały – pozbawione są śpiworów.

Na drewnianym stole piknikowym stojącym obok pieca, na którym można również gotować, nie ma żadnego jedzenia. Są tu natomiast inne rzeczy: lampy na hakach, papier toaletowy i nawilżane chusteczki na półkach, a także butelka oleju do smażenia znajdująca się na długim, prowizorycznym blacie, obok wieszaka na garnki i patelnie. Chociaż podejrzewam, że zostawili je poprzedni mieszkańcy lub opiekunowie tego miejsca.

– Może ich nie ma, bo się spóźniliśmy?

Kuca i zagląda do pieca.

– Nie... W taki deszcz potrzebowaliby ognia, a to palenisko nie było używane od dłuższego czasu. Poza tym wiedzieli, że data odbioru w dużej mierze uzależniona jest od pogody.

– W takim razie gdzie się podziali?

Wstaje i przeczesuje palcami mokre włosy, odgarniając je do tyłu.

– Dobre pytanie. – Zaciska usta.

– Myślisz, że się zgubili?

– Nie byliby pierwsi. – Zamyślony bębni palcami o blat. – I mieli telefon satelitarny, ale go nie użyli.

Po wcześniejszej rozmowie w mojej głowie rodzą się nieco bardziej mroczne i ponure myśli.

– A co, jeżeli coś ich dopadło? No wiesz, na przykład niedźwiedź?

– To nie zdarza się zbyt często – mamrocze, ale na twarzy ma wyraz zakłopotania. – Nie zauważyłaś żadnych namiotów lub rzeczy chroniących przed deszczem, gdy lecieliśmy, co?

– Nie. Niczego takiego nie widziałam. – Ostatnią oznaką bytności ludzkiej, poza facetem w samolocie, była łódź z wędkarzami na rzece dobre dziesięć minut przed tym, jak wlecieliśmy nad pasmo górskie.

Wpatruje się w zakurzone, wysłużone deski podłogowe.

– Powinni tu być w czwartek wieczorem, żeby ktoś mógł ich odebrać w piątek rano. Oznacza to, że są spóźnieni o całe dwa dni.

– Mówili, dokąd się wybierają?

– Przez przełęcz Rainy. Dali mi mapę. Mogli tam utknąć przez tę ulewę albo poślizgnąć się i zjechać po błocie. Mogła ich porwać rzeka... Któż to, u diabła, może wiedzieć? – Jonah podchodzi do drzwi i staje pod daszkiem, w zamyśleniu wpatrując się w górski grzbiet.

– Nie zastanawiasz się przypadkiem nad pójściem w góry, żeby ich szukać, co? – Kiedy nie odpowiada, wiem, że właśnie to rozważał. – Nie pójdziesz tam po nich.

Klnie, głaszcząc się po brodzie.

– Nie, nie pójdę.

Odczuwam ulgę.

Wyjmuje z kieszeni telefon satelitarny.

– Zgłoszę to.

Opieram się o futrynę, słuchając bębnienia deszczu o dach, gdy Jonah wyjaśnia komuś sytuację – prawdopodobnie mojemu tacie. Połączenie musi być kiepskie, bo mówi głośno i kilkakrotnie powtarza słowa, podkreślając, że nie ma turystów, że leje i że tu zostaniemy.

– Co powiedział tata? – pytam, gdy się rozłącza i wkłada telefon do tylnej kieszeni.

– Zgłosi to dalej. Rozpoczną poszukiwania, kiedy tylko pogoda na to pozwoli. Nic innego nie mogą zrobić.

– W porządku. I co teraz? – Drzę pod wpływem wilgoci i chłodu. Wciąż nie rozgrzałam się po porannym zbieraniu jagód.

– Teraz... utknęliśmy tu, dopóki warunki pogodowe się nie poprawią.

Coś w sposobie, w jaki to mówi, wywołuje we mnie kolejny dreszcz, choć tym razem nie z zimna.

– Na jak długo?

Jego pierś unosi się, gdy wzdycha głęboko.

– Może nawet na noc.

– Na noc? – Omiatam wzrokiem zimną, zatęchłą chatę i zatrzymuję się na drewnianej ramie piętrowych łóżek. Nie ma na nich materacy, koców, poduszek – nie żebym skorzystała z czegoś tu pozostawionego.

Nie ma elektryczności ani wody.

– Dasz radę, Barbie? – Odwracam się i widzę przenikliwe spojrzenie Jonaha.

Coś mi mówi, że chodzi mu o coś więcej niż surowe warunki.

Żołądek mi się ściska.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Udowodnij więc, że się mylę – rzuca wyzwanie, podchodząc o krok, zupełnie lekceważąc moją przestrzeń osobistą. Stoję pewnie, ale moje serce znacznie przyspiesza. Myśli o zaginionych turystach, niedźwiedziach, chatach i złych pomysłach ulatują mi z głowy i zostają

zastąpione tylko jedną, prostą refleksją – że desperacko pragnę, aby ponownie mnie pocałował.

Odchylam głowę do tyłu i patrzę w jego intensywnie niebieskie oczy.

– Jesteś córką Wrena.

Marszczę brwi.

– Tak... – O co mu chodzi?

– W kwestii tego, co powiedziałaś w samolocie. Wiem, co miałaś na myśli. – Marszczy nieznacznie brwi. – Jesteś córką Wrena. Nie wykorzystałbym cię w taki sposób.

– Nie nadążam. – Mój żołądek ściska się z niepokoju, że następne, co wyjdzie z jego ust, będzie czymś w stylu: „Masz rację, to był błąd, powinniśmy o tym zapomnieć”.

Pomimo tego, że widzę cel podróży, jestem gotowa ją podjąć i poczuć dreszczyk emocji.

– Mówię, że mogę zaryzykować, ale to zawsze musi być tego warte. Rozumiesz?

– Chyba tak? – *Niespecjalnie.*

Zerkam na jego usta. *Zapytaj, czy chcesz, żebyś mnie ponownie pocałował. Proszę.*

Nagle się odsuwa.

– Musimy przygotować obozowisko. Kiedy wrócę, rozpalę ogień.

– Skąd wrócisz?

– Z samolotu. Potrzebny nam sprzęt! – woła w dzicz.

Patrzę, jak odchodzi i maszeruje ścieżką w kierunku maszyny, garbiąc się przez deszcz.

Zostawia mnie samą w lesie.

– Czeka! – Biegnę, chcąc go dogonić.

* * *

– Powinnaś zostać – mamrocze Jonah, kucając przy piecu i wkładając do niego szczapy drewna. Podłoga wokół niego jest mokra od skapującego z niego deszczu.

Pewnie powinnam, myślę, wykręcając włosy, opierając się o otwarte drzwi i wpatrując w wysoką roślinność i dzikie kwiaty, które uginają się pod wpływem ulewy. Jonah wyjął nylonową torbę z samolotu, gdy niebo sprawiało wrażenie, jakby miało spuścić na nas coś, co musi zakończyć się potopem. Przebiegliśmy całą drogę powrotną, ale na nic się to zdało. Moje gumowe kalosze nie zapewniły żadnej ochrony.

– Zawsze latasz z tymi rzeczami? – Patrzę na sprzęt, który Jonah rzucił na podłogę, i próbuję ignorować beżową kaburę z bronią.

– Muszę. O wielu z nich mówi prawo. Poza tym kiedy raz tu utkniesz, uczysz się, by następnym razem lepiej się przygotować. Chociaż mamy szczęście. Zimny samolot mógł być jedynym miejscem do przenocowania. Zamiast tego mamy ten mały przytulny raj.

Nasze wyobrażenia raju są bardzo rozbieżne.

Obejmuję się ciasno, gdy Jonah zapala zapałkę. Chwilę później wyczuwam przyjemną woń palonego drewna. Ogień zaczyna trzaskać w piecu.

– Trzeba poczekać, zanim zrobi się tu ciepło. – W drodze do drzwi przechodzi obok mnie, po czym znika za rogiem. Wstrzymuję oddech z nadzieją, że się zatrzyma, spojrzy na mnie, uśmiechnie się, wyciągnie do mnie rękę.

Zrobi cokolwiek.

Rozlega się dziwny dźwięk.

– Jonah? Co tam robisz? – wołam, marszcząc brwi. Założyłam, że poszedł na stronę, co i ja będę musiała zrobić, jeżeli nie zdołamy uniknąć dłuższego pobytu w tej chacie.

Nagle przez niewielkie okno po lewej wpada do środka światło. Po chwili mój towarzysz odsłania pozostałe.

Pojawia się w drzwiach, włosy ma przyklejone do czoła, kropelki deszczu spływają mu

po brodzie.

– Jeśli chcemy się wysuszyć, musimy zamknąć drzwi. – Pociąga je, popychając mnie do środka.

Pomimo niewielkich okienek wewnątrz chaty wciąż jest ciemno, więc moje oczy potrzebują chwili, żeby przywyknąć do półmroku.

Jonah sprawdza palenisko i dokłada drewna. Ogień wzrasta.

– Jesteś prawdziwym skautem, co?

– Wiem, jak przetrwać, jeśli o to ci chodzi.

I dzięki Bogu. Wyobrażam sobie, co by było, gdybym utknęła tu z Coreym. Ostatniej jesieni ten kretyn dorzucił do ogniska mokrego drewna, po czym niemal sam stanął w płomieniach, gdy polał to wszystko benzyną. Nawet ja, dziewczyna z miasta, wiedziałam, że sięgając po kanister, prosił się o kłopoty.

Wątpię, by którykolwiek z moich byłych posiadał silny instynkt przetrwania. Przypuszczam, że żaden nie umiał obchodzić się z bronią.

Jednak ten oschły w obyciu alaskański pilot z przystojną twarzą całkowicie panuje nad sytuacją, rozbijając na noc obozowisko i zapewne w myślach odhaczając kolejne punkty z listy.

A ja po prostu stoję.

– Jak mogę pomóc?

– Znajdziesz tam zwinięty materac i śpiwór. Rozłóż je na podłodze.

– Na podłodze? – Krzywię się na widok desek.

– Zaufaj mi, będzie wygodniej niż na łózkach. W dodatku im bliżej ognia, tym cieplej.

Spełniam polecenie, zastanawiając się w duchu, dla kogo to łóżko – dla niego czy dla mnie.

A może dla nas.

Na tę myśl czuję trzepotanie w podbrzuszu.

Jonah zaczyna się rozbierać, wiesza ubrania na sznurku nad piecem, aż pozostaje w kremowej koszulce z pikowanego materiału, która przypomina termoaktywną. Trzy guziki pod szyją ma niezapięte, przez co widać krawędź obojczyka i górną partię mięśni klatki piersiowej.

– Daj mi swoje mokre rzeczy.

– Wszystkie są mokre – mamroczę, zdejmując kurtkę i flanelową koszulę. Nawet krawędź tuniki jest wilgotna.

Jonah przez chwilę wpatruje się w mój biust. Biorąc pod uwagę, że przez jego koszulkę jestem w stanie dostrzec jego sutki, to nie chcę nawet myśleć, jak sama wyglądam. Potem wyciąga rękę.

Marszczę brwi, widząc jego nadgarstek.

– Krwawisz.

Obraca dłoń i przygląda się ranie.

– Ach, cholera. Musiałem się skaleczyć przy zdejmowaniu płyt z okien. To nic takiego.

– Krwawisz. Gdzieś tu musi być apteczka. – Kucam i grzebię w torbie ze sprzętem.

Znajduję linę, nóż myśliwski, latarkę, tabletki jodowe do uzdatniania wody i amunicję, aż wreszcie trafiam na małe białe pudełko.

– Nie stosuję plastrów – prycha Jonah, wieszając moją kurtkę przeciwdeszczową obok swoich rzeczy.

– Chodź tu – nakazuję cicho, odpakowując beżowy plaster i podchodząc do niego.

Po chwili podaje mi swoją wielką, szorstką dłoń.

Ostrożnie opatruję jego ranę, a on intensywnie wpatruje się w moją twarz.

– Proszę – mówię, głaszcząc jego przedramię, podziwiając w duchu mięśnie i delikatne

jasne włoski, które łaskoczą mnie w palce. – I tak już zniszczyłeś krwią wystarczająco dużo ubrań. – Nigdy nie przypuszczałabym, że powiem coś takiego do faceta.

– Pytałaś, dlaczego cię pocałowałem.

Ryzykuję i patrzę w górę. Dostrzegam żar w jego niebieskich oczach.

– A ty stwierdziłaś, że tego chciałeś.

– To nie była właściwa odpowiedź. – Omiatając wzrokiem moją twarz, wyciąga rękę i poprawia mokre włosy, które przyłgnęły mi do czoła. – Od wielu dni doprowadzasz mnie do szału i nie byłem w stanie powstrzymać się ani chwili dłużej.

– Serio? – pytam słabo, a włoski na karku stają mi dęba. Ten onieśmielający, wygadany, choć mający miękkie serce facet mówi mi, że mnie pragnie. Bardzo.

Właśnie tym jest Jonah – mężczyzną. Inni, z którymi byłem, to zaledwie chłopcy.

Przepływa przeze mnie podniecenie, moje ciało rozgrzewa się aż po koniuszki palców.

To się dzieje tak szybko.

W jednej chwili ledwie dotykam jego ręki, a on muska mój policzek. W drugiej trzyma mnie za kark i przyciąga do swoich ust. W tym pocałunku nie ma niczego delikatnego czy czulego. Wydaje się, jakby Jonah odliczał minuty i godziny od dzisiejszego poranka aż do teraz, a kiedy w końcu dostał to, czego pragnął, nie zamierza tracić ani sekundy.

Utknęłam pośrodku gór Alaski i teraz całuję się z Jonahem.

Nie wierzę, że to się dzieje, ale bez względu na to, do czego się wcześniej przekonywałam, zamierzam popełniać ten błąd całą noc.

Otwiera moje usta, więc dzisiejszego dnia smakuję go po raz drugi, kiedy wysuwa język. Wyczuwam smak miętowej gumy do żucia i waniliową oranżadę, którą pił w samolocie. Nie lubię jej, ale z ust Jonaha mogłabym wypić całą skrzynkę.

Wodzę palcami po jego ciele, unoszę je na tors, rozkoszując się twardymi mięśniami, i sunę dalej, na ramiona, śledząc krawędzie obojczyków łączące się z umięśnioną szyją. W końcu łapię za kark, by móc przyciągnąć go bliżej siebie. Jeśli to w ogóle możliwe.

Wciąż próbuję przetworzyć zaistniałą sytuację, gdy jęczy cicho:

– Calla.

Mogę jedynie odpowiedzieć w ten sam sposób, kiedy każdy centymetr kwadratowy mojego ciała płonie, łaknąc jego dotyku.

Jonah przestępuje z nogi na nogę, nieco je przy tym rozchylając. Wolną rękę kładzie mi na plecach i przyciąga moje lędźwie do siebie, przez co ocieramy się o siebie. Czuję, że jego twardy członek napiera na mój brzuch.

Mężczyzna przenosi usta na moją szyję, przez co na wpół chichoczę i jęczę; jego zarost zarówno mnie odurza, jak i łaskocze. Gdy w tym samym miejscu skubie zębami, z mojego gardła wydobywa się głęboki pomruk.

– Masz przemoczone ubranie – mówi cicho, przesuwając dłońmi po moich bokach do skraju tuniki i legginsów, wbijając mi palce w ciało w najapetyczniejszy sposób. Nagle odsuwa się o dwa długie kroki. – Zdejmij – poleca miękko i cicho. – Rozwieszę je, żeby wyschły.

Krzyżuje ręce na szerokiej piersi i czeka cierpliwie w milczeniu, wpatrując się we mnie rozpalonym wzrokiem. Ma rozchylone usta.

– Ty też. – Jego bielizna również nie jest sucha.

– Najpierw ty – odpowiada, w jego oczach tli się żar.

W chacie zapada cisza, słychać jedynie bębnienie deszczu o dach. Uświadamiam sobie, że Jonah wstrzymuje oddech.

Z trudem przełykam ślinę, bo nagle się denerwuję. Chwytam za rąbek długiej koszulki i unoszę materiał ponad piersi, składając ręce, by przeszedł mi przez głowę.

Obsypuje mnie gęsia skórka, gdy Jonah omiata wzrokiem mój biały koronkowy biustonosz i płaski brzuch.

Wyciąga rękę, więc rzucam mu tunikę. Czeka bez słowa.

Zdejmuję kalosze i odrzucam je na bok, po czym zaczepiam kciuki o gumkę legginsów i zsuwam mokrą bawełnę aż do kostek. Następnie zdejmuję skarpetki.

Jonah znów spogląda na moje ciało, leniwie sunąc po nim wzrokiem.

– Zmarzłaś.

– Tak. – Chociaż w tej chwili czuję, jakbym płonęła, kiedy tak na mnie patrzy.

– Dlatego lepiej się pospiesz – mruczy z krzywym uśmiechem, trzymając w ręce moje ubrania.

Oboje wiemy, że moja bielizna jest sucha. Cóż, przynajmniej jeśli chodzi o wilgoć wywołaną przez deszcz.

Jestem oszołomiona. Sięgam do tyłu, aby rozpiąć biustonosz, i pozwalam mu spłynąć luźno na dół.

– A tak przy okazji, są prawdziwe – mamrocze głupio, gdy chłód owiewa moje stwardniałe sutki.

Jonah zaciska usta.

– Widzę.

Biorę głęboki wdech, wsuwam palce pod gumkę majtek i pozwalam koronce opaść.

– Kurwa – syczy, po czym podchodzi do sznurka, by powiesić moje ubrania. Przypina je klipsami, podczas gdy ja stoję w chłodnej, ciemnej chacie, walcząc z pragnieniem, żeby mocno się objąć. Coś mi mówi, że Jonah woli pewne siebie kobiety.

– Do łóżka. Teraz – mówi, a moje serce znacznie przyspiesza. Nigdy nie byłam z facetem, który by mi rozkazywał. Nie sądziłam, że to może być podniecające.

Opadam na kolana na piankę – niezbyt szeroką jak dla dwóch osób – nakrywam się rozpiętym śpiworem, po czym obserwuję, jak Jonah zdejmuje buty i skarpetki.

Sięga za głowę, by zdjąć koszulkę. Sapię, widząc jego szerokie plecy, oliwkową skórę i mięśnie widoczne wzdłuż kręgosłupa oraz na łopatkach.

Obraca się i daje mi możliwość spojrzenia na jego szeroką pierś, pokrytą niewielkimi jasnymi włoskami, które biegną w dół, zmieniając się w ciemniejsze i znikając pod materiałem spodni.

Bezwstydnie wpatruję się, jak rozpiną pasek i jednym płynnym ruchem zsuwa wszystkie warstwy.

Znów cicho sapię, gdy go widzę, i czuję, jak rozszerzają mi się oczy. Luźne jeansy skrywają grube, umięśnione, długie, pokryte jasnymi włoskami nogi.

A jego ciało jest zbudowane proporcjonalnie.

Czuję, jak moje kolana bezwolnie rozszerzają się na boki.

Muszę przesunąć wzrok w górę, gdy Jonah podchodzi do mnie z tym swoim zarozumiałym, cwaniackim uśmiechem. Boże, zaczęłam go uwielbiać. Wesolość szybko jednak niknie w chwili, w której mężczyzna mości się na niewielkiej macie obok mnie, unosząc przykrycie, żeby się pod nim zmieścić.

Jego skóra przy mojej jest gorąca, ale i tak drzę.

W jaki sposób przeszliśmy od nieoczekiwanego pocałunku rano do tego? Nie jestem taka, nie działałam pochopnie. Mimo to przysuwam się, pozwalając, by włożył mi pod głowę rękę, witając jego wargi, którymi rozchyła moje usta. Krew szumi mi w uszach.

Po raz pierwszy przeciągam długimi paznokciami po jego brodzie, skupiając się na wspaniałym odczuciu, gdy Jonah zajmuje się moim ciałem. Czuję coraz większe podniecenie,

kiedy wodzi dużymi dłońmi po moim udzie, a następnie bawi się moimi włosami i przyciska dłoń płasko do szyi.

– Nie powiem, że spodziewałem się takiego obrotu spraw – mówi cicho, powoli głaszcząc mój obojczyk, aż dociera do konturu mojej lewej piersi i zatrzymuje się tam na dłuższą chwilę. Potem bez chwili zawahania przenosi palce na brzuch i niżej... na tyle, na ile może sięgnąć. Dotyka mnie tak, jakby uczył się moich kształtów.

Kiedy wsuwa dłoń pomiędzy moje nogi, dech więźnie mi w gardle. Jest o wiele delikatniejszy, niżbym się tego po nim spodziewała.

– Jesteś zdenerwowana – oznajmia, gdy jego szorstkie palce, które są nieoczekiwanie miękkie, zanurzają się we mnie.

– Nie, nie jestem – kłamię szeptem i go całuję.

– Dlaczego się denerwujesz?

Waham się.

– Poza tym, że to pierwszy raz? – Wyznaję, choć brzmi to jak pytanie.

Skubie zębami moją dolną wargę, zanim ją puszcza.

– I to jedyny powód?

Mam mu wyznać prawdę? Że czasami potrafi być onieśmielający, że wcześniejsze ocenianie uraziło mnie i nie było miłe, a teraz odsłoniłam się przed nim jeszcze bardziej, narażając na krytykę.

Odsuwa się, by na mnie spojrzeć, zatrzymując ruchy palców, i wpatruje się we mnie uważnie tymi niebieskimi oczami.

– Wiesz, że jesteś idealna, prawda?

– Och, oczywiście, że o tym wiem – żartuję z fałszywą pewnością siebie, próbując ukryć prawdziwy powód mojego zdenerwowania. – Ale nie jestem w twoim typie. No wiesz, wolisz długonogie blondynki.

Dobry pomysł, Calla. Przypominaj mu o tym teraz.

Unosi brwi, ale w jego oczach dostrzegam potwierdzenie swoich domysłów.

– To nie mój typ.

– Ale mówiłeś...

– Ty jesteś w moim typie – odpowiada łagodnie, ale jego wzrok jest nieustępliwy.

Nieruchomieję zaskoczona powagą na jego twarzy.

– A co to dokładnie znaczy?

Wzdycha głęboko, przesuwając się i wiedzie ustami tą samą drogą, którą przebyła jego dłoń.

– Bystra... – Sunie językiem po moim obojczyku kilka razy tam i z powrotem, pozostawiając po sobie chłodny, wilgotny ślad, aż dociera do mojego twardego sutka. – Zdziorna...

Sapię, gdy ssie mocno, nim wypuszcza go z ust. Wielkie, muskularne ciało przesuwają się w dół, rozsuwając mi nogi, a usta całują brzuch, przez co się spinam.

– Dowcipna...

Wstrzymuję oddech, jego broda łaskocze moje pachwiny.

Jonah zatrzymuje się w tym miejscu.

Zamykam oczy i z trudem przetykam ślinę, w moim wnętrzu wrze niecierpliwość.

– I tak cholernie piękna... – szepcze. Słowa opływają mnie z jego ciepłym oddechem.

Jęczę cicho, kiedy przywiera do mnie ustami.

Nie wierzę, że to się naprawdę dzieje. Nie wierzę, że Jonah...

Ze zdumieniem patrzę w drewniany sufit starej chaty, a serce kołocze mi jak oszalałe, hormony wariują, zalewając całe moje ciało ciepłem.

Jonah nie odsuwa się, nie przerywa, cicho stękając z podniecenia. Niedługo później moje zdenerwowanie odchodzi w niepamięć. Wsuwam palce w jego włosy, ocieram się miednicą o jego usta i wykrzykuję jego imię, które niesie się echem na kilometry ponad odgłosami deszczu.

Do czasu, gdy przesuwa się w górę i mości między moimi udami, żeby się we mnie wsunąć, jestem desperacko złakniona.

Obejmuję go rękami i nogami, przyglądając się jego szerokiej piersi za każdym razem, gdy we mnie wchodzi, a w jego na wpół przymkniętych oczach tli się ogień. Wtedy też zastanawiam się, jak to możliwe, że wcześniej nie pragnęłam tego mężczyzny.

* * *

– Obudzę się i ich również nie będzie? – pyta cicho głębokim, ochryłym, chociaż pełnym rozbawienia głosem.

Wodzę długimi paznokciami po miękkich, cudownie wilgotnych od potu jasnych włoskach na jego torsie, okrążając najpierw jeden sutek, później drugi.

– Nie. Te chyba zostawimy. Ale te... – Unoszę dłoń do jego brody i przesuвам palcami po linii żuchwy, aż trafiam opuszką na miękkie wargi. – Chyba trochę bardziej się nimi zaopiekuję.

Kładę głowę na jego piersi, która trzęsie się, gdy Jonah się śmieje.

– Jestem twoją lalką?

Wiodę palcami na południe, w stronę środka jego torsu i dalej do brzucha. Uśmiecham się, czując, jak kurczą się jego mięśnie.

– Bardziej zadbaną figurką.

W chacie zapada głucha cisza, słyhać tylko monotony deszcz uderzający o dach i przyspieszony oddech mężczyzny. Przesuwam palcem za włoskami pod jego pępkiem, pragnąc zawędrować dalej, by pieścić aksamitnie miękką skórę i patrzeć, jak znów się powiększa.

– Nie zaczynaj czegoś, czego nie będziesz w stanie dokończyć – ostrzega.

Zarzucam na niego nogę.

– A kto mówi, że nie będę? – Wydaje się, że nie mogę się nim nasycić. Nie potrafię nawet spojrzeć na jego usta, żeby nie myśleć o pocałunkach, ani na jego dłonie, by nie przypominać sobie ich dotyku. Zaczyna mrowić mnie skóra, gdy pochłaniają mnie te myśli.

Ale powstrzymuję się. Znalazłam sobie błogie miejsce w zagłębieniu jego ramienia. Przyciśnięta do jego boku chłonę bijące od niego ciepło. Nie chcę niszczyć tej cudownej chwili.

– Trzeba podłożyć do pieca.

Jęczę.

– Nie każ mi się ruszać. – Piankowa mata jest cienka, więc nie za bardzo pomaga w ukryciu tego, że leżymy na twardej, zimnej, drewnianej podłodze, po której przeszła niezliczona ilość butów. Mimo to w tym momencie łatwo nam o tym zapomnieć.

Zaczyna mi głośno burczeć w brzuchu.

– Co zrobimy w kwestii jedzenia?

– Poradzimy sobie. Mamy wodę i wystarczająco prowiantu, aby przeżyć na nim kilka dni.

– Wyciąga rękę do torby i wyjmuję z niej paski suszonego mięsa.

– Co to? Wołowina?

– Tak. – Bierze kolejne różowe. – A to łosoś.

Marszczę nos.

– Rozumiem, że dziękujesz za łososa.

– Nie lubię ryb.

– Rety, naprawdę znajdujesz się po niewłaściwej stronie świata.

– Skąd to w ogóle masz?

– Od Ethel. Pamiętasz ją?

– Kobieta, która groziła, że odetnie synowi rękę? Niezbyt.

Śmieje się.

– Dała mi je, kiedy byłem ostatnio w ich wiosce. – Wyjmuje ciemne mięso z paczki i rozrywa je zębami, zaciskając seksownie usta, gdy żuje. – Masz, spróbuj. – Podaje mi kawałek.

Wącham. Pachnie, jakby było wędzone.

– Dobrze?

– Lepsze niż cokolwiek ze sklepu. I mamy tylko to, więc śmiało. – Stuka palcem w moje usta. – Ugryź.

Z wahaniem otwieram usta, pozwalając mu wsunąć w nie mięso. Uważnie mnie obserwuje, gdy skubię maleńki kęs przednimi zębami. Przez chwilę pozwalam, by intensywny smak rozszedł mi się po języku.

– Niezłe – przyznaję, przeżuвам i przelękam. Kiedy moje nagie plecy owiewa chłód, wtulam się w jego bok, drżąc.

– Daj mi chwilę. – Całuje mnie w czoło, a następnie zręcznie wydostaje się spode mnie.

Okrywam się szczelnie i obserwuję, jak bierze polano z niewielkiego stosu w kącie i dokłada do pieca, całkowicie nieskrępowany swoją nagością. Z pewnością nic nie pozostało z chudego chłopaka, którego widziałam na zdjęciu. Męczyzna składa się w tej chwili z samych mięśni. Jego ciało ma odpowiednie proporcje, uda są solidne i grube. Sprawia, że Corey wygląda jak chuderlawy nastolatek, mimo że jest tylko o dwa lata od niego młodszy.

– Chodzisz na siłownię?

– Już dawno nie byłem.

– Więc jak...

– Szalone norweskie geny. Powinnaś widzieć ręce mojego dziadka. No i dużo się ruszam.

– Płomienie stają się coraz większe, rozświetlają ciemną chatę i odbijają się w oczach Jonaha, co sprawia, że jego niebieskie tęczęwki błyszczą.

– Ruszczasz się tak, jak przez ostatnią godzinę? – Sposób, w jaki to robił, w jaki napinały się jego mięśnie, w jaki poruszała się jego skóra podpowiada, że z pewnością trenował. Odruchowo zaciskam uda na tę myśl. Wciąż go w sobie czuję.

Ostre spojrzenie skupia się na mnie, nim wraca do ognia. Jak zwykle domyślił się, o co naprawdę pytałam, i decyduje, czy będę musiała to z niego wyciągać, czy podda się dobrowolnie.

– W zeszłym roku spotkałem się z pilotką ze straży przybrzeżnej.

– Co się stało?

– Nic. Przeniesiono ją w dolne stany.

– Tęsknisz? – *Jaka była? Z nią też spędziłeś noc na podłodze starej chaty przy ogniu? Czy nadal byś z nią był, gdyby nie wyjechała?*

Bierze pogrzechacz i rusza nim w piecu.

– Wiedziałem, że tu nie zostanie, więc nie przywiązałem się.

Bawię się suwakiem śpiwora, próbując odepchnąć od siebie nieprzychylne myśli. *Tak samo jak nie przywiążesz się do mnie, bo też wyjeżdżam.* Następna myśl jest bardzo egoistyczna, mówi, że chciałabym, by się do mnie przywiązał. Aby za mną tęsknił. Żeby cierpiał z powodu mojej nieobecności.

Ponieważ nie byłabym w tym sama.

Przypuszczam jednak, że jest zbyt mądry, by do tego dopuścić.

– Zawsze jesteś taki szczery? – pytam łagodnie. Czasami jest wręcz brutalny. Chociaż

chyba zaczynam to doceniać. To jak kubek zimnej wody.

Przyglądam się jego twarzy. Poważnieje w zamyśleniu, zaciskając przy tym idealne usta. Choć skryte pod zarostem, wciąż są seksowne. Nastrój w chacie nagle się zmienia.

Jonah wzdycha, odkłada pogrzebacz obok pieca, podchodzi do drzwi i otwiera je szeroko. Stoi na progu, obserwując deszcz, ręce trzyma na futrynie nad głową, a jego zupełnie naga sylwetka wypełnia wejście. Do środka wpada chłodne powietrze.

Wyczuwam, że powinnam milczeć, pozwolić mu przemyśleć kilka rzeczy, więc siadam i okrywam się szpiworem. Podziwiam jego piękne ciało. Pośladki, których nie byłam w stanie ocenić w workowatych jeansach? Są w porządku. Okrągłe i jędrne z czerwonymi śladami po moich paznokciach. Kilka innych zadrapań widnieje na jego plecach. Nie pamiętam, żebym była aż tak ostra.

– Tata taki był. Mówił, co myślał, a przeważnie nie było to miłe. Nie potrafił się pohamować. Wydawało się, że mógłby wybuchnąć, gdyby się powstrzymywał. – Śmieje się. – Kiedy poznałem Wrena, początkowo nie wiedziałem, co o nim myśleć. Był cichym mężczyzną, który się nie wychylał i pozwalał, żeby sprawy biegły swoim torem. Nie krzyczał. Stanowił całkowite przeciwieństwo mojego ojca. Pewnie on również nie wiedział, co o mnie myśleć. Byłem pewien, że przegoni mnie już w trakcie pierwszego tygodnia pracy, ale George powiedział, że muszę przyjść do Wild, więc mu zaufałem.

Uśmiecham się, wspominając słowa taty.

– Mówił, że kiedy zaczynałeś, byłeś pełen pychy.

Znów się śmieje.

– Z pewnością nie byłem słodki i grzeczny.

– Ale wiedział, że byłeś dobrym pilotem.

– Zabawne, wiesz? Tata nauczył mnie, jak latać, ale to Wren jako pierwszy powiedział, że byłem w tym dobry. Może gdyby ojciec to zrobił, nie porzuciłbym wojska. Może byłbym bardziej skłonny, by go zadowolić. To znaczy, dla Wrena zrobiłbym wszystko. – Milknie. – Wiem, że wasza relacja nie jest idealna i że wiele zawinił, ale nadal jest najlepszym człowiekiem, jakiego znam. Chciałbym... – urywa i przełyka ślinę.

– Naprawdę się cieszę, że Agnes do mnie zadzwoniła – przyznaję. To pierwszy raz, kiedy wypowiadam te słowa. To pierwszy raz, gdy je czuję.

Obraca głowę, dzięki czemu widzę jego profil.

– Wspominałaś dziś, że mogłabyś zostać na Alasce nieco dłużej.

– Eee... – *Tak, gdy zaślepiła mnie zazdrość.* – Nie przemyślałam tego, gdy...

– Powinnaś zostać. – Ponownie wygląda na zewnątrz. – Dla Wrena. Następne tygodnie, miesiące... będą trudne. Byłoby lepiej, gdybyś była wtedy na Alasce. Z nim.

– Będzie tu w ogóle? Wydaje się, że wiele czasu spędzi w Anchorage.

Jonah milczy przez chwilę.

– Nie poprosi, byś się dla niego poświęciła, ale naprawdę się cieszy, że tu jesteś. Widzę to.

Dokładnie to zrobiłabym. Poświęciłabym swoją karierę w kolejnym banku. Zrezygnowałabym z przebieranek z Dianą na tylnym siedzeniu jej samochodu, by pstryknąć kilka fotek, z mądrych porad Simona i jego pysznych latte, a także ze szpilek oraz wypadów do klubu w piątkowe noce.

Albo powróciłabym do telefonicznej relacji z ojcem.

I praktycznie zerwałabym kontakt z Jonahem.

Żołądek ścisną mi się na tę myśl.

– Może masz rację. Chociaż nie wiem, co mam zrobić. Nie mogę co tydzień przekładać

rezerwacji lotniczej. Każą płacić dwie stówy...

– Zobacz, czy zdołasz anulować bilet i wykupić ponownie, kiedy będziesz gotowa wracać.

Prawdopodobnie by się udało. Simon mówił, że oferta jest elastyczna. Jak zwykle Jonah sprawia, że wszystko wydaje się proste.

– Twoje życie poczeka niezależnie od tego, czy wrócisz za tydzień, miesiąc, rok...

– Rok?!

– Może nie aż tak długo – mówi cicho. – Mam na myśli, że niczego nie stracisz, zostając tutaj. Wciąż będziesz miała do czego wracać.

Ponownie omiatam wzrokiem jego perfekcyjne ciało. Spędziłam dwie godziny splątana z tym facetem.

– A co z nami? Jeżeli zostanę, czy wszystko się skomplikuje? – Ponieważ zaczynam coś do niego czuć i nie jest to tylko fizyczny pociąg.

Jak wpłyną na nas wspólnie spędzone tygodnie czy miesiące?

– Może, ale nigdy nie pozwolę, by powstrzymało mnie to przed tym, co muszę zrobić. Żyję z dnia na dzień. A dziś jestem tutaj. – Zamyka drzwi i staje twarzą do mnie. Mimowolnie zerkam w dół. Z pewnością nie zareagował na chłodne powietrze. – Ale jeśli chcesz, jeżeli to ma być powód, który zaważy na twojej decyzji o pozostaniu na Alasce, możemy dać sobie spokój.

Niespodziewanie czuję ogromne rozczarowanie na tę sugestię, gdy dociera do mnie, że mogłabym nie czuć jego ust czy dłoni, jego ciężaru ani ciepła. *Nie, nie chcę niczego kończyć.*

– Nie przesadzajmy.

Uśmiecha się.

– Przypuszczałem, że to powiesz. – Podchodzi, klęka na końcu maty i zrywa ze mnie śpiwór. Natychmiast obsypuje mnie gęsia skórka. Jonah wodzi wzrokiem po moim ciele, zastanawiając się, które miejsce zaatakować jako pierwsze.

Pomagam mu zdecydować, wyciągając się ku niemu, chociaż żołądek zaciska mi się z nerwów.

Mocnymi, szorstkimi dłońmi oplata moje kostki i sunie w górę, rozsuwając mi nogi, dzięki czemu natychmiast zapominam o wszystkich problemach.

ROZDZIAŁ 22



Trach.

Trach.

Trach.

Otwieram oczy, gdy z zewnątrz dochodzi powtarzający się, przytłumiony dźwięk. Niezbyt jasne światło przesącza się przez niewielkie okienka, rozjaśniając pomieszczenie na tyle, że widzę garnki i patelnie zwisające ze ściany na gwoździach.

Jestem sama w tymczasowym posłaniu, aura jest chłodna. Naciągam śpiwór pod brodę i zwijam się w kulkę, natychmiast czując lekko obolałe mięśnie. Nie wiem, czy to wynik spania na cienkiej macie, czy może nocy spędzonej z Jonahem.

Zauważam, że przynajmniej już nie pada. Dźwięk deszczu uderzającego o dach stał się białym szumem, dzięki któremu w końcu zasnęłam, ale panująca w tej chwili cisza jest ogłuszająca.

Trach.

Trach.

Trach.

Wygrywa ciekawość. Odkrywam się, wkładam kalosze i ściągam koszulę Jonaha ze sznurka, wiedząc, że wystarczy mi tylko ona. Owijam się ciasno i wychodzę na zewnątrz. Nad mokrym lasem osiadła gęsta mgła, zasnuwając wierzchołki drzew i wąską ścieżkę prowadzącą do samolotu. Zniknął nawet wychodek. Ranek jest niemal upiorny.

Jonah stoi po lewej, pochylony plecami do mnie, ustawiając na wielkim pniaku mniejszy pień. Obok znajduje się siekiera, a za nią kupka niedawno narąbanych polan. Mężczyzna ma na sobie jedynie workowate jeansy i niezawiązane buty. Opieram się o futrynę i w milczeniu podziwiam siłę jego napinających się mięśni na plecach, gdy sięga po narzędzie.

– Jak się spało? – pyta nagle, ochryplym od snu głosem.

– W miarę dobrze. – Odchrząkuję. – Trochę chcę mi się pić.

– Co za niespodzianka – mamrocze cierpko. – Woda, którą mieliśmy, powinna nam wystarczyć na tydzień.

– Chyba gdybyśmy byli wielbłądami. – Jestem przyzwyczajona do picia codziennie dwóch litrów, jak robię to w domu.

Patrzy przez ramię, omiatając wzrokiem moje nagie uda, nim wraca uwagą do swojego zadania. Bierze zamach siekierą i opuszcza ją na pień, który rozpada się na dwie części.

Jeśli istnieje piękno w czymś tak prozaicznym jak rąbanie drewna, z pewnością jest w Jonahu. A może to tylko on sam, ponieważ mogłabym przyglądać się jego szerokiej piersi i wąskiej talii przez cały dzień. W moich myślach pojawia się przeblysłk napinających się ramion i natychmiast czuję ucisk w podbrzuszu.

Pod wpływem impulsu wchodzę do chaty po aparat Simona. Udaje mi się zrobić kilka zdjęć w akcji, zanim Jonah obraca się i przyłapuje mnie na gorącym uczynku.

– Co robisz? – pyta ostrożnie.

– Nic. Tylko... chcę to zapamiętać. – Uśmiecham się, odkładając aparat. Jakbym zdołała wymazać to z umysłu.

Stęka głośno, ale nie wiem, czy jest wkurzony, czy po prostu jest sobą.

– Niedługo znów zapalę w piecu.

– Która w ogóle jest godzina? – Bateria w mojej komórce dawno padła.

– Po szóstej.

Niezdolna do ignorowania potrzeb ciała niechętnie człapię w kierunku wychodka. Wczoraj Jonah trzykrotnie mnie tam prowadził w deszczu i zanosił się śmiechem za każdym razem, gdy wybiegałam z obskurnej, ciemnej kabiny. Nigdy wcześniej tak szybko nie sikałam, nienawidząc każdej chwili tej czynności.

O dziwo, pomimo braku innych udogodnień to jedyna rzecz, która przeszkadza mi w tej dzicy. Zapewne dlatego, że Jonah zajmował się resztą.

– Przypuszczam, że nie możemy jeszcze wystartować? – zagaduję w drodze powrotnej, wyciskając środek dezynfekujący na dłoń. Wysokie, mokre trawy łaskoczą mnie po nagich nogach i pozostawiają wilgoć na skórze.

– Nie, póki mgła się nie podniesie. Musimy spędzić tu jeszcze przynajmniej kilka godzin.

– Po potężnym zamachu dwie połówki pieńka lądują na ziemi.

Zaczyna burczeć mi w brzuchu.

– Mamy tu jakieś jedzenie poza suszonym mięsem?

– Batoniki proteinowe.

– No tak. – Mięsne paski i batony. To nie może być dobre dla układu pokarmowego. –

A w ogóle, gdybyśmy naprawdę tu utknęli, co byśmy jedli?

– Przeżylibyśmy. Mam wędkę i broń. – Bierze zamach siekierą.

Trach.

– Oczywiście. – Musielibyśmy coś zabić, żeby cokolwiek zjeść. Natura.

Nie ma wczorajszej namiętności i pasji Jonaha. Wydaje się, że wrócił do skupienia się na przetrwaniu, mniej więcej tak jak wczoraj, gdy tu trafiliśmy. Nie powinnam narzekać, bo pilnuje, żeby było mi ciepło i bym miała, co jeść. Mimo to pragnę, aby rzucił wszystko w diabły i mnie pocałował.

Co, jeśli stwierdził, że wczorajsze wydarzenia były jednorazowe?

Zapewne tak właśnie powinno być, zanim mocniej się w nim zakocham. Chociaż kogo ja oszukuję? Mam świadomość jego nastrojów i potencjalnych myśli, jednak wciąż zbyt mocno się nimi przejmuję. Czyż nie jest to pierwsza oznaka tego, że to zaszło za daleko?

Diana zarzekałaby się, że tak.

Chociaż przyznanie się przed samą sobą nie zmienia faktu, że nadal go pragnę. Bardzo.

Czuję ukłucie na udzie, więc klepię się w nie, zabijając komara. Kolejny ląduje obok poprzedniego, najwyraźniej równie głodny.

– Zaraz cię zjedzą. Właśnie się obudziły – mówi cicho Jonah, zbierając drewno. Idzie do chaty, a jego sznurówki wloką się po trawie.

Bierze się do pracy, powtórnie rozpalając w piecu, gdy ja próbuję zabić owady, które wleciały za nami do środka.

– Niech szlag trafi pracę w banku. Powinnam znaleźć kogoś, kto mi za to zapłaci – mamroczę z uśmiechem satysfakcji.

– Gdzieś w torbie jest mała butelka środka odstraszającego. Możesz się popsikać.

– Dlaczego nie? I tak jestem brudna – narzekam.

Kiedy ogień zaczyna trzaskać w piecu, Jonah zdejmuje swoją koszulkę ze sznurka i zakłada przez głowę.

– Poczekaj chwilę, po czym dołóż jedno polano.

Marszczę brwi.

– Chwila. A ty dokąd idziesz?

Posyła mi wymowne spojrzenie.

– Mówiłaś, że chce ci się pić, więc przyniosę wodę z rzeki.

– A, dzięki.

Zdejmuje stary, poobijany metalowy garnek ze ściany.

– I tak chciałem sprawdzić, co z samolotem.

Jestem rozdarta pomiędzy zadowoleniem, że wciąż zaspokaja moje podstawowe potrzeby a rozczarowaniem, że mógłby też zaspokoić inną: jego samego.

Udaje się do drzwi.

– Czekał – rzucam. – Zapomniałeś.

Przystaje i zerka przez ramię.

Biorę głęboki wdech i ściągam jego flanelową koszulę. Chłodne powietrze owiewa moją nagą skórę, gdy stoję przed nim jedynie w czerwonych kaloszach, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na jego reakcję.

Mam nadzieję, że mi nie odmówi.

Wzdychając ciężko i cicho klnąc, rzuca garnek na blat.

Żołądek ściska mi się zarówno z nerwów, jak i podniecenia, kiedy sięga za głowę i zdejmuję swoją koszulkę.

– Tylko nie mów, że o ciebie nie dbałem – ostrzega, podchodząc do mnie, i zaczyna pospiesznie rozpinać pasek spodni.

* * *

Zatrzymuję się, aby po raz ostatni spojrzeć na schronisko, i zauważam przed nim drewniany łuk oraz zamglone góry w tle.

– Chodź, musimy iść! – woła Jonah.

– I witamy z powrotem wkurzonego yeti.

– Co?

– Nic, chciałam tylko zrobić zdjęcie – burczę, wkładając aparat do torby. Jonah pospiesza mnie, odkąd jakieś pół godziny temu zniknęła mgła. Natychmiast posprzątał, żebyśmy mogli się wynieść. Jednak nagle przestało mi na tym zależeć.

Próbuję nie wyczytywać z tego zbyt wiele.

Mój towarzysz wzdycha głośno.

– Jestem dupkiem, co?

Choć nie przeprosza wprost, wyczuwam skruchę.

– Przynajmniej uczysz się do tego przyznawać. To postępek. – Idę za nim ścieżką, ale moja irytacja rozwiewa się niemal natychmiast. Torba ze sprzętem zwisa z jego ramienia, śpiwór i mata znów są ciasno zwinięte, jakby nie były rozkładane i nie posłużyły nam do nocnych igraszek.

– Jak bardzo chcesz wracać do domu?

– Szczerze mówiąc, chyba będę tęsknić za tym miejscem. – Będę tęsknić za Jonahem, który był tylko mój. Pomimo tego, że ubranie i włosy przesiąknęły mi dymem z pieca, przez co naprawdę muszę wziąć prysznic i umyć zęby.

– Ja z pewnością będę tęsknił za tym stołem.

Czerwienię się, gdy powraca do mnie pewien szczególny obraz.

Ale przynajmniej nie tylko ja wciąż o nas myślę.

Co się teraz stanie?

Polecimy do Bangor... a potem co? Mam bilet do domu na następny weekend, ale znów zastanawiam się, czy nie powinnam zostać dłużej. Dokąd mnie to zaprowadzi? Czy będziemy się potajemnie bzykać pomiędzy lotami i sprzeczkami?

Czy może obudzę się jutro w jego łóżku?

Kiedy w milczeniu przyglądam się sporej sylwetce, którą tak dobrze poznałam zeszłej nocy, wiem, że wolałabym to ostatnie.

Co pomyślałby sobie tata? Żartował o mnie i Jonahu, ale czy naprawdę cieszyłby się, gdyby poznał prawdę?

Pewnie tak jest lepiej. Nie musisz powielać naszych błędów.

Ale przecież nie powtarzamy błędów moich rodziców. Nie poznaliśmy się w barze i nie zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia. Początkowo nawet się nie lubiliśmy. Nie zamierzam też dać się złapać na fałszywy romantyzm i przenieść się na Alaskę.

Prawda, lubię tego gościa.

Chyba nawet za bardzo.

Nie jest podobny do innych, z którymi się spotykałam. I choć potrafi mnie wkurzyć jak nikt inny, czuję magnetyczne przyciąganie. Nie umiem tego wyjaśnić.

Jednak istnieje data ważności naszej relacji i cały czas o niej pamiętam.

Cóż, no może zapomniałam o niej w nocy na kilka godzin.

Po wyjeździe z Alaski będę tęsknić za Jonahem. Przecież w którejś chwili wrócę do domu. Tego jestem pewna. Pytanie brzmi: kiedy to się stanie? I ile razy do tego czasu zapragnę powtórzyć wczorajsze wydarzenia.

Wychodzimy na polanę i po raz pierwszy, odkąd się tu zjawiliśmy, jestem w stanie objąć wzrokiem tę dzicz, zrozumieć, jak daleko od cywilizacji jesteśmy... Niczym dwie małe postacie między skalnymi graniami i ścianą lasu, przy płytkiej wodzie rozdzielającej krajobraz.

Nasz samolot znajduje się po lewej stronie, stanowi mały punkt w rozległej dolinie, czekając w ciszy, aż Jonah zabierze nas nim do domu.

Mężczyzna otwiera przede mną drzwi, następnie przygotowuje maszynę, kiedy pstrykam więcej fotek.

Kiedy niemal z czcią głaszczę kadłub samolotu, mimowolnie przyglądam się jego mechanicznym ruchom, dłoniom, które wcześniej poświęciły mi tyle uwagi, i oczom, które wpatrywały się w każdy centymetr mojego ciała. Teraz w takim samym skupieniu oceniają każdy skrawek blachy maszyny.

Kiedy wsiada do środka, rumienię się i zastanawiam, jaki byłby seks w samolocie.

– Jest tu więcej miejsca, niż początkowo zakładałam – mówię cicho, zerkając na tylne siedzenie.

Jonah śmieje się i zaczyna przełączać przyciski.

– Nie możemy sobie teraz na to pozwolić.

– Na co? – pytam niewinnie, choć czuję, że płoną mi policzki. Jak, u licha, domyślił się, co miałam na myśli? I co się ze mną dzieje? Normalnie nie jestem taka spragniona.

Spogląda na grzbiety górskie i niezbyt przyjazne chmury, które unoszą się nad nimi.

– Przelecimy nad przełęczą i poszukamy Lannerdów.

Myśl o wdrapaniu się na jego kolana ulatuje, gdy dopada mnie rzeczywistość.

– Ale nie możemy tam lądować, prawda?

– Niezbyt, ale przynajmniej możemy sprawdzić.

Powinłam była wiedzieć, że Jonah będzie chciał to zrobić. Nie jest osobą, która zgłosi zaginięcie pary turystów i spokojnie przejdzie do kolejnego punktu dnia. Wdycham z odrobiną niepokoju.

– Okej. Jeśli uważasz, że to w porządku.

– Tak. Zaufaj mi. – Głaszczę mnie po udzie, a moje serce przyspiesza. – Później możemy wrócić do tej przerwanej rozmowy, ale w tej chwili potrzebuję twojej uwagi. I twoich oczu.

* * *

– Na pewno mówili, że wybierają się na przełęcz Rainy? – pytam, kiedy niezmiennie bez powodzenia przeczesujemy ostatni fragment pasma górskiego. Nadal. Nie zauważaliśmy turystów, ale było pełno chwil, w których szczyty były zasłonięte przez chmury. Jak okiem sięgnąć, widzę las i jeziora, więc opadam na siedzenie, biorąc pierwszy głęboki oddech, odkąd wystartowaliśmy. Pragnę napić się czegoś mocniejszego.

Jonah wyciąga pogniecioną mapę, na której zaznaczono długopisem linię i kilka iksów.

– Na wszelki wypadek przekazali mi plan swojej wędrówki.

Praktycznie przelecieliśmy nad tym obszarem; przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe.

– I co teraz? – Krzywię się, bo lekkie turbulencje nie pomagają na tępy ból głowy wywołany brakiem kofeiny.

Jonah przygląda się wskaźnikowi paliwa, w zamyśleniu przygryzając dolną wargę.

– Rety, Wren i Aggie będą wkurzeni.

– Dlaczego? – pytam ostrożnie.

– Ponieważ nie znoszą mojego zmieniania planów. – Mocno ścisła wolant, skręca w prawo i zatacza koło. – A właśnie to robię.

* * *

– Tam! – piszczę pod wpływem adrenaliny, wskazując palcem. Po prawej stronie, na skalnej grani, znajduje się żółty namiot. Jedna osoba, wnosząc po długim kucyku, zapewne jest to kobieta, podskakuje, gwałtownie wymachując rękami. Druga siedzi na ziemi oparta o kupę kamieni, przykryta jaskrawopomarańczowym kocem. – To oni?

– Zeszli ze szlaku, ale tak, jestem pewny, że to oni. I jemu coś się stało. – Jonah przygląda się spłaszczonemu terenowi za nimi, rozważając możliwości, a mnie kurczy się żołądek.

– Nie możesz tam wylądować.

– Lądowałem w gorszych warunkach. – Po chwili zastanowienia kręci głową. – Uda mi się wylądować, ale z dodatkowym ciężarem się nie oderwę. – Klnie pod nosem, po czym wzdycha. Przechyla samolot w stronę turystów, zanim wyrównuje lot. To sygnał, że ich zauważył.

Kobieta opada na kolana, zarzuca mężowi ręce na szyję, a ja odczuwam ogromną ulgę. Bóg jeden wie, co ich spotkało, a w tej sytuacji ich radość jest niezmierna, widać ją nawet z dużej wysokości.

Jonah sięga po radio. Chwilę później grupa ratownicza dostaje współrzędne, na ratunek wyrusza śmigłowiec.

– Skąd wiedziałeś, że to tu należy szukać? – Jonah zawraca, by lecieć do domu.

– Przeczucie. Czasami ludziom mylą się rzeki. – Przeciąga palcem po mapie. – Chociaż byli na tyle mądrzy, że rozbili namiot w tym miejscu. Gdyby zostali na dole, nie udałoby się ich zauważyć i kto wie, ile zajęłoby ekipie ratowniczej dotarcie do nich. Równie dobrze mogli spędzić tam cały tydzień. – Jego pierś unosi się, gdy wzdycha i szepcze: – Dzięki Bogu.

– To by cię naprawdę zmartwiło, co?

– Cholernie – przyznaje. – Zostawiłbym cię w Bangor, zatankowałbym i wrócił.

– Właśnie dlatego tak ci się spieszyło, żeby polecieć? – Wcale nie był dupkiem. Cóż, może trochę, ale przecież chciał odnaleźć tę parę.

Milczy przez chwilę.

– Nie. Bałem się tylko, że znów się rozbierzesz. – Jego usta drgają, gdy próbuje ukryć uśmiech.

Szturcham go w ramię, po czym widzę, że kąciki jego oczu marszczą się, kiedy się uśmiecha.

Ściska moją rękę, lecz zaraz się odsuwa i wraca do trzymania wolanta.

– No to lecimy do domu.

* * *

– Będzie się działo – mamrocze Jonah, skręcając zgodnie ze wskazaniami obsługi naziemnej. Niebieskimi oczami wpatruje się w maszerującą w naszą stronę Agnes.

– Nie wygląda na złą – stwierdzam z powątpiewaniem. Jej twarz jest spokojna, ale nie gości na niej powitalny uśmiech. Jeśli już, wydaje się skonsternowana.

– Nigdy nie jest. Na tym polega jej supermoc.

– Cóż, przynajmniej znaleźliśmy turystów. Powinni się cieszyć.

– Tak, ucieszą się. – Jonah z westchnieniem zdejmuje słuchawki i głaszcze się po brodzie.

– Ale Wren nie znosi, gdy latam na oparach, a tym razem zrobiłem to z tobą na pokładzie.

Marszczę brwi.

– Czekaj, co masz na myśli, mówiąc: „latam na oparach”? – Zdenerwowana spoglądam na wskaźnik. – Czy skończyło się nam paliwo? W powietrzu?

– Nie. Ta dziecinka zapewne przeleciałaby jeszcze jakieś osiem kilometrów. – Klepie drzwi z uwielbieniem.

Osiem kilometrów? Zapewne?

– Oszalałeś? – Dzięki Bogu, że nie wiedziałam o tym tam w górze.

– Spokojnie. Obserwowałem strzałkę i robiłem obliczenia. Gdybym sądził, że nie dolecimy, wylądowałbym gdzieś.

– Na jakiejś kupie kamieni jak na tamtym polu? – Zapomniał, że zaledwie kilka dni temu rozbił samolot?

W odpowiedzi dostaję ostre spojrzenie mówiące, że rzucanie mu tego w twarz nie było dobrym pomysłem.

– Nie. Na jednej z łach piasku, które mijaliśmy.

– Dobra. Więc utknęlibyśmy na mieliźnie w szczerym polu bez ogrzewania, mając do jedzenia tylko suszoną wołowinę i batony proteinowe? – Nawet nie próbuję ukryć irytacji.

– Hej, to ty oceniałaś wielkość tylnych siedzeń. – Wysiada, nie pozwalając mi odpowiedzieć.

Nie żebym wiedziała jak.

Mój gniew zmienia się w irytację, gdy obserwuję go, jak okrąża dziób. Otwiera moje drzwi i podaje mi rękę.

Pod wpływem impulsu odtrącam ją i wyskakuję. Kalosze lądują na żwirze z głośnym hukiem. Zaledwie tydzień temu, kiedy stanęłam tu w koturnach, potrzebowałam jego pomocy.

Boże, o czym ja myślałam, wkładając tamte buty na podróż?

– Więc teraz mnie nie potrzebujesz. Zabawne, nie pamiętam, żebyś odpychała moje ręce w nocy, kiedy byłem... – Stęka, gdy moja pięść nawiązuje kontakt z jego twardym brzuchem.

– Zamknij się! – syczę, patrząc ostrzegawczo. Rozglądam się wokół z nadzieją, że facet z obsługi naziemnej tego nie słyszał.

Jonah się śmieje, chwytając mnie za kark w sposób, który mógłby ujść za niewinny, gdyby nie zaczął wsuwać palców pod moje włosy i dotykać skóry.

– Cześć, Aggie. Ratownicy dzwonili w sprawie Lannerdów?

– Transportują ich właśnie do Anchorage – potwierdza kobieta. – Najwyraźniej zabłądzili we mgle, po czym pan Lannerd poślizgnął się, zjechał po zboczu i złamał nogę. W czasie upadku

stracił telefon satelitarny.

Jonah prycha.

– To wyprawa na ich rocznicę, której na pewno nie zapomną.

– Boże. – Znów czuję ulgę. – Co by było, gdybyśmy nie zawrócili? – Co, gdyby Jonah nie poleciał w to miejsce? Przecież tamten mężczyzna mógł tam spędzić wiele dni ze złamaną nogą.

– Fajnie pomagać ludziom, co? – Jonah spogląda na rząd samolotów. – Gdzie jest Wren? Równie dobrze już teraz może zacząć mnie łąć.

Agnes marszczy brwi.

– No... – Dopiero gdy spogląda na mnie, zauważam ból i smutek w jej oczach.

* * *

Wstrzymuję oddech, przechodząc przez drzwi.

– Tylko spójrzcie, któż to wrócił – mamrocze tata słabym, ochrypłym głosem. Widywałam go jedynie we flanelowej koszuli i jeansach, a teraz, w tej szpitalnej, wygląda zupełnie inaczej.

Jest taki kruchy i delikatny.

Na krześle obok siedzi Mabel, podciągając kolana do piersi i obejmując je ciasno rękami. Ma zaczerwienione, podpuchnięte oczy. Wygląda na oszołomioną, jak ktoś, kto usiadł, by obejrzeć komedię, ale gdy uniesiono kurtynę, odkrył, że będzie świadkiem horroru.

W końcu powiedzieli jej o raku. Nie czuję ulgi, choć to najwyższy czas. Zastanawiała się zapewne, dlaczego nie było go w domu, kiedy przyszła wieczorem, żeby pograć.

– Musimy iść, Mabel – woła stojąca w drzwiach Agnes.

Dziewczynka się nie rusza.

Tata uśmiecha się do niej kojąco.

– Niedługo stąd wyjdę.

– Obiecujesz? – prosi słabym, młodym, zupełnie niepodobnym do niej głosem.

– Tak, dzieciaku.

Powoli i niechętnie schodzi z krzesła, brudne tenisówki pozostawiają po sobie ślady. Pochyla się, aby go uściskać.

– Ostrożnie, Mabel – ostrzega ją matka.

Kiwając głową, przechodzi obok Jonaha i mnie. Patrzy w moją stronę ze smutkiem i młodzieńczą urazą. Domyśliła się, dlaczego tak naprawdę zjawiłam się na Alasce i nie jest zadowolona, że trzymałam to przed nią w tajemnicy.

– Hej – woła za nią Jonah, gdy mała próbuje precyzyjnie się obok niego. Wyciąga rękę i chwyta ją, zanim ma szansę mu uciec. Bez wysiłku przyciąga ją do siebie i ściska. Dziewczynka nie walczy, zamiast tego zwiesza głowę i wtula twarz w jego kurtkę. Słychać cichy szloch, przez co natychmiast boleśnie ściska mi się gardło.

Jonah w milczeniu głaszcząc ją po plecach i ciemnych włosach. Po chwili wzdycha i mówi cicho:

– Dobra, idź z mamą, dzieciaku.

Agnes wychodzi z córką, więc zostajemy we troje.

Tata przeskakuje spojrzeniem szarych oczu pomiędzy nami, w końcu spogląda na mnie.

– Pierwsza noc spędzona w górach, Calla? Jak było?

– Chyba mogło być o wiele gorzej – przyznaję.

– Zatrzymaliście się w schronisku? Założę się, że nigdy wcześniej nie spałaś w takim miejscu.

– Nie, nie spałam. – To absolutnie ostatnia rzecz, o której chcę w tej chwili rozmawiać,

ale przypuszczam, że tata próbuje nieco dłużej uniknąć tematu obecnej sytuacji.

– Powiedziałbym, że Barbie dość dobrze sobie poradziła. – Śmieje się Jonah.

Piorunuję go wzrokiem, rumieniając się.

– Było dobrze. No może oprócz towarzystwa. Chociaż wyczekuję prysznic i prawdziwego jedzenia. Karcił mnie suszoną wołowiną. – Kogo ja chcę oszukać? Zupełnie nie mam apetytu.

– Suszoną wołowiną? – Tata spogląda na Jonaha, podejrzliwie mrużąc oczy.

– Od Ethel – wyjaśnia mężczyzna. – Te domowe przetwory bardzo Calli smakowały.

– To... dobrze. – Tata kaszle i się krzywi.

– Boli? – Patrzę na jego klatkę piersiową, zastanawiając się, w które miejsce lekarze wbili tę długą igłę. Tę, po wkłuciu której wypływa płyn zgromadzony w płucach, uniemożliwiający oddychanie w nocy.

– Tak naprawdę jest lepiej niż przez ostatnie dni. Dali mi silne leki.

Robi mi się smutno. Cierpiał od wielu dni?

– Dlaczego nic nie powiedziałeś...

– A tam. – Zbywa mnie machnięciem ręki. Szpitalne opaski przesuwają się na jego przedramieniu.

– Przykro mi. Powinniśmy tu być, ale deszcz i mgła... Jonah mówił, że nie mogliśmy lecieć. – Do oczu napływają mi łzy. Wszystko jest prawdą, a mimo to mam wyrzuty sumienia. Spędziliśmy upojną noc i rozkoszny poranek, podczas gdy to wszystko miało miejsce.

– Jeśli Jonah tak powiedział, wiem, że tak musiało być. Poza tym poprosiłem Agnes, by o niczym nie mówiła, gdyby zadzwonił. Nie chciałem, żeby niepotrzebnie ryzykował, chcąc zjawić się tu wcześniej. Nie martw się, to nic takiego. Tylko komplikacje. Atak nie był nawet poważny. Wyjdę jutro czy pojutrze.

Wzdycham z niepewną ulgą.

– Polecę z tobą, kiedy będziesz udawał się do Anchorage na leczenie. – I odwołam rezerwację biletu do Toronto, gdy tylko wrócę do domu. Nie wiem, dlaczego w ogóle zastanawiałam się, czy powinnam zostać. Widok ojca leżącego w szpitalnym łóżku... Nie powinnam być nigdzie indziej.

Ojciec wpatruje się w swoje dłonie.

– Wren... – mówi Jonah i zaciska usta. – To już nie jest w porządku. Musisz jej powiedzieć albo ja to zrobię.

Ogarnia mnie złe przeczucie.

– O czym mówisz? O czym ma mi powiedzieć? – Patrzę na tatę. – O co mu chodzi?

– Powinieneś lecieć dziś z Dempseyem i jego ekipą. Zapewne na ciebie czekają.

– Wren...

– Okej, Jonah. Okej. – Wzdycha z rezygnacją i macha ręką. – Może dostarczysz tych ludzi na miejsce zbiórki. Daj mi trochę czasu, żebym mógł porozmawiać z córką.

Jonah przez dłuższą chwilę kiwa głową, po czym kładzie dłoń na moim policzku, przyciąga mnie do siebie i całuje w skroń, pozostawiając usta na mojej skórze na dwa... trzy uderzenia serca.

– Przykro mi – szepcze i idzie do drzwi.

– Dobrze widzieć, że się w końcu dogadaliście – mówi tata cicho, z niewielkim uśmiechem.

– Tak. Eee... – Pomimo okoliczności czuję, że się rumienię.

– Weź sobie krzesło. Zostań ze mną na chwilę. – Wskazuje miejsce, które zwolniła Mabel. Wciąż jest ciepłe, kiedy na nim siadam.

– Co się dzieje, tato? – pytam drżącym z obaw głosem.

Po prostu przygląda się mojej twarzy.

– Tato...

– Twój dziadek również miał raka płuc. Wiedziałaś o tym, prawda?

– Tak. Mama mi powiedziała.

Tata powoli kiwa głową.

– Ten sam typ. Małe komórki. Jest rzadki, a mimo wszystko obaj go dostaliśmy. I szybko się rozwija. Kiedy go u niego wykryto, nie dawano mu zbyt wielkich szans, ale stwierdził, że powinien posłuchać mądrzejszych od siebie i poddać się chemioterapii. – Kręci głową. – Ostatnie pół roku jego życia było piekłem. Wiele czasu spędził w Anchorage, a kiedy był w domu, leżał w łóżku. Mama dobrze się nim opiekowała, przynajmniej na tyle, na ile była w stanie. Nie było to jednak łatwe dla nich obojga. Gdy zdecydował się przerwać leczenie, został już tylko cień człowieka. – Tata przez chwilę przygryza dolną wargę. – Ostatnią sprawą, o której mi powiedział, był odczuwany żal, że od początku się z tym wszystkim nie pogodził. Miałby mniej czasu, ale przynajmniej bardziej by się nim cieszył. Spędziłby swoje ostatnie chwile na własnych warunkach. Utkwiło mi to w głowie.

Zaczynam rozumieć, dokąd tata zmierza.

I to okropne, przerażające odczucie, które mnie wcześniej dopadło, zmienia się w odrętwienie.

– Ale przecież było to jakieś... trzydzieści lat temu. Medycyna poszła naprzód. Rokowania...

– Tego nie da się przetrwać, Calla – mówi ponuro. – Nie przy tym typie komórek rakowych. Nie przy tak zaawansowanym stadium.

– Ale przecież dobrze wyglądasz. – Nie jak pani Hagler, która miała wyniszczone ciało, zapadniętą skórę i cały czas ciągała za sobą butlę z tlenem. – Oczywiście w tej chwili nie jest z tobą za dobrze, bo jesteś w szpitalu, ale tydzień temu nic ci nie było. – Mój głos w ogóle nie jest do mnie podobny.

– Nie, jestem poważnie chory. Po prostu dobrze to ukrywałem. Nie mam tyle energii, co kiedyś. I od jakiegoś czasu odczuwam ból w piersi – przyznaje.

– Przez guza.

– Tak, częściowo.

– Mogą go jakoś zmniejszyć. Po to właśnie jest radioterapia. A chemia zabija komórki...

– Mam już przerzuty, Calla. – Łagodne szare oczy spoglądają w moje. – Mam już zajęte węzły chłonne. I jest też w kościach. Cała terapia da mi niewiele czasu i nie będzie on dobry.

– Ile dokładnie go masz? – pytam ochrypłym szeptem.

– Trudno określić, ale przy próbie leczenia dają mi jeszcze dwa, może trzy miesiące.

Gwałtownie wciągam powietrze.

– A bez niej?

Waha się.

– Uważają, że góra od czterech do sześciu tygodni.

Czuję rozlewające się we mnie zimno. Jego słowa są niczym cios w brzuch. Jak to możliwe? Wygląda dobrze.

– Ale... Lekarze najwyraźniej się mylą. Oni wszyscy zawsze się mylą, tato! Zawsze – jąkam się. – Ciągłe słyszę opowieści o ludziach, którzy pokonali chorobę i żyli jeszcze długie lata.

Wzdycha.

– Nie zawsze tak jest, Calla. Ludzie pamiętają te historie, ponieważ są im potrzebne.

Muszą mieć nadzieję. Ale w tym przypadku tak nie będzie.

Początkowy szok przekształca się we frustrację i gniew spowodowany tym, że odmawia leczenia.

– Więc to koniec? Nie ma mowy o niczym więcej? Nie można cię przekonać, żebyś przynajmniej spróbował powalczyć o życie? Dla mnie? Dla mamy? – głos mi się łamie. Ukazuje się moja desperacja.

– Jeśli pozwolę, by to we mnie właczali, ostatnie dni spędzę, śpiąc i wymiotując, a także przyjmując to gównu w szpitalu przez osiem godzin dziennie, pięć dni w tygodniu, aż to przerwę lub umrę. Nie tak chcę odejść. Chcę to zrobić po swojemu. – Wyciąga do mnie rękę, ale nie potrafię jej uścisnąć, więc po chwili odkłada ją leniwie. – Kiedy lekarz opowiedział mi o tym wszystkim, myślałem o tobie. Byłaś pierwszą osobą, która przyszła mi do głowy. Nie wiedziałem, czy powinienem od razu do ciebie zadzwonić, czy nie dzwonić w ogóle. Nie byłem pewny, czy mam prawo cię informować. Pomyślałem, że po wszystkich tych latach nie będziesz chciała wiedzieć. – Oczy zaczynają mu błyszczeć, więc mruga pospiesznie. – Cieszę się, że Agnes mnie nie posłuchała i zrobiła coś, na co sam nie miałem odwagi. Bardzo się cieszę, że przyleciałaś.

Przychodzi mi do głowy kolejna myśl.

– Wiedzieli, jak było źle? Agnes i Jonah? – Zwodzili mnie przez cały ten czas?

– Nie powiedziałem Agnes. Zamierzałem. Ale nim zdołałem to zrobić, leciałaś już do mnie. Nie wiedziałem, jak przyjmiesz moją decyzję, aby nie...

– Gównu prawda – warczę. – Dobrze wiedziałeś, że nie pogodzę się z tym, że chcesz tak po prostu się poddać. Nikt by się nie pogodził. Dlatego to ukrywałeś.

Zaciska usta i kiwa głową. Przynajmniej nie zaprzecza.

– Wiem, że przez wiele lat byłaś na mnie zła. Pomyślałem, że gdybym mógł dostać choćby jeden tydzień, żeby ponownie cię poznać, bez tego całego dramatu nad naszymi głowami, byłoby wspaniale. Tydzień, w którym może bym cię nie rozczarował.

Muszę przyznać, że ten tydzień był dobry, ale w tej chwili wszystko poszło w diabły.

– Zatem Jonah wiedział. – Kłuje mnie poczucie zdrady, gdy wypowiadam te słowa na głos, a kawałki układanki wskakują na swoje miejsca. Właśnie dlatego tak nalegał, żebym została. Ponieważ kiedy wsiądę do samolotu i polecę do domu, już na zawsze pożegnam się z tatą.

Następne tygodnie... miesiące... będą trudne.

Nie dlatego, że tata będzie walczył z rakiem. Nie będzie żadnej walki.

Już się poddał.

Wstaję bez słowa i wychodzę z sali.

Wybiegam przez drzwi szpitala.

ROZDZIAŁ 23



Dwadzieścia minut pod strumieniem ciepłej wody, a ja nadal nie mogę się rozgrzać. Czuję jedynie szczypanie na piętach i stopach, bo otarły mnie buty. Między lokalnym szpitalem w Bangor a domem taty musi być przynajmniej dziesięć kilometrów, a ja przebiegłam je w kaloszach.

Mam ociążałe ręce, gdy unoszę je, żeby wyszorować skórę głowy przy pomocy sporej piany szamponu i pozbyć się woni dymu, który wsiąkł w moje włosy w chacie.

Zaczynam się śmiać, przypominając sobie rozmowę z Dianą w klubie. Wydaję z siebie cichy, ponury dźwięk, który tak naprawdę w ogóle nie jest śmiechem. Wydaje się, jakbyśmy odbyły ją całe wieki temu. Wypowiedziałam niewiarygodną wówczas myśl: „Co, jeśli polecę na Alaskę i pomimo błędów taty, pomimo tego, że porzucił mnie tak dawno temu, odkryję ojca, którego zawsze pragnęłam, a za chwilę ponownie go stracę?”.

To się właśnie dzieje.

Odnalazłam go, a zaraz ponownie ma mnie opuścić. Tym razem na dobre.

Znów łamie mi serce. Nieważne, czy robi to specjalnie, czy jednak nie.

Nie wiem nawet, kiedy strumień wody traci ciśnienie. Stoję pod smętnie kapiącą dyszą, chociaż nadal mam pełno piany na głowie i trzęsę się z zimna.

– Nie, nie, nie... Nie mów, że... – walczę z kranem, kręcąc nim w prawo i lewo. Nic.

Odkręcam do maksimum. Też nic.

Woda się nam skończyła. Jonah mnie przed tym ostrzegał.

Wzdycham z frustracją i zwieszam głowę, po czym z hukiem opieram ją o kabinę.

– Cholera – warczę.

I w końcu płyną łzy.

* * *

Rozlega się lekkie pukanie do drzwi łazienki.

– Calla?

Przyciskam usta do kolana, by nie odpowiadać. Nie mogę teraz z nim rozmawiać.

Chwilę później woła nieco głośniej.

– Calla? – Porusza się klamka. – Wpuść mnie.

– Zostaw mnie – mamroczę.

– Słuchaj, albo mnie wpuścisz, albo i tak tam wejdę.

Nie odpowiadam i się nie ruszam.

Podłoga zgrzyta, gdy odchodzi korytarzem, ale zaraz wraca i słyhać chrobot metalu. Zamek od razu puszcza i drzwi się otwierają. Widzę Jonaha w odbiciu chromowanego kranu, jednak się nie odwracam.

– Co tu robisz?

– Skończyła mi się woda. – Jak długo siedzę skulona w brodziku? Musiało upłynąć trochę czasu. Przestałam się trząść i płakać. Choć moje włosy wciąż pokryte są szamponem, nie ma już piany.

Jonah wzdycha.

– Chodź, skorzystasz z mojej. – Wchodzi do łazienki i wyciąga rękę.

Ignoruję ją, odsuwając się od niego.

– Calla...

– Kiedy się dowiedziałeś? – pytam dziwnie pustym głosem.

Siada na krawędzi wanny, patrząc przed siebie na drzwi. Wciąż ma na sobie te same ubrania, czuć od niego woń dymu. Wydaje się, że wczorajsza noc była tak dawno temu.

– Tego samego dnia, w którym Aggie powiedziała mi, co się dzieje. Tego, w którym przyleciałaś. Miałem złe przeczucie, więc przycisnąłem go, żądając szczegółów. Mówił o planie leczenia, o tym, ile czasu będzie musiał spędzić w Anchorage, gdzie się zatrzyma. Poleciał gdzieś, a ja udałem się po ciebie. – Przez chwilę wpatruje się w połamane paznokcie. – Ale rozmawiałem z nim tego samego dnia wieczorem.

Oto różnica pomiędzy mną a Jonahem. Zaakceptowałam niechęć taty do rozmowy o jego chorobie, ponieważ sama nie byłam na nią gotowa. Z zadowoleniem unikałam prawdy, którą powinnam dostrzec.

– Więc wiedziałeś, kiedy rankiem poprosiłam o podrzucenie do Meyera. – Wiedział przez cały ten czas.

Zwiesza głowę, zakrywa twarz rękami i przeczesuje włosy palcami, strosząc je.

– Zmusił mnie, żebym obiecał, że nie pisnę słówkiem ani tobie, ani Aggie. Wierz mi, tak wiele razy chciałem ci powiedzieć. Byłem tego bliski nawet wczoraj, ale Wren chciał ci to przekazać osobiście, by spróbować wytłumaczyć swoją decyzję. Nie mogłem mu tego odebrać. – Milknie. – Możesz się na mnie złościć, ile tylko chcesz, możesz mnie nienawidzić i ze mną nie rozmawiać, ale nie zmieni to faktu, że Wren umrze, a my musimy się z tym pogodzić.

– Czy próbowałeś przynajmniej przekonać go do leczenia?

– A jak myślisz, Calla? – pyta z irytacją. – Nie waż się choćby przez chwilę myśleć, że chcesz, aby się leczył, bardziej niż my albo że będziesz cierpieła mocniej ode mnie, Agnes czy Mabel. Wrócisz do życia w Toronto ze wspomnieniami o nim, tymczasem my zostaniemy tutaj, odczuwając jego brak każdego cholernego dnia... – urywa nagle, bo jego głos stał się ochryply.

– Jak możesz się na niego nie złościć?

– Nie złościsz się? Jestem wkurwiony! Rozsadza mnie wściekłość za to, że tak długo czekał, żeby się przebadać, że nie rzucił fajek kilka lat temu. – Jego grzmiący głos wypełnia niewielką przestrzeń łazienki. Mija chwila, zanim znów się odzywa, tym razem nieco spokojniej. – Ale Wren nie podejmuje pochopnych decyzji. Długo się nad nimi zastanawia. Skoro nawet lekarze mówią, że leczenie da mu tylko kilka dodatkowych tygodni, nie winię go za to, że nie chce marnować czasu, który mu pozostał.

– A co z nami? Mamy siedzieć i patrzeć? – pytam ponuro. Nie wziął pod uwagę, jaki to będzie miało wpływ na ludzi, którzy go kochają?

– Wmówił sobie, że podejmuje właściwą decyzję i robi to dla dobra nas wszystkich, a tak już ma, że nikt nie zdoła go przekonać, że jest inaczej. Nikomu nie uda się na niego wpłynąć.

Podobnie jak wiele lat temu stwierdził, że powinien dać odejść mojej mamie i mnie.

Wpatrując się w kabinę prysznicową, zastanawiam się, jak będzie wyglądało życie tutaj, kiedy go nie będzie. Ten niewielki dom modułowy z tandetną tapetą w kaczki wydawał się tak pusty, kiedy weszłam do niego po raz pierwszy. A teraz, chociaż to wciąż ten sam budynek, mam związane z nim wspomnienia, które pomogły mi go wypełnić. Pamiętam śmiech taty niosący się w ciszy, zapach jego świeżo parzonej kawy o poranku, skrzywienie podłogi, gdy przechodził korytarzem, chcąc powiedzieć mi „dobranoc”. Szczegóły – trywialne momenty życia, które nie powinny liczyć się jako wspomnienia, a jednak będą pierwszym, co przyjdzie mi do głowy, kiedy za kilka lat o nim pomyślę.

A to tylko w tych czterech ścianach. Co z chwilami spędzonymi poza nimi?

– Co się stanie z Wild? – pytam otępią. Jonah miał prowadzić firmę, dopóki tacie się nie poprawi.

Będzie ją prowadził do jego śmierci.

A co potem?

Kręci głową.

– Nie wiem. To rozmowa na kiedy indziej. Nie dziś.

– Po co pozwoliłeś mi tracić czas na tworzenie tej głupiej strony? Mój wysiłek był całkowicie bezcelowy. I głupi.

– Nie, nie był. Próbowałeś pomóc tacie. Starłaś się, żeby dowiedzieć się, co robił przez te wszystkie lata. – Czuję, że Jonah w końcu na mnie patrzy, omiatając wzrokiem moją nagą skórę. Milczy. – Coś ty, u licha, zrobiła z nogami?

– Przybiegłam tu ze szpitala w kaloszach – przyznaję niechętnie, mocniej się zwijając. Nagle czuję się zawstydzona swoją nagością, mimo że Jonah już kilkakrotnie widział mnie bez ubrania. Nic w tej chwili nie ma jednak seksualnego podtekstu.

– Jezu. Całe stopy masz otarte. Mam u siebie apteczkę. Trzeba zabezpieczyć te pęcherze.

– Bierze ręcznik i trzyma go przede mną. – Chodź. Cysterna przyjedzie dopiero jutro. Jeśli chcesz mieć wodę, lepiej zbierz swoje rzeczy i przenieś się do mnie. – Zaraz dodaje miękko: – Proszę.

W końcu wstaję i okrywam się ręcznikiem, wiedząc, że muszę być dziś blisko niego – z wodą czy bez niej.

* * *

Drzwi łazienki otwierają się, gdy oplukuję twarz.

– Już prawie skończyłam, przyrzekam.

Zasłonka za mną się odsuwa, wchodzi Jonah. Pomimo mojego ponurego nastroju na widok jego nagiego ciała serce bije mi szybciej.

– Okej, dobra. – Chcę się wydostać.

Jonah zatrzymuje mnie, chwytając za ramiona. Przeciąga kciukami po mojej śliskiej skórze, dając mi ukojenie, po czym obejmuje długimi, silnymi rękami i przyciąga plecami do siebie.

– Przepraszam – mówi cicho, pochylając głowę, by wtulić się w moją szyję, przy czym łaskocze mnie jego broda. – Chciałem ci powiedzieć, ale jednocześnie nie zamierzałem tego zrobić. Nie zacznij mnie nienawidzić.

Unoszę twarz i przyciskam do jego policzka.

– Nie nienawidzę cię. – Daleko mi do tego. Chyba nawet nie jestem na niego zła. Za to jestem wściekła na ojca z powodu podjętej przez niego decyzji. I na życie, bo potrafi być cholernie niesprawiedliwe.

Ale na Jonaha...

Wyciągam rękę, kilkakrotnie przeciągam paznokciami po jego bicepsie, zanim chwytam go mocno za ramiona, odpowiadając na uścisk.

– Cieszę się, że tu jesteś – szepczę. Nie potrafię sobie wyobrazić, co bym bez niego zrobiła.

Tuli mnie mocniej, aż czuję się jak w kokonie. Pociesza mnie jego ciało, stykające się z moim od obojczyka aż po uda. Czuję na plecach, że go podniecam, a mimo to Jonah nie wykonuje żadnego ruchu w celu zaspokojenia swoich potrzeb.

Chyba po prostu rozkoszuje się bliskością.

Stoimy w tej pozycji, tuląc się, aż woda robi się chłodna.

* * *

– Jest o wiele łatwiej, gdy nie śpisz i siedzisz prosto – mówię, powoli przeciągając grzebieniem po brodzie Jonaha. Czuję, że intensywnie wpatruje się w moje usta.

– I naprawdę się na to zgodziłem.

Siedzę okrakiem na jego kolanach.

– Ciii. Nie ruszaj się – karcę, marszcząc brwi, gdy przyglądam się jego zuchwie, upewniając się, czy wszystko równo przycięłam.

– Jak bardzo trzęśły ci się wtedy ręce?

– Cały czas wszystko było w porządku. Byłam spokojna i nad wszystkim panowałam.

– A później?

– Byłam przerażona. Tata stwierdził, że byłam nadpobudliwa.

Jonah odchyła głowę i kładzie ją na oparciu kanapy, parszkając śmiechem. Piękny, głęboki dźwięk, którym natychmiast jestem ukojona. Podziwiam jego szyję, wyobrażając sobie, że ją całuję.

– Ale poważnie? Bałaś się?

– Obawiałam się, że przegięłam i że znów mnie znienawidzisz – przyznaję.

– Co? Nigdy cię nie nienawidziłem, Calla.

Posyłam mu wyzywające spojrzenie.

– Nie. Nawet jeżeli byłem cholernie poirytowany i opieprzyłem cię u Meyera. Poza tym miałem ochotę sprawdzić, jak zareagujesz, kiedy cię pocałuję.

– Poważnie? – Wyglądam włosy na jego podbródku, doceniając idealne cięcie. Co bym zrobiła? Prawdopodobnie spanikowałabym. Wtedy był dla mnie wkurzonym yeti. I mnie prowokował. A mimo to, gdy poznaję go coraz lepiej, nie rozumiem, jak mógł mi się nie podobać, nawet z tą swoją krzaczastą brodą.

Jego oczy błyszczą, jakby był w stanie czytać mi w myślach.

Zadowolona ze swojego dzieła odkładam nożyczki i grzebień na ławę.

– Proszę. Zgodnie z prośbą, naprawiłam. Wiedziałam, że w duchu jesteś próżny.

– Uszczęśliwiłem cię, zostając twoją zabawką?

– Może – przyznaję z przekąsem.

– To dobrze. Pomyślałem, że obojgu nam przydałoby się odwrócenie uwagi.

– Chyba tak. – Wzdycham ciężko na myśl o powracającej rzeczywistości. Kładę rękę na nadgarstku Jonaha i obracam go, żeby spojrzeć na jego zegarek. – Musisz wracać do Wild, co? – Minęło kilka godzin, odkąd znalazł mnie zwiniętą w kulkę pod prysznicem. Byłam pewna, że zaraz wyjdzie, ale jestem wdzięczna, że tego nie zrobił.

– Nie chcę – przyznaje posępnie. – Dziesięć lat pracy w tej firmie i w końcu pierwszy dzień, kiedy nie chcę mieć do czynienia z samolotami czy ludźmi. Ale powinienem sprawdzić, jak im idzie. Zastanawiają się pewnie, dlaczego Wren jeszcze nie dzwonił.

– Powiesz im?

– Wszyscy wiemy, że Wren tego nie robi. Jestem pewien, że niektórzy już słyszeli, ale tak, lepiej, żeby dowiedzieli się ode mnie niż od Maxine czy któregoś z pasażerów. W dodatku nie mogę rzucić wszystkiego na Agnes, ma na głowie również Mabel. – Wzdycha. – Biedne dziecko. Wren jest dla niej jak ojciec. To ją zniszczy.

Byłam tak skoncentrowana na własnym bólu, że nie pomyślałam o tej małej. Teraz zauważam, że nie czuję już zazdrości, kiedy tak o niej mówi. Jest we mnie jedynie współczucie.

– Pojadę z tobą. Poczekaj, wezmę tylko komórkę z domu taty. – Po powrocie ze szpitala podłączyłam ją do prądu i zostawiłam, nie mając ochoty z nikim rozmawiać.

Zsuwam się, ale silne, ciepłe ręce spoczywają na moich plecach, trzymając mnie na miejscu. Jonah spogląda na dopasowaną koszulkę z napisem: „Ale najpierw kawa”, którą zrobiła

mi Diana, po czym kieruje wzrok na miejsce, gdzie moje uda stykają się z jego udami. Otwiera usta, ale zaraz je zamyka. Niebieskie oczy spoglądają w moje.

– No co? – pytam cicho, ponownie głaszcząc go po brodzie. Nie potrafię nasycić się tym uczuciem na palcach. Dopiero teraz rozumiem uwagę przyjaciółki, że strzyżenie jej chłopaka było zbyt intymne.

Jonah przyciąga mnie do siebie, aż zaciska ręce na moich plecach i wtula twarz w szyję. Jego ciepły oddech owiewa mi skórę, przez co krew szybciej krąży w żyłach.

Czuję jego twardy członek pomiędzy udami.

Pragnie mnie, ale sądzi, że nie ma prawa o to prosić.

Obejmuję go za szyję i poruszam biodrami, dając znać, że jest w porządku.

* * *

W momencie, w którym Jonah wchodzi do holu Wild, wydaje się pozbywać niechęci, jaką miał jeszcze w samochodzie, gdy prowadził, trzymając mnie za rękę.

– Dużo pracy, Sonny? – woła donośnym, głębokim głosem, zaskakując siedzącą w odległym kącie parę rdzennych mieszkańców Alaski. To jedyni pasażerowie w lobby.

Sonny, opierający się o biurko recepcji i rozmawiający z Sharon, natychmiast sztywnieje.

– Właśnie kończę przerwę. Już wracam do pracy. Prawie skończyliśmy lądowanie – odpowiada, cofając się do wyjścia.

Jonah kładzie mu rękę na ramieniu.

– Spoko. Powiedz Clarkowi, by do mnie wpadł, gdy będzie miał chwilę.

– Jasne. – Sonny wychodzi.

– Jesteś okropny – syczy Sharon.

Jonah unosi rękę.

– A co takiego zrobiłem?

– No przestań. Wiesz, że jesteś onieśmielający.

– Wcale nie. – Patrzy na mnie. – Prawda?

– Czasami – przyznaję. – I nieznośny. I wkurzający... – *I łagodny, i serdeczny...*

– Dobra, dobra. – Macha ręką z uśmiechem.

Na krześle obok Sharon siedzi skulona Mabel. Ze zwieszoną głową gra na telefonie.

Jonah milknie na chwilę, patrzy na nią i zaciska usta.

– Cześć, dzieciaku. – Czochra jej włosy.

Mała unosi głowę na tyle, żeby posłać mu smutny, pełen zakłopotania uśmiech, i znów spogląda w dół. Najwyraźniej nie jest w nastroju do rozmowy, co jest u niej dość niespotykane. Jonah zostawia ją samą i wchodzi do biura.

– Podoba mi się, gdy wiążesz włosy w ten sposób – mówi Sharon, wskazując na mojego luźnego koka na czubku głowy. Jej zielone oczy są pełne współczucia, mimo że próbuje okazywać nonszalancję.

– Tak. Fryzura nazywa się: „Jonah schował mi balsam i odżywkę, a także wszystkie inne kosmetyki w ramach zemsty”. – Później przeszukam jego dom, kiedy będę miała do tego głowę. W natłoku spraw zapomniałam, że od kilku dni nie robiłam makijażu. To dziwnie wyzwalające.

– To do niego podobne – mówi i śmieje się cicho, po czym przełyka ślinę. Na jej twarzy maluje się ból.

– Już słyszeliśmy. Tak mi przykro, Calla.

Wieści szybko się rozchodzą. Zastanawiam się, jak dowiedzieli się o tej. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Rzucam okiem na Mabel i przypominam sobie wcześniejsze słowa Jonaha. Podczas gdy tak naprawdę Wren Fletcher jest moim ojcem, przez wiele lat żyłam bez

niego, tymczasem dla ludzi tutaj tata jest bardzo ważny. Przebywanie w firmie i słuchanie smutnych słów Sharon... nie wydaje się właściwe. To ja powinnam mówić im, że mi przykro.

Mogę więc tylko skinąć jej głową, a potem przejść na tyły, gdzie Agnes przerabia harmonogram z Jonahem, czytając raporty pogodowe z George'em. Kobieta z wahaniem posyła mi smutny uśmiech, odpowiadam tym samym. Mimo wszystko nie jest winna całej sytuacji, zupełnie jak ja.

Unoszę telefon.

– Mogłabym przez chwilę skorzystać z gabinetu taty?

Jonah macha ręką.

– Jasne, idź.

Zamykam za sobą drzwi i przeglądam wiadomości od Diany, na które nie mam siły ani ochoty odpowiadać. Przyjaciółka pyta między innymi, czy widziałam, ile osób lubi moje posty, czy dostaję od niej wiadomości, gdzie się podziewam... Píše o tym, że Nordstrom ma przecenę na buty, pyta, czy wzięłam swoje ze sobą, wspomina, że muszę je włożyć i zrobić sobie zdjęcie z samolotem. Jest również wiadomość od mamy. Pyta, jak mają się sprawy.

Serce ściska mi się ze strachu. Jak mama poradzi sobie z najnowszymi wieściami?

Muszę do niej zadzwonić i o wszystkim opowiedzieć, ale się waham. Może dlatego, że po wypowiedzeniu na głos stanie się to bardziej prawdziwe, ostateczne. W mojej głowie wciąż trajkocze desperacki głosik starający się mnie przekonać, że lekarze myślą się co do stanu taty, że podjął on bardzo złą decyzję i że musi walczyć, a mnie może uda się go do tego nakłonić.

A potem przypominam sobie Jonaha mówiącego, że musimy pogodzić się z ponurą rzeczywistością. Bez końca słyszę te słowa w mojej głowie.

Kto wie, kiedy to w końcu do mnie dotrze, ale jednego jestem pewna – nie chcę być wtedy tysiące kilometrów stąd.

Wzdycham ciężko i dzwonię do linii lotniczych.

* * *

– Zasnęła w końcu jakieś dwie godziny temu – mówi Simon i ziewa. W Toronto nie ma jeszcze piątej. Wyszłam od Jonaha, by sprawdzić wiadomości. Swoją drogą, on naprawdę musi dołączyć do świata i zamontować w domu internet. Znalazłam kilka wiadomości od Simona, w których prosił, żebym zadzwoniła do niego bez względu na porę.

Oczywiście spanikowałam i od razu wybrałam numer, nie patrząc nawet na zegarek.

Powinnam wiedzieć, że Simon pragnie dowiedzieć się, co ze mną.

Nigdy wcześniej nie słyszałam takiej ciszy w telefonie jak tego popołudnia, kiedy siedziałam w starym, wysłużonym fotelu taty, przekazując matce kiepskie wieści. Ledwie się odzywała, gdy wyjaśniałam jej całą sytuację – że się myliłyśmy i raka taty nie wykryto we wczesnym stadium.

Że zdiagnozowano go zbyt późno.

Mówiłam drżącym głosem, płacząc cicho, i wsłuchiwałam się w dobiegającą z drugiej strony linii ciszę, świadoma, że tak naprawdę słuchałam jej oddechu.

– Nie przyjęła tego zbyt dobrze.

– No właśnie. – W miłym głosie Simona słychać lekki brytyjski akcent. Uświadamiam sobie, że brak mi naszych porannych spotkań, kiedy podawał mi kawę, za którą markotnie dziękowałam. Tęsknię za tym, jak rzucał kiepskimi żarcikami, gdy skądś przychodziłam lub gdzieś szłam. Brak mi jego wycucia: zawsze wiedział, że przydałaby mi się rozmowa. I tego, że był przy mnie w sposób, w jaki nigdy nie było ojca.

W sposób, w jaki w moich wyobrażeniach Wren Fletcher miał być przy mnie

w nadchodzących latach.

– Jak to znosisz, Calla?

Wpatruję się w świąteczne lampki zwisające z sufitu, które niedawno powiesiłam na werandzie. Żarówki są za duże, kolory zbyt wyblakłe, światło słabe, a mimo to efekt jest hipnotyzujący. Nie potrafię oderwać oczu od tej dekoracji.

– Nie wiem. Jestem zła.

– Na co?

Simon dobrze wie, na co. Chce jedynie, abym to zwerbalizowała.

– Na to, że nie powiedział mi wcześniej. Na to, że odmawia leczenia. Wybierz sobie.

Wszystko jest do dupy.

– Masz rację.

– Ale... – Przy Simonie zawsze jest jakieś „ale”.

– Tym razem bez „ale”. Masz prawo do złości. Ja też byłbym zły i sfrustrowany, gdyby ktoś mi bliski nie robił wszystkiego, żeby zostać ze mną tak długo, jak to możliwe.

– Po prostu nie rozumiem, jak może być takim egoistą! Ludzie go kochają, a on krzywdzi ich wszystkich.

– Kochasz go?

– Oczywiście, że tak.

Simon wzdycha.

– Nie przyznałabyś tego tak łatwo, siedząc wtedy ze mną na schodach, co?

– Raczej nie. Wtedy tego nie czułam. – A mimo to tydzień później nie mam wątpliwości, że kocham ojca, i nie chcę, by umarł, przez co cała sprawa jest jeszcze bardziej bolesna. – Ale nie wydaje się, żeby dbał o kogokolwiek prócz siebie. Nigdy tak nie było! – Chociaż wypowiadam te słowa, wiem, że nie są prawdziwe. – Nie stara się wystarczająco – przyznaję.

– Nie uważasz, że porządnie przemyślał swoją decyzję?

– Jak mógł to zrobić? To znaczy... Kto... Kto nie chce walczyć z rakiem?

– I tak się zdarza. Są różne sytuacje. – Simon to wie. Ma pacjentów w terminalnych stadiach chorób, którym pomaga zaakceptować ich ponurą rzeczywistość. – Wyjaśnił ci swoją decyzję?

– Tak – mamroczę, po czym powtarzam wszystko, co mi powiedział.

– Nie wydaje mi się, żeby była podjęta pochopnie.

– Może tak, ale to wciąż nie jest w porządku. – Nigdy takie nie będzie. – Co ty byś zrobił?

– Chciałbym myśleć, że na jego miejscu podjąłbym się leczenia, przynajmniej spróbowałbym, ale nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Poza tym twoja matka kazałaby mnie związać i siłą zaciągnęłaby do szpitala na samą sugestię pominięcia leczenia.

– Powinna tu przylecieć i zrobić z nim to samo – mówię bez przekonania. – A przynajmniej do niego zadzwonić. Jestem pewna, że wciąż pamięta jego numer. Wystarczająco często wybierała go dwanaście lat temu.

Nastaje głucha cisza.

– To znaczy...

– Nie ma niczego, co wydarzyło się między twoimi rodzicami, o czym bym nie wiedział, Calla – mówi ostrożnie.

Wzdycham. Oczywiście, że Simon o wszystkim wie.

Boże, jakiego wielkiego bałaganu narobili rodzice.

– Wyobrażam sobie, że Wren jest przestraszony – mówi w końcu, chcąc załagodzić niezręczność.

– Stwierdził, że chce umrzeć po swoim.
– To wcale nie oznacza, że nie może się bać.
– Pewnie tak. – A ja wybiegłam ze szpitala, zostawiając go tam samego. Znowu dokuczają mi wyrzuty sumienia.

Siedzimy w milczeniu. Mam na sobie piżamę, flanelową koszulę i jestem owinięta mnóstwem koców. Wpatruję się w nocne niebo, wciąż jaśniejsze niż to, do którego przywykłam o pierwszej w nocy.

– Przypuszczam, że nie pocieszysz mnie żadnymi mądrościami?
– Przykro mi. Nie mam dziś dla ciebie żadnych mądrości – mówi i wzdycha.
– W porządku. Sama rozmowa z tobą pomaga.
– Dobrze. I pamiętaj, możesz być zła i sfrustrowana z powodu jego decyzji, ale też nadal możesz go wspierać i kochać.

– Nie bardzo wiem, jak to zrobić.
– Coś wykombinujesz. Potrafisz szybko się dostosować i jesteś świadomą, młodą kobietą, która podejmuje rozsądne decyzje.

– Calla! Wracasz do łóżka? – woła Jonah, choć go nie widzę. Kiedy wstałam, ubrałam się i przyszedłam tutaj, sięgał po oprawioną w skórę książkę leżącą na stoliku nocnym, a kołdra luźno spoczywała poniżej jego pasa, co stanowiło dość erotyczny widok.

A skoro już jesteśmy przy rozsądnych decyzjach...

Jezu. Słyszała go zapewne połowa Bangor.

– Niech zgadnę... to musi być ten wstrętny, mieszkający po sąsiedzku pilot, o którym nasłuchałem się tyle od twojej matki – mówi oschle Simon. – Zechcesz mi powiedzieć, jak idzie twoja zaciekła walka z nim?

– Wykorzystałam całą wodę w domu taty, więc musiałam zatrzymać się u niego, by mieć ją chociaż w toalecie. – Mogłabym równie dobrze zostać u Agnes, ale nie zamierzam tego mówić.

– No tak. Cóż, miło z jego strony, szczególnie biorąc pod uwagę to, że jesteście śmiertelnymi wrogami.

– Tak, miło. – Ale wiem, że Simon nawet na sekundę nie kupił mojej kiepskiej wymówki. Słychać ciężkie kroki na schodach. Otwierają się drzwi i koło nóg Jonaha rejestruję jakiś ruch. To biegnący przed nim Bandit, którego paciorkowate oczka błyszczą w świetle bożonarodzeniowych lampek. Zaczyna na mnie piszczeć.

Krzywię się.

– Hej, Simon, jaka jest twoja profesjonalna opinia o kimś, kto ma szopa za pupila? – pytam głośno, aby Jonah domyślił się, że rozmawiam z ojczymem.

– Z racji tego, że my najprawdopodobniej mamy aż dwa takie pupile, kim jestem, by oceniać taką osobę? Dobranoc, Calla. Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała.

– Dobranoc. Kocham cię – mówię naturalnie do Simona, choć ani raz nie powiedziałam tego ojcu.

Jonah patrzy na sufit werandy.

– Spisałyście się z Mabel.

– Tak. Jest tu dość przyjemnie.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że rozmawiałaś. Lepiej ci?

– Jeszcze nie wiem – odpowiadam szczerze. – Może. Chociaż to nie poprawia całej sytuacji.

– Nic jej nie poprawi. Przez bardzo długi czas. Chodź. – Wyciąga do mnie rękę.

Podaję mu swoją i wstaję.

Mimowolnie myślę, że właśnie dzięki Jonahowi mi lepiej.
A przynajmniej sprawia, że wszystko boli odrobinę mniej.

ROZDZIAŁ 24



Tata siedzi ubrany obok łóżka, gdy pukamy z Mabel do drzwi.
– Hej... Jak tam moje dziewczynki? – pyta cicho, patrząc na mnie szarymi oczami.
– Gotowe, by skopać ci siedzenie. I nawet nie myśl, że dam ci wygrać – mówi Mabel z uśmiechem, który nie jest tak promienny jak zwykle, ale mimo wszystko gości na jej twarzy. Wchodzi przede mną, szurając tenisówkami po linoleum.
– Po takiej piranii jak ty nie mogłem spodziewać się niczego innego. – Kąciki jego ust drgają. – Twoja mama was tu przywiozła?
– Nie, Jonah. Musiał przyjechać na zdjęcie szwów.
Tata ciągnie za kołnierzyk kurtki.
– W takim razie dobrze się złożyło.
– Co to? – Mabel bierze leżącą na łóżku białą teczkę.
– A, dokumenty, które muszę przejrzeć. Nic ciekawego – odpowiada, wyjmując ją z jej rąk, przez co wydaje mi się, że nie chce, żeby zaglądała do środka. – Hej, dzieciaku, może kupisz coś sobie w stołówce? – Wyjmuje banknot z portfela. – Mamy chwilę, zanim wróci pielęgniarka.
Mała ochoczo porywa kasę.
– Chcecie coś?
Macha jej ręką.
– Ja nie, dziękuję.
Kręcę głową z uśmiechem, przyglądając się, jak spieszy do drzwi.
Na moment zapada niezręczna cisza. Opieram się o ścianę, a tata przerzuca coś w teczkę, po czym odkłada to na bok. Jak to jest być w jego skórze? Jak to jest wiedzieć, że twój czas niemal dobiegł końca?
– Myślałem, że będziesz już na pokładzie samolotu do Toronto.
– Nie. – Taka myśl nawet na chwilę nie przyszła mi do głowy, chociaż byłam zła i szokowana. Nadal tu jestem. – Jak się dziś czujesz?
Bierze głęboki wdech, jakby sprawdzał działanie płuc.
– Lepiej.
Znów milczymy.
– Dzwoniłam do mamy.
Powoli kiwa głową, jakby domyślił się, że to zrobię. Chociaż nie pyta, co powiedziała, ani jak przyjęła nowinę. Zapewne to też już wie.
– I zwróciłam bilet.
Wzdycha i kręci głową.
– Nie musiałaś, Calla. Wolałbym, żebyś wróciła do domu tylko z dobrymi wspomnieniami. Nie z tym, co ma nadejść.
– A ja wolałabym, żebyś poleciał do Anchorage i spróbował to spowolnić, ale żadne z nas nie dostanie tego, czego pragnie, prawda? – Podchodzę i siadam przy nim na łóżku. – Boisz się?
Wpatruje się w swoje dłonie.
– Boję się, jestem zły, smutny, pełen żalu. Chyba jest we mnie wszystkiego po trochu.
Waham się, ale wyciągam drżącą dłoń i biorę go za rękę, chłonąc jej ciepło.
Mama miała rację, mamy takie same knykcie, takie same długie palce, a gdybym nie miała żelu na paznokciach, okazałoby się, że i taką samą płytkę.
Tata reaguje po chwili, nakrywa moją dłoń swoją i ścisną ją.

– Przykro mi, dzieciaku. Naprawdę chciałbym, żeby nie kończyło się to w taki sposób.
– Ale jest jak jest – powtarzam jego słowa z pierwszego wieczoru. Ponownie przyglądam się teczce i zauważam na niej napis: „Hospicjum, które zatroszczy się o Ciebie i Twoich bliskich”.

Gardło boleśnie mi się ściska.

– Co trzeba zrobić?

– A, tym się nie przejmuj...

– Nie, tato. Koniec z unikaniem tego tematu. Poza tym może rozmowa z tobą pomoże mi oswoić się z tą myślą. – Jak, u licha, mam to zrobić? Mam dwadzieścia sześć lat. Dwa tygodnie temu piłam martini i usiłowałam wykonać właściwe ujęcie, fotografując ulubione buty. Nie znałam nawet tego człowieka, żył jedynie w mojej wyobraźni.

A teraz mam mu pomóc przygotować się do śmierci.

Zaciska usta.

– Jeśli mogę inaczej, nie chcę umierać w szpitalu. Przyszła tu wcześniej kobieta, która dała mi ten folder. Ulga w bólu i inne takie...

– Okej. – Będzie cierpiał. Oczywiście, że tak. Ale jak bardzo? Jak to będzie na to patrzeć? Zniosę ten widok? Przetykam ślinę i odsuwam od siebie rosnący strach. – Co jeszcze?

– Chyba organizacja pogrzebu – oznajmia niechętnie. – Gdyby o mnie chodziło, nie zawracałbym sobie tym głowy, ale wiem, że Agnes będzie tego potrzebowała. Chociaż nie chcę żadnej ekstrawagancji.

– Zatem bez pozłacanej trumny i przygrywającego kwartetu smyczkowego?

Wydaje cichy dźwięk, który może być śmiechem.

– Z pewnością podziękuję.

– Okej. Coś jeszcze?

– Zacząłem już rozmowy z prawnikiem, więc tym się nie martw. Większość swoich oszczędności zostawię...

– Nie muszę o tym wiedzieć. Zrób z nimi cokolwiek zechcesz. Są twoje. – Nie chcę, żeby myślał, że zostałam dla spadku. – Ale co chcesz zrobić z Wild? – To spora firma. Ktoś będzie musiał nią zarządzać po jego odejściu.

– Jakąś godzinę temu rozmawiałem z Howardem z Aro Airlines. To lokalne linie lotnicze, które interesowały się zakupem Wild. Wspominałem ci o nich. Złożyli dobrą ofertę. Chyba ją przyjmę.

– Ale mówiłeś, że wchłoną Wild. – Rodzinny interes, zapoczątkowany w latach sześćdziesiątych, przestanie istnieć. Tata nie chciał go porzucić...

Dziwne, że nienawidziłam tej firmy od tak dawna, a mimo to jest mi smutno na myśl o jej zamknięciu.

– W końcu pewnie tak, ale prawdę mówiąc, na dłuższą metę może być to dobre dla wiosek i całej zachodniej Alaski, nawet jeżeli zmieni się nazwa. Tak czy inaczej, chcę zatrzymać załogę, a tylko o to się martwiłem. Chcę również, żeby prowadził ją Jonah. Zrobią go dyrektorem oddziału czy kimś takim. Będę musiał z nim o tym porozmawiać. Nie jestem pewien, jakie ma plany.

– Mówił już, że to robi.

– Wiem, ale to zupełnie co innego, gdy będzie zależny od tak dużej firmy. Będzie odpowiadał przed zarządem, będzie też musiał dostosować się do nowej polityki i nowych zasad.

– Uśmiecha się. – Nie wiem, czy już zauważyłaś, ale Jonah niezbyt dobrze radzi sobie z nakazami i zwierzchnikami mówiącymi mu, co ma robić.

– Nie, nie zauważyłam – mamrocę oschle, przez co tata śmieje się cicho. – Tak czy

inaczej, będzie to robił, póki będzie potrzebny. – Nie mam co do tego wątpliwości.

– Nawet jeśli będzie oznaczało to całe dni siedzenia za biurkiem zamiast latania. Jestem też pewny, że będzie miał wyrzuty sumienia i będzie to robił na długo po tym, gdy mnie zakopią.

– Wzdycha ciężko. – Nie chcę, żeby tak żył. To i tak do niego nie pasuje.

– Jeszcze coś?

– Chyba utrzymanie się przy życiu. – Posyła mi pełen rezygnacji uśmiech. – Muszę przeżyć tak wiele dobrych dni, ile tylko zdołam, dopóki mi się nie skończą.

– Damy radę – mówię z determinacją, ponownie ściskając jego dłoń. Nie muszę się z tym zgadzać, ale mogę tu być i brać w tym udział.

– No to dobrze. – Uśmiecha się zrezygnowany. – Może zaczniemy od znalezienia Jonaha i wyjścia stąd w cholerę?

* * *

W chwili, w której pracownik szpitala zatrzymuje się na końcu rampy, tata wstaje z wózka.

– Dzięki. Teraz już sobie poradzę, Doug.

Mężczyzna patrzy na niego spode łba.

Tata unosi ręce w geście poddania.

– Jeśli się przewrócę, nie pozwę nikogo oprócz siebie, przyrzekam.

Doug zastanawia się przez chwilę, aż w końcu kiwa głową.

– Trzymaj się, Wren.

– Jasne.

Doug obraca wózek i wraca do środka, pozostawiając nas samych na parkingu.

Jonah wodzi palcem po świeżej, różowej bliźnie na czole.

– Nie wiem, po co musiałem iść z tym do lekarza. Sam mogłem je sobie wyjąć.

– Ale wtedy nie mógłbyś tak bezwstydnie flirtować z tą panią doktor – komentuję. Znaleźliśmy go siedzącego cierpliwie na stole zabiegowym w gabinecie blond lekarki około czterdziestki, gdy komplementował wiszące na ścianie zdjęcie jej psiego zaprzęgu i mówił, że z pewnością do niej wróci, kiedy następnym razem rozbije samolot i będzie potrzebował szycia.

– Myślisz, że podziałało?

– Oczywiście. W tej chwili rozmawia przez telefon z przyjaciółką, mówiąc, że zakochała się w wariacie-samobójcy.

– A nie zrobiłaś tego samego? – pyta.

Rumienię się i piorunuję go wzrokiem, czując, jak zaciekawiona Mabel przeskakuje wzrokiem pomiędzy nami. Jakiegokolwiek myśli wirują teraz w tej niewinnej głowie na szczęście w niej pozostają, ponieważ usta pełne są czekoladowego muffina.

– Co za niespodzianka... – komentuje cicho tata i zaczyna się śmiać. Wesołość szybko ulatuje, gdy ojciec próbuje zamaskować grymas bólu.

Wszyscy to zauważamy, co psuje nastrój. Smętnie człapiemy do SUV-a.

– Masz – woła Jonah i rzuca mi kluczyki.

Marszczę brwi.

– Po co mi one?

– Bo prowadzisz.

– Zabawne. – Próbuję mu je odrzucić, ale podchodzi do drzwi pasażera. – Jonah!

– Myślisz, że jak długo jeszcze będę woził twój tyłek? No zastanów się. – Wsiada.

– Zadzwońię po taksówkę – wołam przez okno od strony kierowcy, które zostawił otwarte.

– Nauczysz się prowadzić. Teraz. Wsiadaj.
– Nie umiesz jeździć? – pyta zszokowana Mabel.
Wzdychając z irytacji, podaję kluczyki tacie.
– Nawet się nie waż, Wren – ostrzega z powagą Jonah.
– Przykro mi, dzieciaku, ale mam pełne ręce. – Macha mi niewielką paczką lekarstw, obchodzi mnie i wsiada do tyłu SUV-a.
– Ja poprowadzę, jeżeli nikt inny nie chce! – piszczy Mabel, a w jej oczach rozpała się błysk. – Potrafię.
– Słyszałaś, Calla? Nawet Mabel potrafi prowadzić. Ma dwanaście lat.
– Oczywiście, że potrafi. – Niechętnie wsiadam do samochodu. – Ale nie chcę robić tego teraz, Jonah. – Nie byłoby tak źle, gdybyśmy znajdowali się na pustej drodze obok domu taty i nie mielibyśmy pasażerów.
– Hej. Po prostu mi zaufaj, co? – Patrzy na mnie, w jego niebieskich oczach dostrzegam błaganie.
Jak mogłabym odmówić czemuś takiemu.
– Dobra – mamroczę, wkładając kluczyk do stacyjki. – Ale żeby nie było, że nie uprzedzałam, że to bardzo zły pomysł.
– Przecież zwykle na nie lecisz, nie? Na te złe pomysły? – docina.
– Aleś ty mądry... – I nieustępliwy w rzucaniu uwag dotyczących naszej relacji.
– Przystaniecie się kiedyś klócić? Boże! – warczy Mabel, zapinając pas.
– Czasami przestajemy. Prawda, Barbie?
*W nocy z pewnością się nie klóciliśmy. Ani rano, zanim wstałam, by tu przyjechać.
Dwukrotnie.*
Siedzący bezpośrednio za mną tata chrząka.
– Trzymaj się prawej strony i zatrzymuj się na stopach. Poradzisz sobie.
– I nie wjeżdż w idące poboczem osoby – dodaje Mabel.
– Nie wierzę, że dostaję wskazówki od dwunastolatki. – Wzdycham i uruchamiam silnik.
– Nie sięgam nawet do pedałów!
– Proszę. – Jonah pochyla się, jedną ręką chwyta oparcie siedzenia, drugą zapuszczając pomiędzy moje kolana. Przyciska coś przy podłodze i pociąga za fotel, który przesuwają do przodu. – Lepiej?
Prostuję nogi.
– Tak.
– W porządku. – Ciepła, silna dłoń spoczywa na moim kolanie i ściska je. – Tylko rób, co mówię, a może dotrzemy do domu w jednym kawałku.
Ściskam kierownicę, a żołądek kurczy mi się z nerwów. Nagle ulice tego małego, zapyziałego miasteczka wydają się zbyt zatłoczone, ale chociaż przez chwilę możemy nie myśleć o chorobie taty.
Kręcę głową i parskam śmiechem.
Cholerny yeti. Dlatego mi to robi.
* * *

– O Boże, nie, Calla. Poważnie. Zapomnij o tych głupich butach. – Diana wzdycha mi ciężko do ucha.
– I tak już prawie skończyłam, bo sporo mi tego przysłałaś. – Wpatruję się w ekran, klikając w linki do zdjęć przedstawiających Dianę pozującą w centrum. W tle widać miasto – ludzi jadących na rowerach i samochodami, pieszych stojących na skrzyżowaniu i czekających na

zmianę świateł, rzędy białych namiotów oznaczających jakiś festiwal. Niemal słyszę tętent życia i zaczynam tęsknić. – Aaron zrobił kilka niezłych fotek.

– I cały czas narzekał. Nie uwierzysz, co mu musiałam obiecać, by zgodził się zostać moim fotografem.

– Masz rację, z pewnością nie chce o tym słuchać. – Ale cieszę się, że znalazła zastępstwo za mnie.

Wzdycha.

– To... jak myślisz, kiedy wrócisz?

Ściszam głos. Mimo że okno do salonu jest zamknięte, słyszę śmiech Mabel, a także jej piski, gdy wygrywa z tatą w warcaby.

– Nie mam pojęcia. Za miesiąc, może dwa miesiące? – A może potrwa to dłużej. Czy będę na miejscu, żeby zobaczyć pierwsze opady śniegu? Poza wełnianymi skarpetami nie mam niczego na zimę.

– Boże. To... długo.

– Tak. Ale jestem przekonana, że będę miała co robić.

– Jak tam apetyczny wiking?

O rety.

– Wciąż apetyczny – wzdycham, a przez moje całe ciało przebiega dziwny dreszcz jak za każdym razem, kiedy pomyślę o Jonahu. Tyle muszę powiedzieć przyjaciółce, ale to nie jest dobry moment, by o tym wspominać. – Pogadamy później. – Rozłączam się, ponieważ na werandę zagląda Agnes.

– Jest jeszcze trochę kurczaka, jeżeli jesteś głodna. Zostawiłam osobną porcję dla Jonaha. – Mabel i Agnes weszły do kuchni około trzeciej, tata drzemał. Córkaniosła ostatnią zdobycz z farmy, a matka szła z naręczami ziemniaków, marchewek i sałaty. Nie mieliśmy planów na obiad, ale byłam wdzięczna, że wpadły i nas wyręczyły.

Kiedy tata wstał z łóżka, dom pachniał pieczonym mięsem, a my zdążyłyśmy zająć się swoimi rzeczami – Agnes książką, Mabel grą na telefonie, a ja laptopem – jakbyśmy wszyscy mieszkali w jednym budynku.

Tata się nie odezwał, nie zapytał. Uśmiechnął się tylko i zasiadł w swoim fotelu.

– Dziękuję, najadłam się. – Uśmiecham się i wracam do komputera.

Kobieta jednak wychodzi na werandę i zasuwa za sobą drzwi.

– Wciąż pracujesz nad stroną Wild?

– Nie. – Jest sens? – Po prostu musiałam się czymś zająć. – Otwieram kolejny folder, jeden z jakichś trzydziestu, które mam wyświetlone. Znajdują się w nim zdjęcia z czasu spędzonego tutaj.

– Wygląda jak Kwigillingkok – mamrocze Agnes, przysuwając się. – To jest ładne.

– Nie.

– Nie? – Marszczy brwi. – Mnie się podoba.

Im dłużej się w nie wpatruję, tym bardziej się nie zgadzam.

– Nie oddaje rzeczywistości. Wcale. Żadne z nich.

Przechyla głowę na bok, zastanawiając się nad tym.

– Może stoi za nim historia, której nie widzę?

– Może. – Muszę przyznać, że na ekranie gości malowniczy widok. Nie ma jałowego pustkowia, które według mamy tu na mnie czekało. Kolejna fotka wykonana z samolotu szybującego wysoko po niebie. Nie widać jednak, po co lecieliśmy. Nie da się zauważyć, że robiliśmy to dla mającej astmę małej dziewczynki, potrzebującej aparatu do oddychania, a żyjącej z rodziną i dwustoma innymi osobami w wiosce, która po wylądowaniu zdawała się być

na skraju świata.

Nie widać, że Jonah, po dobijaniu się do moich drzwi, praktycznie siłą wyciągnął mnie wtedy w domu. Ten pilot, który zaczął jako mój wróg, ale zmienił się w kogoś więcej niż tylko przyjaciela.

Agnes siada na skraju wiklinowego fotela obok mnie. Wyczuwam, że chce porozmawiać, gdy omiata wzrokiem werandę i zatrzymuje się na zawieszonych na suficie lampkach.

– Boże Narodzenie w wakacje.

– Witaj w moim świecie. Mama oświetla ogród przez okrągły rok. – Mama rozwiesza małe białe lampki na bzach, japońskich klonach lub na wielkim pniu stuletniego dębu, za który Simon słono płaci arborystom, aby był utrzymany w dobrej kondycji. W porównaniu z tamtą dekoracją ta tutaj wypada kiczowato, ale i tak buduje atmosferę przytulności.

– Wszystkie te stare graty, które wyciągnęłaś... – Rozgląda się po zmienionej werandzie.

– Przypuszczam, że fajnie jest tu nocą.

– Tak. Byliśmy tu wczoraj po zachodzie słońca.

– Ty i Jonah?

– Tak.

– Hmm.

Ignoruję jej ciekawość i przerzucam zdjęcia. Natrafiam na te, na których mój towarzysz rąbie drewno, i zatrzymuję palec, wpatrując się w jego solidne mięśnie, posągową sylwetkę i oliwkową skórę odcinającą się na tle mgły.

– Oto modny dodatek do twojej strony. – Śmieje się Agnes.

Znów przerzucam fotki, udając, że moje policzki nie są całe czerwone. Później, na osobności, przejrzę resztę tego folderu.

– W sobotę wieczorem wpadła Marie, szukając Jonaha. Zapomniałam mu o tym wspomnieć – mówi nonszalancko.

– Co za niespodzianka – rzucam krótko, co wynika z ucisku w żołądku. Zapewnienia Jonaha o ich platonicznej relacji nie pomogły. Marie nigdzie się nie wybiera. Pozostanie dłużej na Alasce. Czy mężczyzna zmieni kiedyś zdanie i stwierdzi, że zdoła zaspokoić jej pragnienia?

Myśl o nim z nią – lub jakkolwiek inną – sprawia, że serce mi się ścisza.

– Powiedziałaś jej, że utknęliśmy na noc w schronisku?

– Tak.

I dobrze, mimowolnie odzywa się pełen zazdrości głos w mojej głowie.

Czuję, że Agnes bacznie mi się przypatruje, gdy przeglądam resztę zdjęć z pobytu w chacie. Jestem pewna, że ta sprytna, mała kobieta wszystkiego się domyśla, ale jak zwykle zatrzymuje rozważania dla siebie – na temat mnie, Jonaha i tego, co się między nami dzieje.

– Słuchaj, zastanawiałam się, czy nie pomogłabyś mi i Mabel. Sharon i Max wyjeżdżają w przyszłym tygodniu. Zastanawialiśmy się, czy nie urządzić dla nich niewielkiego przyjęcia w Wild.

– Przyjęcia?

– Tak, takiego pożegnalnego oraz z okazji przyszłych narodzin dziecka.

Waham się.

– Tylko... Sądysz, że to odpowiednia chwila, aby wydawać przyjęcie? – Ściszam głos. – Przy całej tej sytuacji? – Tata ma w tym tygodniu spotkanie z ludźmi z Aro, by rozpocząć proces sprzedaży. I wyszedł właśnie ze szpitala. Zajmie trochę czasu, nim wydobrzeje po ostatnich komplikacjach.

W dodatku mam pewność, że nie tylko ja jestem w szoku po poznaniu najświeższych wieści.

– Kiedy, jeśli nie teraz? – Czarne oczy spoglądają w dal na podchodzący do lądowania samolot lokalnych linii lotniczych. – Dawno wyjadą do czasu, gdy Wren... – Milknie i przetyka ślinę. – Życie będzie płynąć dalej i zmieniać się niezależnie od tego, czy będziemy tego chcieli, Calla. Będziemy w żałobie, gdy nadejdzie czas, ale Sharon i Max odchodzą i urodzi im się dziecko, więc powinniśmy uczcić chwilę, jakie z nimi spędziliśmy, dopóki jeszcze tu są. To wszystko, co możemy zrobić. – Uśmiecha się powoli, chociaż widzę, że jej oczy błyszczą. – Poza tym Wren będzie szczęśliwy na widok wszystkich razem. Zawsze lubił dobrą zabawę.

Wzdycham. Ma rację.

– Oczywiście, że pomogę.

– Dobrze. Jakiś czas temu zamówiłam ciasta i jakieś dekoracje. Powinny dotrzeć lada dzień.

– Przypuszczam, że nie ma tu czegoś takiego jak Amazon Prime – mówię oschle.

Posyła mi wymowne spojrzenie.

– Właśnie że jest.

Parskamy cichym śmiechem.

Zaraz jednak marszczy brwi.

– Chyba nie podziękowałam ci za przyjazd. – Klepie mnie po ręce. – Dobrze, że jesteś tu z nami. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby cię tu nie było.

Gardło mi się ściska, kiedy ta niewielka kobieta, której mój tata – choć nieumyślnie – złamał wiele lat temu serce, mimo wszystko trwa przy nim, oferując przyjaźń i nieodwzajemnioną miłość.

Zastanawiam się, ile serc zostało złamanych tylko dlatego, że tata postanowił usiąść obok mamy w barze? Czy gdyby znali przyszłość, odwróciliby się od siebie i rozeszli w dwie różne strony?

Coś mi podpowiada, że nie.

– To raczej ja nie podziękowałam ci za telefon – odpowiadam cicho, myśląc o wieczorze, kiedy to siedziałam na schodach w jednym bucie i z Simonem przy boku. Wydaje się, że było to wieki temu.

Oddycha gwałtownie.

– Wiesz, oprócz telefonu do rodziców Dereka z informacją o katastrofie było to najtrudniejsze połączenie, jakie musiałam wykonać.

A wszystko, co słyszałam, to głos nieznamomej. Jakiejś kobiety, która była obecna w życiu taty, gdy mnie w nim nie było. Zabawne, w tej chwili w ogóle nie jest mi obca.

– Jesteś na niego zła?

Wargi jej drżą. Zaciska je, nie chcąc ukazywać emocji.

– Kocham go i jestem tu dla niego. Nic więcej się nie liczy.

Agnes o nieskończonej cierpliwości. Byłaby idealną żoną dla taty. Byłaby dla niego idealną partnerką.

Drzwi do domu rozsuwają się i na werandę wychodzi Jonah, trzymając talerz pełen jedzenia. Moje serce natychmiast fika koziołka.

– Fajnie wygląda, Aggie.

Kobieta klepie mnie po ręce, zbiera puste naczynia i wstaje.

– Jesteś później, niż się spodziewałam.

– W drodze powrotnej miałem problemy ze statecznikiem. – Przechodząc, ściska jej ramię, po czym zajmuje miejsce, z którego właśnie wstała, wypełnia przestrzeń i przyciska ciepłe, silne ciało do mojego. Kroi kurczaka, mówiąc cicho: – Cześć.

Nie całowałam go od rana. Odczuwam przytłaczającą potrzebę przysunięcia się

i zrobienia tego teraz, ale się powstrzymuję. To coś, co robisz, gdy jesteś w związku, ale nie w sytuacji, jaka się między nami wytworzyła.

A tak w ogóle, co jest między nami poza tym, że jesteśmy dwojgiem ludzi szukających w sobie pocieszenia i przyglądających się, jak umiera człowiek, którego oboje kochają?

Może to samo w sobie jest wystarczające?

– Problemy ze statecznikiem, mówisz? – pytam w końcu.

– Tak. Musiało się to stać na żwirze, na którym wylądowałem, aby dostarczyć zapasy – odpowiada.

– To niebezpieczne?

– Stateczniki są potrzebne do sterowania, więc... nie było idealnie.

– Ale wszystko w porządku?

Uśmiecha się pełnymi ustami.

– Jestem tu, nie?

Wraca wspomnienie pogruchotanej Betty i zakrwawionego pilota. Wszystko wydarzyło się przecież tydzień temu. Upłynęło zaledwie kilka dni. Wydaje się, że codziennie dzieje się coś nowego. Właśnie takie byłoby życie z Jonahem? Wracaliby do domu na obiad i opowiadałby o najnowszym niebezpieczeństwie, które napotkał, jakby był to kolejny zwyczajny dzień w pracy? Ponieważ dla niego tym właśnie jest.

Chyba zacznam rozumieć, co miała na myśli mama, mówiąc o codziennym strachu. Jestem tu zaledwie od kilku dni, a żołądek już mi się ściska na myśl o tym, że mógłby się rozbić. Może dlatego, że byłam już świadkiem katastrofy.

A może dlatego, że nie jestem stworzona do takiego życia, podobnie jak mama.

– Co jest? – pyta.

– Nic, tylko... Nic. – Co niby miałabym powiedzieć? To jego świat, nie mój. Ja tylko chwilowo w nim żyję.

Patrzy przez ramię, jakby upewniając się, czy nikt nie stoi pod oknem i nie podsłuchuje.

– Przesunąłem sporo rzeczy z harmonogramu na jutro i resztę tygodnia. Pomyślałem, że mógłbym wziąć Wrena, ciebie i polecilibyśmy gdzieś rano Veronicą. W ten sposób spędziłabyś z nim trochę czasu, a on by latał. Byłbym jego drugim pilotem.

– Byłoby cudownie. – To takie miłe. Czuję niewielką ekscytację. – Dokąd byśmy poleciecieli?

Wzrusza ramionami.

– Gdziekolwiek. Jest tu sporo do zobaczenia. Nie widziałas nawet małej części Alaski.

Fakt, że Jonah zechciał poświęcić się dla mnie i taty, sprawia, że serce mi rośnie.

– Uważasz, że się zgodzi? Słyszałam, jak rozmawiał z Agnes. Chce wrócić jutro do pracy.

– Myślisz, że damy mu wybór? – Nabija marchewkę na widelec. – Jeżeli będę musiał przerzucić go sobie przez ramię, zrobię to.

Rodzi się we mnie ogromna wdzięczność. Zarzucam mu ręce na szyję i mocno ściskam.

– Dziękuję – szepczę, a moje usta stykają się z jego uchem.

Jęczy cicho, co przypomina mi dźwięk, który sama wydałam, budząc się, gdy jego mocne ciało przyciskało się do moich pleców.

Zamykam oczy, pragnąc bliskości.

– Hej! – Mabel wygląda na werandę, więc gwałtownie się odsuwam. Jej szeroko otwarte oczy podpowiadają mi, że w końcu zaczyna rozumieć, co się między nami dzieje. – Będziemy oglądać *Notting Hill*. Mama robi popcorn. Idziecie, prawda? – Mimo że się w nim durzy, nie wydaje mi się, by była na mnie obrażona.

– Zobaczymy – mamrocze Jonah pomiędzy kęsami w sposób, który można by

przetłumaczyć jako: „nie ma szans”.

– Przyjdziemy za chwilę – zapewniam, łagodząc malujące się na jej twarzy rozczarowanie. Kiedy wychodzi, szturcham Jonaha w ramię. – Nie bądź dupkiem.

Wzdycha z przesadą.

– Dobra. Zawrzyjmy umowę. – Czekam, aż przeżuje. – Pójdę tam i obejrzę, co tylko zechcesz. – Patrzy mi w oczy. – Ale kiedy Wren już zaśnie, przyjdiesz do mnie.

Odczuwam w brzuchu trzepotanie.

– Mam się wymknąć z domu taty jak jakaś nastolatka?

Unosi brwi.

– Dlaczego miałabyś się wymykać? Nie chcesz, żeby ktokolwiek się dowiedział?

– Nie, nie o to chodzi. Tylko... może byłoby prościej, gdybyśmy się z tym nie afiszowali?

W ten sposób nie musielibyśmy niczego nikomu wyjaśniać.

Wzrusza ramionami.

– Dobra. Mam gdzieś, jak to zrobisz, o ile dziś i każdej innej nocy swojego pobytu na Alasce znajdziesz się w moim łóżku – mówi stanowczo.

– A co, jeśli zostanę tu przez kolejne pół roku?

Opuszcza spojrzenie do moich ust.

– Właśnie na to liczę.

Muszę przypomnieć sobie, jak się oddycha.

– Dobra – oświadczam, bo nagle nie potrafię wyobrazić sobie siebie w innym miejscu.

Jonah unosi brwi z zaciekawieniem.

– A teraz co?

– Nic. Przypomniałam sobie tylko słowa taty. – Od samego początku wiedział, że związek z mamą nie miał szans, mimo to nie walczył z tym, co się działo.

Chyba zaczynam rozumieć, tato.

ROZDZIAŁ 25



– Ludzie naprawdę wybierają taki sposób spędzania całych wakacji? – Obejmuję się rękami, po raz setny poprawiając się na niewygodnym składanym krześle. Już trzecią godzinę znajdujemy się w wynajętej małej łodzi. Ręka mnie boli od trzymania wędki, którą wepchnął mi Jonah, śmierzdę aerozolem odstraszającym owady i zaczynam się trząść.

– Nie tylko się na to decydują, lecz także płacą niezłą kasę, aby się tu dostać. – Tata zwija żyłkę. – Zarabiamy latem wiele tysięcy na lataniu z tymi osobami tam i z powrotem.

– O, patrzcie! Chyba złapałam... – Mabel urywa, po czym się pochyla. – Nic. – Odwraca się i szeroko uśmiecha, zawstydzona tak samo, jak jedenaście poprzednich razy, gdy pomyliła rybę z ruchem sflawika pod wpływem prądu wody.

Macham, odpędzając latające nad moją głową owady.

– Kiedy coś złapiemy i będziemy mogli wracać?

– Nigdy, jeśli nie przestaniecie trajkotać. Płoszycie wszystkie ryby. – Jonah rozsiadł się na krześle obok mnie, opierając buty na krawędzi łodzi i zarzucając wędkę po jej drugiej stronie. W tej pozycji wygląda jak cholerny model z tą swoją czapką z napisem USAF nisko naciągniętą na czoło i w okularach przeciwsłonecznych przysłaniających mu oczy. Dwie ostatnie godziny polegały na tym, że rzucalam ku niemu ukradkowe spojrzenia, fantazując o tym, co zrobimy w nocy, aż Mabel zapytała, dlaczego jestem taka czerwona, i musiałam odsunąć od siebie te myśli.

– Nie musimy niczego łapać – mamroczę. – Kiedy wracamy? Muszę siku.

Tata się śmieje.

Jonah wzdycha cicho, jakby był zirytowany, ale kiedy odchyła głowę, by na mnie spojrzeć, uśmiecha się złowieszczo i jednocześnie seksownie.

– Zaraz kogoś pogryzę – mówię bezgłośnie.

– Powtórz – odpowiada w ten sam sposób, a jego spojrzenie pada na moje usta, więc wiem, że ma sprośne myśli.

Znów się rumienię.

Przestań.

– Marudzisz z powodu dzisiejszego wyboru twojego przewodnika, Barbie? – mówi głośno, szczerząc zęby.

Wszelkie moje protesty natychmiast się rozplywają.

– Nie. Dziś jest idealnie – mówię szczerze i uśmiecham się ciepło, ponieważ mimo że w ten pochmurny dzień mam ochotę wrzucić wędkę do jeziora i lecieć do domu, wiem, co będę myśleć na wspomnienie tej małej łódki, fałszywych alarmów Mabel i niesamowitej ciszy panującej na wodzie pośrodku pustkowia na Alasce.

Poprzednie trzy dni także były idealne. Tata miał to, co kocha – latanie – a ja byłam przy nim, siedząc obok przez cały czas i obserwując jego pełen zadowolenia uśmiech.

Każdego ranka przez kilka godzin przemierzaliśmy alaskańskie niebo, lecąc nad równinami, lodowcami, głębokimi dolinami i krążąc, żeby zaobserwować buszujące w okolicy niedźwiedzie brunatne.

I każdego wieczora cała nasza piątka zbierała się w salonie taty, niczym patchworkowa rodzina, na posiłek i choć nikt o to nie prosił, wszyscy zdawali się tego potrzebować. Później pozostawialiśmy w smętnym pokoju, wypełniając go życiem.

Każdej nocy, gdy tata szedł spać, wymykałam się do Jonaha i pilnowałam, by wrócić po cichu, zanim budził się następnego ranka.

Z niewielkim, ale znaczącym uśmiechem Jonah sięga i ściska moje udo, a potem wraca uwagą do swojej wędk. Zapada znośna cisza, cała nasza czwórka pogrąża się w myślach.

Przerwana zostaje niedługo później.

– Jestem głodna – oświadcza Mabel.

– Ja pierdzielę, nigdy więcej nie pojedę na ryby z tymi dwoma dzieciakami – mamrocze Jonah, na co tata parska śmiechem, nie trując się nawet, by skarcić go za używanie takiego słownictwa przy dwunastolatce. Nie ma sensu zwracać uwagi temu facetowi.

– Spakowałaś jakieś przekąski? – Gładzę go po ramieniu, co stanowi doskonałą wymówkę, aby go dotknąć. – Może trochę suszonej wołowiny od Ethel?

– Wołowiny? – pyta Mabel, w dezorientacji marszcząc brwi. – Nikt nie suszy wołowiny w wioskach. Przecież tam nie ma żadnych krów!

Widzę, że tata się krzywi, przez co ściska mi się żołądek.

– Czym ty mnie, u licha, karmiłaś, Jonah?

* * *

– Twoja matka mocowała je tam na zewnątrz u góry. – Tata wskazuje palcem wzdłuż górnej krawędzi zabudowanej werandy, nim spogląda na sufit. – Ale chyba tutaj wyglądają lepiej.

– Jest fajnie po zmroku.

– Kiedyś będę musiał zostać dłużej, żeby to zobaczyć. – Wyrzuca peta do puszki i zamyka zewnętrzne drzwi werandy. – Któż mógł przewidzieć, że poranek na rybach tak mnie wykończy.

Czuję ucisk w gardle, gdy przyglądam mu się w ciszy. Odkąd wyszedł ze szpitala, minęło pięć dni. Jego cera nadal jest ziemista. Wciąż drzemie popołudniami i krzywi się przy coraz częstszych napadach kaszlu. I zauważyłam, że przez dwa ostatnie dni je na obiad mniej niż Mabel.

– Może jutro zostaniemy w domu? Wszystkie te loty nie pomagają ci dojść do siebie po ostatnim weekendzie.

Zbывa mnie machnięciem ręki.

– Nie, w porządku. Prześpię noc i będę gotowy do drogi.

Chciałabym mu wierzyć.

– Jonah wspominał coś o jutrzejszej wycieczce do parku niedźwiedzi.

– Musiał mieć na myśli Katmai. Nie byłem tam od lat. – Tata drapie się po podbródku z zamyśleniem. – Mam nadzieję, że zadzwonił do Franka.

– To przewodnik, z którym prowadziłaś interesy?

– Tak. Okej, dobrze. – Z zadowoleniem kiwa głową. – Od lat się nie widzieliśmy. Miło będzie się z nim spotkać.

Po raz ostatni, dodaję w myślach, przy czym czuję ukłucie w piersi.

Idzie do drzwi.

– Dobranoc, tato. – Obejmuję się dla pociechy i ciepła.

– Dobranoc, dzieciaku. – Zatrzymuje się na progu. – Rozumiem, że wybaczyłaś Jonahowi?

Wzdycham.

– Jeszcze nie zdecydowałam.

– Przynajmniej nie byłaś głodna w tej chacie.

– Piżmak, tato! Dał mi do jedzenia mięso piżmaka. – Kiedy się o tym dowiedziałam, zwymiotowałam przez burtę łodzi, po czym przez resztę drogi do domu zgrzytałam zębami.

Nawet teraz czuję potrzebę wyszorowania języka.

– To specjal Ethel. Jest z niego znana. Przecież ci smakowało, prawda?

Piorunuję go wzrokiem.

– Piżmak!

Śmieje się.

– No tak. Cóż, Katmai znajduje się prawie pięćset kilometrów stąd, więc będziemy musieli wcześniej wyruszyć. Wyświadcz mi przysługę i jeśli mu wybaczyłaś, obudź mnie rano, gdy będziesz zakradać się z powrotem do domu.

Opada mi szczęka.

– Może jestem chory, ale nie ślepy, Calla. – Uśmiecha się. – W porządku. Cieszę się... że macie siebie nawzajem.

– Nie zamierzasz mnie ostrzec, że popełniamy wielki błąd? – pytam ostrożnie.

– A wydaje ci się, że popełniacie?

Tak.

Nie.

– Wiem, że to nie na zawsze. Wiem, że on tu zostanie, a ja wrócę do domu. – Czuję potrzebę przyznania tego na głos, aby udowodnić, że nie jestem jakąś zakochaną idiotką, która ludzi się, że ta relacja przetrwa. Jednak nie potrafię wyobrazić sobie bycia z kimś innym niż Jonah podczas pobytu tutaj.

Jonah jest dla mnie Alaską.

Tata uśmiecha się miękko.

– Wielu rzeczy żałuję, dzieciaku, ale miłość do twojej mamy nie jest jedną z nich – oświadcza i wraca do domu.

* * *

– Jest dobrze, Calla. Naprawdę dobrze. – Agnes uśmiecha się do mnie, po czym obraca się, by spojrzeć na hol Wild, który od dwóch godzin przekształcamy w niebiesko-zieloną salę balową z balonami i serpentynami na popołudniowe przyjęcie dla Sharon i Maxa. – I przybyło sporo smakowitego jedzenia.

– Mam koszmary dotyczące babeczek – przyznaję, zerkając na tace leżące na stołach po prawej stronie, przy biurku recepcji. Cały wczorajszy dzień piekłyśmy je z Mabel, następnie musiałyśmy udekorować ponad setkę, która nam wyszła. Wyczerpana zasnąłam wczoraj w łóżku Jonaha, gdy poszedł umyć zęby. – A w ogóle, ile będzie osób?

– Chyba więcej, niż zaprosiłam. – Śmieje się nerwowo. – Niektórzy mieszkańcy okolicznych wiosek się dowiedzieli i też starają się przyjechać.

– Przynajmniej będzie udana impreza. – Nie wiedziałam, że Max i Sharon byli tu tak znani. – Wiesz może, gdzie jest tata?

– W mieście z prawnikami. Próbuje sfinalizować transakcję z Aro. – Agnes wzdycha i rozgląda się. – Wszystko niedługo się tu zmieni.

– Ale nie dziś.

Uśmiecha się i klepie mnie po ramieniu.

– Nie, nie dziś.

– Okej, jeśli skończyliśmy, wrócę do domu i się wykapię. Dzięki Jonahowi wciąż mam zieloną polewę we włosach. – I lepię się na całym ciele, ponieważ ją na mnie rozsmarował, a potem zlizął. Nie sądzę jednak, że Agnes musi poznać te dodatkowe szczegóły.

Spojrzeniem ciemnych oczu omiata moją twarz i spogląda na niechlujny kok na czubku mojej głowy, ale w typowy dla siebie sposób uśmiecha się tylko pod nosem.

* * *

– Mięso łosia... hot dogi z renifera... losoś królewski... ikra śledzia... bannock. To smażone ciasto podobne do płaskiego chleba. Powinno ci smakować. – Jonah opisuje mi znajdujące się na stołach potrawy, które dostaliśmy dzięki uprzejmości mniej więcej osiemdziesięciu osób znajdujących się w holu Wild. Przybyli głównie z Bangor, ale przyплыnęli również rzeką z wioski. Pomieszczenie wypełniają śmiech i szum przyjaznych rozmów.

A jednak Agnes miała rację. Wszyscy potrzebowali tej imprezy.

Jonah wskazuje na talerz. Znajdują się na nim błyszczące żółte kostki, które po jednej stronie mają grubszą brązową skórkę.

– Tego nie będziesz chciała.

– A co to? – Wskazuję na miskę, w której zdaje się być biały sos i jagody.

– To są eskimoskie lody.

– Z mleka?

– Nie. I z pewnością ci nie zasmakują.

– Nie będzie wiedziała, póki nie spróbuje, Tulukaruq – odzywa się za nami znajomy głos.

Jonah zerka przez ramię na starszą kobietę w różowej chuście na głowie, a na jego twarzy maluje się zaskoczenie.

– Ethel! Dwa razy w dole rzeki w ciągu dwóch tygodni?

– Tym razem nie sama. Josephine też tu jest. – Ruchem głowy wskazuje na młodą kobietę, może dwudziestoletnią, która stoi przy lodowce z wodą i ma gruby, czarny, sięgający pośladków warkocz. W chuście na piersi trzyma może ośmiomiesięczne dziecko z burzą ciemnych włosów na głowie, rozglądając się szeroko otwartymi oczami po morzu twarzy.

– Rety, ale urósł, nie?

Josephine, jakby usłyszała Jonaha, odwraca się, uśmiecha i macha.

– Przepraszam na chwilę – mówi mój towarzysz, delikatnie dotykając ramienia staruszki, zanim odchodzi do młodszej kobiety z dzieckiem, szeroko i szczerze się uśmiechając, po czym zaczyna rozmowę.

– Tulukaruq ma wiele słabości, ale chyba największą z nich są dzieci – mówi cicho Ethel. Ma na sobie tę sama bluzę New York Knicksów, co wtedy, gdy ją poznałam. Zastanawiam się, czy jest zagorzałą fanką koszykówki, czy po prostu jest to dla niej tylko ciepły ciuch.

– Skąd to przezwisko? – Wtedy u Meyera również tak do niego powiedziała.

– Ponieważ pomaga ludziom, ale jest również oszustem. Oznacza „kruka”.

Śmieję się.

– Tak, to... idealne określenie. Tulukaruq, może sama zaczęła go tak nazywać.

Josephine wyjmuje synka z chusty i podaje go Jonahowi.

Moje serce niespodziewanie rośnie na ten widok. Mężczyzna bierze dziecko w wielkie dłonie i przysuwa do siebie, a potem unosi nad głowę i opuszcza, by chłopczyk mógł pobawić się jego brodą. Jonah śmieje się, na co mały również parska, i nagle wyobrażam sobie go w roli ojca.

Byłby dobrym rodzicem.

A jego rodzina będzie mieszkała z nim na Alasce. Ta prawda sprowadza moje serce z powrotem na ziemię.

– Kruk i jego żona gęś.

Patrzę w bystre, mądre oczy Ethel.

– Przepraszam, co?

– Historia. Jonah jest krukiem, a ty żoną gęsią. – Przygląda mi się przez chwilę ze smutnym uśmiechem i odnoszę wrażenie, że dostrzegła dokładnie wszystko, co się między nami

dzieje.

Czy twierdzi, że powinniśmy się pobrać?

– Halo, przepraszam! Czy mogę prosić wszystkich o uwagę? – Czuję mrowienie na skórze, obracając się w stronę biurka recepcji, przy którym Max balansuje na krześle, unosząc ręce w geście poddania i czekając, aż spojrzy na niego każda znajdująca się w pomieszczeniu osoba. – Wraz z Sharon chcielibyśmy serdecznie podziękować za przybycie na to szczególne spotkanie, ale również za sprawienie, że nasz pobyt na Alasce był czymś, czego nie zapomnimy do końca życia. – Uśmiecha się szeroko, przemawiając lekko drżącym głosem. – Muszę przyznać, że zaraz po przeprowadzce byliśmy zszokowani. Nie powiem, że będzie mi brakowało tych długich, mroźnych zim, choć wynikało z nich coś całkiem dobrego. – Wskazuje na brzuch żony i śmieje się z czerwonymi policzkami, na co ktoś ze zgromadzonych gwizdże. – I z pewnością nie będę tęsknił za wygodkami w niektórych wioskach. – Ludzie parszczą śmiechem, a ja zapamiętuję, żeby dowiedzieć się później, czym są owe wygodki. Coś mi mówi, że niewiele w nich wygody. – Ale z pewnością brak nam będzie was. Waszej troski. Waszej przyjaźni i ciężkiej pracy, aby utrzymać ten sposób życia. Bez względu na to, dokąd się udamy, nigdzie nie zaznamy tego, co tutaj. Jestem tego pewny. – Rozglądam się po zebranych i widzę twarze pełne dumy, uśmiechy aprobaty i kiwanie głowami, a także kilka łez. – Jeszcze raz z głębi serca dziękujemy wam za wszystko. – Przyciska dłoń do piersi, podkreślając szczerłość swoich słów. – I obiecujemy, że jak najszybciej przylecimy z Thorem z wizytą.

Sharon odchrząkuje głośno i posyła Maxowi złowrogie spojrzenie.

– Okej, okej, nie uzgodniliśmy jeszcze imienia dla małego. – Uśmiecha się. – Ale jeśli chcecie wyświadczyć mi przysługę i zacząć go tak nazywać, gdy przyjdzie właściwa chwila, żonie będzie trudniej to zanegować.

Rozlega się śmiech. Sharon kręci głową, ale również chichocze.

– Jeszcze kilka spraw. Chciałem złożyć specjalne podziękowania. – Szuka wzrokiem Jonaha, który nadal stoi obok Josephine z jej synkiem na rękach. – Cholera, stary, dziecko ci służy.

Znów słysząc śmiech, a Jonah krzyczy:

– Weź mnie nie poganiaj!

– Ale poważnie, Jonah, przez te trzy lata nauczyłem się od ciebie o lataniu więcej, niż dowiem się przez całe swoje życie. Uważam cię za szurniętego sukinsyna za trzykrotne lądowanie na zboczu góry, by zabrać tamtych turystów, ale stary, wiesz, jak latać. Mam nadzieję, że pewnego dnia znów dane mi będzie z tobą pracować.

– Wróć na Alaskę, a się spełni, kolego – odpowiada mężczyzna z uśmiechem. – Przecież wiesz, że nigdzie się nie wybieram.

Wszyscy się śmieją.

Tymczasem ja czuję ucisk w piersi.

Jonah nigdy nie opuści Alaski.

Byłam tego świadoma od naszego pierwszego pocałunku. Próbowałam. Próbowałam ignorować to za każdym razem, gdy opadał na mnie, biorąc mnie w ramiona, i odpływaliśmy w cichą noc. Wiedziałam, a mimo to szczęśliwa zbliżałam się do niego każdego dnia i każdej nocy, przyjmując wszystko, co jeszcze mogłam.

Nie spodziewałam się tak wielkiego uczucia.

Przecież jeszcze nie wyjechałam, a to tak bardzo boli.

– Jasne, że wrócimy. Za pięć lat. Góra. – Max śmieje się cicho, po czym obraca się i patrzy na tatę, który stojąc w kącie, z uśmiechem krzyżuje ręce na piersi. Max nabiera powietrza. – Wren, chciałbym ci podziękować za to, że uwierzyłeś we mnie na tyle, by mnie

zatrudnić...

– Podziękuj Agnes. To ona wyciągnęła twoje CV ze stosu i zadzwoniła, żeby umówić cię na rozmowę.

– Spodobał mi się jego uśmiech – mówi Agnes, wzruszając ramionami.

Ponownie wybucha wesołość.

– Cóż, dalsze prace nie tylko mnie, lecz także Sharon. Bóg jeden wie, czy nie oszalałaby tu, gdyby tak się nie stało. Chyba o tym wiedziałeś. Szczęśliwa żona, dobre życie, co nie?

Żonaci mężczyźni przytakują chórem.

– Bez względu na okoliczności jestem wdzięczny zarówno za to, jak i za każde wspomnienie, które zebraliśmy tu przez trzy lata, mając Wild za rodzinę. Leżąc w łóżku, będziemy sobie przypominać, jak w zeszłym styczniu dopadła nas potężna zamieć, a przez pięć kolejnych dni było z minus dwadzieścia stopni. Wszyscy oszaleli, a co zrobili ci ludzie? Wyprawili hawajskie luau z muzyką, żarciem i w ogóle. Wren przyszedł w spódniczce z trawy i liści palmy kokosowej. Przysięgam, mam zdjęcia! – Sala parska śmiechem. – A zeszłej zimy, kiedy na tyłach zbudowaliśmy potężne igloo i rozświetliliśmy je setkami świateł... Wstawiliśmy tam stary grill i zaczęliśmy smażyć kotlety. Było jak w lecie, choć włosy w nosie zamarzały. – Max wzdycha. – Rety, przeżyliśmy z wami tak wiele wspaniałych chwil. – Unosi rękę. – I nadal przepraszam za tapetę. Nie wiem, ile znaczyły dla ciebie te kaczkę, ale jeśli ma to coś pomóc, pomysłodawcą był Jonah, a ja byłem cholernie pijany.

W ten oto sposób następuje rozwiązanie zagadki kaczkę sutków.

Tata kręci głową, ale się uśmiecha.

– Próbuję chyba powiedzieć... że dziękuję za szansę latania w tej firmie, za pozwolenie, abyśmy stali się częścią rodziny Wild, za całą tę wesołość. I... eee... – Zwiesza na chwilę głowę, chrząka, a kiedy spogląda w górę, widzę, że oczy mu błyszczą. – Jestem pewien, że będzie nam cię cholernie brakowało – chrypi.

Sharon unosi rękę do ust i opuszcza głowę, próbując ukryć płynące po jej policzkach łzy. Wszyscy wokół pociągają nosami. Rozglądam się i widzę smutek na twarzach zgromadzonych, wyrażany w szklących się oczach, zaciśniętych ustach i zrezygnowanych uśmiechach. Wszyscy wiemy, o co chodziło Maxowi.

I nagle nie wydaje się to imprezą pożegnalną dla pary, która wyprowadza się z Alaski, a ostatecznym pożegnaniem cichego mężczyzny dalej stojącego w kącie.

Garbi się.

Ma ściągniętą, ziemistą twarz.

Zmęczone oczy i stoicki uśmiech, który podpowiada mi, że on również zdaje sobie z tego sprawę, chociaż nie chce tego zaakceptować.

Nagle atmosfera w holu robi się napięta, rozmowy są zbyt głośne, spojrzeń jest za dużo.

Obchodzę stoły, wchodzę do biura i nie zatrzymuję się, aż docieram do pomieszczenia socjalnego, które wygląda jak długi, wąski korytarz. Przechodzę przez kolejne drzwi i wchodzę do magazynu. Garażowe wrota są otwarte, wpuszczają do środka chłodną, wilgotną od mgły bryzę. Kilkoro pracowników naziemnych, ciągnąc palety z towarami, przygląda mi się z zaciekawieniem, ale nikt nie zwraca mi uwagi, że nie powinnam tu wchodzić.

Przechodzę przez hangar, obejmując się rękami, żeby jakoś się pocieszyć, ale nie działa.

W kącie samotnie stoi Veronica. Stoi w środku hangaru, ponieważ przechodzi przegląd. Wsiadam więc i z łatwością zwijam się na fotelu pilota – na miejscu taty. Przez chwilę głaszczę wolant.

Przyciągam kolana do piersi, opieram o nie twarz i pozwalam sobie na szloch, gdy dopada mnie paskudna rzeczywistość.

* * *

Drzwi otwierają się ze zgrzytem. Nawet nie patrząc, wiem, że to Jonah.

– Nie potrwa to długo, prawda? – pytam, pociągając nosem.

Po chwili ciepła, kojąca ręka głaszcze mnie po ramionach.

– Szybko mu się pogorszy.

W końcu unoszę głowę, opieram podbródek na kolanach. Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak czerwona i napuchnięta jest moja twarz. Choć raz cieszę się, że nie mam makijażu.

– Powinnam była dzwonić. Przez te wszystkie lata nie dzwoniłam, a powinnam. A teraz nie mam już czasu. Ty, Max i wszyscy inni macie z nim te cudowne wspomnienia, imprezowaliście po hawajsku, grillowaliście w igloo, malowaliście sutki głupim kaczkom, a ja nigdy nie będę tego miała! Nie mam wystarczająco dużo czasu! – Sądziłam, że się już wyplakałam, ale oczy szczypią mnie od świeżych łez.

Ostatnie dwanaście lat skupiałam się na tym, czym nie był dla mnie Wren Fletcher.

Powinnam jednak mieć odwagę, by tu przylecieć i dowiedzieć się, jaki jest tak naprawdę.

W samolocie zapada długa cisza.

Jonah wzdycha.

– Powinnaś do niego dzwonić. On powinien dzwonić do ciebie. Twoja matka nie powinna wyjeżdżać. Wren powinien wynieść się dla was z Alaski. Któż może wiedzieć, co było właściwe i do czego by to doprowadziło. Teraz to nie ma znaczenia, ponieważ niczego już nie zmienisz. – Kreśli kciukiem kojące koła na moich plecach, tuż pod karkiem. – Nie miałem wspaniałej relacji z ojcem, chyba się domyśliłaś. Zawsze wydawało się, że chodziło o walkę o władzę. Nie radził sobie zbyt dobrze, kiedy nie kontrolował mojego życia. Powiedział wiele przykrych rzeczy i nigdy nie przeprosił. Porzucenie go i przeprowadzka tutaj były właściwe, wiedziałem o tym, ale w ciągu tych ostatnich kilku dni, gdy obserwowałem, jak odchodził, gdy słuchałem, jak żałował wymuszania na mnie swoich decyzji, nieustannie odtwarzałem tamte rozmowy w głowie, orientując się, co powinienem wtedy powiedzieć lub zrobić, znajdując momenty, w których powinienem zareagować. Można gdybać przez całą wieczność i nadal niczego nie osiągnąć. – Zdejmuje czapkę i kładzie ją na kolanie. – Znalazłem ją kilka dni po pogrzebie w jego szafie. Znajdowało się w niej całe pudło rzeczy z wojska. Czapka, bluza, kurtka... wciąż były na nich naszywki wraz z kartką, którą do mnie napisał, twierdząc, że mnie kochał i bardzo się cieszył, że też doświadczę takiego życia. Zapewne przygotował to wszystko na czas, w którym oficjalnie przyjmą mnie do wojska, po czym wepchnął na dno szafy, próbując o tym zapomnieć po mojej rezygnacji z latania dla kraju. – Zaciska na chwilę usta. – Minęło pięć lat, a ja wciąż mam wyrzuty sumienia za każdym razem, kiedy patrzę na to cholerstwo.

Ocieram łzy.

– Nie jesteś sama. Masz mnie. A ja mam ciebie i razem przez to przejdziemy. – Głaszcze mnie po ręce.

– Nawet jeśli będę w Toronto?

Jego pierś unosi się przy głębokim oddechu.

– Jest taka rzecz zwana telefonem.

– Ale nabijasz się ze mnie z powodu telefonu.

– A czekaj, masz rację. Przecież nie lubisz dzwonić nawet do przyjaciół – burczy oschle.

Wiem, że chce poprawić mi humor, ale i tak kurczy mi się żołądek.

– Tym właśnie jesteśmy? Przyjaciółmi?

Klnie pod nosem i ponownie wzdycha.

– To skomplikowane. Właśnie taka jest nasza relacja.

Znów to cholerne słowo.

– Słyszałeś o żonie gęsi?

Nastaje chwila ciszy, po czym Jonah się śmieje i z powrotem zakłada czapkę.

– Ethel i jej opowiastki.

– Powiedziała, że jesteś krukiem, a ja żoną gęsią. Co to znaczy?

– To tylko taka głupia historyjka o kruku, który zakochał się w gęsi.

– I co dalej?

Przygryza wargę, jakby zastanawiał się, czy powinien mówić.

– Dobra. Sprawdzę sobie w Google. – Wyjmuję telefon.

Zakrywa swoją dłoń własną dłonią i wzdycha z rezygnacją.

– Zostali razem podczas lata, a kiedy ona odlatywała na zimę, on postanowił polecieć z nią na południe. Jednak nie było mowy, by przetrwał lot przez ocean. W końcu nie miał wyjścia, musiał się pożegnać i wrócić do domu.

– Dlaczego nie zawróciła z nim?

– Ponieważ była gęsią. Nie mogłaby przetrwać zimy – przyznaje niechętnie.

Serce mi się ściska.

– Ta historia nie wydaje się głupia.

Właściwie można ją odnieść do nas. Może nie do naszego uczucia, ale cała reszta się zgadza. Okłamywałabym sama siebie, gdybym nie uznała, że to, co czuję do Jonaha, jest czymś więcej niż tylko zadurzeniem w atrakcyjnym facecie.

– Nie, nie jest głupia. – Mina mojego towarzysza podpowiada mi, że również dostrzega w niej prawdę.

...Kiedy podjeżdżam na parking Wild furgonetką Jonaha, on i mój tata czekają przy Veronice.

– Dopilnowaliście wszystkich kwestii finansowych? – pytam, będąc w dziwny sposób pozytywnie nastawiona dzięki błękitnemu niebu i ciepłym promieniom słonecznym. W ciągu trzech tygodni mojego pobytu tutaj to najładniejszy dzień jak do tej pory.

– Tak – mówi cicho Jonah, krzyżując ręce na szerokiej piersi, z surowym wyrazem twarzy.

– Co się dzieje? – pytam ostrożnie.

– Nic – odpowiada tata z uśmiechem, a ja próbuję ignorować ciężar na sercu pojawiający się na widok jego kruchej sylwetki i zmęczonych oczu. Wczoraj poszedł spać zaraz po kolacji, której zjadł niewiele, i nie obudził się, gdy wróciłam rano od Jonaha.

– To... dokąd dziś lecimy?

– Powłóczę się z tobą po okolicy, dzieciaku – odpowiada.

– Tylko we dwoje? – Patrzę na Jonaha, który zaciska usta. Chyba właśnie to go tak mocno wkurzyło.

– Będzie dobrze – zapewnia tata. – Tylko ten jeden raz.

Wstrzymuję oddech.

Po chwili Jonah w końcu kiwa głową.

* * *

– Wszystko w porządku? – pyta tata w słuchawkach, ściskając wolant i wpatrując się w niebo z szerokim uśmiechem.

– Tak.

– Na pewno?

– To po prostu dziwne – przyznaję w końcu. – To mój pierwszy lot bez Jonaha w jednej

z tych maszyn.

Śmieje się.

– Jest dla ciebie jak ta figurka Jillian dla George’a. Sprawia, że czujesz się bezpiecznie.

– Jonah, tancerz hula – żartuję. – Ironiczne, co? – Wracam pamięcią do lotu cubem. Cała sprawa nie zaczęła się dobrze.

– Przeszliście razem całkiem sporo. Cieszę się, że byłem tego świadkiem. – W słuchawkach słychać jego westchnienie. – Mam zamiar podarować mu ten samolot wraz z Archiem i Jugheadem. Tych umowa z Aro nie obejmuje.

– To dobrze. Będzie o nie dbał.

– I dom, w którym mieszka, też mu zostawię. Nie jest wart zbyt wiele, ale przynajmniej będzie miał dach nad głową.

– Tato, nie chcę rozmawiać o...

– Wiem, że nie chcesz, ale zrobisz to dla mnie, co? – pyta cicho.

Słucham otępiała, gdy wymienia listę rzeczy, które postanowił rozdysponować – domy, samochód, szachownicę przeznaczoną dla Mabel. I pieniądze ze sprzedaży Wild mające trafić do mnie. Nie wiem, co powiedzieć, nie czuję, żebym na to zasługiwała, ale jeżeli nauczyłam się czegoś o tacie, to tego, że nie ma sensu go przekonywać, kiedy już coś postanowił.

– Tato, dlaczego naprawdę chciałeś dziś lecieć tylko ze mną? – pytam w końcu. – Nie może chodzić wyłącznie o sprawy spadkowe. Mogliśmy porozmawiać o nich na ziemi.

Mija dłuższa chwila, nim odpowiada:

– Rozmawiałem wczoraj z twoją mamą.

– Poważnie? Zadzwoiła do ciebie?

– Nie. Ja do niej. Pomyślałem, że przyszedł na to czas. Przeprosiłem ją za wszystkie krzywdy. Powiedziałem jej o odczuwanym żalu, że nie było mnie przy niej, gdy mnie potrzebowała. I o tym, jak bardzo ją kocham.

Odwracam wzrok w kierunku zielonej tundry, żeby nie widział, jak walczę ze łzami. Nie jestem głupia. Chciał się z nią pożegnać.

– Zadzwoiłem również, żeby powiedzieć, jak dumny jestem z kobiety, jaką się stałaś. Twoja mama i Simon świetnie się spisali, Calla. Lepiej, niż ja bym to zrobił.

– Nieprawda – udaje mi się wydusić.

– Żałuję... – urywa i marszczy brwi. – Żałuję, że nie dzwoniłem. Żałuję, że nie przyleciałem na tamto zakończenie roku. Żałuję, że nie porwałem twojej matki od tego jej lekarza i nie przekonałem do powrotu ze mną. Żałuję, że nie wiedziałaś, jak bardzo mi na tobie zależało. Jak bardzo cię zawsze kochałem. – Jego głos staje się ochryply. – Żałuję, że nie byłem kimś innym.

– Też cię kocham – mówię. – I lubię to, kim jesteś. – Okazało się, że jest człowiekiem, który po drugiej stronie linii telefonicznej słuchał cierpliwie mojego dziecięcego jazgotu. Jest dokładnie tym, kim pragnęłam, by był, nawet pomimo jego wad i całego bólu przez niego spowodowanego.

Bólu, który – o dziwo – się ulotnił. Może potrzeba było czasu.

A może wybaczenia, które udało mi się w tym wszystkim odnaleźć.

– To mój ostatni lot, dzieciaku – oznajmia ponuro. Bierze mnie za rękę, a na jego twarzy maluje się dziwny spokój. – I nie mógłbym życzyć sobie, by towarzyszyła mi w nim inna osoba.

* * *

– Oszukiwałaś.

– Wcale nie.

Tata patrzy na mnie znacząco.
– Nie można oszukiwać, jeśli nie zna się zasad.
Uśmiecha się.
– Nawet jeżeli wyjaśniałem ci je już kilkanaście razy?
– Nie słuchałam. – Przesuwam kolejny pionek przez trzy pola w bok i do góry o pięć. –
Może tak być, prawda?
– Jasne, dlaczego nie? – Śmieje się słabo, odchylając głowę. Ostatnio kosztuje go to sporo wysiłku. – Chyba wystarczy na dziś.
– O, kurde. – Uśmiecham się zadziornie i wstaję ze szpitalnego łóżka, które Jane o łagodnym głosie przywiozła z hospicjum i wstawiła do salonu taty.
Sprawdzam godzinę na komórce.
– Czekasz na telefon? – pyta, krzywiąc się, gdy bezskutecznie próbuje poprawić pozycję swojego wychudzonego ciała. – W ciągu ostatnich pięciu minut przynajmniej osiem razy na nią spojrzelaś.
– Tak. Tylko... Jonah miał mi wysłać wiadomość.
– Nauczył się w końcu obsługiwać telefon?
– Najwyraźniej nie – mamroczę, poprawiając tacie poduszkę.
– Nie martw się. Będzie, to będzie. – Milknie. – A tak w ogóle, gdzie podziewają się Agnes i Mabel?
– Robią na drutach w mieście.
– Na drutach? – Marszczy brwi. – A od kiedy się w to bawią?
Wzruszam ramionami.
– Od teraz? – Unikając patrzenia mu w oczy, poprawiam pościel.
Jeśli coś podejrzewa, nie naciska na wyjaśnienie. Jest ostatnio zbyt zmęczony, żeby zadawać pytania.
– Jonah znów zostanie tu na noc?
– Tak, pewnie tak. Jeżeli nie masz nic przeciwko. – Przestałam do niego chodzić dwa tygodnie temu, kiedy stało się jasne, że tata nie powinien zostawać sam w domu na noc. Jonah wziął się więc do sprzątanego pokoju taty i rozebrał jego podwójne łóżko. Nalegał, aby sam mógł zamieszkać w jego sypialni. Od tamtego czasu to tam właśnie śpimy.
– Tak, to dobry pomysł. Chciałbym, żeby był tutaj, w razie gdyby... – urywa.
W razie gdyby dziś umarł. Właśnie o tym mówi.
– To się dziś nie stanie, tato. – Jane poświęciła nam sporo czasu, by omówić nieuniknione. Przedstawiła sploty oddechu, pogorszenie pracy poszczególnych organów, zmieszanie psychiki.
Wszyscy, wliczając w to tatę, wiemy, że niedługo się zacznie.
Ale nie dziś.
Włączam telewizor i ustawiam wiadomości sportowe.
– Zaraz wrócę z lekami – mówię, poprawiając koc, i całuję go w czoło.
Jestem w kuchni, przygotowując medykamenty na noc, gdy na podjeździe pojawia się samochód Jonaha. Wychodzę na chłodne powietrze, nie trudząc się wkładaniem kurtki.
Wzdycham z ulgą.
– Jesteś.
Mama patrzy na mnie, zakrywa usta dłonią i zaczyna płakać.
* * *

– Hej, Calla, mogłabyś mi przynieść wody? – woła ochrypłym głosem tata.

– Tak, jasne. – Biorę już napelnioną szklanę i tabletki.

Mama, jak zwykle elegancka, ubrana w prosty czarny golf, dopasowane jeansy i ładną biżuterię, bez słowa wyjmuję mi je z rąk. Wzdychając niepewnie, rzuca ostatnie spojrzenie na pełną kaczek tapetę i idzie do salonu, a odziane w skarpetki stopy nie wydają dźwięku na normalnie skrzypiącej podłodze.

Właściwie nie powiedziała zbyt wiele, odkąd wysiadła z SUV-a Jonaha. Powrót na Alaskę po dwudziestu czterech latach musi być dla niej przeżyciem nie do opisania.

Aby po tak długim czasie ponownie spotkać się z tatą.

Jonah obejmuje mnie od tyłu i razem się temu przyglądamy. Dla ojca to niespodzianka, z kolei Agnes i Mabel celowo postanowiły trzymać się z dala, żeby dać im czas.

– Masz seksowną mamę – szepcze mi do ucha na tyle cicho, żeby nie było tego słychać przy dźwiękach płynących z telewizora.

– To dlatego, że Simon nie chowa jej kosmetyków jak jakiś psychopata – odpowiadam.

Obserwując, jak mama okrąża szpitalne łóżko, Jonah przyciąga mnie bliżej. Uświadamiam sobie, że się trzęsę.

To zapewne pierwsza chwila, gdy widzę rodziców razem w tym samym pomieszczeniu. Na pewno zdołam ją zapamiętać, choć tata leży na łożu śmierci.

– Cześć, Wren. – Oczy mamy błyszczą, kiedy drżącą dłonią z idealnym manikiurem podaje mi szklanę, wpatrując się w mężczyznę, który wiele lat temu skradł jej serce. Którego przez niemal tyle samo czasu próbowała nie kochać.

Jonah sztywnieje. Zdaję sobie sprawę z tego, że tak jak ja również wstrzymuje oddech, gdy czekamy trzy... cztery sekundy... pięć sekund, aż tata coś powie.

Cokolwiek.

Ale tata zaczyna szlochać.

I tak po prostu wyczuwam, jak koło się zamyka. Wszystko wraca do początku, choć jest blisko końca.

Ogarnia mnie spokój. Odwracam się i płaczę w koszulkę Jonaha.

ROZDZIAŁ 26



– Wydaje mi się, że czarny wtoczył się pod kuchenkę – wołam z wiklinowego fotela na werandzie, trzymając kubek z ciepłą kawą. – Wpadli na regał, gdy wynosili łóżko.

Chwilę później przez otwarte okno Mabel woła:

– Znalazłam! – Rozlega się też kliknięcie składanej szachownicy.

– Dobrze – komentuję i dodaję na tyle cicho, by nie słyszała: – Nie możesz grać, jeśli pogubisz pionki.

A mimo to wszyscy będziemy musieli poradzić sobie bez wielce brakującego elementu, myślę i ściska mi się gardło.

Tata odszedł pięć dni temu, w otoczeniu bliskich, zupełnie jak w tych nekrologach w gazetach.

Zmarł tak, jak żył – w ciszy, z westchnieniem i uśmiechem akceptacji na ustach.

Pozostawił ogromną wyrwę w mojej piersi, której chyba nawet czas nie uleczy. Mimo to nie zamieniłabym tej pustki na nic innego.

Subtelna woń kwiatowych perfum zapowiada pojawienie się mamy. Po chwili wychodzi na werandę.

– Przebywanie tutaj nadal jest abstrakcyjne – mówi cicho, siadając na skraju, tuż obok mnie. – Nie wierzę, że tego nie wyrzucił.

Nie pasuje tutaj w jedwabnej bluzce i eleganckich spodniach, z uczesnymi na gładko włosami, idealnym makijażem i nadgarstkami błyszczącymi biżuterią.

Trudno uwierzyć, że te przedmioty kiedyś należały do niej.

– Zatrzymał wszystkie rzeczy związane z tobą, mamó. – Wliczając w to swoją miłość.

Bierze głęboki, drżący oddech. Przez chwilę mam wrażenie, że zacznie płakać, jak robiła to już niezliczoną ilość razy – gdy umarł tata i kilkakrotnie podczas długich, emocjonujących dni później – ale panuje nad sobą. Biorę ją za rękę i ściskam, próbując bez słów przekazać jej swoją wdzięczność. Tak bardzo się cieszę, że przyleciała. Tak bardzo się cieszę, że nie musiałam się wyklócać, negocjować czy błagać. Wystarczyła jedna linijka wiadomości, jedno zdanie, że powinna tu być, a trzy dni później siedziała już w samolocie.

Tata nigdy nie poprosiłby jej o przyjazd, ale wyczuwałam w nim spokój, gdy siedziała przy nim w fotelu podczas tych kilku ostatnich dni i trzymała go za słabą rękę.

Widziałam uśmiech błakający się na jego twarzy, kiedy głośno śmiała się z czegoś w telewizji.

I widziałam łzę, która wymknęła mu się, gdy pochyliła się i pocałowała go po raz ostatni.

– Jonah jest w pracy? – pyta cicho.

– Tak. Powiedział, że dziś będzie późno. – Każdego wieczora wraca dość późno. Nie potrafię powiedzieć, czy nie może się uporać ze śmiercią taty czy ze świadomością, że niedługo wyjeżdżam. Zapewne przytłaczają go obie te sprawy. Wyczuwam, że powoli się ode mnie odsuwa. To prawdopodobnie jedyny sposób, w jaki potrafi sobie poradzić. Nie winię go, ponieważ sama nie potrafię oswoić się z myślą o nieuchronnym końcu naszej relacji.

Matka otwiera usta.

– Nie, mamó. Nie chcę tego teraz słuchać. – Jest krukiem, a ja żoną gęsią. Mieszka na wiejskich terenach Alaski, ciesząc się cichymi wieczorami i dzikimi, szalonymi lotami po niebie. Chce ratować ludzkie życie. Za to ja jestem dziewczyną, która po śmierci taty, gdy jego dom znów jest cichy i pusty, odczuwa przyciąganie miejskiego zgiełku, którą wzywa dawne życie.

Jonah do niego nie pasuje, bez względu na to, jak bardzo bym tego pragnęła. Nie

potrafiłabym go zmusić, żeby spróbował się dopasować. Prawdę mówiąc, nawet nie umiem sobie tego wyobrazić.

Kątem oka zauważam, że mama kiwa głową, omiatając mnie wzrokiem.

– Wydajesz się inna, Calla.

Prycham.

– Od tygodni się nie malowałam. – Niedawno na mojej komodzie w magiczny sposób pojawiła się pianka prostująca, gdy narzekałam na siano na głowie, ale moich malowideł do twarzy nadal brak.

– Nie wierzę, że go za to nie zamordowałaś.

– Prawda? – Przypominam sobie, jaka byłam wściekła, gdy to zrobił. Teraz chce mi się z tego śmiać. Boże, Jonah potrafi być upartym gnojkiem.

– Ale... Nie – mówi cicho, wciąż mi się przyglądając. – Chyba nie chodzi o to. Nie wiem... – Zamyślona spogląda na rozciągającą się na horyzoncie tundrę. – Na pewno nie chcesz lecieć ze mną do domu? Simon sprawdzał i wciąż są wolne miejsca.

– Nie, zamierzam pomóc Agnes posprzątać dom. Dowiem się, w czym jeszcze mogłabym się jej przydać. – To kłamstwo. To znaczy chcę pomóc Agnes, ale nie dlatego ociągam się z wyjazdem.

Spojrzenie, jakie posyła mi mama, mówi, że doskonale o tym wie.

Wzdycha ciężko i pocieszająco głaszcze mnie po nodze.

– Ostrzegałam cię, żebyś nie zakochiwała się w którymś z tych podniebnych kowbojów, prawda?

– Tak, ostrzegałaś. – Próbuję zbyć ją śmiechem.

Jednak w końcu poddaję się łzom.

Ponieważ nie wrócę do domu z wielką wyrwą w sercu.

Ale z dwiema.

* * *

– Możesz ją sobie wziąć. – Ruchem głowy Jonah wskazuje na zniszczoną książkę, którą przeglądałam, gdy wszedł do sypialni. – No wiesz, w razie gdybyś nauczyła się czytać w nocy zamiast spać.

Dolatuje do mnie woń jego miętowej pasty do zębów. Gość myje je codziennie nienaturalnie długo, więc przypuszczam, że właśnie dlatego ma tak nieskazitelną uśmiech.

Przewracam oczami, po czym beczelnie gapię się na jego silne ciało, kiedy zdejmuję bawełnianą koszulkę i wrzuca ją do kosza. W ślad za nią idą workowate jeansy, przez co jego muskularne uda i łydki są odsłonięte.

– Nauczę cię, jak kupować dopasowane spodnie – mówię cicho.

Spodziewam się uwagi, że traktuję go jak lalkę czy coś w tym stylu, ale tylko się śmieje.

Ponieważ składam obietnicę bez pokrycia i oboje o tym wiemy.

To ostatnia noc, gdy będę spała pod kocami w jego łóżku, po wcześniejszym przyjrzeniu się, jak rozbiera się po długim dniu spędzonym w powietrzu. Będę odczuwać, jak moje ciało rozgrzewa się od ciepłej skóry na jego twardym torsie i otaczających mnie ramion.

Jutro wracam do domu.

A ciężar przygniatający mi pierś podpowiada, że nie jestem gotowa na pożegnanie.

Materac ugina się pod Jonahem, kiedy ten siada na skraju łóżka, obrócony do mnie szerokimi plecami. Wpatrzony w lampę, nie rusza się przez chwilę i wydaje się, że myślami odpłynął gdzieś bardzo daleko.

Nie pisał ani słówka na temat mojego wyjazdu, poza potwierdzeniem jego logistycznych

szczegółów. Nie powiedział też nic o śmierci taty, ale wiem, że bardzo ją przeżył. Od tamtego momentu nie potrafił się rozluźnić.

Jak na faceta, który zawsze radził sobie z drażliwymi tematami niczym byk szarżujący na torreadora, chyba w końcu zaraził się podejściem Fletcherów.

W tej chwili jestem za to wdzięczna. Wolę spędzić tę ostatnią noc, tworząc wspomnienia, zamiast cierpieć z powodu odrębnej przyszłości.

Odsuwam od siebie smętne myśli, zbliżam się do niego i obejmuję od tyłu. Przyciskam się do jego pleców, mocno go tuląc i po raz ostatni rozkoszując się dotykiem jego ciała.

* * *

Otulam się warstwami polaru i bawełny, gdy Jonah stawia obok mnie dwie srebrne walizki. Ostatnio zrobiło się chłodno. Gdybym została dłużej, musiałabym kupić sobie coś na zimę. Prognozy pogody przewidują śnieg już w przyszłym tygodniu. Mieszkańcy wioski ładują łodzie niezbędnymi rzeczami, ponieważ niedługo rzeka zamarznie. Wtedy będą musieli poczekać, aż lód stanie się wystarczająco gruby, zanim będzie można bezpiecznie wjechać na niego quadami i skuterami śnieżnymi.

Tymczasem w Toronto mama przeżywa niespodziewaną jesienną falę upałów.

Jonah ściąga czapkę i wygładza swoje popielatoblond włosy.

– To wszystko?

– Chyba... O cholera, zapomniałam torebki.

– Daj mi chwilę. – Garbi się lekko, wracając do Veroniki.

Po raz tysięczny zastanawiam się, czy popełniam błąd, porzucając go.

– Proszę. – Podaje mi torebkę. Jasnieniebieskie oczy patrzą w moje, zanim odwraca wzrok.

Waham się.

– Jonah...

– Nie musisz wyjeżdżać.

Prawdopodobnie w końcu będziemy musieli odbyć tę przejmującą rozmowę.

– Muszę. Tata nie żyje. Czas, bym wróciła do domu.

– Tutaj także masz dom, przynajmniej na jak długo zechcesz.

– To nie to samo. Nie... Twoje życie jest tutaj, moje tam. Tu było tylko tymczasowo. – Gardło mi się ścisza.

– I nawet nie chcesz spróbować – oskarża.

– To niesprawiedliwe.

– Nic w tej sytuacji takie nie jest – burczy, wkładając ręce do kieszeni i omiatając wzrokiem pobliskie samoloty.

– Jesteś gotów porzucić to wszystko i przenieść się do Toronto, żeby być ze mną?

Zaciska usta, po czym klnie pod nosem.

– Wiesz, że mam rację.

– Tak, wiem. Nie znaczy to jednak, że mi się to podoba. – Spogląda na mnie tymi chłodnymi, przeszywającymi oczami i niemal tracę rezon. – Nie znaczy to, że nie chcę, żebyś została.

Biorę głęboki, uspokajający oddech.

– A może mógłbyś mnie odwiedzić?

Wzdycha z rezygnacją, spuszcza głowę i wpatrując się w żwir przy naszych stopach.

– Tak, ale nie wiem, kiedy by to miało być. Ktoś musi prowadzić Wild do czasu, aż ustalenia nowej umowy nie wejdą w życie, a zajmie to pewnie ze dwa miesiące. – Kopie jakiś

kamyk. – I zadeklarowałem Aro, że pomogę im prowadzić firmę, aby przejście odbyło się bez przeszkód.

– Ile to zajmie?

Wzrusza ramionami.

– A ktoś to może wiedzieć? Zajmie, ile zajmie.

Kiwam głową.

– To może później.

– Może. – W końcu patrzy mi w oczy.

Mam przecucie, że to nigdy nie nastąpi. Że czas i odległość zniszczą uczucia, które do siebie żywimy, pozostawiając po sobie jedynie surową rzeczywistość i miłe wspomnienia.

I to prawdopodobnie wszystko, co mieliśmy dostać.

– Cześć, Jonah! Calla!

Odwracamy się i widzimy Billy’ego, który uśmiecha się szeroko.

Ponownie przelękam ślinę.

– Cześć.

Sięga po moje walizki.

– Wrzucę je do taksówki.

– Dzięki. – Spoglądam na wyświetlacz telefonu. – Powinam już iść. Mój samolot odlatuje za mniej niż dwie godziny. – A jeśli zostanę dłużej, boję się, że nie będę zdolna do niego wsiąść.

Jonah ściska mnie mocno, więc lgnę do jego ciepła po raz ostatni, rozkoszując się cudownym uczuciem silnych ramion wokół mnie oraz upajającą wonią mydła i mężczyzny. Chociaż już dawno zapamiętałam.

– Oboje wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo – szepcze.

– Pewnie tak. Nie sądziłam tylko, że będzie aż takie trudne.

Dźwięk butów Billy’ego na żwirze przerywa nasz moment.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć, gdybyś mnie potrzebowała – mówi ochryłym głosem Jonah, gdy się odsuwa i patrzy na mnie. Dotyka mojego policzka i orientuję się, że płaczę.

– Przepraszam. – Próbuję otrzeć czarne ślady po tuszu z jego koszuli, ale tylko je rozmazuję. Tego ranka oddał mi w końcu kosmetyczkę, nie mówiąc ani słowa, kiedy się pakowałam. Przez cały czas ukrywał ją na strychu.

Oddycha ostro, bierze mnie za rękę i trzyma przez chwilę przy swojej piersi – przy swoim sercu. Po chwili puszcza ją i odchodząc, woła:

– Bezpiecznego lotu, Barbie!

– Wzajemnie, duży, zły yeti! – udaje mi się wydusić, mimo że głos łamie mi się ze smutku.

Stoję jeszcze przez chwilę, przyglądając się, jak wsiada do samolotu. Przypominam sobie, że na dłuższą metę to dobra decyzja.

Stoję wystarczająco długo, aby moje serce rozpadło się na kawałeczki.

Potem wracam do domu.

ROZDZIAŁ 27

Dwa miesiące później...



– Wie pan, że w Bangor na Alasce mają więcej taksówek na głowę niż gdziekolwiek indziej w Ameryce Północnej?

Widzę, że taksówkarz patrzy na mnie w lusterku wstecznym, zanim wraca uwagą do drogi.

– Był taki kierowca imieniem Michael. Miał jedynie dwadzieścia osiem lat i ośmioro dzieci. Nie, chwila, sześcioro. – Marszczę brwi w zamyśleniu. – Siódme dziecko miało urodzić mu się w grudniu. Żona powinna rodzić za miesiąc.

– Mówiła pani, że to dom na rogu, prawda? – Staje przed dużym ceglany budynek.

– Tak. Dzięki – odpowiadam. Najwyraźniej nie interesuje go informacja dotycząca liczby taksówek w Bangor na Alasce. Wyczułam to w chwili, gdy wsiadłam, ale nie potrafiłam powstrzymać się przed wspomnieniem o tym. Robię to ostatnio coraz częściej... W ciągu mijających dni ból z powodu podwójnej straty przekształcił się w odrętwienie.

Każdego ranka i wieczoru, a także w godzinach pomiędzy, moje myśli wędrują do pamięci świeżego chłodnego powietrza na skórze, zapachu kawy wypełniającego zielony dom, dźwięku butów uderzających o cichą zwirową drogę i wibrującego warkotu silnika Veroniki, gdy niosła nas przez rozległe, otwarte niebo Alaski. Do miękkiego śmiechu taty. Do sposobu, w jaki moje serce gubiło rytm pod wpływem spojrzenia niebieskich oczu Jonaha.

Myślę o tym wszystkim i boli mnie w piersi, ponieważ te chwile są za mną. Tata nie wróci.

Podobnie jak Jonah.

Nie odzywał się niemal od miesiąca. Przez pierwsze kilka tygodni trochę do siebie pisaliśmy, ale wiadomości były niezręczne – jak się spodziewałam po facecie, który nie znosi nowoczesnej technologii – i szybko zmniejszyła się ich częstotliwość. Ostatnia brzmiała: „Jestem zajęty. Robota w Aro nie pozwala na nic innego” i miała mnie zniechęcić, a przynajmniej tak sobie wmówiłam. Tak było łatwiej. Dał mi pretekst, by się odciąć. Mimo to nadal nie zdołałam znaleźć sposobu, aby przestać o nim myśleć i go pragnąć.

Z kluczami w dłoni wysiadam z acury i powoli przemierzam podjazd. Temperatura waha się około zera, co wystarcza, żeby na asfalcie utrzymywał się śnieg, który spadł wcześniej.

Mijam samochód Simona, później mamy, przechodzę obok śmietników i...

– Cholera – mamrocę. Jutro dzień wywożenia kubłów. Właściwie dziś, bo jest pierwsza w nocy.

Zostawiam torebkę na kamiennej ścieżce i wracam, chcąc poprzeciągać śmietniki podjazdem i poustawiać po kolei przy ulicy. Trzeci pojemnik, przeznaczony na odpadki organiczne, chwytam za uchwyt i mocno szarpnię. Otwiera się kłapa, a przede mną pojawia się kudłaty, czarny pysk.

Piszczę i zatacam się do tyłu, ledwie utrzymując równowagę na szpilkach.

– Cholera, Sid. Robisz mi to za każdym razem! – syczę przez zaciśnięte zęby, z mocno bijącym sercem. – Dlaczego nie zapadasz w sen zimowy?!

Zwierzak piszczy, po czym wyskakuje ze śmietnika i wbiega pod samochód Simona, rozrzucając po drodze śmieci. Tim skacze za nim.

W ciszy rozchodzi się głęboki, ciepły śmiech.

A moje płuca przestają działać.

Tylko jeden człowiek się tak śmieje.

Rzucam się kamienną ścieżką, ignorując to, że jestem na szpilkach, i widzę, że na jednym z foteli siedzi Jonah. Szeroko rozkłada nogi, a ręce opiera na podłokietnikach, jakby na zewnątrz nie było tak zimno.

– Skąd wiesz, który jest który? – pyta nonszalancko.

– Tim ma szerszy biały pasek nad oczami – odpowiadam, wciąż próbując przetworzyć ten widok.

Jonah tu jest.

W Toronto.

I nie ma brody.

– Co zrobiłeś ze swoją twarzą? – rzucam.

Głaszcze się po mocnej żuchwie. Bez zarostu wygląda inaczej. Bardziej jak na tym zdjęciu z tatą sprzed dekady.

– Jakiś czas temu straciłem fryzjera i nie znalazłem równie utalentowanego. – Omiata niebieskimi oczami moją czarną sukienkę i szpilki, gdy na chwiejnych nogach wchodzę po schodach.

– Długo tu siedzisz?

– Chyba od dziewiętej. Nie było cię w domu.

– Poszłam z Dianą na kolację. A potem do klubu. – Marszczę brwi. – Dlaczego nie zadzwoniłeś? Ktoś powinien mi powiedzieć...

– Żartujesz? – Śmieje się, ruchem głowy wskazując na podjazd. – Warto było czekać.

Stoję oniemiała, nie mogąc wyjść z szoku.

– Przestałeś odpisywać na moje wiadomości.

Rozbawienie znika z jego twarzy.

– To było zbyt trudne.

– Tak, było – zgadzam się, posyłając mu smętny uśmiech. Wiedziałam, że nie powinnam do niego pisać, że nie powinnam się z nim codziennie witać i życzyć kolorowych snów. Wiedziałam, że podtrzymywanie tej relacji nie miało pomóc żadnemu z nas. Jednak musiałam włożyć sporo wysiłku, by z tym skończyć.

A teraz Jonah siedzi naprzeciw mnie.

– Co tu robisz?

– A jak myślisz, Calla? – Wzdycha, kręcąc głową. – Nie jest taka sama.

– Ale kto?

– Alaska. Zniszczyłaś mi ją – mówi żartobliwie, ale i tak słyszę w jego głosie oskarżenie.

– Przykro mi – odpowiadam.

– Naprawdę?

– Nie. Nie do końca – przyznaję z nieśmiałym uśmiechem i iskrą nadziei, ponieważ może nie tylko ja byłam nieszczęśliwa. Może nie tylko ja przypadkowo i nieumyślnie się zakochałam.

Wyciąga rękę. Chwytam ją bez wahania, pozwalając, by wciągnął mnie sobie na kolana. Opieram się o jego twarde ciało i mimowolnie wymyka mi się cichy jęk. To znacznie lepsze, niż zapamiętałam.

Czy to się dzieje naprawdę?

Czy Jonah przyleciał tu, żeby się ze mną zobaczyć?

Przesuwa dłońmi po moich udach, by podnieść mi nogi, abym znalazła się bliżej niego, po czym bierze mnie za rękę i przeciąga kciukiem po moich paznokciach.

– Byłaś...

– Nieszczęśliwa. – Zdejmuję mu czapkę, rzucam ją na podłogę i opieram czoło o jego. – Nic nie jest takie samo. – A przynajmniej ja nie jestem taka jak kiedyś. Jasne, wciąż wychodzę z Dianą i przyjaciółmi, ale korzystam, gdy tylko mam okazję, by posiedzieć na kanapie przy mamie i Simonie, przysłuchując się ich dziwnym i zabawnym wymianom zdań. Diana dalej chce prowadzić naszą stronę, ale ja, każdego dnia wspominając czas spędzony na Alasce z tatą i Jonahem, wrzucam tam zdjęcia, które wywołują we mnie radość, chcę dzielić się związanymi z nimi historiami, nawet jeśli nikt oprócz mnie miałby ich nie przeczytać. Simon mówi, że ma to dla mnie wymiar terapeutyczny. Może i tak. Chcę, aby te wspomnienia pozostały świeże i żywe w moim umyśle tak długo, jak to możliwe, ponieważ wiem, że kiedy znikną, nie zdołam ich odzyskać.

Nie maluję się już, kiedy idę pobiegać, a nawet jeżeli to robię, makijaż jest o wiele lżejszy niż wcześniej. No i koszula подарowana mi przez Jonaha wisi teraz z przodu w szafie. Zakładam ją za każdym razem, gdy potrzebuję pociechy.

Jak na ironię, kiedy tylko wróciłam do miejskiego gwaru, którego tak mi brakowało, od razu zatęskniłam za właśnie porzuconą ciszą i spokojem.

Jonah uśmiecha się z zadowoleniem.

– To dobrze.

Nie potrafię się powstrzymać. Przeciagam palcami po jednodniowym zarostie na jego policzkach i pochylam głowę, by przywrzeć do jego ust, chociaż wiem, że powrócenie do poprzedniej rutyny sprawi, że ponowne rozstanie będzie o wiele bardziej bolesne.

Ale wezmę wszystko, co mogę dostać, tak długo, jak skłonny będzie mi to dawać.

Wysuwa język, by posmakować mojej dolnej wargi.

– Co dziś piłaś?

– Tylko martini.

Unosi brwi.

– No dobra, trzy kieliszki martini – przyznaję, krzywiąc się. W samochodzie lekko szumiało mi w głowie, ale teraz jestem zupełnie trzeźwa.

Jonah jęczy, odsuwa mi włosy z czoła i wzrokiem omiata moją twarz.

– Co my mamy zrobić, Calla?

– Nie wiem. – Bawię się kołnierzykiem jego kurtki, pragnąc wsunąć pod nią palce. – Co z Wild? Jak się sprawy mają?

– Nie będzie już Wild. Szefostwo zastanawia się nad umieszczeniem nowego logo Aro na samolotach. Powiedziałem, że zostanę na kolejne dwa miesiące, potem się zmywam. Po prostu... nie mogę. – Zaciska na chwilę usta. – Wrena nie ma. Niedługo nie będzie też Wild.

Bolesnie ściska mi się gardło.

– Tęsknię za nim.

– Tak. Ja też – przyznaje ochryple, mrugając kilkakrotnie. Uświadamiam sobie, że jest smutny, więc mocniej się w niego wtulam.

– Co zamierzasz robić, jeśli nie chcesz latać w Aro?

– Otworzę własną małą firmę czarterową, której maszyny nie będą poruszały się między lotniskami. Wren zostawił mi trzy samoloty.

– Tak, mówił mi, że zamierzał to zrobić. To dobrze. Ludzie ci ufają.

– Pomyślałem, że mógłbym sprzedać Jugheada i kupić coś mniejszego. A potem mógłbym się przenieść bliżej Anchorage. Pomogłabyś mi z tym całym marketingiem, bo widziałem, że byłaś w tym dobra. Pomyślałem, że mieszkanie w pobliżu miasta mogłoby się sprawdzić w twoim przypadku. – Przełyka ślinę. – Byłabyś czymś takim zainteresowana?

– Co? Ja... – jąkam się zaskoczona. Przenieść się bliżej Anchorage? – To znaczy? Chcesz, żebym się tam przeprowadziła? – Czy Jonah prosi, żebym zamieszkała na Alasce?

Patrzy mi w oczy.

– Dokładnie o to proszę.

– Ja... – Serce bije mi jak oszalałe. – Nie wiem. – Oznaczałoby to przeniesienie się na Alaskę dla Jonaha. Zrobienie tego, co zrobiła moja matka. – A co, jeśli mi się nie spodoba? – rzucam.

– Wtedy wymyślimy coś, na co oboje zdołamy przystać.

– Co, jeśli będzie to oznaczało wyniesienie się z Alaski? – pytam ostrożnie. Mimo że bardzo tęskniłam za Jonahem, nie jestem gotowa skazywać się na takie życie.

– Póki będę latał, a ty będziesz przy mnie, będę szczęśliwy. Jednak mieszkanie oddzielnie? Nie, to się w moim przypadku nie sprawdza, Calla. – Posyła mi surowe spojrzenie, takie jak wtedy, gdy wykląda komuś, jak coś działa lub jak działać powinno. – Nie zamierzam poddać się bez walki i przez resztę życia tęsknić za tobą. W tym właśnie względzie nie jestem podobny do Wrena.

Cholera. Mówi poważnie. Ma na myśli życie razem i przyznaje się do tęsknoty, którą odczuwał tata, gdy zakochał się w mamie.

– Muszę to przemyśleć – rzucam, bo w głowie mi się kręci. Część mnie chciałaby zgodzić się od razu. – Nie mówię nie, ale muszę mieć czas, by się zastanowić.

– W porządku. – Uśmiecha się miękko. – Jesteś córką Fletchera, więc dokładnie tego się spodziewałem.

Drżącą dłonią wiodę po jego policzku, wciąż próbując przetworzyć ten nagły zwrot akcji. To drugi raz, gdy moje życie ma zostać przewrócone do góry nogami na tym ganku. Tym razem jednak wydaje mi się, że wiem, jak będzie brzmiała moja odpowiedź.

Ponieważ zrobię wszystko, żeby spróbować i sprawić, by nam się udało.

Cholera.

– Podoba ci się? – pyta cicho, nakrywając moją dłoń swoją.

– Tak, ale znów musisz zapuścić brodę.

Uśmiecha się sztywno.

– Tak mówisz?

– Nie brodę yeti, ale tę seksownego wikinga.

Stęka.

– A to mi przypomina... – Przyglądam się z zainteresowaniem i niewielkim szokiem, gdy wyciąga z kieszeni nowego iPhone'a. Klika w ekran i pokazuje mój zeszlotygodniowy post na Instagramie, ten zatytułowany: „Dobry, zły i yeti”, który w ciągu kilku dni potroił liczbę moich fanów i zebrał tysiące polubień, głównie od spragnionych kobiet.

Zaciskam usta, aby ukryć uśmiech, podziwiając Jonaha bez koszuli, z siekierą w dłoni, z jeansami wiszącymi nisko na biodrach i bez bielizny pod spodem, które ukazują przepyszne „V” z mięśni i ścieżkę włosów. Ostatnie, które zrobiłam, zanim odwrócił się i mnie przyłapał. Według mnie najlepsze, ponieważ jego piękna twarz – z surowym wyrazem – i muskularny tors były bardziej widoczne na tle zamglonego lasu.

– Co z nim nie tak? – pytam niewinnie.

– Wiesz, jak mocno dogryzała mi z tego powodu Aggie? Wydrukowała to zdjęcie i porozklejała na ścianach.

– Wiem. Wysłałam jej plik. – Odkąd wróciłam do domu, piszemy do siebie co tydzień, głównie po to, by dowiedzieć się, co słyhać, pogadać o Mabel.

Jonah unosi brwi. Zauważam, że blizna na jego czole ładnie się wygoiła.

– Kilka osób dzwoniło, żeby zarezerwować sobie moje usługi jako osobistego pilota.

– No i? Nic nowego. Ludzie cię znają.

– Prosilili o „yeti”.

– Nie sądzisz, że podpis pod zdjęciem był dość sprytny?

Na jego twarzy pojawia się powolny, mściwy uśmiešek.

Cholera.

– Co zamierzasz mi zrobić?

W jego oczach pojawia się łobuzerski błysk, gdy przyciąga mnie do siebie, by pocałować,
po wcześniejszym wyszeptaniu:

– Chyba będziesz musiała poczekać, aby się przekonać.

PODZIĘKOWANIA



Dziękuję, że oddaliście Calli, Jonahowi, Wrenowi, Simonowi, Susan, Agnes i Mabel kilka godzin swojego życia. Kiedy postanowiłam napisać *Zostań ze mną*, miałam przecucie, że będzie to pełna emocji powieść, ale chyba nie przewidziałam, jak wiele uczuć we mnie wzbudzi. Bywały chwile, gdy uroniłam łzę, spisując tę historię, a to się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Staralam się jednak zrównoważyć smutek radością i nadzieją, tak jak zrównoważone może być nimi życie nawet w najczarniejszej godzinie.

Zostań ze mną to moja pierwsza historia częściowo osadzona w Kanadzie, ale obiecuję, że nie ostatnia. Bardzo podobało mi się wrzucanie smaczków, które mogły docenić osoby z Kanady, zwłaszcza te z okręgu Toronto.

Czasami tło staje się odrębnym bohaterem, chyba tak właśnie stało się w tym wypadku. Spędziłam wiele dni, oglądając kanał Discovery (*Piloci Alaski* to fascynujący program dokumentalny, jeśli chcielibyście dowiedzieć się więcej o zachodniej Alasce i życiu pilotów, co szczerze polecam), czytając niezliczone blogi i wpisy o podróżach, próbując dowiedzieć się jak najwięcej o tej wyjątkowej części świata, żeby móc ją właściwie opisać. Dla tych, którzy sprawdzają mapy – nie, nie ma takiego miasteczka na Alasce jak Bangor (choć jest miejscowość o tej nazwie w Maine). Pierwowzorem stworzonej przeze mnie fikcyjnej miejsciny jest Bethel, ale chciałam pozostawić sobie nieco luzu i twórczej wolności bez poczucia, że robię coś źle. Stąd też i owo Bangor.

Specjalne podziękowania dla niżej wymienionych i mam nadzieję, że o nikim nie zapomniałam (a jeśli tak, to naprawdę przepraszam).

Podziękowania dla:

Christine Borgford i Angel Gallentine Lee za to, że pomogły mi zebrać informacje o zachodniej Alasce.

Jennifer Armentrout, Mary White, Andrii King, Oli Pennington, Betty C. Cason, Kerri Elizabeth i Kristen Reads za podzielenie się ze mną własnymi bolesnymi przeżyciami po utracie bliskiej osoby, zmarłej na raka płuc. Wiedziecie, że bardzo zasmuciły mnie Wasze historie.

Jamesa „Wild Boya” Hugginsa za nieocenione informacje dotyczące życia pilotów lotów czarterowych.

K.L. Grayson za informacje o hospicjum i burzę mózgow, gdy stanęłam w obliczu opisanego stanu zdrowia Wrena, chcąc znaleźć najlepszy sposób na przedstawienie choroby. Walczyłam z tym fragmentem przez kilka tygodni, próbując wymyślić, jak najbezpieczniej to ująć. Nasze rozmowy niezmiernie mi w tym pomogły.

Amélie, Sarah i Tami za prowadzenie mojej grupy na Facebooku (zwłaszcza kiedy goni mnie termin i znikam z mediów społecznościowych) i pilnowanie, by moi czytelnicy wiedzieli o nowych premierach i aby cieszyli się, mogąc czytać moje książki.

Sandry Cortez – zawsze mogę liczyć na Twoją szczerą opinię.

Stacey Donaghy z Donaghy Literary Group za to, że w jakiś sposób wyczuła moją panikę, rzuciła wszystko i przeczytała ten manuskrypt w ciągu jednej nocy.

Sarah Cantin – jesteś o wiele mądrzejsza i cierpliwsza niż Simon. Dziękuję, że trwałaś przy mnie aż do końca i zawsze byłaś gotowa mnie wysłuchać.

Załogi Atria Books: Suzanne Donahue, Alberta Tanga, Jonathana Busha, Willa Rhino, Lisy Wolff, Alyshi Bullock, Ariele Fredman, Rachel Brenner, Lisy Keim i Haley Weaver za całą pracę wykonaną przy tej książce w tak krótkim czasie (dodajcie w tym miejscu mój zawstydzony

uśmiech i przeprosiny).

Mojego męża i córek za to, że pozwolili mi siedzieć w mojej jaskini z torbą małych jajeczek Cadbury i zszarganymi nerwami.

O AUTORCE



K.A. Tucker jest autorką bestsellerowych serii: *Dziesięć płytkich oddechów* oraz *Burying Water*. Píše również porywające historie, takie jak: *Przez niego zginę* czy *Zanim odejdiesz* (która niebawem ukaże się nakładem wydawnictwa Filia). Obecnie autorka wraz z mężem i dwiema pięknymi córeczkami mieszka w spokojnym miasteczku niedaleko Toronto.

K.A.Tucker

Zostań Ze mną,



Czasami nie możesz czegoś
zmienić, a czasem nie chcesz.

FILIA



